

SAGA DRENAJÓW TOM II

DAVID GEMMELL

KRÓL

POZA BRAMĄ

WYDAWNICTWO
MYSTERY

SAGA DRENAJÓW TOM II

DAVID GEMMELL

KRÓL POZA BRAMĄ

WYDAWNICTWO
MYSTERY

David Gemmell

KRÓL POZA BRAMĄ

Przełożyli Barbara Kaminska, Zbigniew A. Królicki

Książką tą dedykuję z wyrazami miłości moim dzieciom, Kathryn i Luke'owi, jako skromny dowód wdzięczności za ich towarzystwo.

PODZIĘKOWANIA

Bez pomocy najbliższych przyjaciół nie byłoby radości tworzenia. Bardzo dziękuję Tomowi Taylorowi za pomoc w budowaniu opowiadania, Stelli Graham za czytanie pierwodruku oraz Jean Maund za wydanie rękopisu. Ponadto dziękuję Gary'emu, Russowi, Barbarze, Philipowi, George'owi, Johnowi D. Jimmy'emu, Angeli, Jo, Lee oraz Ionie i całemu personelowi „Hastings Observer”, który stworzył te dobre lata.

A Rossowi Lempriere'owi dziękuję za szturmowanie schodów.

Prolog

Śnieg pokrył już okoliczne drzewa i leżącą w dole puszcę. Przez jakiś czas Tenaka stał

pośród skał i głazów, przebiegając wzrokiem zbocza. Biały puch gromadził się na jego lamowanym futrem płaszczu i kapeluszu o szerokim rondzie, lecz on nie zważał na to, podobnie jak nie zwracał uwagi na zimno przenikające ciało aż do kości. Czuł się tak, jakby był ostatnim żywym mieszkańcem umierającej planety.

Niemal pragnął, żeby tak było.

W końcu, upewniwszy się, że wokół nie ma żadnych patroli, zaczął schodzić zboczem w dół, ostrożnie stawiając stopy na zdradliwym stoku. Poruszał się wolno, wiedząc, że zimno staje się coraz groźniejsze. Potrzebował miejsca na obóz i ognisko.

Za jego plecami majaczył w gęstniejących chmurach łańcuch gór Delnoch. Przed nim leżał

las Skultik, miejsce zawiedzionych nadziei i dziecięcych wspomnień, owiane wieloma legendami.

Wokół panowała cisza, przerywana jedynie sporadycznymi trzaskami ścinanych lodem suchych gałązek i aksamitnym szelestem śniegu, zsuwającego się z przeciążonych konarów.

Tenaka odwrócił się i spojrzał na swoje ślady, których ostre krawędzie zamazywały się, niknąc zupełnie po kilku minutach. Ruszył dalej, z głową pełną smutnych myśli i strzępów wspomnień.

Rozbił obóz w osłoniętej od wiatru, płytkiej jaskini i rozpalił niewielkie ognisko. Płomienie skupiły się i urosły, a na ścianach zatańczyły czerwone cienie. Zdjął wełniane rękawice i rozgrzał dłonie nad ogniem; potem roztarł twarz, szczypiąc policzki, aby pobudzić krążenie krwi.

Chciało mu się spać, lecz w jaskini nie było jeszcze dość ciepło.

Smok był martwy. Tenaka potrząsnął głową i zamknął oczy. Ananais, Decado, Elias, Beltzer.

Wszyscy zginęli. Zdradzeni, ponieważ nade wszystko cenili honor i obowiązek. Zginęli, ponieważ wierzyli, że Smok jest niepokonany, a dobro zawsze musi zwyciężyć.

Tenaka odpędził senność i dorzucił do ognia kilka większych polan.

– Smok nie żyje – powiedział głośno, a słowa odbiły się echem od ścian jaskini. Jakie to dziwne, pomyślał, słowa są prawdziwe, a jednak trudno w nie uwierzyć.

Zapatrzył się w migoczące płomienie, oczami duszy widząc obraz swego marmurowego pałacu w Ventrii. Tam nie było ognia na kominku, tylko łagodny chłód wewnętrznych pomieszczeń, których kamienne ściany nie wpuszczały do środka dręczącego słońca pustyni.

Miękkie fotele i tkane dywany oraz służący, który podawał dzbany chłodzonego wina i nosił

kubły drogocennej wody do jego różanego ogrodu dla podtrzymania piękna kwitnących drzew.

Posłańcem był Beltzer. Wierny Beltzer – najświetniejszy wojownik w randze Bara w całym skrzydle.

– Wzywają nas do domu, sir – powiedział zakłopotany, stanąwszy w obszernej bibliotece, w odzieży noszącej ślady długiej podróży przez piaski pustyni. – Buntownicy pokonali jeden z oddziałów Ceski na północy i Baris osobiście wydał ten rozkaz.

– Skąd wiesz, że to on?

– To jego pieczęć, sir. Jego osobista pieczęć. A wiadomość brzmi: „Smok wzywa”.

– Nie widziano Barisa już od piętnastu lat.

– Wiem, sir. Jednak ta pieczęć...

– Grudka wosku nie ma żadnego znaczenia.

– Dla mnie ma, sir.

– Wrócisz więc do Drenajów?

– Tak, sir. A pan?

– Wrócić do czego, Beltzer? Kraj leży w gruzach. Spojeni są niepokonani, a kto wie, jakie złe i tajemne moce zostaną użyte przeciw buntownikom? Zrozum, człowieku! Smoka rozwiązano piętnaście lat temu, a my wszyscy postarzeliliśmy się. Byłem jednym z młodszych oficerów, a teraz mam czterdzieści lat. Ty musisz mieć około pięćdziesiątki – gdyby Smok istniał, byłbyś już emerytem.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział Beltzer, stając sztywno na baczność. – Jednak honor wzywa. Przez całe życie służyłem Drenajom i teraz nie mogę odmówić.

– A ja mogę – powiedział Tenaka. – Sprawa jest przegrana. Jeśli damy Cesce trochę czasu, zniszczy się własnymi rękami. Jest szalony. Całe jego państwo się rozpada.

– Nie jestem dobrym mówcą, sir. Przebyłem dwieście mil, żeby dostarczyć tę wiadomość.

Przyjechałem odnaleźć człowieka, któremu służyłem, ale nie ma go tutaj. Przepraszam za kłopot.

– Posłuchaj, Beltzer! – powiedział Tenaka, gdy tamten odwrócił się do drzwi. – Gdyby istniała najmniejsza szansa powodzenia, z przyjemnością pojechałbym z tobą. Czuję jednak, że skończy się to klęską.

– Czy myślisz, że ja o tym nie wiem? Że my wszyscy o tym nie wiemy? – powiedział

Beltzer, po czym odszedł.

Wiatr zmienił kierunek i dmuchnął do wnętrza jaskini, zasypując ognisko śniegiem. Tenaka zaklął cicho. Dobywszy miecza wyszedł na zewnątrz, ściął dwa krzewy i wrócił, zasłaniając nimi wejście.

Mijały miesiące, a on zapominał o Smoku. Musiał zarządzać majątkiem, zając się ważnymi, rzeczywistymi problemami.

Potem zachorowała Illae. Był na północy, organizując ochronę karawan z przyprawami, kiedy doniesiono mu o tym. Pospieszył do domu. Medycy orzekli, że gorączka minie i nie ma powodu do obaw. Jednak jej stan pogarszał się. Powiedzieli mu, że to zapalenie płuc. Traciła na wadze z dnia na dzień, aż w końcu leżała na szerokim łóżu, oddychając nierówno, a w jej pięknych niegdyś oczach lśniła śmierć. Siedział przy niej całymi dniami, rozmawiając, modląc się, błagając, by nie umierała.

Aż nagle jej się polepszyło, a jemu serce podskoczyło z radości. Zaczęła mówić o przyjęciu i przerwała zastanawiając się, kogo zaprosi.

– Mów dalej – powiedział. Jednak jej już nie było. Tak po prostu. Dziesięć lat wspólnych wspomnień, nadziei i radości zniknęło jak woda na piasku pustyni.

Podniósł ją z łóżka i owinął w biały, wełniany szal. Potem, trzymając w objęciach, zaniósł ją do różanego ogrodu.

– Kocham cię – powtarzał, całując jej włosy i kołysząc jak dziecko. Słudzy zebrali się i patrzyli w milczeniu. Po godzinie odciągnęli go od niej i zaprowadzili łkającego do jego komnaty. Znalazł tam zapieczętowany zwój, zawierający opis bieżącego stanu jego interesów oraz porady co do nowych inwestycji. Znajdował się tam również list od jego księgowego –

Estasa, który radził, w jakich regionach należy inwestować, a jakich należy unikać, szczególnie wnikliwie omawiając podłoże polityczne tej oceny.

Machinalnie otworzył list i wzrokiem przebiegł opis stabilizacji w Vagrii, początku przemian w Lentrii i głupoty Drenajow, aż doszedł do ostatnich linijek:

„Ceska otoczył buntowników na południe od Równiny Sentrian. Pewnie znów będzie się chełpić swoją przebiegłością. Wydał rozkaz, wzywający starych weteranów do powrotu; widocznie obawiał się Smoka, od kiedy rozwiązał go przed piętnastu laty. Teraz pozbył się obaw

– zabito wszystkich, co do jednego. Potwory Ceski są przerażające. Na jakim świecie żyjemy?"

– Żyjemy? – powiedział Tenaka. – Nikt nie żyje – wszyscy są martwi.

Wstał, podszedł do zachodniej ściany i stanął przed owalnym lustrem, by spojrzeć na swoje odbicie. Zobaczył skośne, fioletowe, oskarżające go oczy, oraz zaciśnięte wargi, zdradzające gorycz i gniew.

– Wróć do domu – powiedziało odbicie – i zabij Ceskę.

Rozdział 1

Opuszczone baraki stały zasypane śniegiem, a ich wybite okna przypominały stare, nie zabliźnione rany. Wydeptany niegdyś przez dziesięć tysięcy ludzi plac był teraz wyboisty, a spod pokrywającego go śniegu przebijały żółta traw.

Równie brutalnie potraktowano samego Smoka: strzaskano mu kamienne skrzydła, wybito kły, a oblicze pomazano czerwoną farbą. Stojącemu przed nim w milczącym hołdzie Tenace wydawało się, że Smok płakał krwawymi łzami.

Mężczyzna rozejrzał się po placu, a pamięć podsunęła mu wyraźne obrazy z przeszłości: Ananais wykrzykujący komendy – przeciwstawne rozkazy powodujące, że ćwiczący zderzali się ze sobą i z łomotem padali na ziemię.

– Śmierzące szczury! – ryczał jasnowłosy olbrzym. – Nazywacie siebie żołnierzami?

Obrazy rozplynęły się w zderzeniu z upiorną, białą pustką rzeczywistości i Tenaka zadrżał.

Podszedł do studni, gdzie znalazł stare wiadro, wciąż przywiązane do zbutwiałego sznura.

Wrzucił je do środka i usłyszał trzask pękającego lodu. Po wyciągnięciu podszedł z nim do smoka.

Farba trudno się zmywała, lecz pracował nad nią prawie przez godzinę, nożem zeskrobując z kamienia ostatnie ślady czerwieni.

Potem zeskoczył na ziemię i spojrzał na swoje dzieło.

Nawet bez farby smok wyglądał żałośnie, jak obraz klęski. Tenaka znów pomyślał o Ananaisie.

– Może lepiej, że nie żyjesz i nie musisz tego oglądać.

Zaczęło padać, lodowate igielki siekły go po twarzy. Tenaka zarzucił na ramię tobołek i pobiegnął w kierunku opuszczonych baraków. Z rozmachem otworzył drzwi i wszedł do dawnych kwater oficerskich. Spod nóg czmychnął mu szczur, umykając w ciemność, Tenaka zignorował

go, przechodząc do obszerniejszych pomieszczeń na tyłach budynku. W swoim starym pokoju zrzucił tobołek, a potem roześmiał się, spojrzawszy na kominek, na którym zobaczył ułożony stos drewna, gotowy do podpalenia.

Ostatniego dnia, wiedząc, że wyjeżdżają, ktoś przyszedł do jego pokoju i przygotował

palenisko. Decado, jego adiutant?

Nie. On nie miał w sobie nic romantycznego. Był szalonym mordercą, trzymanym w ryzach jedynie przez żelazną dyscyplinę Smoka oraz własne głębokie poczucie lojalności.

A więc kto?

Po chwili przestał przypominać sobie podsuwane przez pamięć twarze. Nigdy się nie dowie.

Po piętnastu latach drewno powinno być wystarczająco suche, aby palić się bez dymu –

powiedział sobie i umieścił pod bierwionami świeżą hubkę. Wkrótce pojawiły się płomyki i polana

zapłonęły żywym ogniem.

Pod wpływem nagłego impulsu Tenaka podszedł do wyłożonej drewnem ściany w poszukiwaniu ukrytej niszy. Kiedyś otwierała się błyskawicznie, po lekkim naciśnięciu guzika.

Teraz zaskrzypiały zardzewiałe sprężyny. Delikatnie odsunął płytę, za którą znajdowała się niewielka wnęka, utworzona przez wyjęcie kamiennego bloku na wiele lat przed rozpuszczeniem wojska. Na tylnej ścianie widniał napis w języku Nadirów:

Jesteśmy Nadirami,

Dziećmi młodości,

Rozlewem krwi,

Ciosem topora,

Niepokonani.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Tenaka uśmiechnął się i poczuł jak ciężar przygniatający mu duszę nieco zelżał. Minione lata cofnęły się i raz jeszcze zobaczył siebie jako młodego człowieka, który przybył wprost ze Stepów, aby objąć stanowisko w oddziale Smoka. Jeszcze raz poczuł na sobie spojrzania współtowarzyszy-oficerów i ich ledwie skrywaną wrogość.

Księżę Nadirów wśród żołnierzy Smoka? To nie do pomyślenia – a zdaniem niektórych wręcz nieprzyzwoite. To był jednak szczególny przypadek.

Legion Smoka został utworzony przez Magnusa Woundweavera po Pierwszej Wojnie Nadiryjskiej przed stu laty, kiedy niezwyciężony wódz Ulryk poprowadził swe hordy pod mury Dros Delnoch, najpotężniejszej twierdzy świata, gdzie został pokonany przez Księcia z Brązu i jego wojowników.

Smok miał obronić Drenajów przed przyszłymi napadami Nadirów.

I oto, jak koszmarne sen, który się ziścił – gdy świeża jeszcze była pamięć o Drugiej Wojnie Nadiryjskiej – do regimentu przyjęto Nadira. Co gorsza, był on w prostej linii potomkiem Ulryka.

A jednak nie mieli wyboru – musieli pozwolić mu nosić pałasz kawalerzysty, ponieważ był

Nadirem jedynie ze strony matki.

Ze strony ojca był prawnukiem Regnaka Wędrowcy: Księcia z Brązu, co dla tych, którzy chcieli go nienawidzić, stanowiło pewien problem. W jaki sposób mogli darzyć nienawiścią potomka największego bohatera Drenajów? Nie było to łatwe, jednak udawało im się.

Jego poduszkę oblewano krwią kozła, do butów wkładano skorpiony. Podcinano popręgi siodła, a na koniec podrzucono mu do łóżka żmiję.

Ta prawie go zabiła, zanurzając zęby jadowe w jego udzie. Tenaka, sięgnawszy szybko po sztylet leżący na stoliku przy łóżku, zabił węża, a potem rozciął miejsce ukąszenia w nadziei, że upływ krwi usunie jad. Leżał potem zupełnie nieruchomo, wiedząc, że jakkolwiek ruch rozprowadzi truciznę w organizmie. Usłyszał kroki na korytarzu. Wiedział, że to Ananais, do-wódca warty, wraca do swego pokoju po zakończonej służbie.

Nie chciał od niego pomocy, bo wiedział, że Ananais go nie lubi. Jednak nie chciał umierać!

Wykrzyknął więc jego imię, drzwi otworzyły się i stanął w nich jasnowłosy olbrzym.

– Ukąsiła mnie żmija – powiedział Tenaka.

Ananais pochylił głowę w wejściu i podszedł do łóżka, odpychając nogą zabitego węża.

Potem obejrzał ranę w nodze Tenaki.

– Jak dawno? – zapytał.

– Dwie, trzy minuty temu.

Ananais potakująco skinął głową. – Nacięcia nie są dość głębokie.

Tenaka podał mu sztylet. – Nie. Gdyby były głębsze naruszyłyby główne mięśnie.

Pochyliwszy się, Ananais przyłożył usta do rany i wysssał truciznę. Potem założył opaskę uciskową i poszedł sprowadzić lekarza.

Nawet po usunięciu większości trucizny młody książę nadiryjski nieomal stracił życie.

Zapadł w stan śpiączki, która trwała cztery dni, a kiedy się obudził, przy swoim łóżku zobaczył

Ananaisa.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Nie wyglądasz najlepiej. Mimo to cieszę się, że żyjesz.

– Dzięki za uratowanie mi życia – powiedział Tenaka, gdy olbrzym podniósł się, by wyjść.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Mimo to nie pozwoliłbym ci poślubić mojej siostry –

powiedział, uśmiechając się szeroko. – A przy okazji, trzech młodych oficerów wydalono wczoraj ze służby. Myślę, że teraz już możesz spać spokojnie.

– Nigdy tego nie zrobię – powiedział Tenaka. – Dla Nadira to śmierć.

– Nic dziwnego, że mają skośne oczy – powiedział Ananais.

Renya pomogła starcowi wstać, a potem zgarnęła śnieg, gasząc niewielkie ognisko.

Temperatura gwałtownie spadała, a nad ich głowami kotłowały się ponure i groźne burzowe chmury. Dziewczyna bała się, ponieważ staruszek przestał drzeć i stał teraz przy połamanym drzewie, pustym wzrokiem spoglądając pod nogi.

– Chodź, Aulinie – powiedziała, obejmując go ramieniem. – Blisko już do starych baraków wojskowych.

– Nie! -jęknął cofając się. – Znajdą mnie tam. Wiem, że mnie znajdą.

– Zimno zabije cię na pewno – syknęła. – Chodź.

Pokornie pozwolił jej poprowadzić się poprzez śnieg. Była wysoka i silna, lecz marsz zmęczył ją i gdy dotarli do ostatniego szpaleru drzew przed placem Smoka, ciężko dyszała.

– Jeszcze tylko chwila – powiedziała. – Potem odpoczniesz.

Wydawało się, że obietnica schronienia dodała sił staremu, który nieco szybciej zaczął

posuwać się naprzód. Dwa razy prawie upadł, lecz dziewczyna przytrzymała go.

Kopnięciem otworzyła drzwi najbliższego budynku i pomogła mu wejść do środka. Zsunęła z głowy biały wełniany burnus i przesunęła dłonią po krótko obciętych czarnych włosach, zlepionych teraz potem.

Z dala od mroźnego wiatru, gdy ciało zaczęło dostosowywać się do nowych warunków, poczuła, że jej skóra płonie. Odpięła pas białego kozucha z owczej skóry i zsunęła go z szerokich ramion. Ubrana była w bladobłękitną wełnianą tunikę i czarne, obcisłe nogawice, częściowo skryte pod sięgającymi do połowy uda butami, podbitymi owczym futrem. U boku miała sztylet.

Staruszek oparł się o ścianę, nie mogąc opanować wstrząsających nim dreszczy.

– Znajdą mnie. Na pewno! – skomlał. Renya zignorowała go i poszła korytarzem.

Na drugim jego końcu pojawił się jakiś człowiek i zaskoczona dziewczyna błyskawicznie sięgnęła po sztylet. Był to wysoki, ciemny i ubrany na czarno mężczyzna z przypiętym do pasa mieczem. Poruszał się wolno, jednak z pewnością siebie, którą Renya uznała za wyzywającą.

Kiedy podszedł bliżej, dziewczyna przygotowała się do odparcia ataku, obserwując jego oczy.

Były one, jak zauważyła, barwy najpiękniejszego fioletu, skośne jak u ludzi z nadiryjskich plemion z północy. Miał jednak ostre rysy twarzy i gdyby nie zawziętość, widoczna w linii zaciśniętych ust, byłby nawet przystojny.

Chciała powstrzymać go słowami, powiedzieć mu, że jeśli podejdziesz bliżej, to zginie. Jednak nie mogła. Otaczała go aura siły – władzy, która zmusza do uległości.

Minął ją i pochylił się nad Aulinem.

– Zostaw go! – krzyknęła. Tenaka odwrócił się do niej.

– W moim pokoju pali się w kominku. Trochę dalej na prawo – powiedział spokojnie. –

Przenieś go tam. – Delikatnie podniósł starca i zaniósł go do swojej kwatery, a następnie ułożył na wąskim łóżku. Zdjął z niego płaszcz oraz buty i zaczął rozcierać lekko jego łydki, posiniałe i pokryte plamami. Odwróciwszy się, rzucił dziewczynie koc. – Nagrzej go przy ogniu –

powiedział i powrócił do swego zajęcia. Po chwili sprawdził oddech starego – był równy i głęboki.

– Śpi? – zapytała.

– Tak.

– Czy będzie żył?

– Kto to wie? – powiedział Tenaka, wstając i prostując plecy.

– Dzięki, że mu pomogłeś.

– Dzięki za to, że mnie nie zabiłaś – odpowiedział.

– Co ty tu robisz? – spytała.

– Siedzę przy ogniu i czekam aż przejdzie burza. Chcesz coś zjeść?

Usiedli przy kominku i jedli suszone mięso i twarde placki z jego zapasów, niewiele przy tym mówiąc. Tenaka nie należał do ludzi ciekawskich, a Renya intuicyjnie wyczuwała jego niechęć do rozmowy. Jednak panujące milczenie nie ciążyło im. Ona, po raz pierwszy od tygodni, czuła spokój i nawet groźba pościgu wydawała się mniej rzeczywista, jakby te baraki były przystanią strzeżoną przez czarodziejskie moce – potężne, choć niewidzialne.

Tenaka wyprostował się na krześle i obserwował dziewczynę, która wbiła wzrok w płomienie. Jej twarz zwracała uwagę: owalna, o wysokich kościach policzkowych i szeroko rozstawionych oczach, tak ciemnych, iż źrenice zlewały się z tęczęwkami. Odniósł wrażenie, że jest silną osobowością. Pod tą siłą wyczuł jednak skrywaną wrażliwość, jakby dręczyła ją ukrywana słabość lub strach. W innych okolicznościach z pewnością wzbudziłaby jego zainteresowanie, lecz gdy wejrzał w siebie, nie znalazł tam żadnych uczuć, żadnej żądzy... Nawet życia – stwierdził ze zdziwieniem.

– Ścigają nas – powiedziała w końcu.

– Wiem.

– Skąd możesz wiedzieć?

Wzruszył ramionami i dorzucił dREW do ognia. – Znajdujecie się na pustkowiu, bez koni i zapasów, ale wasze szaty są drogie, a zachowanie wskazuje na dobre urodzenie. Stąd wniosek, że uciekacie przed kimś lub przed czymś, a zatem ktoś was ściga.

– Czy to ci przeszkadza? – zapytała.

– A powinno?

– Jeżeli zostaniesz złapany razem z nami, to również zginiesz.

– A więc nie złapią mnie razem z wami – stwierdził.

– Czy mam ci powiedzieć, dlaczego jesteście ścigani? – zapytała znowu.

– Nie. To wasze życie. Nasze ścieżki przecięły się tutaj, lecz za chwilę każde z nas podaży swoją drogą. Nie ma potrzeby, abyśmy się poznawali.

– Dlaczego? Czy boisz się, że mogłoby cię to obchodzić? Starannie rozważył to pytanie, dostrzegając gniew w jej oczach.

– Może. Jednak najbardziej lękam się słabości, która się z tym wiąże. Mam zadanie do wykonania i nie potrzebuję innych kłopotów. Nie, to nie tak – nie chcę żadnych innych kłopotów.

– Czy to nie samolubne?

– Oczywiście, że tak. Jednak pomaga przetrwać.

– A czy to takie ważne? – warknęła.

– Chyba tak, bo inaczej nie uciekalibyście.

– To jest ważne dla niego – powiedziała, wskazując na człowieka na łóżku. – Nie dla mnie.

– On nie zdoła uciec śmierci. A ponadto niektórzy mistycy twierdzą, że po śmierci trafimy do raju.

– On w to wierzy. Właśnie tego się boi.

Tenaka wolno potrząsnął głową i przetarł oczy.

– To trochę za dużo dla mnie – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Chyba pójdę już spać. – Podniósł koc, rozścielił go na podłodze i rozciągnął się na nim, opierając głowę na tobołku.

– Należysz do Smoka, prawda? – spytała Renya.

- Skąd wiesz? – zapytał, uniósłszy się na łokciu.
- Wywnioskowałam to ze sposobu, w jaki powiedziałeś „mój pokój”.
- Jesteś spostrzegawcza. – Położył się znowu i zamknął oczy.
- Mam na imię Renya.
- Dobranoc, Renya.
- Nie powiesz mi jak się nazywasz?

Zważywszy na sytuację, powinien odmówić.

- Tenaka Khan – powiedział. I zasnął.

Życie to farsa – pomyślał Scaler, wisząc czterdzieści stóp nad kamiennym dziedzińcem, uczepiony muru koniuszkami palców. Pod nim węszył ogromny potwór, kołysząc z boku na bok kudłatą głową, a szponiastymi paluchami obejmując rękojeść miecza o zębatym ostrzu. Zamieć gwałtownymi podmuchami wbijała lodowate płatki śniegu w oczy Scalera.

- Serdeczne dzięki – wyszeptał, spoglądając w kierunku ciemnych, brzemienych śniegiem chmur burzowych. Był człowiekiem religijnym. Bogów postrzegał jako zgrzybiałych Starców –

Nieśmiertelnych, nieustannie płatających ludzkości figle w kosmicznie złym guście.

Spojony schował swój miecz do pochwy i pokłusował w ciemność. Scaler odetchnął głęboko i podciągnąwszy się na parapet okna, wsunął się między ciężkie aksamitne zasłony. Znalazł się w niewielkim gabinecie, na którego umeblowanie składało się biurko, trzy dębowe krzesła, kilka komód oraz rząd regałów na książki i manuskrypty. Pokój był schludny – obsesyjnie schludny, zdaniem Scalera, który zauważył trzy pióra, równo ułożone na samym środku sekretarzyka.

Czegóż innego mógł się spodziewać po sędzim Siliusie.

Na przeciwległej ścianie wisiało srebrne lustro w mahoniowych ramach. Scaler podszedł do niego, wyprężył się i wyprostował ramiona. Czarna maska na twarzy, ciemna tunika i obcisłe spodnie nadawały mu groźny wygląd. Wyjął sztylet i przykucnął w pozie atakującego wojownika. Efekt mroził krew w żyłach.

Idealnie – powiedział do swego odbicia. – Nie chciałbym cię spotkać w ciemnej ulicy!

Wsunąwszy sztylet do pochwy, podszedł do drzwi gabinetu i ostrożnie nacisnął klamkę.

Za nimi znajdował się wąski kamienny korytarz z czworgiem drzwi – po parze na obu stronach. Scaler wybrał ostatnie po lewej i powoli sforsował żelazny zamek. Uchyliły się bezdźwięcznie. Wsunął się do środka i przytulił do ściany. W pokoju było ciepło, mimo iż polana w kominku jedynie się żarzyła, a słaby czerwony blask oświetlał zasłony wokół dużego łóża.

Scaler podszedł cicho, żeby spojrzeć na tłustego Siliusa i jego równie tłustą panią. On leżał na brzuchu, a ona na plecach; oboje chrapali.

Po co ja się skradam? – zapytał w duchu. – Mógłbym tu wmaszerować, przygrywając sobie na bębnie. Stłumiwszy chichot, odnalazł szkatułkę z kosztownościami w ukrytej pod oknem niszy, otworzył ją i przesyłał jej zawartość do Inianej sakiewki u pasa. Prawdziwa wartość biżuterii pozwoliłaby mu żyć w luksusie jakieś pięć lat. Sprzedana jednak z konieczności pokątnemu handlarzowi w północnej dzielnicy, zapewni mu utrzymanie na niewiele ponad trzy miesiące – no, może sześć, jeśli zaniecha hazardu. Rozważył tę możliwość, lecz wydała mu się nie do przyjęcia. Trzy miesiące, zdecydował.

Zawiązał sakiewkę, wycofał się w stronę drzwi, odwrócił się i...

Stał twarzą w twarz ze służącym, wysoką i chudą postacią w wełnianej nocnej koszuli.

Mężczyzna wrzasnął i uciekł.

Scaler też wrzasnął i uciekł. Gnając w dół spiralnymi schodami, wpadł na dwóch wartowników. Obaj z krzykiem runęli na ziemię. Scaler zwinnie przetoczył się po podłodze, wstał i ruszył dalej. Po prawej dostrzegł następne schody. Zbiegł po nich, skacząc po trzy stopnie na raz, a długie nogi niosły go z zatrważającą prędkością.

Dwukrotnie nieomal stracił równowagę, zanim dotarł na niższy poziom. Przed nim wyrosła żelazna krata – zamknięta, jednak tuż obok, na drewnianym kołku, wisiał klucz. Dolatujący zza niej odór przywrócił go do rzeczywistości i Scaler poczuł paniczny strach.

Stajnia Spojonych!

Za plecami słyszał tupot zbiegających po schodach wartowników. Zdjął klucz, otworzył

furtkę i wszedł do środka zamykając ją za sobą. Wszedł w ciemność, modląc się do Starców, by pozwolili mu przeżyć jeszcze kilka swoich dowcipów.

Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności korytarza, dostrzegł po obu jego stronach kilka nisz; wewnątrz, na słomie spały bestie Siliusa.

Idąc w stronę bramy, na przeciwległym końcu korytarza, ściągnął maskę z twarzy.

Był już prawie u celu, gdy rozległo się za nim dudnienie i stłumione głosy wartowników przerwały ciszę. Z jednego legowiska podniósł się Spojony i wbił swe krwistoczerwone oczy w Scalera; miał prawie siedem stóp wzrostu, szerokie bary i muskularne ramiona pokryte czarnym futrem. Przednia część jego czaszki była wydłużona i zakończona wyposażoną w ostre kły paszczą. Dudnienie nasilało się. Scaler głęboko wciągnął powietrze.

– Idź i zobacz co to za hałas – powiedział do bestii.

– Kto ty? – syknął stwór, zniekształcając słowa wywieszonym językiem.

– Nie stój tak – idź i zobacz czego chcą – ostrym głosem rozkazał Scaler.

Bestia ruszyła do przodu, a za nią podążyły inne, całkowicie ignorując Scalera. Podbiegł do wyjścia i wsunął klucz do zamka. Kiedy go przekręcił i furka otworzyła się na oścież, w głębi korytarza rozległ się nagły, dudniący ryk. Scaler odwrócił się i ujrzał, pędzących ku niemu wściekle wyjących Spojonych. Trzęsącymi się palcami wyciągnął klucz i skoczył na drugą stronę, po czym ponownie zatrzasnął furtę i zamknął ją na klucz.

Owiało go rześkie nocne powietrze, gdy zbiegał po schodach na zachodni dziedziniec i dalej w stronę zdobnego muru, na który wspiał się zwinnie, lądując na wykładanej kostką ulicy po drugiej stronie.

Było już po godzinie policyjnej, więc przez całą drogę do gospody trzymał się w cieniu.

Wspiał się po zewnętrznej kracie do swojego pokoju i ostro zastukał w okiennice.

Belder otworzył okno i pomógł mu wejść do środka.

– No i co? – zapytał stary żołnierz.

– Mam klejnoty – stwierdził Scaler.

– Doprowadzasz mnie do rozpaczyny – powiedział Belder. – Przez tyle lat starałem się zrobić z ciebie człowieka, a ty kim zostałeś? Złodziejem!

– Mam to we krwi – powiedział Scaler z szerokim uśmiechem. – Pamiętasz Księcia z Brązu?

– To Legenda – odparł Belder. – I nawet jeśli jest prawdziwa, to żaden z jego potomków nie prowadził niegodnego życia. Nawet ten nadiryjski pomiot Tenaka!

– Nie mów o nim źle – powiedział cicho Scaler. – Był moim przyjacielem.

Rozdział 2

Tenaka spał, śniąc powtarzające się, prześladowające go wizje.

Stepy rozstępowały się przed nim jak zielony, nieruchomy ocean ciągnący się aż po krańce świata. Jego rumak stanął dęba, gdy ściągnął mu rzemienne wodze, a potem pomknął na południe, bębniąc kopytami po stwardniałej glinie.

Tenaka uśmiechnął się, czując na twarzy suchy wiatr. Tutaj, tylko tutaj był naprawdę sobą.

Na pół Nadir, na pół Drenaj, w sumie wielkie nic – produkt wojny, ucieleśniony symbol kruchej pokoju. Współplemieńcy traktowali go z chłodną uprzejmością, przysługującą jednemu z potomków Ulryka. Nie darzyli go jednak przyjaźnią. Już dwukrotnie Drenajowie powstrzymali pochod plemion z północy. Raz, dawno temu, legendarny Książę z Brązu obronił Dros Delnoch przed hordami Ulryka. Dwadzieścia lat temu Legion Smoka zdziesiątkował wojska Jongira.

A oto Tenaka, żywe wspomnienie porażki.

Dlatego pozostał samotny, spełniając wszystkie wyznaczone mu zadania. Miecz, łuk, włócznia, topór – każdą z tych broni posługiwał się lepiej niż inni, ponieważ w czasie, gdy oni przerywali ćwiczenia, żeby oddać się zabawom dzieciństwa, on nieustannie ćwiczył. Słuchał

mędrców – którzy widzieli wojny i bitwy w innej perspektywie – a jego bystry umysł przyswajał ich nauki. Pewnego dnia zaakceptują go. Jeśli będzie cierpliwy.

Pojechał do rodzinnego obozowiska i zobaczył matkę stojącą u boku Jongira. Płakała.

Wiedział dlaczego.

Zeskoczył z siodła i skłonił się Khanowi, nie zauważając jej, tak jak nakazywał zwyczaj.

– Czas abyś wrócił do domu – powiedział Jongir. Nie odpowiedział, tylko skinął głową.

– Mają dla ciebie miejsce w wojskach Smoka. Masz do niego prawo jako syn Księcia. –

Khan najwidoczniej czuł się niezręcznie, gdyż nie odwzajemniał spokojnego spojrzenia Tenaki. –

No, powiedz coś! – fuknął.

– Niechaj będzie tak, jak sobie życzysz, panie.

– Nie prosisz, aby zostać?

– Jeśli tego chcesz.

– Niczego od ciebie nie chcę.

– Zatem kiedy mam wyjechać?

– Jutro. Otrzymasz eskortę – dwudziestu jeźdźców, jak przystoi mojemu wnukowi.

– To dla mnie zaszczyt, panie.

Khan skłonił głowę, spojrzał na Shillat i odszedł. Kobieta odsunęła połę namiotu i Tenaka wszedł do ich domu. Weszła za nim. Tenaka odwrócił się i wziął ją w ramiona.

– Och, Tani – szepnęła poprzez łyzy. – Co jeszcze cię czeka?

– Może w Dros Delnoch odnajdę prawdziwy dom – powiedział. Jednak nadzieja umarła w nim wraz z wypowiedzianymi słowami, nie był przecież głupcem.

Tenaka obudził się, słysząc szum burzy i łomot wichru w okiennice. Przeciągnął się i spojrzał na palenisko – ogień przygasł do żarzących się głowni. Dziewczyna spała na krześle, oddychając

głęboko. Usiadł, a potem przysunął się do kominka i dorzucił świeżego drewna, dmuchając przy tym lekko, by przywrócić życie płomykom. Spojrzał na starego mężczyznę: nie podobał mu się kolor jego skóry. Wzruszył ramionami i wyszedł z pomieszczenia. Na korytarzu panowało lodowate zimno, a pod stopami zaskrzypiały deski podłogi. Udał się do kuchni i podszedł do znajdującej się w niej studni z pompą. Ciężko było ją uruchomić, lecz z przyjemnością rozruszał kości i wkrótce jego trud został nagrodzony – woda popłynęła strumieniem do drewnianego wiadra. Zdjął ciemny kaftan oraz szarą wełnianą koszulę i umył górną połowę ciała.

Rozkoszował się graniczącą niemal z bólem przyjemnością, jaką sprawiała zimna woda, spływająca po rozgrzanej snem skórze.

Pozbywszy się reszty odzienia, Tenaka przeszedł do niewielkiej sali ćwiczeń. Obrócił się i podskoczył, po czym wylądował, lekko przecinając powietrze najpierw prawą, a potem lewą ręką. Pochylił się do ziemi, wygiął plecy w łuk, a następnie skoczył na równe nogi.

Przez otwór w drzwiach obserwowała go Renya, ukryta w cieniu korytarza. Stała zafascynowana. Poruszał się jak tancerz.

Miał jednak w sobie coś z barbarzyńcy, jakiś pierwotny żywioł, piękny, choć śmiertelnie groźny. Jego stopy i dłonie zamieniły się w broń, błyskawicznie rażącą niewidzialnego przeciwnika. Ale twarz pozostała surowa i wyzuta z wszelkich emocji.

Renya zadrżała, pragnąc ukryć się w sanktuarium jego pokoju, lecz nie mogła się poruszyć.

Jego miękka i ciepła skóra miała barwę rozświetlonego słońcem złota, lecz prężące się pod nią mięśnie nabrzmiewały jak srebrna stal. Zamknęła oczy i chwiejnie wycofała się, pragnąc, aby nigdy nie było jej dane go zobaczyć.

Tenaka obmył ciało z potu, a potem ubrał się szybko, ponieważ zaczął mu doskwierać głód.

Znalazłszy się na powrót w swej komnacie, wyczuł zmianę atmosfery. Renya siedziała przy boku starca i gładziła jego siwe włosy, unikając wyraźnie wzroku wojownika.

– Burza cichnie – powiedział Tenaka.

– Tak.

– Co się dzieje?

– Nic... oprócz tego, że Aulin nie oddycha prawidłowo. Jak myślisz, czy wyjdzie z tego?

Tenaka stanął obok niej przy łóżku starca. Ujął jego kruchy nadgarstek i poszukał pulsu. Był słaby i nieregularny.

– Kiedy ostatnio jadł? – zapytał.

– Dwa dni temu.

Pogrzebał w tobołku i wyjął z niego worek suszonego mięsa i drugi, mniejszy z owsem. –

Szkoda, że nie mam cukru – powiedział – ale to musi wystarczyć. Idź, przynieś trochę wody i kociołek do gotowania.

Renya wyszła bez słowa. Tenaka uśmiechnął się. A więc o to chodzi – widziała go w sali gimnastycznej i z jakiegoś powodu wyprowadziło ją to z równowagi. Potrząsnął głową.

Wróciła, niosąc żelazny kocioł pełen wody.

– Wylej połowę – rozkazał. Chlusnęła ją na korytarz, a on zaniósł garnek do paleniska, sztyletem pokroił mięso i wrzucił je do środka, po czym ostrożnie ustawił sagan nad ogniem.

– Dlaczego nie odezwałaś się do mnie rano? – zapytał odwrócony do niej plecami.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Kiedy widziałaś jak ćwiczę.

– Nie widziałam cię.

– Więc skąd wiedziałaś, gdzie znaleźć wodę i garnek? Nie przechodziłaś koło mnie w nocy.

– Kim jesteś, że uważasz, iż masz prawo mnie przepytować? – warknęła.

Odwrócił się. – Jestem obcy. Nie musisz przede mną udawać ani kłamać. Tylko przed przyjaciółmi potrzebujesz maski.

Siedziała przy kominku, wyciągając swe długie nogi w stronę ognia.

– Jakie to smutne – powiedziała cicho. – Przecież tylko wśród przyjaciół można czuć się swobodnie.

– Z obcymi jest łatwiej, gdyż dotykają twego życia tylko przez chwilę. Nie rozczarujesz ich, bo niczego im nie zawdzięczasz i niczego od ciebie nie oczekują. Przyjaciół łatwo zranić, bo oczekują od ciebie wszystkiego.

– Dziwnych miałaś przyjaciół – powiedziała.

Tenaka pomieszał rosół ostrzem sztyletu. Nagle poczuł się nieswojo. Wiedział, że nieoczekiwanie stracił kontrolę nad rozmową.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Wydawało mi się, że to cię nie interesuje.

– Dlaczego się nie odezwałaś?

Zmrużyła oczy i odwróciła głowę.

– Nie chciałam zakłócić twojej koncentracji.

Skłamała i oboje o tym wiedzieli, lecz mimo to napięcie zelżało, a milczenie zbliżyło ich do siebie. Na zewnątrz burza zamierała i jej niedawny ryk zmienił się w słaby skowyt.

Gdy gulasz zgęstniał, Tenaka wrzucił doń nieco owsa, zagęszczając go jeszcze bardziej, a na koniec wydobyl ze swych skromnych zapasów szczyptę soli.

– Pachnie nieźle – powiedziała Renya pochylając się nad ogniem. – Co to za mięso?

– Przeważnie wołowina – odparł.

Poszedł przynieść z kuchni kilka starych, drewnianych talerzy, a kiedy wrócił, Renya pomagała usiąść staremu, którego zdążyła obudzić.

– Jak się czujesz? – zapytał Tenaka.

– Jesteś wojownikiem? – zapytał Aulin ze strachem w oczach.

– Tak. Jednak nie musisz się mnie obawiać.

– Nadir?

– Mieszaniec. Ugotowałem dla ciebie gulasz.

– Nie jestem głodny.

– Mimo to zjedz – polecił Tenaka. Starzec znieruchomiał, słysząc rozkazujący ton, a potem odwrócił oczy i przytaknął skinieniem głowy. Renya karmiła go powoli, a wojownik siedział

przy ogniu. Było to marnowanie żywności, jako że stary człowiek i tak umierał. Jednakże Tenaka nie żałował tego marnotrawstwa, choć sam nie rozumiał dlaczego.

Po posiłku młoda kobieta zebrała talerze i garnek. – Mój dziadek chce z tobą porozmawiać – powiedziała i wyszła z pokoju.

Tenaka podszedł do łóżka i spojrzał w dół na umierającego. Szare oczy Aulina błyszczały z rosnącej gorączki.

– Nie jestem silny – powiedział starzec. – Nigdy nie byłem. Zawiodłem wszystkich, którzy mi zaufali. Oprócz Renyi... jej nigdy nie zawiodłem. Wierzysz mi?

– Tak – odpowiedział Tenaka. Dlaczego tak bywa, że ludzie słabi zawsze czują potrzebę zwierzeń?

– Czy zaopiekujesz się nią?

– Nie.

– Mogę zapłacić. – Aulin chwycił rękę Tenaki. – Zabierz ją tylko do Sousy. Miasto leży nie dalej niż pięć, sześć dni drogi na południe.

– Jesteś dla mnie nikim, nic ci nie jestem winien. Nie jesteś też w stanie wynagrodzić mnie wystarczająco dobrze.

– Renya mówi, że należałeś do wojsk Smoka. Gdzie twoje poczucie honoru?

– Pogrzebane w piaskach pustyni. Zagubione w wirujących otchłaniach czasu. Nie chcę z tobą rozmawiać, starcze. Nie masz mi nic do powiedzenia.

– Posłuchaj, proszę – błagał Aulin. – Kiedy byłem młody, zasiadałem w Radzie. Popierałem Ceskę, pracowałem na jego zwycięstwo. Wierzyłem w niego. Jestem więc przynajmniej czę-

ściowo odpowiedzialny za straszliwy terror, jaki panuje w tym kraju. Byłem kiedyś kapłanem Źródła. Moje życie upływało w harmonii. Teraz umieram i niczego już nie wiem na pewno. Nie mogę jednak pozwolić na to, by po mojej śmierci Renyę oddano Spojonym. Nie mogę.

Rozumiesz? Całe moje życie było porażką – moja śmierć musi czemuś posłużyć.

Tenaka uwolnił się z uchwytu starca i wstał.

– A teraz ty posłuchaj – powiedział. – Jestem tutaj, by zabić Ceskę. Nie oczekuję, iż przeżyję swój czyn. Nie mam więc ani czasu, ani chęci, by brać na siebie twoje zobowiązania. Jeżeli zależy ci, aby dziewczyna dotarła do Sousy, to wyzdrowiej. Użyj siły woli.

Nagle starzec uśmiechnął się. Wyglądało na to, że opuścił go strach i napięcie. – Zamierzasz zabić Ceskę? – wyszeptał. – Mogę ci zaproponować coś lepszego.

– Lepszego? Co może być lepsze?

– Obalić go. Zakończyć jego panowanie.

– Osiągnę to, zabijając go.

– Tak, to prawda, ale władzę po nim przejmie jeden z jego generałów. Mogę ci ofiarować tajemnicę, która zniszczy jego imperium i uwolni Drenajów.

– Jeśli ma to być opowiadanie o zaczarowanych mieczach lub tajemniczych zaklęciach, to nie trać czasu. Wszystkie już słyszałem.

– Nie. Obiecuj, że zaopiekujesz się Renyą aż do Sousy.

– Przemyszę to – powiedział Tenaka.

Ogień znowu przygaszał, więc podrzucił doń resztki drewna, zanim wyruszył na poszukiwanie dziewczyny. Znalazł ją, siedzącą w zimnej kuchni.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – powiedziała, nie podnosząc wzroku.

– Jeszcze jej nie zaproponowałem.

– Nie dbam o to, czy mnie zabiją, czy nie.

– Jesteś zbyt młoda na taką obojętność – powiedział klękając przed nią i unosząc jej podbródek. – Dopilnuję, abyś bezpiecznie dotarła do Sousy.

– Jesteś pewien, że on może ci wystarczająco dużo zapłacić?

– Mówi, że tak.

– Nie bardzo cię lubię, Tenako Khanie.

– Witaj wśród większości! – powiedział. Opuściwszy ją, powrócił do pokoju i starca. Nagle roześmiał się głośno i podszedł do okna, otwierając je szeroko na zimowy wiatr.

Przed nim rozpościerał się biały bezmiar lasów.

Za nim leżał martwy starzec.

Słyszac jego śmiech, Renya wróciła do pokoju. Ręka Aulina zsunęła się z łóżka, a jego kościste palce wskazywały teraz podłogę. Miał zamknięte oczy i spokojną twarz.

Podeszła do niego i delikatnie dotknęła jego policzka. – Koniec ucieczki, Aulinie. Koniec strachu. Niechaj twe Źródło przyjmie cię do siebie!

Zakryła mu twarz kocem.

– Na tym kończy się twoje zobowiązanie – powiedziała cicho do Tenaki.

– Jeszcze nie – odparł i przyciągnął do siebie okiennicę. – Powiedział mi, że wie, jak położyć kres panowaniu Ceski. Czy wiesz, co miał na myśli?

– Nie. – Odwróciła się od niego i podniosła płaszcz, czując nagłą pustkę w sercu. Nagle znieruchomiała i płaszcz wysunął jej się z rąk. Wpatrując się w dogasający ogień, potrząsnęła głową. Rzeczywistość straciła znaczenie. Jaki sens żyć dalej?

Żadnego.

Na czym mogło jej teraz zależeć?

Na niczym.

Uklękała przy ogniu i utkwiała w nim nieruchome spojrzenie, a pustkę w jej sercu wypełnił

przejmujący ból. Życie Aulina było nieprzerwanym pasmem drobnych uprzejmości, czułości i troski. Nigdy nie był świadomie okrutny czy złośliwy, nigdy skąpy. A zakończył życie w opuszczonych koszarach, ścigany jak przestępca, zdradzony przez przyjaciół i opuszczony przez boga.

Tenaka obserwował ją, jednak w jego fiołkowych oczach nie zabłysła nawet iskierka współczucia. Przywykł do śmierci. Cicho spakował swój ekwipunek do płóciennego worka, postawił dziewczynę na nogi, zapiął jej płaszcz i popchnął łagodnie w stronę wyjścia.

– Poczekaj tutaj – powiedział. Podeszedłszy do łóżka, zerwał z ciała koc. Oczy starca otworzyły się i zdawały się wpatrywać w wojownika.

– Śpij spokojnie – szepnął Tenaka. – Zaopiekuję się nią. Zamknął oczy zmarłemu i zwinął koc.

Na zewnątrz owiało ich rześkie powietrze. Wiatr ucichł i na czystym niebie pojawił się słaby krąg słońca. Tenaka wziął powoli głęboki oddech.

– To już koniec – szepnęła Renya. Mężczyzna obejrzał się. Ze szpaleru drzew wyszli czterej wojownicy i zbliżali się do nich z mieczami w dłoniach.

– Zostaw mnie – powiedziała.

– Bądź cicho.

Zdjął tobolek, rzucając go w śnieg, a potem uwolnił się z płaszcza, odsłaniając pochwę miecza i myśliwski nóż. Zrobił dziesięć kroków do przodu i przystanął, wyczekująco mierząc wzrokiem każdego z wojowników.

Mieli na sobie czerwonobrazowe napierśniki żołnierzy z Delnoch.

– Czego szukacie? – zapytał Tenaka, gdy tamci podeszli bliżej.

Żaden z żołnierzy nie odezwał się, co oznaczało że są weteranami. Zamiast tego rozsunęli nieco szyk – gotowi na atak ze strony przeciwnika.

– Mówcie, bo inaczej wasz władca otrzyma wasze głowy! – powiedział Tenaka. Przystanęli, zerkając na wojownika o ostrych rysach, stojącego po lewej. Ten wystąpił, a jego zimne oczy błysnęły złowrogo.

– Od kiedy to dzikus z północy czyni obietnice w imieniu władcy? – syknął.

Tenaka uśmiechnął się. Teraz wszyscy stali, czekając na odpowiedź – stracili impet.

– Może powinienem wytłumaczyć – odrzekł, nie przestając się uśmiechać i podchodząc do żołnierza.

– Chodzi o to, że... – Jego ręka strzeliła w przód i w górę, a wyprostowane palce zmiądzły nos przeciwnika. Cienka chrząstka wbiła się w mózg i uderzony padł bez jęku.

Wtedy Tenaka obrócił się i wyskoczył w powietrze, a jego obuta w ciężki but stopa wylądowała na szyi drugiego żołnierza. Skacząc w górę, wyciągnął nóż z pochwy. Wylądował na lekko ugiętych nogach, okręcił się, odparował pchnięcie i zatopił ostrze w szyi przeciwnika.

Czwarty żołnierz biegł z uniesionym mieczem w stronę Renyi. Stała nieruchomo, przyglądając mu się bez zainteresowania.

Tenaka cisnął w niego nożem, który uderzył rękojeścią w kark tamtego, tuż pod okapem hełmu. Żołnierz stracił równowagę i runął w śnieg, wypuszczając miecz z rąk. Mieszaniec podbiegł do niego w momencie, gdy tamten próbował wstać. Rzucił mu się na plecy i ponownie przygwoździł do ziemi. Hełm spadł z głowy żołnierza. Tenaka złapał go za włosy, odciągnął w tył głowę, a potem chwycił go za podbródek i przekręcił gwałtownie w lewo. Kręgi szyjne trzasnęły jak suche drewno.

Odszukawszy nóż, Tenaka otarł go i włożył do pochwy. Przepatrzył dokładnie prześwit między drzewami. Wokoło panowała cisza.

– My Nadirowie – szepnął zamykając oczy.

– Idziemy? – zapytała Renya.

Zdumiony ujął ją pod ramię i spojrzał w dół w jej oczy.

– Co z tobą? Czy chcesz umrzeć?

– Nie – odpowiedziała z roztargnieniem.

– A więc dlaczego się nie broniłaś?

– Nie wiem. Idziemy?

W jej ciemnych jak noc oczach wezbrały i wypłynęły na policzki łzy, lecz jej blada twarz pozostała beznamiętna. Podniósł rękę i starł jedną z nich.

– Nie dotykaj mnie, proszę – szepnęła.

– Posłuchaj. Ten starzec chciał, żebyś żyła, zależało mu na tobie.

– To nie ma już znaczenia.

– Dla niego miało.

– A dla ciebie? – Pytanie uderzyło go jak cios obuchem. Przyjął je i prędko poszukał w sercu właściwej odpowiedzi.

– Tak, ma to dla mnie znaczenie. – Kłamstwo przyszło mu z łatwością i dopiero gdy je wypowiedział, pojął, że wcale nie skłamał.

Spojrzała mu głęboko w oczy i skinęła głową.

– Pójdę z tobą – powiedziała. – Jednak wiedz jedno: jestem przekleństwem dla wszystkich, którzy mnie kochają. Prześladowuje mnie śmierć, nigdy bowiem nie powinnam była zaznać życia.

– Śmierć prześladowuje każdego z nas i nigdy nie ustaje – powiedział.

Poszli razem na południe, przystając przy kamiennym smoku. Marznący deszcz przylgął do jego boków, nadając im diamentowy poblask. Oddech uwiązał w krtani Tenaki, gdy zajrzał w pysk smoka – spływająca po zniszczonych kłach górnej szczęki woda utworzyła nowe zęby z lśniącego lodu, przydając jej wspaniałości, przywracając moc.

Skinął głową, jakby odebrał jakąś poufną wiadomość.

– Jest piękny – powiedziała Renya.

– Więcej niż piękny – odparł cicho Tenaka. – Jest żywy.

– Żywy?

– Tak, tutaj – odpowiedział, dotykając serca. – Wita mnie w domu.

Przez cały długi dzień podążali na południe. Tenaka mówił niewiele, koncentrując się na wyszukiwaniu zasypanej śniegiem drogi i czujnie wypatrując patroli. Nie wiedział, czy ci czterej żołnierze stanowili cały oddział pościgowy, czy też byli jedną z wielu wysłanych za dziewczyną grup.

Nie dbał o to, choć sam się sobie dziwił. Narzucił szybkie tempo marszu, oglądając się rzadko, żeby zobaczyć, czy Renya nadąza. Zawsze jednak kiedy przystawał dla sprawdzenia nieba lub kiedy się rozglądał po otwartym terenie, była tuż za nim.

Młoda kobieta podążała za nim cicho, ze wzrokiem wbitym w jego plecy, dostrzegając pewność jego ruchów i ostrożność, z jaką wybierał marszrutę. W myślach wciąż na nowo powracały do niej dwa obrazy: taniec w opuszczonej sali gimnastycznej i taniec śmierci z żołnierzami na śniegu. Obrazy nakładały się na siebie... zlewały. Ten sam taniec. Gładkie, prawie płynne ruchy, wyskok w górę i obrót. W porównaniu z nim żołnierze wydawali się nieruchawi i niezdarni jak lentryjskie kukły na splątanym sznurku.

A teraz nie żyli. Czy mieli rodziny? Prawdopodobnie. Czy kochali swoje dzieci? Zapewne.

Weszli na polankę jako pewni siebie ludzie. A jednak w ciągu kilku lodowatych chwil przestali istnieć.

Dlaczego?

Ponieważ ruszyli w tany z Tenaką Khanem.

Zadrzała. Zmierzchało i spośród drzew wypełzły długie cienie.

Tenaka wybrał na ognisko miejsce pod wystającą skałą, osłonięte od wiatru. Lekko nieckowaty teren, otoczony karłowatymi dębami, dobrze ochraniał ogień. Renya przyłączyła się do wojownika, zbierając suche gałęzie i pieczołowicie układając je w stos. Ogarnęło ją poczucie nierzeczywistości.

Cały świat powinien być właśnie taki, pomyślała, pokryty lodem i oczyszczony: uśpione rośliny wyczekujące na złocistą doskonałość wiosny, całe zło ginące pod oczyszczającym lodem.

Ceska i jego splodzone przez czarty legiony rozpląnęłyby się jak koszmary z dzieciństwa, a do Drenajów powróciłyby radość jak dar zorzy porannej.

Tenaka wyjął ze swego tobołka kociołek, umieścił go nad ogniem i garściami zaczął wrzucać doń śnieg, aż zappełnił go do połowy podgrzewającą się wodą. Potem z małego płóciennego worka wsypał do niej sporą garść owsa i odrobinę soli. Renya obserwowała go w milczeniu, zatrzymując spojrzenie na jego skośnych, fiołkowych oczach. Siedząc z nim przy ogniu, znowu odczuwała spokój.

– Z jakiego powodu jesteś tutaj? – zapytała.

– Żeby zabić Ceskę – odpowiedział, mieszając owsiankę drewnianą łyżką.

– Dlaczego tutaj jesteś? – powtórzyła.

Minęło kilka chwil, wiedziała jednak, że nie ignoruje jej pytania i czekała, ciesząc się ciepłem i jego bliskością.

– Nie mam dokąd pójść. Moi przyjaciele nie żyją. Moja żona... nic mi nie zostało. Prawda jest taka, że nigdy... niczego nie miałem.

– Miałeś przyjaciół... żonę.

– Tak. Trudno to wytłumaczyć. Był kiedyś w Ventrii pewien mędrzec. Mieszkał w pobliżu.

Wielokrotnie rozmawialiśmy o życiu, o miłości i przyjaźni. Łajał mnie często, gniewał.

Opowiadał o diamentach w glinie. – Tenaka potrząsnął głową i zamilkł.

– Diamentach w glinie? – zapytała.

– Nieważne. Opowiedz mi o Aulinie.

– Nie wiem, co miał zamiar ci powiedzieć.

– Wierzę ci – opowiedz mi tylko o nim.

Za pomocą dwóch kijków zdjął kociołek z ognia i położył na ziemi, żeby ostygł. Ona pochyliła się do przodu i rzuciła w płomienie kilka nowych gałązek.

– Był spokojnym człowiekiem, kapłanem Źródła. Był również Poszukiwaczem i niczego nie lubił bardziej, niż przemierzać kraj w poszukiwaniu pozostałości po Starszych. Zdobył nawet sławę w tej dziedzinie. Powiedział mi, że gdy Ceska doszedł do władzy, w pierwszej chwili poparł go, uwierzył we wszystkie jego obietnice lepszej przyszłości. Potem zaczął się terror. I Spojeni...

– Ceska zawsze uwielbiał czary – powiedział Tenaka.

– Znałeś go?

– Tak. Mów dalej.

– Aulin był jednym z pierwszych, którzy zbadali Graven. Odnalazł drzwi ukryte pod lasem oraz znajdujące się tam maszyny. Opowiadał, że jego badania dowiodły, iż maszyny te stworzono po to, by pomagały leczyć choroby, na które cierpieli Starsi. Zamiast jednak wykorzystać je w tym samym celu, powolnie Cesce uczeni użyli ich do stworzenia Spojonych. Początkowo przeznaczano ich tylko na areny, gdzie rozrywali się wzajemnie na strzępy, dostarczając rozrywki gawiedzi; wkrótce jednak zaczęli się pojawiać na ulicach Drenanu, odziani w zbroje i liberie wartowników Ceski. Aulin obwiniał o to siebie – kontynuowała – i pojechał do Delnoch pod pretekstem zbadania Izby Światła, znajdującej się w podziemiach twierdzy. Tam przekupił

strażnika i próbował uciec przez ziemie Sathuli. Rozpoczął się już jednak pościg i musieliśmy skierować się na południe.

– A jakie jest twoje miejsce w tej historii? – zapytał.

– Nie pytałeś o mnie, tylko o Aulina.

– W takim razie teraz pytam.

– Czy mogę dostać trochę owsianki?

Przytaknął, sprawdził temperaturę garnka i podał go jej. Zjadła w milczeniu, po czym oddała mu naczynie. Skończywszy posiłek, wojownik oparł się o zimną skałę.

– Otacza cię tajemnica, pani. Nie będę próbował jej zgłębić. Świat byłby smutnym miejscem bez tajemnic.

– Świat jest smutnym miejscem – powiedziała – pełnym śmierci i przerażenia. Dlaczego szatan jest o tyle silniejszy od miłości?

– A kto mówi, że jest? – odpowiedział.

– Nie żyłeś wśród Drenajów. Ludzie tacy jak Aulin są tutaj ścigani jak kryminaliści, a farmerzy zabijani za niedostarczenie jakichś absurdalnie wysokich kontyngentów zboża. Areny zapełniają się

wyjęciami tłumami, które śmieją się, gdy dzikie bestie rozszarpują kobiety i dzieci.

To jest straszne!

– To minie – powiedział łagodnie. – A teraz czas spać. – Wyciągnął do niej rękę, na co ona szarpnęła się do tyłu, z przerażeniem w oczach. – Nie skrzywdzę cię, ale musimy pozwolić, by ognisko wygasło. Ogrzejemy się tylko nawzajem, nic więcej. Zaufaj mi.

– Mogę spać sama – powiedziała.

– Jak chcesz. – Rozwinął koc i podał go jej, sam owijając się płaszczem. Usiadł, opierając głowę o skałę i zamknął oczy.

Gdy ognisko zgasło, ciało Renyi zaczął przenikać nocny chłód. Obudziła się, nie mogąc opanować drżenia. Usiadła i zaczęła rozcierać odrętwiałe nogi.

Tenaka otworzył oczy i wyciągnął do niej rękę. – Chodź – powiedział.

Przysunęła się do niego. Mężczyzna rozchylił płaszcz i owinał go wokół jej ramion, przyciągając ją do swej piersi i okrywając ich oboje. Wtuliła się w niego, wciąż drżąca.

– O-o-po-wiedz mi o dia-diaamentach w glinie – poprosiła.

Uśmiechnął się. – Ten mędrzec nazywał się Kias. Powiedział, że zbyt wielu ludzi przechodzi przez życie, nie umiejąc cieszyć się tym co mają i opowiedział mi o człowieku, który dostał od przyjaciela gliniany dzban. „Zajrzyj do niego, kiedy będziesz miał wolną chwilę” – powiedział

przyjaciel. Lecz był to tylko zwykły gliniany dzban i człowiek ten odłożył go i nadal spędzał

życie, uganiając się wciąż za bogactwem. Pewnego dnia, kiedy był już stary, sięgnął po dzban i otworzył go. Wewnątrz znalazł ogromny diament.

– Nie rozumiem.

– Kias twierdził, że życie to taki gliniany dzban. Dopóki nie zbadamy i nie zrozumiemy go, nie potrafimy się nim cieszyć.

– Czasami zrozumienie okrada cię z radości – szepnęła.

Nie odpowiedział, przenosząc spojrzenie na ciemne niebo i odległe gwiazdy. Renya zapadła w głęboki sen bez snów. Głowa opadła jej do przodu, a okrywający jej krótko ostrzyżoną czuprynę burnus zsunął się na oczy. Tenaka sięgnął ręką, żeby go poprawić i znieruchomiał, gdy jego dłoń dotknęła jej głowy. Włosy nie były krótko przystrzyżone – wyrosły tak długie jak tylko mogły, ponieważ to nie były włosy, lecz ciemne, miękkie jak u sobola futro. Delikatnie nasunął

burnus na miejsce i zamknął oczy.

Dziewczyna to Spojona, stworzona za pomocą starożytnych machin, była pół człowiekiem i pół zwierzęciem. Nic dziwnego, że nie dbała o życie.

Zastanawiał się, czy na takich jak ona też czekają ukryte gdzieś w glinie diamenty.

Rozdział 3

W pobliżu baraków Smoka jakiś człowiek przedzierał się przez ścianę krzaków, otaczających plac defiladowy. Był potężnego wzrostu, miał szerokie ramiona, smukłe uda i długie nogi.

Odziany był w czarny strój i niósł hebanową pałkę okutą żelazem. Głowę mężczyzny zakrywał

kaptur, a twarz kryła skórzana, dobrze dopasowana maska. Poruszał się lekko – płynnym, sprężystym krokiem atlety – szedł jednak ostrożnie, a jego jasnoblękitne oczy uważnie omiatały każdy krzew i cień drzewa.

Zobaczywszy ciała, okrążył je powoli, odczytując ze śladów historię krótkiej bitwy.

Jeden przeciw czterem.

Trzej pierwsi zginęli prawie natychmiast, co świadczyło o szybkości przeciwnika. Czwarty przebiegł obok samotnego wojownika. Wysoki mężczyzna poszedł jego śladem i pokiwał głową.

A więc to tak. Tu tkwiła tajemnica. Samotny wojownik nie był sam – miał towarzysza, który nie brał udziału w walce. Ślady stóp były niewielkie, ale krok długi. Kobieta?

Tak, kobieta. Wysoka kobieta.

Obejrzał się na miejsce, gdzie leżały ciała.

– Dobra robota – powiedział głośno, głosem stłumionym przez maskę. – Diabelnie dobra robota. – Jeden przeciw czterem. Niewielu przeżyłoby takie spotkanie, a ten nie tylko przetrwał, ale bez trudu wygrał walkę.

Ringar? Był szybki jak błyskawica i miał niesamowity refleks. Jednak rzadko ryzykował cios w szyję, wybierając częściej dolną część tułowia: cięcie rozpruwające brzuch.

Argonin? Nie, ten nie żyje. Dziwne jak można zapomnieć o czymś takim.

W takim razie kto? Nieznajomy? Nie. W świecie, gdzie umiejętność obchodzenia się z bronią miała fundamentalne znaczenie, niewielu było nieznanym o tak zadziwiających talentach.

Jeszcze raz przestudiował ślady, wyobrażając sobie walkę, i wreszcie dostrzegł pośrodku rozmazany odcisk stopy. Wojownik wyskoczył w górę i obrócił się w powietrzu jak w tańcu, zanim zadał śmiertelny cios.

Tenaka Khan!

Ta myśl uderzyła olbrzymia jak cios w samo serce. Jego oczy rozbłysły dziwnym blaskiem, a pierś unosiła się w nierównym oddechu.

Ze wszystkich ludzi na świecie, których nienawidził, Tenaka zajmował pierwsze miejsce.

Czy naprawdę? Odprężył się i przywołał wspomnienia, jakby posypywał solą żywą ranę.

– Powinienem być cię wtedy zabić – powiedział. – Nie spotkałoby mnie wówczas to wszystko.

Wyobraził sobie umierającego Tenakę, jego krew wsiąkającą w śnieg. Ten obraz nie sprawił mu spodziewanej przyjemności, wciąż jednak pragnął go urzeczywistnić.

– Zapłacisz mi za to – powiedział. I ruszył na południe.

Drugiego dnia Tenaka i Renya uszli spory kawałek drogi – nie widząc nikogo, ani nie napotykając żadnych śladów ludzi. Wiatr ucichł, a czyste powietrze niesło obietnicę wiosny.

Tenaka pozostał milczący przez większość dnia, a Renya nie zmuszała go do rozmowy.

Tuż przed zmierzchem, gdy schodzili w dół stromego zbocza, Renya potknęła się i runęła w dół, staczając się aż do stóp wzgórza i uderzając głową o wystający korzeń karłowatego drzewa.

Tenaka podbiegł do niej, ściągnął burnus i zaczął badać otwartą ranę na jej skroni. Nagle otworzyła oczy.

– Nie dotykaj mnie – krzyknęła i wczepiła się w jego rękę.

Odsunął się i podał jej wełniany burnus.

– Nie lubię być dotykana – powiedziała przepraszająco.

– Nie będę więc tego robił – odpowiedział. – Powinnaś jednak zabandażować tę ranę.

Spróbowała wstać, lecz świat zawirował wokół niej i upadła na śnieg. Tenaka nie zrobił nic, żeby jej pomóc. Rozejrzawszy się za miejscem na popas, wybrał polankę, oddaloną o około trzydzieści stóp na lewo; drzewa osłaniały ją od wiatru, a zwisające gałęzie chroniły od śniegu.

Skierował się tam, zbierając po drodze chrust. Renya patrzyła za nim i znów spróbowała wstać, poczuła jednak mdłości, a jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. W głowie rytmicznie pulsował

dudniący ból, śląc fale ogarniających całe ciało mdłości. Spróbowała się czołgać.

– Nie... potrzebuję cię – wyszeptała.

Tenaka rozniecił ognisko, dmuchając w hubkę, aż wątle płomyki zadrżały nad śniegiem.

Dorzucił kilka szczapek, a potem większe gałęzie. Kiedy ogień dobrze się rozpałił, wrócił do

dziewczyny, pochylił się i podniósł jej bezwładne ciało. Ułożył ją przy ogniu, potem wspiął się na pobliską jodłę i krótkim sztykletem ściał kilka zielonych gałęzi. Umościł z nich łożę, na które przeniósł dziewczynę i okrył ją kocem. Zbadał ranę – o ile mógł to stwierdzić, kość była cała, ale wokół guza wielkości jaja tworzył się paskudny siniec.

Pogładził ją po twarzy, podziwiając miękkość skóry i gładkość szyi. – Nie skrzywdzę cię, Renya – powiedział. – Mimo tego czym jestem, mimo wszystkich uczynków, których się wstydzę, nigdy nie skrzywdziłem kobiety. Ani dziecka. Jesteś przy mnie bezpieczna... Twoja tajemnica jest przy mnie bezpieczna. – Widzisz – mówił dalej -ja wiem jak to jest. Ja także jestem zawieszony między dwoma światami – pół-Nadir, pół-Drenaj, razem nikt. Ty jesteś w gorszej sytuacji. Ale jestem z tobą. Uwierz mi.

Powrócił do ogniska, pragnąc powtórzyć jej to samo, gdy będzie miała otwarte oczy, wiedząc jednak, że nigdy tego nie zrobi. W całym swoim życiu otworzył serce przed jedną tylko kobietą: Illae.

Piękna Illae, panna młoda, którą kupił na ventryjskim targu. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Dał dwa tysiące sztuk srebra i zabrał ją do domu tylko po to, aby się przekonać, że nie chce dzielić z nim łoża.

– Dość tych bzdur – grzmiał wtedy. – Jesteś moja. Duszą i ciałem! Kupiłem cię!

– Kupiłeś tylko ciało – odparowała. – Jeżeli mnie dotkniesz, zabiję się. I ciebie również.

– Rozczarujesz się, jeśli spróbujesz to zrobić w tej kolejności – powiedział.

– Nie naśmiewaj się ze mnie, ty barbarzyńco!

– Bardzo dobrze. Co mam w takim razie zrobić? Odsprzedać cię w Ventrii?

– Ożeń się ze mną.

– I wtedy, zakładam, będziesz mnie kochać i ubóstwiać?

– Nie. Ale będę z tobą spać i postaram się być dobrą towarzyszką.

– Cóż, to propozycja nie do odrzucenia. Niewolnica, która ofiaruje swemu panu to, za co już zapłacił, i to za o wiele wyższą cenę. Dlaczego mam się zgodzić?

– A dlaczego nie?

Pobrali się dwa tygodnie później, a dziesięć lat wspólnego życia przyniosło mu wiele radości.

Wiedział, że ona go nie kocha, ale to nie miało znaczenia. Nie chciał być kochany, sam chciał

kochać. Od początku dostrzegła w nim tę potrzebę i bezlitośnie ją wykorzystywała. Nigdy nie dał

jej odczuć, że rozumie zasady tej gry, cieszył się, że sprawiała mu przyjemność. Mędrzec Kias

próbował go przestrzec.

– Dajesz jej z siebie zbyt dużo, przyjacielu. Ubierasz ją w swoje myśli, swoje nadzieje, swoją duszę. A jeśli cię zostawi albo zdradzi, cóż ci zostanie?

– Nic – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Jesteś głupcem, Tenaka. Mam nadzieję, że zostanie przy tobie.

– Zostanie.

Był tego pewien. Jednak w swych rachubach nie przewidział śmierci.

Tenaka zadrżał i ciaśniej owinął się płaszczem, gdy zerwał się wiatr.

Zabierze tę dziewczynę do Sousy, a potem pójdzie prosto do Drenanu. Nietrudno będzie znaleźć Ceskę i zabić go. Nikt nie zdoła się tak zabezpieczyć, żeby nie można było go zabić. Nie wtedy, gdy zabójca jest gotowy na wszystko.

Pragnął śmierci, tęsknił do tej ponurej nicości, która wchłonęłaby jego ból.

Do tego czasu Ceska powinien wiedzieć już o jego nadejściu. List, który do niego wysłał

drogą morską do Mashrapur, a potem na północny wschód do Drenanu, miał dotrzeć w ciągu miesiąca.

– Mam nadzieję, że śnisz o mnie, Ceska. Mam nadzieję, że nawiedzam twoje koszmary.

– Nic nie wiem o jego koszmarach – powiedział stłumiony głos. – Nawiedzasz jednak moje.

Tenaka zerwał się na równe nogi, a w jego ręku błysnął miecz. Przed nim stał olbrzym w czarnej masce.

– Przyszedłem, żeby cię zabić – powiedział, dobywając drugiego miecza.

Tenaka odsunął się od ognia, obserwując tamtego. Jego umysł nabrał jasności, a ciało płynnie przyjęło obronną postawę.

Olbrzym zakręcił mieczem młynka i szeroko rozłożył ramiona, aby utrzymać równowagę.

Tenaka zamrugał oczami, jakby poraził go widok przeciwnika.

– Ananais? – spytał.

Miecz olbrzyma świsnął w kierunku jego szyi, lecz Tenaka zablokował cios i odskoczył.

– Ananais, to ty? – powtórzył.

Tamten stał przez chwilę bez słowa. – Tak – powiedział w końcu. – To ja. A teraz broń się!

Tenaka schował miecz do pochwy i podszedł bliżej. – Nie mógłbym z tobą walczyć – powiedział. – Nie rozumiem też, dlaczego miałbyś pragnąć mojej śmierci.

Ananais skoczył w przód i jednym ciosem ogromnej pięści powalił Tenakę, który upadł w śnieg. – Dlaczego? – krzyknął. – Ty nie wiesz dlaczego? Spójrz na mnie!

Jednym szarpnięciem zerwał z twarzy maskę i w migotliwym świetle Tenaka zobaczył żywy koszmar. Tamten nie miał twarzy, tylko poszarpane, pokryte bliznami resztki rysów. Nie było nosa i górnej wargi, a otaczająca je skóra poprzecinana była białymi i czerwonymi bliznami.

Jedynie błękitne oczy i mocno skręcone blond włosy dowodziły, iż wciąż jest człowiekiem.

– O dobry bogowie światła! – wyszeptał Tenaka. – Ja tego nie zrobiłem... nie wiedziałem o tym.

Ananais powoli podszedł i dotknął szyi Tenaki końcem miecza.

– Kamyk, który pociągnął za sobą lawinę – powiedział enigmatycznie olbrzym. – Wiesz, o czym mówię.

Tenaka podniósł rękę i powoli odsunął ostrze miecza.

– Będziesz musiał mi o tym opowiedzieć, przyjacielu – powiedział siadając.

– Do diabła z tobą! – krzyknął Ananais upuszczając miecz i stawiając Tenakę na nogi.

Pociągnął go do siebie tak blisko, że ich twarze prawie się zetknęły. – Spójrz na mnie!

Tenaka poważnie spojrzał w lodowato błękitne oczy, wyczuwając czające się w nich szaleństwo. Jego życie wisiało na włosku.

– Powiedz mi, co się stało – powiedział cicho. – Nie uciekam. Jeżeli zechcesz mnie zabić, stanie się wedle twojej woli. Przedtem jednak powiedz mi.

Ananais puścił go i odwrócił się do niego plecami, rozglądając się za maską. W tej chwili Tenaka zrozumiał, czego tamten od niego oczekuje. Ogarnął go smutek.

– Nie mogę cię zabić – powiedział.

Olbrzym odwrócił się znowu, z jego oczu płynęły łzy.

– Och, Tani, zobacz co ze mną zrobili! – powiedział załamującym się głosem. Osunął się na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Tenaka ukląkł obok niego na śniegu i objął go. Olbrzym załkał, jego piersią wstrząsał głośny i bolesny szloch. Książę Nadirów głaskał go po plecach jakby był

dzieckiem, a jego ból odczuwał jak swój własny.

Ananais przyszedł tutaj nie po to, by go zabić, lecz po to, by zginać z jego ręki. Domyślał się, dlaczego olbrzym go obwiniał. Tego dnia, gdy nadszedł rozkaz rozpuszczenia Smoka, Ananais zebrał ludzi gotowych pomaszerować na Drenan i obalić Ceskę. Tenaka oraz gan oddziału, Baris, udaremnił ten zamiar przypominając ludziom, że całe życie walczyli o demokrację. W ten sposób rewolucja zakończyła się, zanim się naprawdę zaczęła.

A teraz Smok został zniszczony, ziemia leżała w ruinie, a wśród Drenajów panował terror.

Ananais miał rację.

Renya obserwowała scenę w milczeniu aż szlochanie ustało. Potem wstała i podeszła do mężczyzny, zatrzymując się po drodze, by dorzucić drew do ognia. Ananais podniósł wzrok, zobaczył ją i pospiesznie sięgnął po maskę.

Uklękła przy nim i delikatnie dotknęła rąk, przytrzymujących maskę. Objęła palcami jego dłonie i zdjęła ją, nie odrywając spojrzenia od jego oczu.

Gdy ukazała się jego zniekształcona twarz, Ananais zamknął oczy i pochylił głowę. Renya również się pochyliła i pocałowała go w czoło, a potem w pokryty bliznami policzek. Podniósł

wzrok.

– Dlaczego? – szepnął.

– Wszyscy mamy blizny – powiedziała. – O wiele lepiej, jeśli można je nosić na zewnątrz. –

Wstała i poszła w stronę swego posłania.

– Kim ona jest? – zapytał Ananais.

– Ściga ją Ceska – odpowiedział mu Tenaka.

– Jak nas wszystkich – skomentował olbrzym, nakładając maskę.

– Tak, jednak my sprawimy mu niespodziankę – powiedział Tenaka.

– To byłoby miłe.

– Zaufaj mi, przyjacielu. Mam zamiar go zniszczyć.

– Sam?

Tenaka uśmiechnął się szeroko. – Czy wciąż jestem sam?

– Nie! Masz jakiś plan?

- Jeszcze nie.
 - Dobrze. Sądzę, że we dwójkę moglibyśmy otoczyć Drenan!
 - Może tak się stanie! Ilu ludzi Smoka jeszcze żyje?
 - Niewielu. Większość stawiała się na rozkaz. Ja także zrobiłbym to, gdyby wezwanie dotarło do mnie w porę. Żyje jeszcze Decado.
 - To dobra wiadomość – powiedział Tenaka.
 - Niekoniecznie. Został mnichem.
 - Mnichem? Decado? Przecież to urodzony zabójca.
 - Już nie. Myślisz o zebraniu wojska?
 - Nie, to nie miałoby sensu przeciwko Spojonym. Są zbyt silni, zbyt szybcy – zbyt wszystko.
 - Można ich pokonać – powiedział Ananais.
 - Nie za pomocą ludzi.
 - Ja pokonałem jednego. -Ty?
 - Tak. Po rozpuszczeniu oddziału zająłem się rolnictwem. Nie wychodziło mi. Miałem ogromne długi, a Ceska otworzył areny, więc zostałem gladiatorem. Liczyłem na to, że jakieś trzy walki pozwolą mi uregulować moje rachunki. Ale spodobało mi się to życie, wiesz?
- Walczyłem pod przybranym nazwiskiem, aż Ceska dowiedział się, kim jestem. Przynajmniej tak sądzą. Pewnego razu miałem walczyć z człowiekiem o imieniu Treus, lecz kiedy brama otworzyła się, przede mną stanął Spojony. Bogowie – musiał mieć z osiem stóp wzrostu.
- Pokonałem go jednak. Na wszystkie demony piekieł, pokonałem go!
- Jak?
 - Dałem mu podejść blisko, żeby nabrał przekonania, że zwyciężył. A potem rozplątałem go nożem.
 - To było straszne ryzyko – powiedział Tenaka.
 - Tak.
 - Ale udało ci się?
 - Niezupełnie – odpowiedział Ananais. – Poszarpał mi twarz.
 - Naprawdę sądziłem, że będę mógł cię zabić, wiesz? – powiedział Ananais, gdy usiedli razem przy

ogniu. – Naprawdę w to wierzyłem. Nienawidziłem cię. Im częściej widziałem cierpienie ludzi, tym częściej myślałem o tobie. Czuję się oszukany – jakby wszystko, dla czego żyłem, zostało zniszczone. A kiedy ten Spojony... kiedy zostałem ranny... straciłem głowę.

Straciłem odwagę. Wszystko.

Tenaka siedział w milczeniu, z ciężkim sercem. Ananais był człowiekiem próżnym, obdarzonym jednak poczuciem humoru, pozwalającym mu kpić z samego siebie, co łagodziło tę przywarę. A przecież był taki przystojny, kobiety uwielbiały go. Pół-Drenaj nie przerywał mu.

Miał wrażenie, że dużo, dużo czasu upłynęło, od kiedy tamten ostatni raz przebywał w towarzystwie ludzi. Słowa płynęły z jego ust wartkim strumieniem. Nieustannie powracał do nienawiści, jaką darzył nadiryjskiego księcia.

– Zdawałem sobie sprawę, że to irracjonalne, ale nic nie mogłem na to poradzić, a kiedy znalazłem te trupy przy barakach i rozpoznałem twoją robotę, zaślepił mnie gniew. Dopiero gdy cię zobaczyłem siedzącego tutaj... wtedy...

– Wtedy pomyślałeś, żeby dać mi się zabić – powiedział Tenaka cicho.

– Tak. To wydawało się takie... właściwe.

– Rad jestem, że się odnaleźliśmy, przyjacielu. Chciałbym tylko, żeby było nas więcej.

Ranek wstał jasny i rześki. Ocieplenie zwiastujące przedwiośnie rozgrzewało las, rozświetlając też serca podróżników.

Renya patrzyła na Tenakę nowymi oczami, przypominając sobie nie tylko miłość i wyrozumiałość, jaką okazał nieszczęsnemu przyjacielowi, ale i słowa, które wypowiedział do niej przed pojawieniem się olbrzyma: „Uwierz mi”.

I Renya uwierzyła.

Nie tylko zaufała mu. Te słowa poruszyły jej serce i złagodziły ból duszy.

On wiedział.

A mimo to troszczył się o nią. Renya nie zaznała wcześniej miłości. Ciepłymi uczuciami obdarzał ją tylko jeden człowiek – Aulin, wiekowy Poszukiwacz Prawdy. Teraz pojawił się drugi. I wcale nie był stary.

O, nie, zupełnie nie!

Nie pozwoli, by zostawił ją w Sousie. Czy gdziekolwiek indziej. Tam, gdzie pójdzie Tenaka Khan, tam podąży i Renya. On jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, ale wkrótce się dowie.

Tego popołudnia Tenace udało się podejść młodego jelenia (położył go rzutem sztyletu z odległości

dwudziestu kroków) i wszyscy najedli się do syta. Poszli wcześniej spać, nadrabiając zaległości z poprzedniej nocy, a następnego ranka dostrzegli na południowym wschodzie wieże Sousy.

– Lepiej zostań tutaj – poradził Ananais. – Sądzę, że twój rysopis krąży już po całym kraju.

Po co, u diabła, wysyłałeś ten cholerny list? To niezbyt rozsądne uprzedzać ofiarę, że jej morderca jest już w drodze!

– Wprost przeciwnie, mój drogi. Strach zniszczy go. Nie pozwoli mu zasnąć – rozdrażni go i nie da trzeźwo myśleć. A gdy nie będzie miał o mnie wieści, z każdym dniem jego strach będzie rósł. Zburzy jego pewność siebie.

– Zobaczymy – powiedział Ananais. – W każdym razie to ja odprowadzę Renyę do miasta.

– Zgoda. Ja poczekam tutaj.

– A czy Renya nie ma nic do powiedzenia w tej kwestii? – zapytała słodko dziewczyna.

– Nie sądzę, aby ci to nie odpowiadało – odpowiedział zbity z tropu Tenaka.

– A jednak nie odpowiada! – prychnęła. – Nie jestem twoją własnością; pójdę dokąd zechcę.

– Usiadła na zwalonym pniu, złożyła ręce na piersi i utkwiała wzrok w drzewach.

– Myślałem, że chcesz iść do Sousy – powiedział Tenaka.

– Nie. To Aulin chciał, żebym tam poszła.

– Co w takim razie zamierzasz zrobić?

– Nie jestem jeszcze pewna. Dam ci znać.

Tenaka potrząsnął głową i odwracając się do olbrzyma, rozłożył ręce.

Ananais wzruszył ramionami. – Cóż, i tak pójdę. Potrzebujemy żywności – a i trochę informacji nie zawadzi. Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

– Trzymaj się z dala od kłopotów – ostrzegł Tenaka.

– Nie martw się o mnie, postaram się nie rzucać w oczy. Znajdę po prostu tłum wysokich ludzi w czarnych maskach i będę się ich trzymał.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie martw się! Nie mogę ryzykować utraty pięćdziesięciu procent naszej nowej armii na jednym zwiadzie.

Tenaka patrzył za nim chwilę, a potem wrócił do dziewczyny i strzepnąwszy śnieg z pnia drzewa,

usiadł obok niej.

– Dlaczego nie poszłaś z nim?

– Chciałaś tego? – odpowiedziała pytaniem, spoglądając prosto w jego fioletowe oczy.

– Czy chciałem? O co ci chodzi?

Pochyliła się ku niemu. Owionął go piżmowy zapach jej skóry i znowu zauważył gładkość jej szyi oraz mroczne piękno oczu.

– Chcę zostać z tobą – szepnęła.

Zamknął oczy, odcinając się w ten sposób od czaru jej urody. Zapach jednak pozostał.

– To szaleństwo – powiedział wstając.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie pożyję długo, rozumiesz? Zabicie Ceski to nie zabawa. Moje szansę przeżycia są jak jeden do tysiąca.

– To jest zabawa – powiedziała. – Męska zabawa. Nie musisz zabijać Ceski. Nie do ciebie należy brać na barki brzemień Drenajów.

– Wiem – odpowiedział. – To sprawa osobista. Jednak doprowadzę ją do końca, podobnie jak Ananais.

– I ja. Mam równie wiele powodów, żeby nienawidzić Ceski, jak ty i twój przyjaciel. To on zaszczył Aulina na śmierć.

– Przecież ty jesteś kobietą – powiedział z rozpaczą w głosie.

Roześmiała się głębokim, melodyjnym śmiechem, pełnym humoru. – Och, Tenaka, tak czekałam żebyś powiedział coś niemądrego. Zawsze mówisz tak śmiertelnie słuszne rzeczy.

Takie mądre. Kobieta, rzeczywiście! Tak, jestem. I nie tylko. Gdybym chciała, sama mogłam zabić tych czterech żołnierzy. Jestem równie silna, a być może nawet silniejsza od ciebie i mogę poruszać się równie szybko. Wiesz, czym jestem: Spojonym! Aulin znalazł mnie w Drenanie, gdy miałam wykrzywiony kręgosłup i zmiażdżoną nogę. Zlitował się nade mną i zabrał do Graven, gdzie zatrudnił dla mnie swoje maszyny zgodnie z ich przeznaczeniem. Wyleczył mnie, łącząc z jednym z ulubionych zwierząt Ceski. Wiesz którym?

– Nie – wyszeptał Tenaka.

Jednym susem zeskoczyła ze zwalonego pnia. Jej cios poderwał go do góry i rzucił w śnieg, pozbawiając oddechu. W ciągu kilku sekund przycisnęła go do ziemi. Walczył, ale nie mógł się

ruszyć. Przytrzymując jego ręce, wykręciła się tak, że leżała na nim, twarzą prawie dotykając jego twarzy.

– Połączył mnie z panterą – rzekła.

– Uwierzyłbym ci na słowo – powiedział. – Ta demonstracja nie była konieczna.

– Dla mnie była, ponieważ teraz jesteś na mojej łasce.

Uśmiechnął się szeroko... wygiął plecy w kabłąk i obrócił się. Z okrzykiem zdziwienia Renya upadła na lewy bok. Tenaka przekręcił się i uniósł nad nią, przytrzymując jej ręce pod plecami.

– Rzadko zdaję się na czyjąś łaskę, młoda damo – powiedział.

– A więc? – zapytała, unosząc jedną brew. – Co zrobisz teraz?

Zarumienił się i nie odpowiedział. Nie poruszył się. Czuł ciepło jej ciała i zapach skóry.

– Kocham cię – powiedziała. – Naprawdę!

– Nie mam na to czasu. Nie mogę. Nie mam żadnej przyszłości.

– Ani ja. Jaka przyszłość może czekać Spojonego? Pocałuj mnie.

– Nie.

– Proszę.

Nie odpowiedział. Nie mógł, ponieważ ich usta już się zetknęły.

Rozdział 4

Scaler stał w tłumie i przyglądał się przywiązywanej do pała dziewczynie. Nie broniła się i nie krzyczała, tylko spoglądała z pogardą. Była wysoka i jasnowłosa – nie olśniewającej, lecz uderzającej urody. Żołnierze układający gałęzie u jej stóp nie patrzyli na nią. Mężczyzna wyczuwał ich wstyd.

On także się wstydził.

Oficer wspiął się na drewniany podest obok dziewczyny i zmierzył wzrokiem tłum. Popłynął

ku niemu ich posępny gniew, który sprawiał mu radość. Byli bezsilni.

Malif poprawił swój szkarłatny płaszcz i zdjął hełm, starannie umieszczając go w zagłębieniu ramienia. Ciepło słoneczne poprawiało nastrój i dzień zapowiadał się dobrze, a nawet bardzo dobrze.

Odchrząknął.

– Ta kobieta została oskarżona o bunt, uprawianie czarów, trucicielstwo i kradzież. Okazała się winna wszystkich zarzucanych jej przestępstw. Jeżeli jednak ktoś chce stanąć w jej obronie, niech to uczyni teraz!

Jego spojrzenie powędrowało na lewo, gdzie wśród patrzących zapanowało poruszenie. Jakiś młodzieniec powstrzymywał starca. Nie będzie zabawy!

Malif wyciągnął ręce w prawo, wskazując na Spojonego w czerwono-brązowej liberii sędziego Siliusa.

– Ten oto sługa prawa został wyznaczony do obrony decyzji sądu. Jeśli ktokolwiek pragnie stanąć w obronie tej kobiety, Valtayi, niech przedtem spojrzy na swego przeciwnika.

Scaler ścisnął rękę Beldera. – Nie bądź głupcem! – syknął. – Zabije cię. Nie mogę na to pozwolić.

– Lepiej zginąć niż patrzeć na to – powiedział stary żołnierz. Przestał się jednak wyrywać i westchnąwszy ciężko, odwrócił się, by precyzyjnie się przez tłum.

Scaler spojrział na dziewczynę. Jej szare oczy patrzyły prosto na niego, uśmiechała się. Nie było jednak w tym uśmiechu ani śladu drwiny.

– Przepraszam – wyszeptały jego wargi, lecz ona już odwróciła wzrok.

– Czy mogę przemówić? – zapytała mocnym i czystym głosem.

Malif zwrócił się ku niej. – Prawo mówi, że możesz. Niech jednak w twych słowach nie będzie żadnych buntowniczych nut, bo każę cię zakneblować.

– Przyjaciele – zaczęła. – Przykro mi widzieć was tutaj dzisiaj. Śmierć nic nie znaczy, lecz brak radości jest gorszy niż śmierć. Znam większość z was. I kocham was wszystkich. Proszę, odejdźcie stąd i pamiętajcie mnie taką, jaką mnie znaliście. Pomyślcie o śmiechu i wyrzucicie z pamięci ten okrutny moment.

– Nie ma takiej potrzeby, pani! – krzyknął ktoś z tłumu. Ludzie się rozstąpili i na wolną przestrzeń przed stosem wystąpił wysoki mężczyzna, odziany w czern.

Valtaya spojrzała w dół, prosto w błękitne oczy tamtego. Jego twarz zakrywała maska z lśniącej czarnej skóry. Zastanawiała się, czy to możliwe, aby ktoś o tak pięknych oczach był

katem.

– Kim jesteś? – zapytał Malif. Mężczyzna beztrząsco rzucił w tłum swój czarny skórzany płaszcz.

– Pytałeś o obrońcę, czyż nie?

Malif uśmiechnął się. Mężczyzna był potężnie zbudowany, ale nawet on wydawał się karłem przy Spojonym. Cóż za piękny dzień, w samej rzeczy!

– Zdejmij maskę, abyśmy mogli cię zobaczyć – rozkazał.

– Nie jest to konieczne ani wymagane przez prawo – odparował tamten.

– Rzeczywiście nie jest. Dobrze więc. Spór zostanie rozstrzygnięty w walce wręcz, bez użycia broni.

– Nie! – krzyknęła Valtaya. – Proszę, panie, zastanów się – to szaleństwo! Jeżeli muszę umrzeć, niech się tak stanie. Już się z tym pogodziłam, a ty tylko wszystko mi utrudniasz.

Mężczyzna zignorował ją i bez słowa wyciągnął zza pasa parę skórzanych rękawic.

– Czy mogę je nałożyć? – zapytał.

Malif skinął głową. Spojony ruszył do przodu. Miał prawie siedem stóp wzrostu i ogromny, lisi pysk. Jego dłonie zakończone były potężnymi, zakrzywionymi szponami. Z jego paszczy wydobył się głuchy warkot, a wargi rozchyliły się, ukazując lśniące kły.

– Czy w tej walce obowiązują jakiegokolwiek zasady? – zapytał człowiek.

– Nie – odrzekł Malif.

– Świetnie – stwierdził zamaskowany i walnął pięścią w pysk bestii. Pod wpływem siły ciosu jeden z kłów się złamał i krew trysnęła w powietrze. Mężczyzna rzucił się do przodu, wymierzając jeden cios za drugim w łeb potwora.

Potwór jednak był silny. Szybko otrząsnął się z zaskoczenia, ryknął wściekle i ruszył do ataku. Kolejne uderzenie pięści odrzuciło mu głowę w tył, lecz mimo to zadał błyskawiczny cios szponiastą łapą. Człowiek odskoczył; tunikę miał rozerwaną, a z płytkich draśnięć na piersi płynęła mu krew. Krążyli wokół siebie. Teraz Spojony skoczył, a zamaskowana postać poderwała się w powietrze, stopami do przodu, i ciężkimi buciorami kopnęła przeciwnika w paszczę. Monstrum upadło. Mężczyzna przetoczył się po ziemi i doskoczył do bestii, zamierzając uderzyć ją ponownie, został jednak powalony machnięciem włochatego ramienia. Stwór wstał i wyprostował się, lecz zaraz ugięły się pod nim nogi, ślepie zmętniały, a język wysunął się z pyska. Człowiek skoczył do przodu i wymierzał cios za ciosem w głowę przeciwnika, aż w końcu Spojony padł twarzą w piach. Zwycięzca stał nad nim, ciężko dysząc; potem obrócił się do zdumionego Malifa.

– Rozwiąż dziewczynę! – powiedział. – Już po wszystkim.

– Czary! – krzyknął Malif. – Jesteś czarownikiem. Spłoniesz na stosie razem z dziewczyną!

Brać go!

Tłum ryknął gniewnie i ruszył.

Ananais wyszczerzył zęby w uśmiechu i skoczył na platformę, gdzie Malif, wrywając z pochwy miecz, zatoczył się w tył i celnym ciosem pięści zrzucił go z platformy. Wartownicy odwrócili się i uciekli, a Scaler wspiął się na stos i przeciął sztyletem sznury krępujące dziewczynę.

– Chodź! – krzyknął, chwytając Valtayę za ramię. – Musimy uciekać. Oni wrócą.

– Kto ma mój płaszcz? – krzyknął Ananais.

– Ja go mam, generale – odkrzyknął brodaty weteran. Zarzucił okrycie na ramiona, zapiął klamrę i uniósł w górę ramiona, prosząc o ciszę.

– Kiedy będą was pytać, kto uwolnił dziewczynę, powiedzcie, że to armia Tenaki Khana.

Powiedzcie, że Smok wrócił.

– Tędy, szybko! – krzyknął Scaler, prowadząc Valtayę w wąską alejkę. Ananais zwinnie zeskoczył z platformy i podążył za nimi, przystając, by zerknąć na leżącego bez życia Malifa, którego głowa przekrzywiła się pod groteskowym kątem do tułowia. Musiał fatalnie upaść –

pomyślał. Nawet gdyby nie zabił go upadek, dokonałaby tego trucizna. Ostrożnie zdjął rękawice i przycisnął ukryty guzik, wsuwający pokrywy igieł na miejsce nad knykциями. Wecisnął rękawice za pas i pobiegł za oddalającą się dwójką.

Wpadli w boczne drzwi, wychodzące na brukowaną kamieniami ulicę i Ananais znalazł się w ciemnej gospodzie, której okiennice były zamknięte, a krzesła stłoczone na stołach. Mężczyzna i dziewczyna stali przy długim barze.

Gospodarz – niski, łysawy tłusciuch – nalewał wino do glinianych kubków. Podniósłszy oczy, ujrzał wynurzającego się z cienia Ananaisa i karafka wypadła mu z drżących palców.

Scaler odwrócił się, w oczach miał lęk.

– Och, to ty! – powiedział. – Cicho się poruszasz jak na takiego wielkoluda. W porządku, Larcas; to ten człowiek uwolnił Valtayę.

– Miło poznać – powiedział oberżysta. – Coś do picia?

– Dzięki.

– Świat oszalał – powiedział Larcas. – Wiecie, że przez pierwsze pięć lat, od kiedy zacząłem prowadzić tę gospodę, nie zdarzyło się ani jedno morderstwo. Każdy miał choć trochę pieniędzy.

Ludzie weselili się. Teraz świat oszalał!

Nalał wina Ananaisowi i napełnił ponownie swój puchar, po czym opróżnił go jednym haustem.

– Szaleństwo! Nienawidzę przemocy. Przybyłem tu, aby wieść spokojne życie. Rolnicze miasteczko przy równinie Sentran – żadnych kłopotów. A spójrzcie na nas teraz. Zwierzęta, które chodzą jak ludzie. Prawa, których nikt nie rozumie, nie mówiąc o ich przestrzeganiu.

Donosiciele, złodzieje, mordercy. Pierdnij w czasie śpiewania hymnu, a zaraz ogłoszą cię zdrajcą.

Ananais zdjął krzesło ze stołu i usiadł plecami do pozostałej trójki. Delikatnie uniósł maskę i małymi łykami zaczął sączyć wino. Valtaya podeszła do stołu. Odwrócił głowę, opróżnił

szklankę i znów nałożył maskę. Dziewczyna wyciągnęła rękę i przykryła nią jego dłoń.

– Dzięki za dar życia – powiedziała.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani.

– Masz rozległe blizny?

– Nigdy nie widziałem gorszych.

– Czy wygoiły się?

– W większości. Od czasu do czasu otwiera się jedna rana pod okiem. Mogę z tym żyć.

– Mogłabym ją zaleczyć.

– To nie jest konieczne.

– To drobnostka. Chciałabym coś zrobić dla ciebie. Nie obawiaj się. To nie pierwsze rany, jakie widziałam.

– Na pewno nie widziałaś takich. Pod tą maską nie mam twarzy. A kiedyś byłem przystojny.

– Nadal jesteś – powiedziała. Jego błękitne oczy zapłonęły. Pochylił się i zacisnął pięści.

– Nie rób ze mnie głupca, kobieto!

– Ja tylko chciałam...

– Wiem, czego chciałaś – chciałaś być dla mnie miła. Cóż, nie potrzebuję litości. Ani zrozumienia. Byłem kiedyś przystojny i sprawiało mi to przyjemność. Teraz jestem potworem i nauczyłem się z tym żyć.

– A teraz ty posłuchaj – rozkazała Valtaya, opierając się łokciami na stole. – Miałam zamiar powiedzieć, że uroda nie ma dla mnie znaczenia. Czyny malują lepszy obraz człowieka niż skóra zwisająca z kości i ścięgien. To, co dzisiaj zrobiłeś, było piękne.

Ananais wyprostował się na krześle i skrzyżował ramiona na szerokiej piersi.

– Przepraszam – powiedział. – Wybacz mi. Uśmiechnęła się, biorąc go za rękę.

– Nie muszę ci niczego wybaczać. Po prostu teraz znamy się troszeczkę lepiej.

– Dlaczego chcieli cię spalić na stosie? – zapytał, kładąc rękę na jej dłoniach i rozkoszując się ich ciepłem.

Wzruszyła ramionami.

– Zajmuję się zielarstwem. I zawsze mówię prawdę.

– To tłumaczyłoby zarzut podburzania do buntu i uprawiania czarnej magii. A kradzież?

– Pożyczyłam konia. Opowiedz mi o sobie.

– Niewiele jest do opowiadania. Jestem wojownikiem szukającym wojny.

– Czy dlatego wróciłeś do kraju Drenajów?

– Kto wie?

– Czy naprawdę macie armię?

– W sile dwóch ludzi. Jednak to dopiero początek.

– To brzmi optymistycznie. Czy twój przyjaciel walczy równie dobrze jak ty?

– Lepiej. To Tenaka Khan.

– Ten nadiryjski książę, Khan Cieni? – spytała.

– O, znasz historię.

– Wychowałam się w Dros Delnoch – powiedziała popijając wino. – Sądziłam, że zginął razem z innymi legionistami Smoka.

– Tacy ludzie jak Tenaka nie umierają łatwo.

– To znaczy, że ty musisz być Ananaisem. Tym Złotym.

– Kiedyś miałem ten zaszczyt.

– Krążą o was legendy. Mówi się, że we dwójkę zabiliście dwudziestu vagryjskich jeźdźców, o sto mil na zachód od Sousy. A potem otoczyliście i zniszczyliście dużą grupę handlarzy niewolników, opodal Purdol, na wschodzie.

– Jeźdźców było nie dwudziestu, a tylko siedmiu – i jeden z nich miał gorączkę. A nad handlarzami mieliśmy dwukrotną przewagę liczebną.

– A czy nie uratowaliście księżniczki lentryjskiej z rąk Nadirów na dalekiej północy?

- Nie, ale często myślałem, skąd wzięła się ta historia. Wszystko to wydarzyło się na długo przed twoim urodzeniem. Jak to się stało, że tyle o tym wiesz?
- Często słucham Scalera; on wspaniale opowiada. Dlaczego uratowałeś mnie dzisiaj?
- A cóż to za pytanie? Czyż nie jestem człowiekiem, który przejechał setki mil, żeby uratować lentryjską księżniczkę?
- Nie jestem księżniczką.
- Ani ja bohaterem.
- Zmierzyłeś się ze Spojonym.
- Tak. Jednak on umierał już po moim pierwszym ciosie. W rękawicach mam zatrute igły.
- Nawet jeżeli tak, to niewielu ludzi zdobyłoby się na tak odważny czyn.
- Tenaka zabiłby go bez rękawic. Znam tylko jednego wojownika szybszego niż on.
- Szybszego?
- Czyżbyś nigdy nie słyszała o Decado?

Tenaka rozpalił ognisko i ukląkł obok śpiącej Renyi. Oddychała miarowo. Delikatnie, jednym palcem dotknął jej twarzy i pogłaskał skórę policzka. Potem wstał i wspiął się na szczyt pobliskiego wzniesienia, aby popatrzeć na falujące wzgórza i równiny południa, odcinające się ostro na tle słońca, wschodzącego zza grzbietów gór Skeln.

Lasy, rzeki i długie łąki biegły w dal i niknęły w błękitnej mgłę, jakby niebo roztopiło się i połączyło z ziemią. Na południowym zachodzie wyniosłe wierzchołki Skody dźgały chmury jak sztylety, krwistoczerwone i dumnie lśniące.

Tenaka zadrżał i ciaśniej otulił się płaszczem. Ta bezludna kraina urzekała pięknem. Jego myśli szybowwały bez celu, zawsze jednak powracając do obrazu Renyi.

Czy ją kochał? Czy możliwe, aby miłość zrodziła się tak szybko? A może to tylko namiętność samotnego mężczyzny dla dziecka smutku?

Potrzebowała go. Tylko czy on potrzebował jej? Szczególnie teraz, przy tym wszystkim, co go czekało? Ty głupcze, powiedział sobie, gdy wyobraźnia podsunęła mu obraz życia z Renią w wentryjskim pałacu – na to jest już za późno. Jesteś człowiekiem, który zrobił krok ku przepaści.

Usiadł na płaskim głazie i przetarł oczy.

Jaki sens ma ta beznadziejna misja, zadał sobie pytanie i ogarnęła go fala goryczy. Potrafił

zabić Ceskę – nie miał co do tego wątpliwości. Jaki to jednak przyniesie skutek? Czy świat zmieni się wraz ze śmiercią jednego tyrana?

Prawdopodobnie nie. Mimo to nie zejdzie z raz obranej drogi.

– O czym myślisz? – zapytała Renya, siadając obok niego i obejmując go ramieniem.

Rozpiął płaszcz i okrył nim jej ramiona.

– Tak sobie śniłem na jawie – odparł. – I podziwiałem widoki.

– Tutaj jest pięknie.

– To prawda. A teraz wprost idealnie.

– Kiedy wróci twój przyjaciel? – spytała.

– Wkrótce.

– Martwisz się o niego?

– Po czym to poznałaś? – odpowiedział pytaniem.

– Po tym jak mu kazałeś trzymać się z daleka od kłopotów.

– Zawsze martwię się o Ananaisa. Lubi dramatyczne sytuacje i wierzy w swoje umiejętności.

Zaatakowałby nawet armię, wierząc, że ją pokona. I zapewne udałoby mu się to – przynajmniej w przypadku niedużej armii.

– Bardzo go lubisz, prawda?

– Kocham go.

– Niewielu mężczyzn zdobyłoby się na te słowa – powiedziała Renya. – Zwykle dodają po tych słowach: Jak brata". To miłe. Czy znasz go od dawna?

– Od kiedy skończyłem siedemnaście lat. Wstąpiłem jako kadet do legionu Smoka i wkrótce potem zaprzyjaźniliśmy się.

– Dlaczego więc chciał z tobą walczyć?

– Tak naprawdę nie pragnął tego. Życie obeszło się z nim jednak okrutnie i mnie za to winił

– przynajmniej częściowo. Dawno temu zamierzał obalić Ceskę. Mógł to zrobić. Ja jednak go powstrzymałem.

– Coś takiego niełatwo przebaczyć.

– Zgadzam się, szczególnie widząc to, co się dzieje.

– Czy nadal zamierzasz zabić Ceskę? – spytała.

– Tak.

– Nawet jeżeli będzie to oznaczało twoją śmierć?

– Nawet wtedy.

– Dokąd więc pójdziemy? Do Drenanu?

Odwrócił się do niej i ujął dłonią jej podbródek.

– Czy nadal chcesz wędrować ze mną?

– Oczywiście.

– To samolubne z mojej strony, ale się cieszę – powiedział.

Ciszę świtu przerwał nagle ludzki krzyk, a stada ptaków zerwały się z drzew, skrzecząc przerażone. Tenaka skoczył na równe nogi.

– Dobiegał stamtąd! – zawołała Renya, wskazując na północny wschód. Tenaka pobiegł w tamtym kierunku, a jego miecz zamigotał w słońcu. Renya była tuż za nim.

Teraz z ludzkim krzykiem zmieszało się wycie bestii. Tenaka zwolnił.

– To Spojony – powiedział, gdy Renya zrównała się z nim.

– Co zrobimy?

– Do diabła! Zostań tutaj.

Pobiegł na szczyt niewielkiego wzgórza, a potem w dół na polankę, otoczoną pokrytymi śniegiem dębami. Pośrodku niej, u stóp drzewa przykucnął człowiek w zakrwawionej tunice, z paskudnie rozciętą nogą. Naprzeciw niego stał ogromny potwór.

Tenaka krzyknął w momencie, gdy napastnik już prawie skoczył na człowieka. Spojony odwrócił się i wbił swe krwistoczerwone oczy w wojownika. Tenaka wiedział, że spogląda w oczy śmierci, gdyż nikt nie zdołał zaatakować bestii i przeżyć. Renya przybiegła do niego ze sztyletem w uniesionej dłoni.

– Cofnij się! – rozkazał Tenaka. Zignorowała go.

– Co teraz? – zapytała spokojnie.

Potwór wyprostował się na całą dziewięciostopową wysokość i szeroko rozłożył szponiaste łapy.

Niewątpliwie powstał po części z niedźwiedzia.

– Uciekajcie! – krzyknął ranny mężczyzna. – Proszę, zostawcie mnie!

– Dobra rada – powiedziała Renya.

Tenaka nie odpowiedział. Po chwili Spojony zaatakował go z mrozącym krew w żyłach rykiem, który odbił się echem od drzew. Mężczyzna przykucnął, mierząc uważnym spojrzeniem fioletowych oczu nacierającego nań przerażającego stwora.

Kiedy cień bestii padł na niego, z przeraźliwym okrzykiem wojennym Nadirów skoczył naprzód.

Wtedy monstrum zniknęło.

Pół-Drenaj przewrócił się na śnieg, upuszczając miecz. Błyskawicznie podniósł się i stanął naprzeciw rannego, który stał teraz i uśmiechał się. Na jego błękitnej tunice i ciele nie było śladu ran.

– Co tu się dzieje, do diabła? – spytał mieszaniec. Postać tamtego zadrgała i znikła. Tenaka odwrócił się do Renyi, która szeroko otwartymi oczami spoglądała na drzewo.

– Ktoś zabawił się naszym kosztem – powiedział książę Nadirów, otrzepując śnieg z tuniki.

– Ale dlaczego? – zapytała dziewczyna.

– Nie wiem. Chodźmy stąd – las stracił swój urok.

– Byli tacy prawdziwi – powiedziała Renya. – Myślałam, że już koniec z nami. Jak myślisz, czy to duchy?

– Kto wie? Kimkolwiek byli, nie zostawili śladów, a ja nie mam czasu na rozwiązywanie takich zagadek.

– Przecież to musiało mieć jakiś cel – nalegała. – Czy zrobili to specjalnie dla nas?

Wzruszył ramionami, a potem pomógł jej zejść stromym zboczem do obozowiska.

Czterdzieści mil dalej czterej mężczyźni siedzieli milcząc w niewielkim pomieszczeniu.

Oczy mieli zamknięte, ale umysły otwarte. Potem kolejno podnieśli wzrok, prostując się na krzesłach i przeciągając, jakby zbudzeni z długiego snu. Ich przywódca, ten, który jakoby został

zaatakowany na polance, wstał i podszedł do wąskiego kamiennego okna z widokiem na łąkę.

– Jakie jest wasze zdanie? – zapytał, nie odwracając się. Pozostali trzej wymienili spojrzenia, a potem jeden z nich, niski, krępy mężczyzna z gęstą, żółtą brodą, rzekł:

– Przynajmniej jest godny. Nie zawahał się, żeby ci pomóc.

– Czy to ważne? – zapytał przywódca, nadal wyglądając przez okno.

– Sądzę, że tak.

– Powiedz dlaczego, Acuasio.

– To człowiek wypełniający misję, nie zaślepiony jednak swoim zadaniem. Wolał

zaryzykować życie – a nawet więcej, poświęcić je – niż pozwolić drugiemu człowiekowi cierpieć w samotności. Dotknęła go Światłość.

– A co ty powiesz, Balanie?

– Za wcześnie na osąd. Może jest tylko nierozważnym śmiałkiem – odpowiedział wyższy i szczuplejszy mężczyzna z wielką czupryną ciemnych, kręconych włosów.

– Katan?

Ostatni z trójki był smukły, miał podłużną i ascetyczną twarz oraz wielkie, pełne smutku oczy. Uśmiechnął się.

– Gdyby wybór zależał ode mnie, powiedziałbym tak. Jest godny. To człowiek Źródła, chociaż sam o tym nie wie.

– A więc wszyscy jesteśmy zgodni – powiedział przywódca. – Sądzę, że nadszedł czas, żeby porozmawiać z Decado.

– Czy nie powinniśmy jednak jeszcze się upewnić, Lordzie Opacie? – zapytał Balan.

– Nic w życiu nie jest pewne, mój synu. Prócz śmierci.

Rozdział 5

Było już po godzinie policyjnej i ulice Drenanu opustoszały. W rozległym, białym mieście zapadła cisza. Na czystym niebie wisiał prawie pełny księżyc trzeciej kwadry, a jego odbicie migotało w tysiącach obmytych deszczem kamieni, którymi wybrukowana była ulica Pillars.

Z cienia wysokiego budynku wyłoniło się sześciu mężczyzn, odzianych w czarne zbroje; czarne hełmy skrywały ich twarze. Maszerowali szybko i zdecydowanie w kierunku pałacu, nie rozglądając się dokoła.

Dwóch Spojonych, uzbrojonych w potężne topory, zagrodziło im drogę. Mężczyźni przystanęli. Sześć par oczu spojrzało na potwory, a pod tym spojrzeniem bestie zawyły z bólu i rzuciły się do ucieczki.

Mężczyźni ruszyli dalej. Ich marsz obserwowano spoza okiennic i szczelnie zasłoniętych okien. Czuli

te spojrzenia oraz ciekawość, zamieniającą się w strach, gdy ich rozpoznawano.

Idąc w milczeniu, dotarli aż do bramy. Po kilku sekundach oczekiwania usłyszeli zgrzyt zasuw i wrota otworzyły się. Dwaj wartownicy skłonili głowy, gdy wojownicy w czarnych zbrojach przeszli obok nich i przez dziedziniec weszli do oświetlonych pochodniami korytarzy głównego budynku, wzdłuż których stali wartownicy. Unikano ich spojrzeń. Po drugiej stronie korytarza rozsunęły się podwójne drzwi z dębu i brązu. Dowódca podniósł dłoń. Jego pięciu towarzyszy znieruchomiało, odwróciło się na pięcie i stanęło przed wejściem, trzymając dłonie na hebanowych rękojeściach mieczy. Przywódca zdjął hełm i wszedł do środka.

Zgodnie z oczekiwaniami, zastał tam tylko głównego ministra Ceski. Eertik podniósł oczy znad biurka i zmierzył rycerza spojrzeniem czarnych oczu o obwisłych powiekach.

– Witaj, Padaxesie – powiedział suchym i lekko metalicznym głosem.

– Pozdrowienia, radco – odparł z uśmiechem Padaxes. Był wysoki, miał ostre rysy twarzy i oczy koloru zimowego nieba. Miał pełne i zmysłowe usta, lecz nie był przystojny. Było w nim coś dziwnego – jakaś trudna do określenia skaza.

– Imperator potrzebuje waszych usług – powiedział Eertik. Kiedy wstał i obszedł dębowe biurko, jego czarne aksamitne szaty zaszeleściły. Padaxes usłyszał ten dźwięk i pomyślał, że przypomina on odgłos węża, poruszającego się w suchej trawie. Znowu się uśmiechnął.

– Jestem zawsze na rozkazy imperatora.

– On o tym wie, Padaxesie, podobnie też jak to, że cenisz sobie jego hojność. Pojawił się człowiek, który zamierza wyrządzić mu krzywdę. Doniesiono nam, że znajduje się na pomocy.

Imperator życzy sobie, aby go pojmać lub zabić.

– Tenaka Khan – powiedział Padaxes.

Oczy Eertika rozszerzyły się ze zdumienia. – Wiesz o nim?

– Oczywiście.

– Czy mogę zapytać skąd?

– Nie możesz.

– Stanowi zagrożenie dla imperium – powiedział Eertik, skrywając gniew.

– Od chwili, gdy opuścę ten pokój, będzie chodzącym trupem. Czy wiedziałeś, że towarzyszy mu Ananais?

– Nie – powiedział Eertik. – Teraz jednak zaczynam wszystko rozumieć. Myśleliśmy, że Ananais zmarł od ran. Czy to jakiś problem dla twojego Zakonu?

– Nie. Jeden, dwóch, dziesięciu czy stu. Nic się nie oprze moim Templariuszom. Wyruszymy rano.

– Czy mogę ci pomóc w jakiś sposób?

– Tak. Za dwie godziny przyślij dziecko do Świątyni. Ma mieć do dziesięciu lat. Trzeba przeprowadzić pewne obrzędy religijne. Muszę się połączyć z siłami, które rządzą Wszechświatem.

– Twemu życzeniu stanie się zadość.

– Budynek świątyni wymaga naprawy. Rozważyłem przeniesienie się na wieś i zlecenie budowy nowej świątyni – znacznie większej – powiedział Padaxes.

– Imperator myśli dokładnie to samo – powiedział Eertik. – Po powrocie zastaniesz gotowe plany.

– Przekaż moje podziękowania Lordowi Cesce.

– Przekażę. Niech twoja podróż będzie szybka, a powrót radosny.

– Jeśli tak zechce Duch – odpowiedział Padaxes i nałożył hełm.

Z okna wysokiej wieży opat spoglądał na górny ogród, w którym dwudziestu ośmiu akolitów klęczało pod różanymi drzewkami. Pomimo zimy róże rozwijały się wspaniale, a zapach ich kwiatów wypełniał powietrze.

Zwierzchnik przyknął oczy i uwolnił swoją duszę, która łagodnie zstąpiła do ogrodu i spoczęła obok smukłego Katana.

Umysł mężczyzny otworzył się na jej przyjęcie i razem podążyli wzdłuż kruchych gałązek i drobnych naczyniek rośliny.

Powitała ich czerwona róża.

Przełożony klasztoru wycofał się, a potem kolejno łączył z duszami wszystkich akolitów.

Tylko róża Balana nie zakwitła. Pączki jej były już jednak pełne i niewiele brakowało, by dorównała towarzyszom.

Opat powrócił do swego ciała w wysokiej wieży, otworzył oczy i odetchnął głęboko, po czym podszedł do południowego okna, które wychodziło na niższy poziom i spojrzał na znajdujący się tam ogród warzywny.

Widząc klęczącego na ziemi mnicha w brudnej sutannie, zszedł spiralnymi schodami i otworzył drzwi do dolnego ogrodu, wkraczając na porządnie wyszorowane płyty ścieżki, wiodącej do warzywnika.

– Pozdrowienia, bracie – powiedział.

Zakonnik podniósł wzrok i pochylił głowę w ukłonie. – Pozdrowienia, Lordzie Opacie.

Pryncypał usiadł w pobliżu, na kamiennej ławce.

– Nie przerywaj pracy – powiedział. – Nie chcę ci przeszkadzać.

Mężczyzna wrócił do pielienia; ręce miał czarne od brudu, a paznokcie zniszczone i połamane.

Przełożony rozejrzał się dokoła. Ogród był zadbany, narzędzia naostrzone, ścieżki równe i oczyszczone z chwastów.

Z przyjemnością popatrzył na mnicha. Zmienił się bardzo od tego dnia, gdy pięć lat temu zjawił się w klasztorze i oświadczył, że chce zostać zakonnikiem. Był wówczas ubrany w lśniąca zbroję, u pasa miał dwa krótkie miecze, a pierś przepasywał mu pendent z trzema sztyletami.

– Dlaczego pragniesz służyć Źródłu? – zapytał opat.

– Jestem zmęczony śmiercią – odpowiedział.

– Zabijanie jest twoim życiem – stwierdził, spoglądając w pełne cierpienia oczy wojownika.

– Chcę się zmienić.

– A może ukryć?

– Nie.

– Dlaczego wybrałeś ten klasztor?

– Ja... ja modliłem się.

– Czy otrzymałeś odpowiedź?

– Nie. Jednak zamierzałem ruszyć na zachód, a po modlitwie zmieniłem zdanie i pojechałem na północ. I tak trafiłem do was.

– Czy myślisz, że to jest odpowiedź?

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

– Czy wiesz, jaki to zakon?

– Nie.

– Tutejsi nowicjusze posiadają talenty niedostępne innym ludziom i moc wykraczającą poza twoje zrozumienie. Poświęcają Źródłu całe swe życie. A co ty możesz zaoferować?

– Tylko siebie i swoje życie.

– Bardzo dobrze. Przyjmę cię. Posłuchaj jednak i dobrze zapamiętaj. Nie będziesz miał nic

wspólnego z pozostałymi nowicjuszami. Nie wolno ci chodzić do górnego ogrodu. Będiesz mieszkał na dole w chacie ogrodnika. Odłożysz swoją broń i nigdy więcej jej nie dotkniesz.

Twoje zadania to służba i całkowite posłuszeństwo. Nie będziesz z nikim rozmawiał – wolno ci odpowiedzieć tylko wtedy, kiedy się do ciebie zwrócę.

– Zgadzam się – odpowiedział bez wahania wojownik.

– Każdego popołudnia będę cię uczył i śledził twoje postępy. Jeśli zawiedziesz pod jakimkolwiek względem, oddalę cię.

– Zgadzam się.

Przez pięć lat wojownik posłusznie wypełniał swoje obowiązki i opat widział, jak wraz z upływem czasu znika wyraz cierpienia w jego ciemnych oczach. Robił postępy w nauce, chociaż nigdy nie udało mu się opanować sztuki uwalniania duszy. Pod każdym innym względem był z niego zadowolony.

– Jesteś szczęśliwy, Decado? – zapytał teraz. Mnich wyprostował się i odwrócił.

– Tak, Lordzie Opacie.

– Niczego nie żałujesz?

– Niczego.

– Mam wieści o Smoku – powiedział przełożony, przyglądając mu się bacznie. – Czy chciałbyś je usłyszeć?

Mężczyzna zamyślił się. – Tak, chciałbym. Czy to źle?

– Nie, Decado, nie ma w tym nic złego. Byli twoimi przyjaciółmi.

Zakonnik nie odpowiedział, czekając na słowa swojego zwierzchnika.

– Zostali starci w strasznej bitwie z potworami Ceski. Mimo iż walczyli dzielnie, nie zdołali powstrzymać bestii.

Decado pokiwał głową i powrócił do pracy.

– Co czujesz?

– Jest mi bardzo smutno, Lordzie Opacie.

– Nie wszyscy twoi przyjaciele zginęli. Tenaka Khan i Ananais powrócili do Drenajów i zamierzają zabić Ceskę, żeby zakończyć jego terror.

– Niech wspomaga ich Źródło – powiedział mężczyzna.

– Czy chciałbyś być z nimi?

– Nie.

Opat pokiwał głową. – Pokaż mi swój ogród – powiedział. Mnich powstał i poprowadził go ścieżkami pośród roślin. Wreszcie doszli do maleńkiej chatki, która była domem Decado. Opat obszedł ją dokoła. – Jest ci tu wygodnie?

– Tak.

Za chatą opat przystanął, przyglądając się rosnącemu tam maleńkiemu krzaczkowi, na którym zakwitł pojedynczy kwiatek.

– Co to jest?

– To moje, Lordzie Opacie. Czy postąpiłem źle?

– Jak go zdobyłeś?

– Trzy lata temu znalazłem strąk z nasionkiem, który ktoś zrzucił z górnego poziomu i zasadziłem go. To piękny kwiat; zwykle kwitnie znacznie później.

– Czy spędzasz z nim dużo czasu?

– Kiedy tylko mogę. Pomaga mi się odprężyć.

– Na górnym poziomie mamy wiele róż, Decado. Ale ani jednej tego koloru.

Była to biała róża.

Dwie godziny po wschodzie słońca Ananais powrócił do obozowiska, prowadząc ze sobą Valtayę, Scalera i Beldera. Tenaka obserwował nadchodzących. Starszy człowiek, zauważył, poruszał się ostrożnie jak weteran, z dłonią na rękojeści miecza. Kobieta była wysoka, dobrze zbudowana i trzymała się blisko odzianego w czerń Ananaisa. Tenaka uśmiechnął się i potrząsnął

głową. Wciąż ten sam Złoty chłopak, pomyślał. Zainteresował go natomiast młodzieniec. Było w nim coś znajomego, chociaż Tenaka był pewien, że nigdy się nie spotkali. Mężczyzna o atletycznej budowie ciała. Wysoki, przystojny i jasnooki, a jego długie, ciemne włosy przytrzymała opaska z czarnego metalu, ozdobiona umieszczonym pośrodku opalem. Ubrany w płaszcz koloru zielonych liści i brązowe buty o cholewkach sięgających do połowy łydki. Pod okryciem miał tunikę z miękkiej skóry, a w ręku krótki miecz. Tenaka instynktownie wyczuwał

jego strach.

Wyszedł spomiędzy drzew, żeby ich powitać.

Na jego widok Scaler zrobił ruch, jakby chciał do niego podbiec, lecz powstrzymał się.

Tenaka nie mógł go rozpoznać. Nadiryjski książę niewiele się zmienił, pomyślał młodzieniec, jeśli nie liczyć kilku siwych włosów, lśniących w słońcu. Jego oczy wciąż patrzyły przenikliwie, a postawa zdradzała nieświadomą arogancję.

– Nie możesz się powstrzymać od robienia niespodzianek, przyjacielu – powiedział Tenaka.

– Szczera prawda – odpowiedział Ananais. – Teraz jednak mam w tobołku śniadanie i wyjaśnienia muszą poczekać.

– Natomiast przedstawienie nas sobie raczej nie – rzekł cicho Tenaka.

– Scaler, Valtaya i Belder – przedstawił Ananais, niedbałym ruchem wskazując na trójkę, po czym przeszedł obok niego w stronę ogniska.

– Witajcie! – powiedział niezręcznie pół-Drenaj, rozkładając ręce.

Scaler wystąpił do przodu. – Nasza obecność w twoim obozie jest tylko tymczasowa –

powiedział. – Twój przyjaciel pomógł Valtayi i musieliśmy opuścić miasto. Teraz, kiedy jest już bezpieczna, wrócimy.

– Rozumiem. Przedtem jednak zjedzcie z nami posiłek – zaproponował Tenaka.

Wokół ogniska panowała głucha cisza. Tylko Ananais nie zwracał na nią uwagi i zabierając swoją porcję, odszedł na skraj lasu, gdzie usiadł plecami do pozostałych, zdjął maskę i zaczął jeść.

– Wiele o tobie słyszałam, Tenaka – powiedziała Valtaya.

Odwrócił się do niej. – Wiele z tego, co mówią ludzie, nie jest prawdą.

– Jednak w każdej takiej opowieści tkwi zawsze ziarenko prawdy.

– Być może. Od kogo słyszałaś te historie?

– Od Scalera – odpowiedziała. Pół-Drenaj skinął głową i zwrócił się do młodzieńca, który oblał się rumieńcem.

– A skąd tyje znasz, przyjacielu?

– Słyszałem je tu i tam – odpowiedział.

– Byłem żołnierzem. Nikim więcej – wyjaśnił Tenaka – To moje pochodzenie zapewniło mi sławę. Mógłbym wymienić wielu lepszych szermierzy, jeźdźców i ludzi. Nie mają jednak imienia, które

mogłoby nieść przed sobą jak sztandar.

– Jesteś zbyt skromny – powiedział Scaler.

– To nie jest kwestia skromności. Jestem pół-Nadirem z rodu Ulryka i pół-Drenajem. Moim dziadkiem był Regnak, Księżę z Brązu. A mimo to nie jestem ani Księciem, ani Khanem.

– Jesteś Khanem Cieni – powiedział Scaler.

– Jak to się stało? – spytała Valtaya.

Tenaka zaśmiał się. – Po Drugiej Wojnie Nadiryjskiej syn Regnaka, Orrin zawarł układ z Nadirami. Jego częścią było małżeństwo jego syna Hoguna z córką Khana, Shillat. Nie było to małżeństwo z miłości. Jak mi opowiadano, uroczystość była świetna, a związek skonsumowano niedaleko grobu Drussa, na północnej równinie pod Delnoch. Hogun zabrał pannę młodą z powrotem do fortecy, gdzie spędziła trzy nieszczęsne lata. Tam się urodziłem. Hogun zginął w wypadku, kiedy miałem dwa lata. Po tym wydarzeniu Orrin odesłał Shillat do domu. Kontrakt przewidywał, iż żadne pochodzące z tego związku dziecko nie może odziedziczyć Dros Delnoch.

A co się tyczy Nadirów, to nie życzyli sobie, aby ich wodzem został mieszaniec.

– Musiałeś być bardzo nieszczęśliwy – powiedziała Valtaya.

– Miałem w swym życiu również dużo radości. Nie musisz się nade mną litować, pani.

– W jaki sposób zostałeś generałem Smoka?

– Miałem szesnaście lat, kiedy Khan, mój dziad, wysłał mnie do Delnoch. Stanowiło to część kontraktu małżeńskiego. Tam powitał mnie mój drugi dziadek, mówiąc, że ma dla mnie stanowisko w legionie Smoka. Proste!

Scaler spojrział w ogień. Jego myśli poszybowały w przeszłość.

Proste? Jak można określić w ten sposób tak straszną chwilę?

Pamiętał, że tamtego dnia, gdy wartownik na wieży Eldibar zadął w trąbkę, padał deszcz.

Jego dziadek, Orrin znajdował się w jednej z warownych wież, gdzie wraz ze swym gościem przeprowadzał gry wojenne. Scaler siedział na wysokim stołku jak na grzędzie i obserwował jak rzucali kostką, przesuwali maleńkie oddziały żołnierzy, gdy niesiony wichrem dźwięk trąbki odbił się upiornym echem w zamkowych komnatach...

– Przybył ten nadiryjski szczeniak – powiedział Orrin. – Ależ wybrał sobie dzień.

Ubrali Scalera w płaszcz z oliwionej skóry oraz skórzany kapelusz z szerokim rondem i ruszyli w długą drogę do Pierwszego Muru.

Dotarwszy na miejsce, Orrin spojrział w dół na dwudziestu jeźdźców oraz ciemnowłosego młodzieńca na białym, kudłatym kucu.

– Kto chce wejść do Dros Delnoch? – zawołał Orrin.

– Syn Shillat – krzyknął kapitan Nadirów.

– Tylko on może wejść – powiedział Orrin.

Wielkie wrota otworzyły się skrzypiąc, a oddział Nadirów zawrócił w miejscu i pogalopował z powrotem na północ.

Tenaka nie odwrócił się, by za nimi popatrzeć, ani nie zamienił z nimi ani jednego słowa.

Młodzieniec ubódł piętami boki wierzchowca, kierując go w głąb tunelu pod murem, a potem dalej na zielone pole, dzielące Pierwszy od Drugiego Muru. Tam zeskoczył z siodła i czekał na swojego dziadka.

– Nie jesteś tutaj mile widziany – powiedział Orrin. – Dotrzymam jednak danego słowa.

Postarałem się dla ciebie o przydział do legionu Smoka, do którego dołączysz za trzy miesiące.

Do tego czasu chcę, abyś poznał zwyczaje Drenajów. Nie życzę sobie, żeby któryś z moich krewnych jadł palcami w oficerskiej mesie.

– Dziękuję, dziadku – powiedział Tenaka.

– Nie nazywaj mnie tak – warknął Orrin. – Nigdy więcej! Będziesz się do mnie zwracał:

„milordzie" lub „sir" – jeśli nie będziemy sami. Rozumiesz?

– Tak, dziadku. Będę posłuszny twojej woli. – Wzrok Tenaki spoczął na dziecku.

– To jest mój prawdziwy wnuk – powiedział Orrin. – Wszystkie moje dzieci nie żyją. Tylko ten malec przetrwał, by kontynuować moją linię. Ma na imię Arvan.

Tenaka skinął głową i spojrział na czarnobrodego mężczyznę, stojącego po lewej ręce Orrina.

– A to przyjaciel Domu Regnaka – jedyny doradca w całym kraju, na którym może polegać.

Na imię ma Ceska.

– Miło mi poznać – powiedział Ceska, wyciągając rękę. Tenaka uściskał ją mocno, zaglądając w jego ciemne oczy.

– A teraz wejdźmy do środka i schrońmy się przed tym przeklętym deszczem – mruknął

Orrin. Posadziwszy dziecko na swych szerokich ramionach, siwobrody Książę ruszył w stronę odległej wieży. Tenaka zebrał wodze kuca i podążył za nim, z Ceską u swego boku.

– Niech cię nie zrazi jego sposób bycia, młody książę – powiedział Ceska. – Jest stary i niełatwo zmienia swoje zwyczaje. Tak naprawdę jest jednak wspaniałym człowiekiem. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy pośród Drenajów. Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował

mojej pomocy, nie wahaj się o nią poprosić.

– Dlaczego? – zapytał Tenaka.

– Podobasz mi się – odpowiedział Ceska, klepiąc go po ramieniu. – A kto wie – może pewnego dnia zostaniesz Księciem.

– To mało prawdopodobne.

– Prawda, przyjacielu. Jednak Dom z Brązu przeżywa ostatnio trudne chwile. Jak powiedział

Orrin, wszystkie jego dzieci odeszły. Tylko Arvan pozostał.

– Wygląda na zdrowe dziecko.

– To prawda. Lecz wygląd o niczym nie świadczy, nieprawdaż?

Tenaka nie był pewien, czy zrozumiał go właściwie. Wyczuwał jednak w jego słowach ukrytą, złowrogą obietnicę. Nie odpowiedział.

Tenaka słuchał w milczeniu Valtayi, opowiadającej mu o zdarzeniu na rynku i o tym jak przekupili nocnego wartownika, który pozwolił im się wymknąć z miasta przez północną bramę.

Ananais przyniósł ogromne ilości jedzenia, a także dwa łuki i osiemdziesiąt strzał w kołczanach z zajęczej skóry. Valtaya miała też zapasowe koce oraz rolkę płótna na nieduży namiot. Po skończonym posiłku Tenaka zabrał Ananaisa na przechadzkę. Znaleźli ustronne miejsce wśród drzew i przysiedli na skałach, oczyściwszy je przedtem ze śniegu.

– W górach Skody wybuchło powstanie – powiedział Ananais. – Legioniści Ceski napadli na dwie wsie. Jeden z mieszkańców o imieniu Rayvan zebrał niewielką armię i pozabijał

najeźdźców. Mówią, że ludzie idą mu z pomocą, ale nie sądzę, by mógł się długo utrzymać. To człowiek z ludu.

– Chciałeś powiedzieć, że nie jest potomkiem szlachetnej krwi – stwierdził sucho Tenaka.

– Nie mam nic przeciwko prostym ludziom. Jednak on nie ma odpowiedniego przeszkolenia, żeby zaplanować całą kampanię.

– Co jeszcze?

– Dwa powstania na wschodzie – obydwą bezlitośnie stłumione. Wszystkich mężczyzn ukrzyżowano, pola obsiano solą. Znasz ten system!

– A południe?

– Trudno powiedzieć. Mało wiadomości. Tam jednak jest Ceska. Nie przypuszczam, żeby powstał przeciw niemu. Mówi się, że powstał tajny spisek przeciw imperatorowi, lecz mało prawdopodobne, aby było to coś więcej niż plotki.

– Co proponujesz? – zapytał Tenaka.

– Chodźmy do Drenanu, zabijmy tego tyrana Ceskę, a potem – na zasłużony odpoczynek.

– Tak po prostu?

– Najlepsze plany zawsze są najprostsze, Tani.

– Co zrobimy z kobietami?

Ananais wzruszył ramionami. – A cóż możemy z nimi zrobić? Mówisz, że Renya chce zostać z tobą? Niech więc idzie. Możemy ją zostawić u przyjaciół w Drenanie. Wciąż znam tam kilku ludzi, na których można polegać.

– A Valtaya?

– Ona nie zostanie z nami – nic tu po niej. Zostawimy ją w następnym mieście.

Tenaka podniósł brew. – Nic tu po niej?

Ananais odwrócił wzrok. – Już nie, Tani. Być może kiedyś.

– Dobrze więc. Pójdziemy w kierunku Drenanu, zbaczając trochę na zachód. Góry Skoda muszą być piękne o tej porze roku.

Wrócili do obozowiska, gdzie czekali na nich trzech obcy mężczyźni. Tenaka powiedział

cicho: – Rozejrzyj się dokoła, Ani. Zobacz, czy nie kryje się tam więcej niespodzianek.

Potem podszedł do tamtych. Dwóch z nich wyglądało na wojowników, wiekiem zbliżonych do Tenaki. Trzeci był stary, niewidomy i miał na sobie zniszczoną szatę Poszukiwaczy.

Mężczyźni podeszli bliżej. Niesamowicie podobni do siebie, mieli takie same czarne brody i takie same surowe spojrzenia, tylko jeden był minimalnie wyższy. Przemówił niższy.

– Nazywam się Galand, a to mój brat, Parsal. Chcemy się do ciebie przyłączyć, generale.

– W jakim celu?

– Żeby obalić Ceskę.

– Nie potrzebuję pomocy, Galandzie.

– A więc nie rozumiem tej gry, generale. Przecież Złoty, będąc w Sousie, powiedział, że Smok powrócił. Jeżeli tak, to pomyślałem, że ja także powinienem wrócić. Nie poznajesz mnie, prawda?

– Nie – odpowiedział Tenaka.

– Nie miałem wtedy brody. Byłem Barem Trzeciego Skrzydła, pod Eliasem. Byłem też instruktorem szermierki i pokonałem cię w jednym turnieju.

– Pamiętam. Półksiężycowa riposta! Mogłeś rozciąć mi wtedy krtań. Został mi po tym spory siniak.

– Mój brat jest równie dobry. Chcemy podjąć służbę.

– Nie ma czemu służyć, przyjacielu. Planuję zabić Ceskę. To zadanie dla jednego zdecydowanego na wszystko człowieka, a nie dla wojska.

– A więc zostaniemy z tobą, aż dopniesz swego! Kiedy nadszedł ów rozkaz, zmuszający nas do powrotu i ponownego sformowania legionu Smoka, chorowałem. Od tego czasu umieram z rozpaczy. Wielu dobrych ludzi wpadło w pułapkę. To nie jest sprawiedliwe.

– Jak nas znalazłeś?

– Szedłem za ślepcem. Dziwne, nie sądzisz?

Tenaka podszedł do ognia i usiadł naprzeciw Poszukiwacza. Mistyk podniósł głowę.

– Szukam Niosącego Pochodnię – szepnął.

– Któż to taki? – spytał Tenaka.

– Czarny Duch unosi się nad tą krainą jak ogromny cień – szeptał starzec. – Szukam Niosącego Pochodnię, przed którym umykają wszelkie cienie.

– Kim jest człowiek, którego szukasz? – nalegał Tenaka.

– Nie wiem. Czy to ty?

– Wątpię – odpowiedział Tenaka. – Zjesz z nami?

– Moje sny mówią, że nakarmi mnie Niosący Pochodnię. Czy to ty?

– Nie.

– Jest ich trzech – powiedział starzec. – Ze Złota, Lodu i Cienia. Jeden z nich to Niosący Pochodnię. Ale który? Mam dla niego przesłanie.

Scaler podszedł do nich i przykucnął obok starego.

– Poszukuję prawdy – powiedział.

– Ja znam prawdę – odpowiedział mistyk, wyciągając rękę. Młodzieniec położył na jego dłoni małą srebrną monetę.

– Zrodzony z brązu, jesteś prześladowany i ścigany, spychany ze ścieżki ojców. Pokrewny ceniom, nie znasz spokoju ani ukojenia. Szybują ciemne włócznie, by pochłonąć czarne skrzydła. Wytrwasz tam, gdzie zawiodą inni. To jest w czerwieni, którą nosisz w sobie.

– Co to znaczy? – zapytał Tenaka.

Scaler wzruszył ramionami i odszedł.

– Śmierć mnie wzywa. Muszę usłuchać – szepnął mistyk. – A Niosącego Pochodnię wciąż nie ma.

– Zostaw mi wiadomość, starcze. Obiecuję, że przekażę ją dalej.

– Czarni Templariusze jadą przeciw Księciu Cieni. Nie może się przed nimi ukryć, ponieważ pochodnia, którą niesie, świeci jasno w mroku. Myśl jednak jest szybsza od strzała, a prawda tnie pewniej niż ostrze miecza. Bestie można pokonać, lecz dokona tego tylko Król Poza Bramą.

– Czy to wszystko? – zapytał Tenaka.

– Ty jesteś Niosącym Pochodnię – powiedział starzec. – Teraz widzę wyraźnie. To Ciebie wybrało Źródło.

– Jestem Księciem Cieni – powiedział pół-Drenaj. – Nie wierzę jednak w Źródło ani w żadnego innego boga.

– Ale Ono wierzy w ciebie – powiedział stary. – Muszę już iść. Nadchodzi mój czas.

Tenaka popatrzył za odchodzącym, który kuśtykał po śniegu bosymi, sinymi z zimna stopami. Po chwili podszedł do niego Scaler.

– Co ci powiedział? – zapytał.

– Nie zrozumiałem go.

– Powtórz mi, o czym mówiliście. – Po wysłuchaniu Tenaki Scaler stwierdził: – Niektóre znaki łatwo odszyfrować. Na przykład Czarni Templariusze. Czy słyszałeś o Trzydziestu?

– Tak. Wojujący mnisi, którzy całe życie ćwiczą się w czystości serca, aby potem umrzeć w jakiejś nieznanej wojnie. Ich Zakon wyginął przed laty.

– Czarni Templariusze są ich nędzną parodią. Czczą Ducha Chaosu, a władają mocami zła i śmierci.

Czerpią przyjemność z wszelkich nikczemności i są groźnymi wojownikami.

– Ceska wysłał ich przeciwko mnie?

– Na to wygląda. Przewodzi im człowiek o imieniu Padaxes. W każdej świątyni znajduje się sześćdziesięciu sześciu wojowników, a jest ich dziesięć. Posiadają oni moce wykraczające poza możliwości normalnego człowieka.

– Będą im potrzebne – rzekł ponuro Tenaka. – Jak wytłumaczysz pozostałe słowa?

– Myśl jest szybsza od strzał? Że rozumem pokonasz wrogów. Nie wiem tylko, co to za Król Poza Bramą. Jednak ty powinieneś to rozumieć.

– Dlaczego?

– Ponieważ to przesłanie było dla ciebie. Musisz być jego częścią.

– A wiadomość przekazana tobie?

– O co pytasz?

– Co oznacza?

– Że muszę podążać za tobą, chociaż wcale tego nie pragnę.

– Nie rozumiem – powiedział Tenaka. – Masz wolną wolę – możesz iść, dokąd zechcesz.

– Zgadza się – odpowiedział Scaler uśmiechając się. – Jednak nadszedł już czas, abym odnalazł swoją drogę. Pamiętasz słowa starca? „Pochodzisz z Brązu”? Moim przodkiem również był Regnak Wędrowiec. „Pokrewny Cieniowi”? To o tobie mowa, kuzynie. „Ciemne włócznie szybują”? To Templariusze. Czerwień, którą noszę w sobie? Krew Księcia z Brązu. Czas przestać uciekać.

– Arvan?

– Tak.

Tenaka położył ręce na ramionach młodzieńca. – Często zastanawiałem się, co się z tobą stało.

– Ceska kazał mnie zabić, ale uciekłem. Długo już się ukrywam. O wiele za długo! Wiesz, że nie jestem zbyt dobrym szermierzem.

– To nie ma znaczenia. Dobrze, że znów cię widzę.

– A ja ciebie. Śledziłem twoją karierę i prowadziłem rejestr twoich sukcesów. Jeszcze pewnie jest gdzieś w Delnoch. A przy okazji, było coś jeszcze w słowach starca, coś na samym początku. Powiedział, że jest was trzech. Ze Złota, Lodu i Cienia. Ananais to ten Złoty. Ty jesteś Księciem Cieni. Kim jest ten z Lodu?

Tenaka odwrócił się i spojrział w dal.

– Był kiedyś taki człowiek. Nazywano go Lodowatym Zabójcą, ponieważ żył tylko po to, żeby zabijać. Nazywał się Decado.

Przez trzy dni maszerowali skrajem lasu na południowy zachód, w kierunku gór Skoda.

Ociepliło się i zaczął topnieć śnieg. Posuwali się do przodu, zachowując czujność. Drugiego dnia natknęli się na ciało niewidomego Poszukiwacza, klęczące pod karłowatym dębem. Zostawili go tam, ponieważ ziemia była jeszcze zbyt twarda, żeby go pochować.

Galand i jego brat przystanęli przy zmarłym.

– Nie wygląda na szczęśliwego – powiedział Parsal, drapiąc się w brodę.

– Trudno powiedzieć czy się uśmiecha, czy też śmierć wykrzywiła mu twarz w ten sposób – powiedział Galand. – Za jakiś miesiąc nie będzie już taki radosny.

– A my? – szepnął Parsal. Jego towarzysz wzruszył ramionami i razem dołączyli do pozostałych.

Galand miał więcej szczęścia i zdecydowanie więcej sprytu niż wielu innych wojowników Smoka. Kiedy wydano rozkaz rozpuszczenia oddziału, udał się na południe i nie chwalił się swoją przeszłością. Kupił niewielką farmę w pobliżu lasu Delving, na południowy zachód od stolicy. Kiedy nadeszły czasy terroru, pozostawiono go w spokoju. Ożenił się z wiejską dziewczyną i założył rodzinę. Jednak pewnego jasnego jesienno dnia, przed sześciu laty, dziewczyna zniknęła. Mówiono wtedy, że Spojeni porywają kobiety, ale Galand wiedział, że ona nigdy go nie kochała... a tego samego dnia zniknął pewien wieśniak o imieniu Carcas.

Do Delving zaczęły docierać plotki o ściganiu dawnych oficerów Smoka. Mówiono, że nawet sam Baris został aresztowany. Nie zdziwiło go to – zawsze podejrzewał, że Ceska okaże się tyranem.

Wybraniec prostych ludzi! A od kiedy to ktoś z tej śmierdzącej klasy dbał o nich?

Nieduża farma dobrze prosperowała i z czasem Galand odkupił od pewnego wdowca, za niemal symboliczną cenę, sąsiednią parcelę. Tamten wyjeżdżał do Vagrii – miał brata w Drenanie, który ostrzegł go przed groźącymi im zmianami.

Wtedy pojawili się żołnierze.

Nowe prawo stanowiło, iż obywatele nie legitymujący się szlacheckim urodzeniem mogą posiadać najwyżej cztery akry ziemi. Nadwyżki odkupowało państwo za cenę, przy której symboliczna zapłata wydawała się królewskim okupem. Zwiększono podatki i wprowadzono obowiązkowe dostawy. Te okazały się zbyt wygórowane już w pierwszym roku, z powodu wyjałowienia gleby. Obsiano ugory i wielkość plonów spadła.

Galand przyjmował to wszystko ze spokojem i nigdy się nie uskarżał.

Aż do dnia, w którym umarła jego córka. Wybiegła zobaczyć kłusujących jeźdźców i stratował ją koń. Galand widział jak upadła, podbiegł i przytulił ją do siebie.

Jeździec zsiadł z konia. – Nie żyje? – zapytał.

Nie mogąc wypowiedzieć słowa, skinął głową.

– Co za pech – powiedział jeździec. – To zwiększy twoją stawkę podatkową.

Zginał, pchnięty w serce sztyletem Galanda. Wyrwawszy z pochwy miecz zabitego, rzucił się na drugiego jeźdźca, płosząc jego rumaka; mężczyzna runął na ziemię, gdzie Galand zabił go podcinając mu gardło. Pozostali czterej zawrócili konie i oddalili się o około trzydzieści kroków.

Mężczyzna podszedł do czarnego ogiera, który zabił jego córkę i obiema rękami wbił miecz w jego szyję. Potem wskoczył na siodło drugiego konia i pogalopował na północ.

Odnalazł w Vagrii swojego brata, który pracował tam jako kamieniarz.

Głos Parsala wyrwał go z zadumy. Znajdowali się kilkadziesiąt kroków za resztą.

– Co mówiłeś?

– Powiedziałem, że nigdy nie przypuszczałem, iż kiedykolwiek będę służyć Nadirowi.

– Rozumiem; na samą myśl krew krzepnie ci w żyłach. A jednak on pragnie tego samego, co my.

– Czy naprawdę? – wyszeptał Parsal.

– A cóż to znaczy?

– Oni wszyscy należą do jednego gatunku: elity wojowników. Dla nich to tylko gra – im nie zależy.

– Nie lubię ich, bracie. Jednak to wojownicy Smoka, a to znaczy więcej niż urodzenie. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Choć dzielą nas całe światy, oddaliby za mnie życie – a ja za nich.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz!

– Jestem w życiu pewien tylko kilku rzeczy. To jedna z nich.

Parsal nie był do końca przekonany, lecz nic nie powiedział, tylko spojrzał na dwóch wojowników przed sobą.

– Co się stanie, kiedy już zabijemy Ceskę? – zapytał nagle.

– O co ci chodzi?

– Sam nie wiem. To znaczy – co zrobimy potem?

Galand wzruszył ramionami.

– Zapytasz mnie o to wtedy, kiedy jego ciało będzie krwawiło u mych stóp.

– Według mnie, nic się nie zmieni.

– Możliwe, ja jednak otrzymam moją zapłatę.

– Czy nie martwi cię fakt, że odbierając ją możesz zginąć?

– Nie! A ciebie? – zapytał Galand.

– Diabelnie!

– Nie musisz tutaj zostać.

– Oczywiście, że muszę! Zawsze opiekowałem się tobą. Nie mogę cię przecież zostawić z Nadirem, prawda? A dlaczego ten drugi nosi maskę?

– Myślę, że ma blizny lub coś takiego. Występował na arenie.

– Wszyscy mamy blizny. Trochę to próżne, czyż nie?

– Jesteś w takim nastroju, że nic ci się nie podoba – powiedział Galand ze śmiechem.

– Tak tylko myślę. Ci dwaj również stanowią dziwną parę – mruknął Parsal, zerkając na Beldera i Scalera, idących obok kobiet.

– Nic nie możesz mieć przeciwko nim – nawet ich nie znasz.

– Staruszek wygląda na zwinnego.

– Ale?

– Nie sędzę, żeby ten młody zdołał wyrąbać sobie drogę, nawet przez mgłę.

– A skoro już przy tym jesteśmy, to nie przypuszczam, abys chciał krytykować kobiety.

– Nie – powiedział Parsal z uśmiechem. – Tu nie ma czego krytykować. Która ci się podoba?

Galand potrząsnął głową i roześmiał się. – Nie dam się w to wciągnąć – powiedział.

– Mnie się podoba ta ciemna – powiedział Parsal bez zażenowania.

Rozłożyli obóz w płytkiej kotlinie. Renya jadła niewiele, a potem odeszła w ciemność, aby popatrzeć na gwiazdy. Tenaka dołączył do niej i tak siedzieli razem, owinięci jego płaszczem.

Opowiedział jej Illae, o Ventrii i o pięknie pustyni. Mówiąc, gładził ją po ramieniu i po plecach,

całował jej włosy.

– Nie potrafię powiedzieć, czy cię Kocham – powiedział nagle.

– Więc nie mów.

– Nie przeszkadza ci to?

Potrząsnęła przecząco głową i pocałowała go, obejmując ramieniem za szyję.

Jesteś głupcem Tenaka Khan – pomyślała. – Cudownym, Kochanym głupcem!

Rozdział 6

Murzyn dobrze się bawił. Dwaj rabusie leżeli już na ziemi, pozostało jeszcze pięciu. Zważył

w ręce krótki, metalowy pręt i zakręcił przymocowanym do niego łańcuchem. Wysoki mężczyzna z pałką skoczył do przodu, jednak ręka Murzyna była szybsza, i łańcuch owinął się wokół broni napastnika. Ciemnoskóry pociągnął i złodziej zatoczył się – wprost na jego lewy sierpowy, upadając na ziemię.

Dwaj z pozostałej czwórki rzucili swoje kije i wyciągnęli zza pasów wygięte sztylety.

Pozostali uciekli między drzewa i sięgnęli po łuki.

Sytuacja przestała być zabawna. Do tej pory Murzyn jeszcze żadnego nie zabił, jednak teraz będzie chyba musiał. Odrzucił maczugę i wyjął z butów dwa noże.

– Naprawdę chcecie zginąć? – zapytał ich głębokim i dźwięcznym głosem.

– Nikt nie zginie – odezwał się głos z lewej. Murzyn odwrócił się. Na krawędzi lasu stało dwóch ludzi; obydwaj mieli w rękach łuki, wycelowane w opryszków.

– W samą porę! – skomentował Murzyn. – Zabili mi konia.

Tenaka lekko poluzował cięciwę i wysunął się do przodu.

– Uznaj to za kolejne doświadczenie życiowe – powiedział do Murzyna. Potem zwrócił się do bandytów. – Proponuję, żebyście złożyli broń – walka skończona.

– I tak więcej z nim było kłopotu niż to było warte – powiedział przywódca i pochylił się nad leżącymi na ziemi.

– Wszyscy są żywi – powiedział Murzyn, chowając noże i zwijając łańcuch buzdygana.

Spomiędzy drzew dobiegł krzyk, na dźwięk którego banita zerwał się na równe nogi.

Na polanę wyszli Galand, Parsal i Belder.

– Miałeś rację, generale – powiedział Galand. – Jeszcze dwóch czaiło się w krzakach.

– Zabiliście ich? – zapytał Tenaka.

– Nie. Tylko rozbolały ich głowy!

Pół-Drenaj odwrócił się do bandyty.

– Czy będziemy jeszcze mieli z wami jakieś kłopoty?

– Chyba nie chcesz, żebym dał ci słowo, co? – odpowiedział tamten.

– A czy jest ono coś warte?

– Czasami!

– Nie, nie potrzebuję twojego słowa. Rób jak chcesz. Jeśli jednak spotkamy się ponownie, dopilnuję żeby was wszystkich zabito. Masz na to moje słowo!

– Słowo barbarzyńcy – powiedział tamten. Odchrząknął i splunął.

Tenaka roześmiał się szeroko. – Właśnie.

Odwrócił się plecami, a potem, minawszy Ananaisa, wszedł między drzewa. Valtaya przygotowała już ognisko i rozmawiała ze Scalerem. Renya, ze sztyletem w dłoni, wróciła na polankę jednocześnie z Tenaką; uśmiechnął się do niej. Powracali wszyscy oprócz Galanda, który został, aby obserwować bandytów.

Ostatni przyszedł Murzyn, z dwoma jukami przewieszonymi przez szerokie ramię. Był

wysoki i potężnie zbudowany. Pod kozuchem z owczej skóry miał dopasowaną tunikę z błękitnego jedwabiu. Valtaya nigdy dotąd nie widziała takiego człowieka, choć słyszała opowieści o ciemnoskórych plemionach z dalekiego wschodu.

– Witajcie, przyjaciele – powiedział mężczyzna, rzucając na ziemię swoje tobołki. – Obyście dostąpili wielu błogosławieństw!

– Zjesz z nami? – zapytał Tenaka.

– Dziękuję, ale mam własne zapasy.

– Dokąd zdążasz? – zapytał Ananais.

Ciemnoskóry sięgnął do swoich tobołów, wyjął z nich dwa jabłka i otarł je o tunikę.

– Zwiedzam wasz piękny kraj. Nie mam jeszcze określonego celu.

– Skąd jesteś? – zapytała Valtaya.

– Z bardzo daleka, pani, wiele tysięcy lig na wschód od Ventrii.

– Pielgrzymujesz? – dociekał Scaler.

– Można to tak nazwać. Mam do wypełnienia pewną drobną misję, potem wrócę do mojej rodziny.

– Jak masz na imię? – zapytał Tenaka.

– Obawiam się, że byłoby ono dla was zbyt trudne do wymówienia. Jednak jeden z bandytów nazwał mnie imieniem, które zdaje się być odpowiednie. Możecie mówić na mnie Pagan.

– Ja jestem Tenaka Khan – przedstawił się Khan Cieni, prezentując po chwili innych.

Ananais wyciągnął rękę, którą Pagan mocno uścisnął. Ich oczy się spotkały. Tenaka odchylił

się i obserwował ich. Wyglądali jak odlani z tej samej formy, potężnie zbudowani i niezwykle dumni. Jak dwa byki na arenie, mierzące się wzrokiem przed walką.

– Twoja maska wygląda dramatycznie – powiedział Pagan.

– Tak. Dzięki niej wyglądamy jak bracia, czarny człowieku – odpowiedział Ananais, na co Pagan parsknął szczerym i donośnym śmiechem.

– A więc jesteśmy braćmi, Ananaisie! – powiedział. Spośród drzew wyłonił się Galand i podszedł do Tenaki.

– Pojechali na północ. Nie sądzę, żeby wrócili.

– Doskonale! Spisaliście się świetnie.

Galand skinął głową i usiadł obok brata. Renya dała znak Tenace i oboje odeszli od ogniska.

– O co chodzi? – zapytał.

– O Murzyna.

– A co z nim?

– Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś miał przy sobie tyle broni. W butach ma dwa noże; miecz i dwa haki zostawił pod drzewami. A pod jego koniem widziałam złamany topór. To istna jednoosobowa armia.

– Cóż z tego?

– Czy nasze spotkanie było naprawdę przypadkowe?

– Myślisz, że może nas ścigać?

– Nie wiem. Jednak czuję, że jest zabójcą. Jego pielgrzymka ma coś wspólnego ze śmiercią.

Ananaisowi też się nie spodobał.

– Nie martw się – powiedział cicho.

– Nie pochodzę z plemienia Nadirów, Tenaka. Nie jestem fatalistką.

– Czy to wszystko, co cię martwi?

– Nie. Teraz, kiedy o tym mówisz – pomyślałam o braciach; nie lubią nas. Nie jesteśmy przyjaciółmi – jesteśmy tylko grupą obcych ludzi, których los zetknął ze sobą.

– Obaj bracia są silnymi i dobrymi wojownikami. Potrafię to ocenić. Wiem, że patrzą na mnie podejrzliwie, lecz nic na to nie poradzę. Ludzie zawsze traktują mnie w ten sposób. Jednak łączy nas wspólny cel. Z czasem nabiorą do mnie zaufania. Belder i Scaler? Nie wiem. Oni nie zrobią nam krzywdy. Co się zaś tyczy Pagana – zabiję go, jeżeli się okaże, że czyha na moje życie.

– Zabijesz, jeśli zdołasz!

– Tak. Jeśli zdołam.

– Mówisz o tym tak lekko. Ja widzę to inaczej.

– Za bardzo się martwisz. Sposób Nadirów jest lepszy: stawiaj czoło problemowi wtedy, gdy nadejdzie i nie martw się na zapas.

– Nigdy ci nie wybaczę, jeśli dasz się zabić – powiedziała.

– A więc pilnuj mnie, Renyo. Ufam twoim przeczuciom – naprawdę. Masz rację co do Pagana. Jest zabójcą i być może to my jesteśmy jego celem. Ciekawe, jakie kroki teraz podejmie.

– Zechce podróżować z nami – powiedziała.

– To zupełnie zrozumiałe. Jest obcy w naszym kraju i już raz go napadnięto.

– Powinniśmy mu odmówić. I tak już wystarczająco rzucamy się w oczy z powodu twojego przyjaciela i jego czarnej maski. A jeszcze z Murzynem w błękitnym jedwabiu?

– Tak. Bogowie – jeśli istnieją – są dzisiaj w dobrym humorze.

– Ja się nie śmieję – powiedziała Renya.

Tenaka obudził się z głębokiego snu; gwałtownie otworzył oczy, czując ogarniający go strach. Wstał z posłania. Księżyc świecił nienaturalnie jasno, błyszcząc jak niesamowita latarnia, a gałęzie drzew szeleściły i kołysały się, chociaż nie poruszał ich nawet najlżejszy podmuch wiatru.

Rozejrzał się wokół – wszyscy jego towarzysze spali. Potem spojrzął w dół i doznał szoku: jego ciało też tam leżało, owinięte w koce. Zadrżał.

Czy to śmierć?

Ze wszystkich okrutnych żartów, jakie potrafi płatać los...

Szmer cichy jak wspomnienie wczorajszego wiatru spowodował, że się odwrócił. Na skraju lasu, z mieczami w dłoniach, stało sześciu mężczyzn ubranych w czarne zbroje. Ruszyli ku niemu półokręgiem. Tenaka sięgnął po swój miecz, lecz nie mógł go dotknąć; ręka przeszła przez rękojeść, jakby broń utkana była z mgły.

– Zginiesz – powiedział niski głos. – Wzywa cię Duch Chaosu.

– Kim jesteście? – zapytał Tenaka, zawstydzony drżeniem swego głosu.

Odpowiedział mu szyderczy śmiech czarnych rycerzy.

– Jesteśmy Śmiercią – odpowiedzieli.

Pół-Drenaj cofnął się.

– Nie możesz uciec. Nie możesz się ruszyć – powiedział pierwszy z nich.

Tenaka zamarł. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a tamci podchodzili coraz bliżej. Nagle książę Nadirów uspokoił się, rycerze przerwali swój powolny marsz. Tenaka rozejrzał się na boki. Po jego obu stronach stało sześciu wojowników w srebrnych zbrojach i białych płaszczach.

– A więc chodźcie, psy ciemności – powiedział stojący najbliżej srebrny wojownik.

– Przyjdziemy – odrzekł czarny rycerz. – Jednak nie na twoje wezwanie.

Jeden po drugim wycofali się między drzewa.

Tenaka odwrócił się powoli, dezorientowany i przerażony, a srebrny wojownik, który przemówił do tamtych, położył mu dłoń na ramieniu.

– Teraz śpij. Źródło cię ochroni. Po chwili ogarnęła go ciemność.

Rankiem szóstego dnia opuścili las i wyszli na rozległą równinę, rozciągającą się od Skultik do Skody. W oddali, na południu, leżało miasto Karnak, lecz z tej odległości widać było tylko jego najwyższe wieże, widoczne jak białe igły na zielonym horyzoncie. Szare łąty śniegu rozdzielała już wiosenna trawa, szukająca słonecznych promieni.

Tenaka zauważył dym i podniósł rękę.

– To nie mogą być palące się trawy – powiedział Ananais, osłaniając oczy przed ostrym blaskiem

słońca.

– Płonie jakaś wieś – powiedział Galand, podchodząc do nich. – W dzisiejszych czasach takie widoki są zbyt częstym zjawiskiem.

– Nieszczęsny jest wasz kraj – powiedział Pagan i rzucił na ziemię swój ogromny toból, na którym położył juki. Do bagażu była przymocowana okuta brązem tarcza z utwardzonej bawolej skóry oraz łuk z rogów antylopy i skórzany kołczan.

– Taszczysz ze sobą więcej sprzętu niż cały pluton Smoka – mruknął Ananais.

– Z przyczyn uczuciowych – odparł z uśmiechem Pagan.

– Najlepiej będzie ominąć wieś – powiedział Scaler. Długie, mokre od potu włosy i powolny chód świadczyły o jego słabej formie. Usiadł obok tobołu Pagana.

Nagle usłyszeli zbliżający się z oddali tętent kopyt.

– Rozproszyc się i ukryć – powiedział Tenaka. Wszyscy rozbiegli się i schowali w gęstej trawie.

Na wierzchołku niewielkiego wzniesienia pojawiła się, biegnąca ile sił w nogach, kobieta. Jej rude włosy powiewały na wietrze. Miała na sobie zieloną, wełnianą spódnicę i brązowy szal. W

ramionach trzymała niemowlę, którego piski docierały do wędrowców.

Od czasu do czasu biegnąca oglądała się z przerażeniem za siebie. Od lasu, w którym mogła znaleźć schronienie, dzieliła ją jeszcze cała wieczność, gdy na wzgórzu pojawili się galopujący jeźdźcy. Mimo to biegła dalej, kierując się wprost na ukrytego Tenakę.

Ananais zaklął i wstał. Kobieta z krzykiem skręciła w lewo – prosto w ramiona Pagana.

Żołnierze wstrzymali konie, a ich przywódca zsiadł. Był wysokim mężczyzną i nosił na sobie czerwony płaszcz żołnierzy Delnoch. Jego brązowa zbroja była wypolerowana do połysku.

– Dzięki za pomoc – powiedział – chociaż jej nie potrzebowaliśmy.

Kobieta ucichła już i w rozpaczy przycisnęła twarz do szerokiej piersi Pagana.

Tenaka uśmiechnął się. Jeźdźców było dwunastu, w tym jedenastu wciąż na koniach. Nie było innego wyjścia; musieli oddać im kobietę. Nagle śmignęła strzała, przesywając szyję najbliższego jeźdźcy, który zwałił się z siodła. Tenaka, zaskoczony, zamrugał oczami. Druga wbiła się w pierś kolejnego żołnierza, który upadł w tył. Jego koń stanął dęba, zrzucając go z siodła. Książę Nadirów wyciągnął miecz i wbił go w plecy oficera, który odwrócił się, słysząc świst strzały.

Pagan odepchnął kobietę i padł na kolana, wyciągając z butów noże. Wystrzeliły z jego rąk jak błyskawice i dwaj kolejni żołnierze, próbujący opanować swe konie, padli martwi. Tenaka skoczył na siodło jednego z nich, zgarnął wodze i pchnął rumaka do przodu. Siedmiu pozostałych żołnierzy

dobyło broni. Dwaj natarli na Murzyna. Pół-Drenaj poderwał swego wierzchowca i wpadł między resztę. Jeden z koni przewrócił się, inne zaczęły się cofać i rzeć jak oszalałe.

Miecz Tenaki ciął powietrze, obok niego świsnęła strzała i wbiła się w lewe oko żołnierza.

Ciemnoskóry dobył miecza i rzucił się w lewo, unikając kopyt nacierających na niego koni, po czym zerwał się na równe nogi, zanim żołnierze wstrzymali wierzchowce. Podbiegł, zablokował cios z góry i zatopił miecz w boku jeźdźca. Gdy tamten z krzykiem spadł z siodła, Pagan błyskawicznie przesadził koński zad i skoczył na drugiego jeźdźca, ściągając go z siodła.

Ciężko upadli na ziemię, a Pagan jednym ciosem złamał tamtemu kark.

Renya odrzuciła łuk i ze sztyletem w ręku dołączyła do Tenaki i Ananaisa, którzy walczyli z pozostałymi żołnierzami. Skoczyła na grzbiet konia za plecami jeźdźca i wbiła mu sztylet między łopatki. Mężczyzna wrzasnął i próbował się odwrócić, lecz Renya zdzieliła go pięścią w ucho.

Kręgi szyjne trzasnęły i żołnierz zwałił się na ziemię.

Dwaj ostatni żołnierze zawrócili wierzchowce i bodąc je ostrogami, rzucili się do ucieczki.

Jednak Parsal z Galandem zagrodzili im drogę i ich konie stanęły dęba, zrzucając jednego z uciekających na ziemię. Drugi uparcie trzymał się w siodle, aż miecz Galanda przeszył mu krtań.

Parsal wyrwał miecz z ciała pierwszego jeźdźca.

– Wiesz co – zawołał, uśmiechając się szeroko. – Od kiedy tu wróciliśmy, wcale się nie nudzimy.

Galand chrząknął.

– Mieliśmy cholerne szczęście. – Otarł miecz o trawę, zebrał wodze obu koni i dołączył do pozostałych.

Kryjąc gniew, Tenaka zawołał do Pagana:

– Dobrze walczyłeś!

– Pewnie dlatego, że ostatnio dużo ćwiczę – odpowiedział Murzyn.

– Chciałbym wiedzieć, kto wypuścił strzałę? – krzyknął Ananais.

– Zapomnij o tym; już po wszystkim – powiedział Tenaka.

– A teraz wynośmy się stąd szybko. Proponuję wrócić do lasu nim zapadnie zmierzch. Teraz, kiedy mamy konie, możemy nadrobić stracony czas.

– Nie! – powiedziała kobieta z niemowlęciem. – Moja rodzina. Przyjaciele. Zarzynają ich tam teraz jak zwierzęta!

Tenaka podszedł do niej i położył ręce na jej ramionach. – Posłuchaj. Jeśli się nie mylę, ci żołnierze stanowili część kompanii, a to oznacza, że we wsi jest jeszcze około czterdziestu ludzi.

Dla nas to zbyt wielu – nie możemy wam pomóc.

– Moglibyśmy spróbować – powiedziała Renya.

– Zamilcz! – warknął Tenaka i Renya przerwała w pół słowa. Zwrócił się znowu do kobiety.

– Z przyjemnością powitamy cię wśród nas, a do wioski pojedziemy jutro. Zrobimy, co się da.

– Jutro będzie za późno!

– Prawdopodobnie już jest za późno – powiedział Tenaka. Kobieta odwróciła się od niego.

– Czegóż innego można oczekiwać od Nadira – powiedziała ze łzami w oczach. – Ale niektórzy z was to Drenajowie. Proszę, pomóżcie mi!

– Nie pomożemy nikomu umierając – powiedział Scaler.

– Chodź z nami. Udało ci się uciec – może innym także się uda. A poza tym, nic innego nie możesz zrobić. Chodź, pomogę ci wsiąść na konia.

Dosiedli wierzchowców i skierowali się w stronę lasu. Za ich plecami, na niebie kołowały kruki.

Tego wieczoru Tenaka zawołał Renyę i razem odeszli od obozowiska. Przez całe popołudnie nie zamienili ze sobą ani słowa.

Księżę Nadirów zachowywał się chłodno i z rezerwą. Wszedł na oświetloną księżycem polanę i dopiero wtedy krzyknął do dziewczyny:

– To ty wypuściłaś tę strzałę! Nigdy więcej nie działaj bez mojego rozkazu.

– A kim ty jesteś, żeby mi rozkazywać? – warknęła.

– Ja jestem Tenaka Khan, kobieto! Jeszcze raz mi się sprzeciwisz, a zostawię cię.

– Zabiliby tę kobietę i dziecko.

– Tak. Jednak przez ciebie wszyscy mogliśmy umrzeć. I cóż osiągnęłabyś w ten sposób?

– Ale nie zginęliśmy. Ocaliliśmy ją.

– Mieliśmy szczęście. Żołnierz czasami go potrzebuje, ale nie wolno mu na nim polegać. To nie jest prośba, Renya. To rozkaz: nigdy więcej tego nie zrobisz!

– Robię to, co uważam za słuszne – powiedziała. Otwartą dłonią uderzył ją w twarz. Ciężko upadła na ziemię, lecz natychmiast zerwała się z ogniem w oczach i palcami rąk zakrzywionymi jak szpony.

W jego dłoni błysnął sztylet.

– Mógłbyś mnie zabić, prawda? – wyszeptała.

– Bez wahania!

– Kochałam cię! Bardziej niż własne życie. Bardziej niż cokolwiek na świecie.

– Czy będziesz słuchać rozkazów?

– O, tak, Tenaka Khan, będę słuchać, dopóki nie dotrzemy do Skody. A wtedy opuszczę twoje towarzystwo. – Odwróciła się na pięcie i poszła w stronę obozowiska.

Tenaka schował sztylet i usiadł na kamieniu.

– Wciąż jesteś samotnikiem, Tani? – zapytał Ananais, wychodząc z cienia drzew.

– Nie mam ochoty rozmawiać.

– Byłeś dla niej zbyt surowy, chociaż miałeś całkowitą rację. Posunąłeś się jednak za daleko

– nie zabiłbyś jej przecież.

– Nie. Nie zabiłbym.

– Ona cię przeraża, co?

– Powiedziałem, że nie chcę rozmawiać.

– To prawda, ale rozmawiasz z Ananaisem – twoim kalekim przyjacielem, który zna cię jak nikt inny. Myślisz, że jeśli narażamy się na śmierć, to nie ma już miejsca na miłość. Nie bądź

głupcem – ciesz się nią dopóki możesz.

– Nie mogę – powiedział Tenaka pochylając głowę. – Kiedy tutaj przybyłem, widziałem tylko Ceskę. Teraz coraz więcej czasu poświęcam myślom o... wiesz.

– Oczywiście, że wiem. Gdzie jednak podziały się twoje nadiryjskie zasady? Niech jutro samo martwi się o siebie.

– Jestem tylko półkrwi Nadirem.

– Idź i porozmawiaj z nią.

– Nie. Tak jest lepiej.

Ananais wstał i przeciągnął się. – Chyba prześpię się trochę.

Odszedł w stronę obozu, przystając po drodze przy Renyi, która siedziała samotna, smutnie wpatrując się w płomienie.

Przykucnął obok. – Niektórzy mężczyźni są dziwni – powiedział do niej. – W sprawach wojny lub interesów potrafią być geniuszami – roztroprnymi aż do przesady. W sprawach serca są jak dzieci. Z kobietami jest inaczej; umieją rozpoznać dziecko w mężczyźnie.

– Chciał mnie zabić – szepnęła.

– Naprawdę tak myślisz?

– A ty nie?

– Renya, on ciebie kocha. Nie mógłby cię zranić.

– A więc dlaczego tak powiedział?

– Żebyś w to uwierzyła, znenawidziła go i odeszła.

– No cóż, udało mu się – powiedziała.

– Szkoda. Poza tym... nie powinnaś była wypuszczać tej strzały.

– Wiem! – odburknęła. – Nie musisz mi mówić. Po prostu... nie mogłam pozwolić, żeby zabili dziecko.

– No tak. Mnie też niezbyt się to podobało. – Spojrzał na drugą stronę ogniska, gdzie spała tamta kobieta. Czarny olbrzym, Pagan, siedział oparty plecami o drzewo i trzymał przy piersi niemowlę. Małeństwo wyciągnęło pulchną rączkę i objęło palec Murzyna, a on przemawiał doń niskim, cichym głosem.

– Umie obchodzić się z dziećmi, nie sądzisz? – spytał Ananais.

– Tak – i z bronią także.

– Ten człowiek jest chodzącą tajemnicą. Wciąż mu się przyglądam.

Renya spojrzała w jasnoniebieskie oczy, patrzące spod czarnej maski. – Lubię cię, Ananais.

Naprawdę.

– Jeśli lubisz mnie, to powinnaś też lubić moich przyjaciół – powiedział i kiwnął głową w stronę wysokiej postaci Tenaki Khana, zmierzającego do posłania.

Potrząsnęła głową i znów wpatrzyła się w ogień.

– Szkoda – powtórzył.

Wjechali do wsi dwie godziny po wschodzie słońca. Wcześniej Galand udał się na zwiad i przyniósł wiadomość, że żołnierze wyruszają na południe, w kierunku odległych wież Karnaku.

Osada była spalona, ze zwęglonych bierwion unosiły się wciąż obłoki czarnego dymu. Wszędzie leżały ciała, a przed wypalonymi budynkami stało dziesięć krzyży, z których zwisały ciała radnych. Przed ukrzyżowaniem byli bici i chłostani, a potem połamano im nogi, wskutek czego ich poranione ciała obwisły, odcinając dopływ powietrza do płuc.

– Zamieniliśmy się w barbarzyńców – stwierdził Scaler i zawróciwszy konia, odjechał.

Belder przytaknął tylko skinieniem głowy, podążając za młodym Drenajem na łąki poza wsią.

Tenaka zsiadł z konia na placyku pośrodku osady, gdzie leżało najwięcej ciał – ponad trzydzieścioro kobiet i dzieci.

– Przecież to bez sensu – powiedział, gdy dołączył do niego Ananais. – Kto teraz będzie pracować na polach? Jeżeli podobnie jest w całym imperium...

– Jest – rzekł Galand.

Kobieta z niemowlęciem nakryła głowę szalem i zamknęła oczy. Pagan dostrzegł ten ruch i podjechał do niej, żeby wyjąć z jej rąk wodze.

– Poczekamy na was przed wsią – powiedział. Valtaya i Renya pojechały za nimi.

– To dziwne – powiedział Ananais. – Od wieków Drenajowie walczyli z narodami, które mogłyby tak zniszczyć naszą ziemię. A teraz my sami ją niszczymy. Co za ludzi powołują do wojska?

– Zawsze znajdą się tacy, którzy lubią taką robotę – odpowiedział Tenaka.

– Może wśród twoich – powiedział cicho Parsal.

– Cóż to miało znaczyć? – warknął Ananais, zwracając się do czarnobrodego żołnierza.

– Daj spokój! – rozkazał Tenaka. – Masz rację, Parsal. Nadirowie to barbarzyńcy. Jednak nie oni to zrobili. Ani Vagrianie. Jak powiedział Ananais, zrobiliśmy to sami.

– Wybacz mi, generale – mruknął Parsal. – Jestem po prostu zły. Wynośmy się stąd.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie – powiedział nagle Galand. – Czy zabicie Ceski zmieni to wszystko?

– Nie wiem – odpowiedział Tenaka.

– Trzeba go zniszczyć.

– Nie wydaje mi się, aby sześciu mężczyzn i dwie kobiety mogli obalić imperium. A ty jak sądzisz?

– Jeszcze kilka dni temu był tylko jeden człowiek – rzekł Ananais.

– Parsal ma rację, wynośmy się stąd – powiedział Tenaka. W tym momencie usłyszeli płacz dziecka i wszyscy czterej podbiegli do ciała, odciągając je na boki. Dotarli w końcu do ciała grubej staruszki, której martwe ramiona otaczały troskliwie pięcioletnią dziewczynkę. W plecach kobiety widniały trzy okropne rany; widocznie przykucnęła nad dzieckiem, chcąc je osłonić.

Jednak lanca przebiła jej ciało i zraniła leżące pod nią dziecko. Parsal wyciągnął dziewczynkę i zbladł, widząc jej przesiąknięte krwią ubranie. Wniósł dziewczynkę poza granicę wioski, gdzie czekała reszta grupy. Na jego widok Valtaya podbiegła i wyciągnęła ręce, aby uwolnić go od tego drobnego ciężaru.

Ułożyli ją delikatnie na trawie. Po chwili mała otworzyła oczy; były błękitne i jasne.

– Nie chcę umierać – wyszeptała. – Proszę?... – Uklękła przy niej kobieta z wioski, podnosząc jej głowę i tuląc ją w ramionach. – Wszystko będzie dobrze, Alaya; to ja, Parise.

Wróciłam, żeby się tobą zaopiekować.

Dziecko uśmiechnęło się słabo, lecz ten uśmiech zaraz zastygł i zamienił się w grymas bólu.

Widać było, jak ucieka z niej życie.

– Och nie! Proszę, nie! – jęknęła Parise. – Słodki boże światła, nie! – Jej własne niemowlę zaczęło płakać. Pagan podniósł je z ziemi i przytulił do piersi.

Galand odwrócił się i padł na kolana. Podszedł do niego Parsal. Zauważył ciekące mu po policzkach łzy. Potrząsnął głową, nie mogąc wykrztusić słowa.

Ukląkł przy nim. – Wiem, bracie, wiem – powiedział łagodnie. Galand wziął głęboki oddech i wyciągnął miecz.

– Przysięgam na wszystko co święte i grzeszne, na wszystkie stworzenia latające i pełzające, że nie spocznę, dopóki ten kraj nie będzie znów wolny. – Z trudem podniósł się na nogi i wymachując mieczem, krzyknął: – Idę po ciebie, Ceska! – Odrzucił na bok miecz i potykając się, poszedł w kierunku niewielkiego zagajnika.

Parsal odwrócił się do pozostałych. – Jego córka także została zabita – powiedział przepraszająco. – Kochane, radosne dziecko... To, co powiedział, mówił z pełnym przekonaniem.

Dotrzyma słowa... i ja z nim. – Jego głos ochrypl pod wpływem emocji. Odchrząknął. – Nie jesteśmy wiele warci, ani on, ani ja. Nie byłem dość dobry do legionu Smoka. Nie jesteśmy oficerami i tak dalej. Jednak kiedy dajemy słowo, dotrzymujemy go. Nie wiem, czym wy się kierujecie. Ci ludzie tam, we wsi – to moi ludzie, moi i Galanda. Nie bogaci ani szlachetnie urodzeni. Po prostu martwi. Ta stara kobieta zginęła, żeby chronić dziecko. I nie udało się jej.

Próbowała jednak... oddając przy tym swoje życie. Weźmiemy z niej przykład! – Przerwał, bo głos mu się załamał, a potem zaklął. Odwrócił się i szybkim krokiem odszedł do zagajnika.

– No cóż, generale – powiedział Ananais. – Co masz zamiar zrobić ze swoją sześćoosobową armią?

– Siedmioosobową – poprawił go Pagan.

– Widzisz, wciąż nas przybywa – stwierdził Ananais.

Tenaka skinął głową.

– Dlaczego się do nas przyłączasz? – zapytał Murzyna.

– To moja sprawa, ale mamy ten sam cel. Przebyłem tysiące mil, żeby zobaczyć upadek Ceski.

– Pogrzebiemy dziecko i ruszymy do Skody – powiedział Tenaka.

Przez całe popołudnie jechali ostrożnie, Galand i Parsal pełnili rolę zwiadowców na obu flankach. Przed zmierzchem nad równiną rozszała się gwałtowna burza i wędrowcy poszukali schronienia w

opuszczonej kamiennej wieży, na brzegu wartkiego strumienia. Konie spędzili na pobliskim polu, zgromadzili ile się dało drewna z rosnącego opodal zagajnika i oczyścili pierwsze piętro baszty. Budynek był stary, kwadratowy – kiedyś mieścił dwudziestu żołnierzy; za czasów Pierwszej Wojny Nadiryskiej pełnił rolę wieży wartowniczej. Składał się z trzech poziomów, z których ostatni pozbawiony był dachu. Stamtąd bystroocy zwiadowcy wypatrywali Nadirów lub Sathuli.

Około północy, gdy wszyscy inni już spali, Tenaka zawołał Scalera i poprowadził go spiralnymi schodami aż na samą górę.

Burza przesunęła się na południe i na niebie zabłyśły już gwiazdy. Wokół baszty krążyły i nurkowały nietoperze, a nocny wiatr przywiewał chłód z pokrytych śniegiem gór Delnoch.

– Jak sobie radzisz, Arvan? – zapytał Tenaka Scalera, kiedy usiedli pod blankami, osłaniającymi ich od wiatru.

– Nie bardzo.

– To minie.

– Nie jestem wojownikiem, Tenaka. Kiedy ty rozprawiałeś się z tamtymi żołnierzami, ja leżałem w trawie i tylko patrzyłem. Byłem przerażony!

– Nie, to nieprawda. Wszystko wydarzyło się tak szybko, a ci z nas, którzy stali bliżej, zareagowali szybciej. To wszystko. Jesteśmy specjalnie szkoleni. Spójrz na braci: zajęli stanowisko w miejscu, przez które mogli uciekać żołnierze i powstrzymali ich, zanim tamci zdążyli sprowadzić pomoc. Nie kazałem im tego robić – są żołnierzami. Poza tym, całe starcie trwało najwyżej dwie minuty. Co mogłeś zrobić?

– Nie wiem. Wyciągnąć miecz. Pomóc!

– Jeszcze przyjdzie na to czas. A jak wygląda sytuacja w Delnoch?

– Nie wiem. Opuściłem je pięć lat temu, a wcześniej spędziłem dziesięć lat w Drenanie.

– Kto sprawuje władzę?

– Nikt z Domu z Brązu. Orrin został otruty. Ceska zastąpił go swoim człowiekiem. Nazywa się Matrax. Czemu pytasz?

– Zmieniłem plany.

– Na jakie?

– Zamierzałem zabić Ceskę.

– A teraz?

– Teraz planuję coś jeszcze głępszego. Zamierzam zebrać wojsko i obalić go.

– Żadne wojsko na świecie nie oprze się Spojonym. Na boga, człowieku, nawet Smokowi to się nie udało – nie mieli żadnych szans!

– Nic w życiu nie przychodzi łatwo, Arvan. Jednak właśnie tego mnie nauczono. Dowodzić wojskiem. Siac śmierć i zniszczenie pośród moich i wrogów. Słyszałeś Parsala i Galanda; mieli rację. Człowiek musi walczyć ze złem wszędzie, gdziekolwiek je spotka i wykorzystać wszystkie swoje zdolności. Nie jestem zabójcą.

– A gdzie znajdziesz taką armię?

Tenaka uśmiechnął się. – Potrzebuję twojej pomocy. Musisz zdobyć Delnoch.

– Mówisz poważnie?

– Tak!

– Chcesz, żebym zdobył fortecę w pojedynkę? Fortecę, która oparła się dwom nadiryjskim hordom? To szaleństwo!

– Należysz do Domu z Brązu. Rusz głową. Z pewnością jest jakiś sposób.

– Jeżeli masz już jakiś plan, dlaczego nie zrobisz tego sam?

– Nie mogę. Ja jestem z Domu Ulryka.

– Czemu jesteś taki tajemniczy? Powiedz, co mam zrobić.

– Nie. Jesteś mężczyzną i uważam, że zbyt nisko się cenisz. Zatrzymamy się w Skodzie i zobaczymy jak sprawy stoją. Potem razem zbierzemy armię.

Scaler szeroko otworzył oczy i rozdziawił usta ze zdumienia.

– Armia Nadirów? – wyszeptał i krew odpłynęła mu z twarzy. – Sprowadziłbyś Nadirów?

– Tylko wtedy, gdy ty zdobędziesz Dros Delnoch!

Rozdział 7

W mroku biblioteki opat cierpliwie czekał; wsparty na biurku, z zamkniętymi oczami i wyprostowanymi palcami. Naprzeciw niego siedzieli nieruchomo jak posągi jego trzej towarzysze. Przełożony otworzył oczy i zmierzył ich wzrokiem.

Acuas – silny, litościwy i lojalny.

Balan – sceptyk.

Katan – prawdziwy mistyk.

Wszyscy trzej podróżowali teraz, a ich dusze złączyły się w poszukiwaniu Czarnych Templariuszy i jednoczesnym osłanianiu poczynań Tenaki Khana i jego towarzyszy.

Acuas powrócił pierwszy. Otworzył oczy, potarł dłońmi żółtą brodę; wyglądał na zmęczonego i wyczerpanego.

– To niełatwe, panie – powiedział. – Czarni Templariusze mają wielką moc.

– My również – powiedział opat. – Mów dalej.

– Jest ich dwudziestu. W lesie Skultik zaatakowała ich grupa bandytów, których z łatwością roznieśli. To naprawdę wspaniali wojownicy.

– Tak. Jak daleko są od Niosącego Pochodnię?

– Mniej niż dzień jazdy. Już niedługo uda nam się ich zwodzić.

– To prawda. A tak przydałoby się jeszcze kilka dni – powiedział przełożony. – Czy próbowali następnego ataku?

– Nie, panie, chociaż jest to prawdopodobne.

– Odpocznij teraz, Acuas. Wezwij Torisa i Lannada, aby cię zastąpili.

Zwierzchnik zakonu opuścił pokój i poszedł powoli długim korytarzem na drugi poziom, gdzie znajdował się ogród Decado. Ciemnooki mnich powitał go z uśmiechem.

– Chodź ze mną, Decado. Chcę ci coś pokazać.

Nie mówiąc ani słowa więcej, opat odwrócił się na pięcie i poprowadził zakonnika schodami do dębowych drzwi. Mężczyzna zawahał się – przez wszystkie te lata, które spędził w klasztorze, nigdy ich nie przekroczył.

Przełożony odwrócił się. – Chodź! – powiedział i wszedł w cień za drzwiami. Ogrodnika ogarnął nagle dziwny strach, jakby jego świat odsuwał się od niego. Przełknął ślinę i zadrżał.

Potem głęboko zaczerpnął powietrza i poszedł za prowadzącym.

Prowadzono go labiryntem korytarzy, lecz nie rozglądał się na boki, skupiając wzrok na szarej sutannie idącego przed nim człowieka. Opat stanął przed drzwiami w kształcie liścia; nie miały klamki.

– Otwórz się – szepnął i drzwi otwarły się cicho. Za nimi była podłużna izba, a w niej trzydzieści kompletów srebrnej zbroi. Na każdej udrapowany był lśniącobiały płaszcz. Przed każdą stał stolik, a na nim leżał miecz w skórzanej pochwie i hełm zwieńczony kitą z białego końskiego włosia.

- Czy wiesz, co one reprezentują? – zapytał przełożony.
- Nie. – Decado pocił się obficie. Otarł oczy i zwierzchnik zauważył z troską, że znowu pojawiło się w nich cierpienie.
- Są to zbroje Trzydziestu z Delnoch, którymi dowodził Serbitar – ludzi, którzy walczyli i zginęli podczas Pierwszej Wojny Nadiryjskiej. Słyszałeś o nich?
- Oczywiście.
- Powiedz mi, co słyszałeś.
- Do czego to prowadzi, Lordzie Opacie? Mam obowiązki w ogrodzie.
- Opowiedz mi o Trzydziestu z Delnoch – rozkazał. Decado odchrząknął. – Byli mnichami-wojownikami. Nie tak jak my. Przez lata uczyli się, a potem wybierali odległą wojnę, w której chcieli zginąć. Serbitar poprowadził Trzydziestu do Delnoch, gdzie służyli pomocą Księciu z Brązu i Drussowi Legendzie. Przyczynili się do odparcia hordy Ulryka.
- A dlaczego mnisi przywdziewają zbroje?
- Nie wiem, Lordzie Opacie. To dla mnie niezrozumiałe.
- Naprawdę?
- Uczyłeś mnie, że każde istnienie jest dla Źródła święte, a odbieranie życia jest zbrodnią przeciw Bogu.
- A jednak trzeba się przeciwstawiać złu.
- Ale nie tą samą bronią – odpowiedział Decado.
- Widzisz mężczyznę, stojącego nad dzieckiem ze wzniesioną do ciosu włócznią. Co zrobisz?
- Powstrzymam go – ale nie zabiję.
- Powstrzymasz go ciosem, czy tak?
- Tak, być może.
- Nieszczęśliwie upadnie, uderzy się w głowę i umrze. Czy zgrzeszyłeś?
- Nie... tak. Nie wiem.
- On jest grzesznikiem, bo jego czyn wywołał twoją reakcję i to jego czyn doprowadził do tej śmierci. Dążymy do pokoju i harmonii, mój synu – tęsknimy do niej. Należymy jednak do świata i podlegamy jego prawom. W tym narodzie nie ma już harmonii. Rządzi nim chaos, a cierpienie jest

trudne do zniesienia.

– Co próbujesz mi powiedzieć, ojcze?

– To nie jest łatwe, mój synu, ponieważ moje słowa sprawią ci wielki ból. – Opat podszedł

bliżej i położył ręce na ramionach mnicha. – To jest Świątynia Trzydziestu. Przygotowujemy się teraz do walki z ciemnością.

Decado cofnął się gwałtownie. – Nie!

– Chcę, żebyś do nas dołączył.

– Wierzyłem ci. Ufałem! – Decado odwrócił się od niego i znalazł na wprost jednej ze srebrnych zbroi. Jeszcze raz się odwrócił. – Oto od czego chciałem uciec, przychodząc tutaj: od śmierci i mordu. Od ostrych mieczy i rozszarpywanego ciała. Byłem tu dotąd szczęśliwy. A teraz okradłeś mnie z tego szczęścia. Idź – i baw się w żołnierzyków. Na mnie nie licz.

– Nie możesz się wiecznie ukrywać, mój synu.

– Ukrywać? Przyszedłem tutaj, żeby się zmienić.

– Nietrudno się zmienić, kiedy największym twoim problemem jest walka z chwastami w warzywniaku.

– Co to ma znaczyć?

– To, że wcześniej byłeś zabójcą-psychopatą – człowiekiem zakochanym w śmierci. Teraz daję ci szansę sprawdzenia, czy się zmieniłeś. Włóż zbroję i jedź z nami przeciwko siłom Chaosu.

– Aby znowu nauczyć się zabijać?

– Tego jeszcze nie wiem.

– Nie chcę zabijać. Chcę żyć wśród moich roślin.

– Czy myślisz, że ja chcę walczyć? Mam prawie sześćdziesiąt lat. Kocham Źródło i wszystko, co rośnie i się porusza. Wierzę, że życie jest największym dobrem we Wszechświecie.

Istnieje jednak prawdziwe zło i trzeba je zwalczać. Pokonywać. Wtedy inni będą mieli szansę doświadczenia radości życia.

– Nie mów nic więcej – burknął Decado. – Ani słowa więcej! – Tłumione latami uczucia rozszalały się w nim, napełniły zmysły, a zapomniany gniew wdzierał się brutalnie do jego świadomości. Jakimż był głupcem, ukrywając się przed światem i grzebiąc w ziemi jak spocony wieśniak!

Podszedł do zbroi, stojącej z prawej strony szeregu i wyciągnąwszy rękę, objął rękojęść z kości

słoniowej. Jednym płynnym ruchem wyjął ostrze, mięśnie zadrgały mu podnieceniem posiadania broni. Miecz miał srebrną i ostrą jak brzytwa klingę. Był idealnie wyważony.

Odwrócił się do opata i w postaci, w której widział zawsze Ojca, teraz dostrzegł starca o załzawionych oczach.

– Czy twoja wyprawa ma coś wspólnego z Tenaką Khanem?

– Tak, mój synu.

– Nie nazywaj mnie tak, kapłanie! Nigdy więcej. Nie winie cię – byłem głupcem, ufając ci.

Dobrze, będę walczył razem z twoimi mnichami, ale tylko dlatego, że chcę pomóc przyjaciołom.

Jednak nie próbuj wydawać mi rozkazów.

– Nie będę mógł ci rozkazywać, Decado. Nawet w tej chwili wybrałeś właśnie swoją zbroję.

– Moją zbroję?

– Poznajesz ten run na hełmie?

– W piśmie starszych oznacza liczbę Jeden".

– To zbroja Serbitara. Ty będziesz ją nosił.

– On był wodzem, czyż nie?

– I ty nim będziesz.

– A więc takie jest moje przeznaczenie – powiedział Decado. – Przewodzić zbieranie mnichów, bawiących się w wojnę. Bardzo dobrze; znam się na żartach równie dobrze jak inni.

Mężczyzna roześmiał się. Opat zamknął oczy i poruszał wargami w bezgłośnej modlitwie, bo w śmiechu Decado wyczuwał krzyk cierpienia udręczonej duszy. Z rozpaczą w sercu kapłan opuścił komnatę, ścigany echem szyderczego śmiechu.

Co zrobiłeś, Abaddonie? – zapytywał siebie.

Kiedy dotarł do swego pokoju, w oczach wciąż miał łzy, a znalazłszy się w środku, padł na kolana.

Decado chwiejnym krokiem opuścił pomieszczenie i powrócił do ogrodu. Z niedowierzaniem patrzył na schludne rzędy warzyw, równiutkie żywopłoty i starannie poprzycinane drzewka.

Podszedł do chatki, kopniakiem otwierając jej drzwi.

Jeszcze przed godziną był to jego dom – dom, który kochał. Tu znalazł ukojenie i spokój.

Teraz szopa wydała mu się rudera. Opuścił ją i powędrował do ogrodu kwiatowego. Biała róża miała trzy nowe pączki. W przyływie gniewu chwycił krzak, gotów wyszarpnąć go z ziemi.

Powstrzymał się jednak i powoli puścił roślinę. Popatrzył na swoje dłonie, a potem znowu na krzew. Ani jeden kolec nie zranił jego ciała. Delikatnie wygładził zgniecione liście i łkając, zaczął wydawać nieartykułowane dźwięki, które po chwili ułożyły się w dwa słowa.

– Przepraszam cię – powiedział do swej róży.

Na dolnym dziedzińcu Trzydziestu siodłało konie. Zwierzęta miały jeszcze na sobie zimowe okrycia, lecz były to silne górskie kucyki, które mogły gnać szybko jak wichry. Decado wybrał

dla siebie gniadą klacz; osiodłał ją sprawnie, a potem wskoczył na siodło i zgarnawszy swój biały płaszcz, przełożył go przez siodło na modłę Smoka. Zbroja Serbitara leżała na nim lepiej niż kiedykolwiek jego własna – przylegała ściśle jak druga skóra.

Opat Abaddon dosiadł kasztanowego ogiera i zrównał się z Decado.

Mężczyzna obrócił się w siodle i obserwował przygotowania mnichów – musiał przyznać, że nieźle sobie radzili. Wszyscy ułożyli płaszcze dokładnie w ten sam sposób jak on. Abaddon w zadumie spoglądał na swego dawnego ucznia, który zgolił brodę i związał długie włosy na karku.

Oczy miał błyszczące i pełne życia, a na ustach na wpół drwiący uśmiech.

Poprzedniej nocy Decado został formalnie przedstawiony swoim oficerom: Acuasowi, który był Sercem Trzydziestu; Balanowi, który był ich Oczami i Katanowi, będącemu ich Duszą.

– Jeżeli chcecie zostać wojownikami – powiedział im – róbcie to, co mówię i wtedy, kiedy mówię. Opat powiada, że jakaś siła ściga Tenakę Khana. Mamy stawić jej czoło. Słyszałem, że ci, z którymi mamy walczyć, są prawdziwymi wojownikami. Miejmy nadzieję, że wasza misja nie zostanie zakończona ich rękami.

– To również twoja sprawa, bracie – rzekł Katan z łagodnym uśmiechem.

– Żaden żywy człowiek nie zdoła mnie pokonać. A jeśli wy padniecie jak łan, ja nie zostanę, by walczyć dalej.

– Czy rolę wodza nie jest stać przy swoich ludziach? – zapytał Balan z nutką irytacji w głosie.

– Wodza? To tylko mnisia farsa, ale dobrze, wezmę udział w tej zabawie. Nie mam jednak zamiaru umierać razem z wami.

– Czy będziesz się z nami modlił? – spytał Acuas.

– Nie. Wy módlcie się za mnie! Zbyt wiele lat zmarnowałem już na to bezowocne ćwiczenie.

– Zawsze modlimy się za ciebie – powiedział Katan.

– Módlcie się za siebie! Proście, by, kiedy spotkamy tych Czarnych Templariuszy, wasze wnętrzości nie zamieniły się w wodę.

Po tych słowach opuścił ich. Teraz podniósł ramiona i poprowadził oddział przez bramę Świątyni na równinę Sentran.

– Czy jesteś pewien, że dokonałeś mądrego wyboru? – Katan zapytał Abaddona językiem myśli.

– Nie ja go wybrałem, synu.

– To człowiek, którego zżera gniew.

– Źródło wie najlepiej, czego potrzebujemy. Pamiętasz Estina?

– Tak, biedak. Taki mądry – byłby dobrym wodzem – powiedział Katan.

– Tak, to prawda. Odważny, lecz łagodny; silny, a jednak dobry; inteligentny i wolny od arogancji. Jednak umarł. A tego samego dnia pod naszymi bramami stanął Decado, poszukując ucieczki od świata.

– Założmy jednak, Lordzie Opacie, że nie przysłało go Źródło?

– Już nie jestem Lordem Opatem, Katanie, tylko Abaddonem.

Starzec przerwał połączenie myślowe i dopiero po kilku chwilach Katan zorientował się, że jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Decado zrzucał z siebie balast lat. Znowu siedział w siodle, czując we włosach wiatr.

Końskie kopyta dudniły na równinie, wyznaczając rytm krwi, przypominając młodość...

Legion Smoka jak fala powodzi zalewał nadiryjskich jeźdźców. Chaos, zamieszanie, krew i przerażenie. Poranieni ludzie, urywane okrzyki bólu i kruki wrzeszczące z radości na pociemniałym niebie.

Później jedna cudza wojna po drugiej, w najbardziej odległych częściach świata. I zawsze Decado wychodził z bitwy o własnych siłach. Na jego smukłym ciele nie było ani jednej rany, podczas gdy jego wrogowie odchodzili do takich piekieł, w jakie wierzyli, odpływali w cień zapomnienia.

Oczami wyobraźni ujrzał twarz Tenaki Khana.

Oto wojownik! Ileż razy Decado zasypiał, marząc o walce z nim? Lód i Cień w tańcu mieczy.

Wiele razy walczyli ze sobą, na drewniane miecze lub florety. Nawet na szable o stępionych ostrzach. Szansę były wyrównane. Jednakże takie pojedynki nie miały znaczenia – prawdziwego zwycięzcę wyłania dopiero śmierć, czyhająca na klingach.

Myśli Decado zakłócił żółtobrody Acuas, podjeżdżając do niego.

– Jesteśmy blisko, Decado. Templariusze odkryli ich ślady w jakiejś opuszczonej wiosce.

Myślę, że zaatakują najpóźniej jutro rano.

– Jak szybko możemy ich dogonić?

– Najwcześniej o świcie.

– Wracaj więc do swych modłów, żółtobrody. I postaraj się, żeby były skuteczne.

Spiął konia do galopu, a Trzydziestu podążyło za nim.

Nadchodził świt. Wędrowcy jechali prawie całą noc, zatrzymując się jedynie na godzinę, by dać wytchnienie koniom. Łańcuch gór Skoda majaczył w oddali i Tenaka pragnął jak najszybciej schronić się wśród nich. Ukryte za wschodnim horyzontem słońce wyglądało już zza chmur i malowało niebo różowym blaskiem, przy którym gwiazdy bladły.

Jeźdźcy opuścili właśnie zagajnik i wyjechali na rozległą łąkę, pogrążoną we mgle. Tenaka poczuł, jak jego ciało ogarnia nagły chłód; zadrżał i ciasniej owinął się płaszczem. Był zmęczony i niezadowolony. Od czasu potyczki w lesie nie rozmawiał z Renyą, jednak nie przestawał o niej myśleć. Zamiast, jak sądził, usunąć ją ze swoich myśli, tylko przysporzył sobie w ten sposób cierpień. Mimo to nie był w stanie przekroczyć przepaści, którą otworzył między nimi. Spojrzał

do tyłu, gdzie jechała obok Ananaisa i zaśmiewała się z jakiegoś żartu.

Przed nimi, jak ciemne duchy przeszłości, pojawił się rząd dwudziestu jeźdźców. Siedzieli nieruchomo na koniach. Ich czarne płaszcze powiewały na wietrze. Tenaka ściągnął wodze swojego wierzchowca i zatrzymał się w odległości około pięćdziesięciu kroków od nich.

Dołączyli do niego pozostali.

– A kimże oni są, do licha? – zapytał Ananais.

– Szukają mnie – odpowiedział Tenaka. – Widziałem ich we śnie.

– Nie chciałbym się okazać defetystą, ale wydaje mi się, że jest ich zdecydowanie za dużo.

Uciekamy?

– Przed nimi nie można uciec – powiedział bezbarwnie Tenaka i zsiadł z konia. Dwudziestu jeźdźców zrobiło to samo i powoli ruszyło do przodu poprzez mgłę. Renyi wydało się, że poruszają się jak cienie zmarłych, płynące po upiornym morzu. Ich zbroje były czarne jak smoła, twarze zakryte hełmami, a w rękach dzierżyli miecze. Tenaka ruszył im na spotkanie, trzymając dłoń na rękojeści miecza.

Ananais potrząsnął głową. Popadł w dziwny, podobny do transu stan, w którym stał się bezwolnym obserwatorem. Zsunął się z siodła, wyjął miecz i dołączył do Tenaki.

Czarni Templariusze zatrzymali się, a ich przywódca wystąpił do przodu.

– Jeszcze nie mamy rozkazu zabić ciebie, Ananaisie – powiedział.

– Ja nie umieram tak łatwo – odparł. Miał zamiar dodać obelgę, lecz słowa zamarły mu na wargach, a fala strachu ogarnęła go jak uderzenie lodowato zimnego powietrza. Zadrżał i poczuł

przemocną chęć ucieczki.

– Umierasz równie łatwo jak każdy śmiertelnik – powiedział tamten. – Cofnij się! Jedź na spotkanie swojego przeznaczenia.

Ananais nie odpowiedział; przełknął głośno ślinę i spojrzał na Tenakę. Twarz przyjaciela była straszliwie blada. Domyślił się, że czuje on ten sam strach.

Galand i Parsal dołączyli do nich z mieczami w dłoniach.

– Zamierzacie stawić nam opór? – zapytał przywódca. – Setka ludzi nie zdołałaby nas pokonać. Posłuchajcie moich słów, w których jest prawda – poczujcie ją poprzez lęk.

Strach narastał i konie niespokojnie przebierały nogami, rzeniem oznajmiając swój niepokój.

Scaler i Belder zeskoczyli z siodła wyczuwając, że ich wierzchowce lada chwila mogą zerwać się do ucieczki. Pagan pochylił się i poklepał szyję swojego konia; zwierzę uspokoiło się, ale wciąż trzymało uszy po sobie. Wiedział, że jest bliskie paniki. Konie Valtayi i Renyi wyrwały się.

Kobiety zeskoczyły z siodła, a potem pomogły zsiąść kobiecie ze wsi, Parise.

Oślaniając niemowlę, które zaczęło płakać, Parise położyła się na ziemi. Nie mogła opanować drżenia.

Pagan zsiadł z konia i dobywszy miecza, powoli dołączył do Tenaki i pozostałych. Scaler i Belder poszli w jego ślady.

– Wyjmij miecz – szepnęła Renya, ale Scaler nie usłuchał. Zdobył się tylko na tyle odwagi, aby stanąć u boku Tenaki Khana. Jakakolwiek myśl o tym, by rzeczywiście walczyć u jego boku, utonąła w odmętach przerażenia.

– Głupcy – powiedział wódz z pogardą. – Idziecie jak barany na rzeź! – Czarni Templariusze ruszyli naprzód.

Tenaka próbował opanować przerażenie, lecz jego kończyny zamieniły się w ołów i stracił

zupełnie pewność siebie. Wiedział, że użyto przeciw niemu czarnej magii, jednak sama wiedza nie

wystarczała. Czuł się jak dziecko tropione przez lamparta.

Zwalcz to, powiedział sobie. Gdzie twoja odwaga?

Nagle, tak jak we śnie, przerażenie minęło i powróciła siła. Nie odwracając się wiedział, że powrócili rycerze w bieli, tym razem naprawdę.

Templariusze powstrzymali swój marsz, a Padaxes zaklął cicho, ujrawszy Trzydziestu.

Straciwszy przewagę liczebną, na nowo rozważył swoje szansę. Przywołał moc Ducha i spróbował przeniknąć umysły wrogów, napotykając jednak nieprzeniknioną zaporę mocy... Z

wyjątkiem wojownika stojącego pośrodku – ten nie był mistykiem. Padaxes znał legendy o Trzydziestu – jego świątynie były przecież ich namiastką – i rozpoznał run na hełmie tamtego.

Dowódca i nie mistyk? Zaświtała mu pewna myśl.

– Wiele krwi przeleje się dzisiaj – zawołał. – Chyba, że załatwimy to między kapitanami.

Abaddon chwycił Decado za ramię, powstrzymując go.

– Nie, Decado, nie pojmujesz jego mocy.

– Jest człowiekiem, to wszystko – padła odpowiedź.

– Nie, jest czymś o wiele więcej niż człowiekiem – posiada moc Chaosu. Jeśli ktoś ma z nim walczyć, niech to będzie Acuas.

– Czyż nie jestem wodzem tej waszej grupy?

– Tak, ale...

– Żadnych ale. Żądam posłuszeństwa! – Decado uwolnił rękę i ruszył do przodu, zatrzymując się o kilka kroków od zakutego w czarną zbroję Padaxesa.

– Co proponujesz, Templariuszu?

– Pojedynek dowódców. Ludzie pokonanego opuszczają pole.

– Żądam więcej – powiedział zimno Decado. – Znacznie więcej!

– Mów.

– Długo studiowałem historię mistyków. To jest... była... część mojego dawnego powołania.

Mówi się, że w czasie dawnych wojen przywódca skupiał w sobie dusze swojego wojska, a kiedy ginął, jego żołnierze umierali razem z nim.

- To prawda – powiedział Padaxes, kryjąc radość.
- Tego właśnie żądam.
- Tak się stanie. Przysięgam na Ducha!
- Niczego nie przysięgaj, wojowniku. Twoje przysięgi nic dla mnie nie znaczą. Żądam dowodu!
- To potrwa chwilę. Muszę odprawić modły i ufam, że ty zrobisz to samo – powiedział Padaxes. Decado skinął głową i powrócił do swoich.
- Nie możesz tego zrobić, Decado – powiedział Acuas. – Zgubisz nas wszystkich!
- Nagle zabawa przestała się wam podobać? – warknął Decado.
- Nie o to chodzi. Ten człowiek, twój przeciwnik, dysponuje mocą, jakiej ty nie posiadasz. Może czytać w twoich myślach, przewidzieć każdy twój ruch. Jak więc zamierzasz go pokonać?
- Decado roześmiał się. – Czy nadal jestem waszym wodzem? Acuas zerknął na dawnego opata.
- Tak – powiedział. – Jesteś wodzem.
- A więc, kiedy on skończy swój obrzęd, przyłączysz siły życiowe Trzydziestu do moich.
- Zanim umrę, powiedz mi jedno – powiedział Acuas. – Dlaczego poświęcasz się w ten sposób? Dlaczego skazujesz swoich przyjaciół?
- Decado wzruszył ramionami. – Któż to wie?
- Czarni Templariusze upadli na kolana przed Padaxesem, który śpiewnie recytował imiona demonów, przywołując Ducha Chaosu, podnosząc głos aż do krzyku. Nad wschodnim horyzontem pojawiło się słońce, jednak dziwnym trafem nie oświetliło polany.
- Skończone – wyszeptał Abaddon. – Dotrzymał słowa i dusze jego wojowników są w nim.
- Teraz wasza kolej – rozkazał Decado. Trzydziestu uklękło przed swoim wodzem z pochylonymi głowami. Decado nie czuł nic. Mimo to wiedział, że go usłuchali.
- Dec, czy to ty? – zawołał Ananais. Decado gestem nakazał mu milczenie i poszedł na spotkanie Padaxesa.

Czarny miecz świsnął w powietrzu i natychmiast został zablokowany przez srebrne ostrze w ręku Decado. Pojedynek rozpoczął się. Tenaka i jego towarzysze z podziwem spoglądali na krążących i atakujących wojowników oraz na zwierające się ze szczękiem klingi.

Czas mijał i w ruchach Padaxesa coraz wyraźniej widać było desperację. Strach wśliznął się do jego

serca. Chociaż potrafił przewidzieć każde posunięcie przeciwnika, szybkość ataków była tak wielka, że nic przez to nie zyskiwał. Spróbował sterroryzować go strachem, jednak Decado tylko się zaśmiał, bo śmierć nie budziła w nim przerażenia. Wtedy Padaxes pojął, że jego los jest przesądzony i bezmiernie rozdrażniła go myśl, iż zginie z ręki zwykłego śmiertelnika.

Przypuściwszy ostatni, rozpaczliwy atak, poczuł potworne przerażenie, gdy odczytał myśl Decado i ujrzał śmiertelny cios o ułamek sekundy wcześniej niż został zadany.

Srebrny miecz odbił jego klingę i przeszył mu pachwinę. Osunął się na ziemię i patrzył, jak krew strumieniem zalewa trawę... a dusze jego ludzi umarły wraz z nim.

Przez ciemność przedarł się blask słońca, a Trzydziestu powstało stwierdzając ze zdumieniem, że życie wciąż krąży w ich żyłach.

Acuas wystąpił naprzód.

– Jak? – zapytał. – W jaki sposób zwyciężyłeś?

– Nie ma w tym nic tajemniczego, Acuasia – powiedział cicho Decado. – Był tylko człowiekiem.

– Ty również!

– Nie. Ja jestem Decado. Lodowaty Zabójca. Podążaj za mną na własne ryzyko.

Decado podniósł hełm i głęboko odetchnął chłodnym porannym powietrzem. Tenaka potrząsnął głową, pozbywając się paraliżującego go strachu.

– Dec! – Zawołał. Decado uśmiechnął się i podszedł do niego; chwycili się za nadgarstki w uścisku wojowników. Dołączyli do nich Ananais, Galand i Parsal.

– Na wszystkich bogów, Dec, wyglądasz wspaniale. Więcej niż wspaniale – powiedział

Tenaka ciepło.

– Ty także, generale. Cieszę się, że zdążyliśmy.

– Czy mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego wszyscy tamci wojownicy zginęli? – zapytał

Ananais.

– Tylko wtedy jeśli powiesz mi, czemu nosisz maskę. To śmieszne, żeby ktoś tak próżny jak ty ukrywał pod nią swą klasyczną urodę.

Ananais odwrócił wzrok, podczas gdy inni stali zakłopotani, nie wiedząc co powiedzieć.

– Czy nikt mnie nie przedstawi naszemu wybawcy? – spytała Valtaya, przełamując milczenie. Na początku rozmowy oddział Trzydziestu stał na uboczu, potem rozdzielili się na sześćosobowe

grupki i zaczęli gromadzić drewno na ognisko.

Acuas, Balan, Katan i Abaddon wybrali miejsce pod samotnym wiązem. Katan podpalił gotowy stos i w czwórkę usiedli wokół niego, pozornie milczący i wpatrzeni w tańczące płomienie.

– Mów, Acuasio – zachęcił Abaddon.

– Zasmuca mnie fakt, Abaddonie, że nasz przywódca nie jest jednym z nas. Nie mówię tego z pychy, lecz jesteśmy Zakonem o długotrwałych tradycjach, który zawsze poszukiwał szczytnych ideałów. Bierzemy udział w wojnie nie dla radości zabijania, lecz w obronie Światła.

Decado jest urodzonym zabójcą.

– Jesteś Sercem Trzydziestu, Acuasio, ponieważ zawsze kierujesz się uczuciami. Wspaniały z ciebie człowiek – troskliwy... kochający. Czasami jednak uczucia mogą zaślepić. Nie wydawaj jeszcze sądu o Decado.

– W jaki sposób udało mu się zabić Templariusza? – zapytał Balan. – To niepojęte.

– Jesteś Oczami Trzydziestu, lecz nie widzisz. Nie będę ci tego teraz tłumaczył. Za jakiś czas sam mi odpowiesz na to pytanie. Uważam, że to Źródło przysłało Decado do nas i dlatego go przyjąłem. Czy ktoś z was może mi powiedzieć, dlaczego on jest wodzem?

Ciemnooki Katan uśmiechnął się. – Ponieważ jest ostatnim pośród nas.

– Nie tylko dlatego – powiedział Abaddon.

– To jego jedyna funkcja – odezwał się Acuasio.

– Wyjaśnij to – poprosił Balan.

– Jako rycerz nie mógłby się z nami porozumieć ani podróżować. Każde nasze posunięcie byłoby dla niego poniżeniem. Tymczasem ruszamy na wojnę, którą on rozumie. Władza dowódcy równoważy jego brak talentu.

– Bardzo dobrze, Acuasio. A teraz niech Serce powie nam, gdzie kryje się niebezpieczeństwo.

Acuasio zamknął oczy i przez kilka chwil nie odpowiadał, zbierając myśli.

– Templariusze nie spoczną. Nie pogodzą się z naszym zwycięstwem i poszukają zemsty.

– I?

– Ceska wysłał tysiąc ludzi dla stłumienia rebelii w Skodzie. Będą tutaj za niecały tydzień.

W odległości około trzydziestu kroków od ich ogniska siedzieli: Decado, Tenaka, Ananais, Pagan i

Scaler.

– Powiedz, Dec – powiedział Ananais. – Jak zostałeś przywódcą bandy czarowników? To na pewno ciekawa historia.

– Skąd wiesz, że sam nie jestem czarownikiem? – odparował Decado.

– Nie, poważnie – szepnął Ananais, zerkając na rycerzy w białych płaszczach. – Uważam, że są niesamowici. Żaden nie odzywa się słowem.

– Wprost przeciwnie. Oni wszyscy rozmawiają, lecz jest to język myśli – wyjaśnił mu Decado.

– Nonsens! – powiedział Ananais, układając palce w znak Obronnego Rogu i przykładając rękę do serca.

Decado uśmiechnął się.

– Mówię prawdę. – Odwrócił się i przywołał Katana. – No dalej, Ani – zapytaj o coś.

– Głupio mi – mruknął Ananais.

– Więc ja zapytam – powiedział Scaler. – Powiedz mi, przyjacielu, czy to prawda, że wy, rycerze, umiecie mówić... nie mówiąc?

– To prawda – powiedział Katan cicho.

– Czy mógłbyś to nam zademonstrować?

– W jaki sposób? – spytał.

– Spójrz na tego wysokiego – powiedział Scaler, wskazując ręką i zniżając głos. – Czy mógłbyś poprosić go, żeby zdjął i nałożył hełm?

– Jeśli sprawi ci to przyjemność – powiedział Katan i oczy wszystkich skierowały się na wojownika, siedzącego w odległości około czterdziestu kroków.

Tamten uprzejmie zdjął hełm, uśmiechnął się i nałożył go z powrotem.

– To niesamowite – powiedział Scaler. – Jak to zrobiliście?

– To trudno wyjaśnić – powiedział Katan. – Proszę o wybaczenie. – Skłonił się Decado i powrócił do towarzyszy.

– Widzicie, o co mi chodziło? – powiedział Ananais. – Upiorni. Nieludzy.

– W moich stronach też mamy ludzi o podobnych talentach – stwierdził Pagan.

– Co robią? – zapytał Scaler.

– Bardzo niewiele. Palimy ich żywcem – powiedział.

– Czy to nie lekka przesada?

– Być może – odpowiedział Murzyn. – Jednak nie mnie przeciwstawiać się tradycji!

Tenaka zostawił ich pogrążonych w rozmowie i podszedł do miejsca, w którym siedziały Valtaya i Renya, Parsal oraz kobieta ze wsi. Na jego widok serce Renyi zabiło szybciej.

– Przejdiesz się ze mną kawałek? – spytał. Skinęła głową i razem oddalili się od ognisk.

Słońce świeciło mocno, a jego promienie migotały we włosach Tenaki. Zapragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć go, ale instynkt kazał jej poczekać.

– Przepraszam, Renya – powiedział i ujął jej dłoń. Spojrzała w skośne, fiołkowe oczy i wyczytała w nich cierpienie.

– Czy powiedziałaś wtedy prawdę? Czy naprawdę użyłbyś sztyletu?

Potrząsnął przecząco głową.

– Chcesz, żebym z tobą została? – zapytała cicho.

– A ty chcesz zostać?

– Niczego innego nie pragnę.

– Wybacz więc, że zachowałem się jak głupiec – powiedział. – Nie mam wprawy w tych sprawach. Zawsze byłem niezdarny wobec kobiet.

– Bardzo miło mi to słyszeć – powiedziała z uśmiechem.

Ananais patrzył za nimi, a potem jego spojrzenie padło na Valtayę. Rozmawiała z Galandem i śmiała się.

Powinienem był dać się zabić temu monstrum, pomyślał.

Rozdział 8

Podróż do Skody zabrała im jeszcze trzy dni, ponieważ posuwali się bardzo ostrożnie. Acuas powiedział Decado, że po zabiciu przez nich żołnierzy we wsi, komendant twierdzy Delnoch rozesłał patrole po Skultik i okolicach, podczas gdy na południu jeźdźcy Legionu przeczesywali kraj w poszukiwaniu buntowników.

Tenaka wielokrotnie nawiązywał rozmowę z liderami Trzydziestu, ponieważ tak naprawdę, mimo wielu krążących o nich legend, niewiele wiedział o Zakonie. Opowiadano, że byli oni półbogami, posiadającymi przerażającą moc, którzy z własnej woli umierali w walce przeciw złu.

Ostatni raz pojawili się w Dros Delnoch, gdzie albinos Serbitar, stojąc u boku Księcia z Brązu, odpierał hordy Ulryka, największego nadiryjskiego wojownika wszech czasów.

Chociaż Tenaka przepytывał przywódców, niewiele się od nich dowiedział.

Byli uprzejmi i mili – niemal przyjaźni – lecz ich odpowiedzi przepływały nad jego głową.

Były jak chmury, poza zasięgiem ręki zwykłego człowieka. Decado niczym się od nich nie różnił; uśmiechał się tylko i zmieniał temat.

Tenaka nie należał do ludzi religijnych, a jednak czuł się nieswojo między tymi wojującymi mnichami i często wracał myślami do słów Ślepego Poszukiwacza.

– Ze Złota, Lodu i Cienia... – Ten człowiek przepowiedział, że ich trzech spotka się znowu.

Tak się też stało. Przepowiedział również niebezpieczeństwo ze strony Templariuszy.

Pierwszego wieczoru, podczas trwania ich wspólnej podróży Tenaka podszedł do starego Abaddona i poprosił o chwilę rozmowy na osobności.

– Widziałem cię w Skultik – powiedział Tenaka. – Atakował cię Spojony.

– Tak. Przepraszam za to oszustwo.

– Jaki był jego powód?

– To była próba, mój synu. Jednak nie tylko dla ciebie – dla nas samych również.

– Nie rozumiem – powiedział Tenaka.

– Nie musisz. Nie obawiaj się nas, Tenaka. Jesteśmy tutaj, by ci pomóc w każdy możliwy sposób.

– Dlaczego?

– Ponieważ tak chce Źródło.

– Czy nie możesz mi odpowiedzieć, nie używając tych religijnych zagadek? Jesteście ludźmi

– co zyskujecie w tej wojnie?

– Na tym świecie – nic.

– Czy wiesz, dlaczego tu przybyłem?

– Tak, mój synu. Chciałeś oczyścić swoją duszę z poczucia winy i smutku – utopić je we krwi Ceski.

– A teraz?

– Teraz znalazłeś się w mocy sił, nad którymi nie panujesz. Twój smutek uśmierzyła miłość do Renyi, lecz poczucie winy pozostało. Nie stawiałeś się na wezwanie – opuściłeś swoich przyjaciół, których wymordowali Spojeni Ceski. Zadajesz sobie pytanie, czy doszłoby do tego, gdybyś był z nimi. Czy byłbyś w stanie pokonać Spojonych? Zadręczasz się tą myślą.

– Czy byłbym w stanie ich pokonać?

– Nie, synu.

– Czy mogę to zrobić teraz?

– Nie – powiedział ze smutkiem Abaddon.

– A więc po co to wszystko? Jaki w tym sens?

– Ty musisz o tym zdecydować, bo to ty jesteś prawdziwym wodzem.

– Nie jestem Niosącym Pochodnię, kapłanie! Jestem człowiekiem. Sam wybieram swój los.

– To prawda; nie przeczę. Jesteś jednak człowiekiem honoru. Czy mógłbyś uciec od spoczywającej na tobie odpowiedzialności? Nie – nigdy tego nie zrobiłeś i nigdy nie zrobisz.

Właśnie dlatego jesteś tym, kim jesteś. To przyciąga do ciebie ludzi, mimo iż nienawidzą twojego pochodzenia. Ufają ci.

– Nie jestem zwolennikiem przegranych spraw, mnichu. Ty możesz pragnąć śmierci, ja nie.

Nie ma we mnie nic z bohatera – jestem żołnierzem. Po przegranej bitwie wycofuję się i przegrupowuję siły; kiedy wojna się kończy, odkładam miecz. Żadnych ostatnich ataków, żadnych bezsensownych ostatnich przyczółków!

– Rozumiem – powiedział Abaddon.

– A zatem wiedz jedno: obojętnie jak małe będą szanse, zamierzam walczyć do zwycięstwa.

Zrobię wszystko, co będę musiał zrobić. Nic nie będzie gorsze od Ceski.

– Teraz mówisz o Nadirach. Chcesz mojego błogosławieństwa?

– Do licha, nie czytaj w moich myślach!

– Nie czytam twoich myśli, lecz słowa. Wiesz, że Nadirowie nienawidzą Drenajów.

Zamienisz tylko jednego krwawego tyrana na innego.

– Możliwe. Mimo to spróbuję.

– A więc pomożemy ci.

– Tak po prostu? Bez próśb, nacisków ani rad?

– Powiedziałem ci już, że plan sprowadzenia Nadirów niesie w sobie zbyt wiele niebezpieczeństw. Nie będę się powtarzał. Jednak to ty jesteś wodzem – decyzja należy do ciebie.

– Powiedziałem o tym tylko Arvanowi. Inni nie rozumieją.

– Nie powiem nikomu.

Tenaka opuścił go i samotnie odszedł w ciemność. Abaddon usiadł i oparł się o drzewo. Był zmęczony i było mu ciężko na duszy. Zastanawiał się, czy poprzednich opatów dręczyły takie same wątpliwości.

Czy poeta Vintar czuł podobne brzemie, wjeżdżając na czele Trzydziestu w mury Delnoch?

Wkrótce się tego dowie.

Wyczuł, że nadchodzi Decado. Wojownik był niespokojny, choć jego gniew już przygasał.

Abaddon zamknął oczy i oparł głowę o chropowaty pień drzewa.

– Czy możemy porozmawiać? – zapytał.

– Głos Trzydziestu może rozmawiać z kimkolwiek chce – odpowiedział Abaddon, nie otwierając oczu.

– Czy możemy porozmawiać jak dawniej, gdy byłem twoim uczniem?

Abaddon usiadł prosto i uśmiechnął się łagodnie. – Usiądź więc przy mnie, uczniu.

– Wybacz mi gniew i ostre słowa.

– Słowa to tylko dźwięki, mój synu. Naraziłem cię na wielki stres.

– Obawiam się, że nie jestem wodzem, jakiego pragnęłoby Źródło. Chciałbym ustąpić miejsca Acuasowi. Czy to jest dozwolone?

– Poczekaj chwilę. Nie podejmuj jeszcze decyzji. Powiedz mi raczej, co skłoniło cię do zmiany zdania.

Decado oparł się na łokciach i zapatrzył w gwiazdy. Przemówił głosem cichym, niewiele głośniejszym od szeptu.

– Stało się to wtedy, gdy wyzwalałem Templariusza i zaryzykowałem życie nas wszystkich.

Nie był to godny czyn i okrył mnie wstydem. Mimo to usłuchaliście. Oddaliście dusze w moje ręce. A mnie było wszystko jedno.

– Ale teraz tak nie jest, prawda?

– O nie. Wręcz przeciwnie.

– Ogromnie mnie to cieszy, mój chłopcze.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a potem znów przemówił Decado.

– Powiedz mi, Lordzie Opacie, jak to się stało, że z taką łatwością pokonałem Templariusza?

– Czy spodziewałeś się śmierci?

– Rozwazałem taką możliwość.

– Zabity przez ciebie człowiek był jednym z Sześciu, jednym z władców Templariuszy.

Nazywał się Padaxes. Był nikczemnym człowiekiem, dawnym kapłanem Źródła, który pozwolił

na to, by kierowały nim jego własne żądze. To prawda, że posiadał moc. Jak oni wszyscy. W

porównaniu ze zwykłymi śmiertelnikami są niepokonani. Sieją śmierć! Lecz ty, mój drogi Decado, nie jesteś zwykłym śmiertelnikiem. Ty także posiadasz moc, choć drzemiącą w ukryciu.

Uwalniasz ją tylko w czasie walki, a ona czyni cię wówczas niezrównanym wojownikiem. Jeśli dodać do tego fakt, iż nie walczyłeś tylko o siebie, ale i za innych, to rozumiesz dlaczego stałeś się niepokonany. Zło nigdy nie jest naprawdę silne, gdyż rodzi się ze strachu. Dlaczego padł tak łatwo? Ponieważ wyczuwał twą moc i dostrzegł możliwość śmierci. Gdyby w tym momencie posiadał prawdziwą odwagę, stawiłby ci czoło. Zamarł ze strachu – i zginął. Jednak on wróci, mój synu. Mocniejszy!

– On nie żyje.

– Jednak pozostali inni Templariusze. Jest ich sześciuset i wielu uczniów. Śmierć Padaxesa i jego grupy rozniesie się lotem błyskawicy po całym zakonie. Pewnie już zbierają siły i przygotowują pościg. Poza tym widzieli nas. Przez cały dzisiejszy dzień czułem obecność zła. W

czasie naszej rozmowy na zewnątrz krążą osłony, które Acuas i Katan rozciągnęli nad naszym obozowiskiem.

Decado zadrżał. – Czy możemy ich pokonać?

– Nie, lecz przecież nie jesteśmy tutaj, by wygrać.

– A po co?

– Jesteśmy tutaj, by umrzeć – powiedział Abaddon.

Argonis był zmęczony i miał lekkiego kaca. Przyjęcie udało się wspaniale i te dziewczęta...

och, te dziewczęta! Egon zawsze wynajduje właściwe kobiety. Na widok zbliżającego się galopem zwiadowcy, Argonis ściągnął wodze swego czarnego rumaka. Podniósł rękę, zatrzymując kolumnę.

Mężczyzna gwałtownie osadził swojego wierzchowca w miejscu. Koń stanął dęba, młóćąc kopytami powietrze.

– Jeźdźcy, sir – około czterdziestu. Kierują się w stronę Skody. Są dobrze uzbrojeni i mają wygląd wojskowych. Czy to nasi?

– Zobaczmy – powiedział Argonis i dał znak marszu. Można by przypuścić, że tamci byli oddziałem zwiadowczym z Delnoch, lecz w takim razie nie kierowaliby się do siedliska buntowników – na pewno nie w sile czterdziestu zaledwie ludzi. Argonis spojrzął do tyłu w poszukiwaniu otuchy i znalazł ją, ogarniając wzrokiem sylwetki stu kawalerzystów Legionu.

Odrobina akcji z pewnością przyniosłaby mu ulgę, a może nawet rozjaśniła myśli. Wojskowi

– zameldował zwiadowca. Cóż za odmiana po tępych wieśniakach, machających na oślep motykami i siekierami.

Dotarłszy na wierzchołek wzgórza, Argonis spojrzął na pofalowaną równinę, prawie u stóp łańcucha Skody. Zwiadowca podjechał do niego, gdy osłoniwszy oczy, przyglądał się jadącym w dół.

– Nasi, sir? – zapytał ponownie.

– Nie. Ci z Delnoch noszą czerwone płaszcze, a oficerowie błękitne – nigdy białe. Myślę, że to vagriańscy rabusie.

W tym momencie jeźdźcy na równinie ruszyli cwałem w kierunku zbawczych gór.

– Galopem! – wrzasnął Argonis wyciągając pałasz, i stu odzianych w czerń kawalerzystów rzuciło się w pościg. Kopyta koni zadudniły na stwardniałej glebie.

Mając nad tamtymi przewagę wysokości i zjeżdżając na ukos po zboczu, szybko zmniejszali odległość dzielącą ich od uciekających.

Argonisa ogarnęło podniecenie. Nachylił się nisko nad końską szyją; poranny wiatr chłodem owiewał mu policzki, a pałasz połyskiwał w słońcu.

– Żadnych jeńców! – krzyknął. Był już na tyle blisko, że rozróżniał poszczególnych jeźdźców i zauważył, że są wśród nich trzy kobiety. Po chwili u boku jednej z nich dostrzegł

czarnoskórego, który najwidoczniej dodawał jej odwagi – nie trzymała się w siodle zbyt dobrze i wydawała się dźwigać coś w ramionach. Jej towarzysz pochylił się w siodle i przejął od niej to zawiniątko – ująwszy oburącz wodze, zdołała przyspieszyć. Argonis uśmiechnął się: co za prózny gest, skoro legioniści i tak dościgną ich, nim dotrą do gór.

Nagle rycerze w białych płaszczach zawrócili konie. Był to widowiskowy manewr wykonany w idealnym porządku i zanim Argonis zdążył zareagować, ruszyli do ataku. Dowódca kawalerzystów poczuł nagle ukłucie strachu. Oto on, na samym czele pościgu i teraz wprost na niego kieruje się tamtych trzydziestu szaleńców. Ściągnął wodze, jego ludzie zrobili to samo, zmieszani i niepewni.

Trzydziestu uderzyło w nich jak zimowa burza, srebrne klingi błyskały w słońcu i cięły.

Konie stawały dęba, a ludzie krzyczeli, spadając z siodła. Wreszcie rycerze w bieli ponownie zawrócili i odjechali galopem.

Argonis szalał z gniewu. – Za nimi! – wrzasnął, sam roztropnie zostając nieco w tyle. Góry znajdowały się teraz znacznie bliżej i przeciwnik rozpoczął już długą wspinaczkę do pierwszej kotliny. Jeden z koni potknął się i upadł, zrzucając na trawę jasnowłosą kobietę; trzech legionistów skierowali swe rumaki w jej stronę. Od grupy oderwał się wysoki, ubrany na czarno mężczyzna w masce i zawrócił na ratunek kobiecie.

Argonis patrzył zafascynowany, jak tamten uchylił się przed strasznym ciosem i rozplątał

brzech pierwszego jeźdźca, po czym wykręcił się w siodle, blokując cięcie znad głowy, zadane przez drugiego. Spiął rumaka ostrogami i staranował trzeciego jeźdźca, obalając go wraz z koniem na ziemię.

Kobieta podniosła się tymczasem i biegła. Zamaskowany mężczyzna odparował kolejny atak drugiego legionisty i ciosem na odlew rozciął tamtemu kran. Był teraz wolny. Schował miecz i pogalopował za kobietą, pochylając się w siodle. Wyciągnawszy rękę, objął ją w talii i jednym ruchem posadził przed sobą na koniu. Po chwili zniknęli między górami.

Argonis pogalopował z powrotem na pole bitwy. Na ziemi leżało trzydziestu jeden jego ludzi; osiemnastu martwych, a sześciu śmiertelnie rannych.

Ścigający wrócili zniechęceni i przybici. Do Argonisa podjechał zwiadowca Lopus. Zsiadł z konia, zsalutował sprawnie i przytrzymał rumaka zsiadającemu oficerowi.

– Kim oni byli, u diabła? – zapytał Lopus.

– Nie wiem, ale przy nich wyglądaliśmy jak dzieci.

– Czy napisze pan to w raporcie, sir?

– Zamknij się!

– Tak jest, sir.

– Za kilka dni powrócimy tu z tysiącem legionistów. Wtedy wykurzymy ich stamtąd – nie będą w stanie obronić całego łańcucha. Spotkamy się jeszcze z tymi draniami w białych płaszczach.

– Nie jestem pewien, czy o tym marzę – powiedział Lopus.

Tenaka zatrzymał konia przy strumieniu, wijącym się przez wiązowy zagajnik na zachodniej stronie doliny. Odwrócił się w siodle i poszukał wzrokiem Ananaisa. Zobaczył go jadącego stępą, z Valtayą siedzącą po damsku za jego plecami. Dzięki nadzwyczajnym zdolnościom Trzydziestu udało im się umknąć, nie tracąc ani jednego człowieka.

Tenaka zsiadł z konia, popuścił popręg, poklepał szyję zwierzęcia i pozwolił mu paść się na trawie. Renya podjechała do niego i zeskoczyła z siodła, z zarumienioną twarzą i oczyma błyszczącymi z podniecenia.

– Czy jesteśmy już bezpieczni? – zapytała.

– Chwilowo – odpowiedział.

Ananais przełożył nogę przez łęk siodła, zsunął się na ziemię i odwrócił, żeby pomóc Valtayi. Uśmiechnęła się do niego, opierając mu ręce na ramionach.

– Czy zawsze będziesz pod ręką, żeby ratować mi życie?

– Zawsze to bardzo długo, pani – odpowiedział, obejmując dłońmi jej talię.

– Czy ktoś ci już mówił, że masz piękne oczy?

– Nie ostatnio – powiedział. Postawił ją na ziemi i odszedł. Galand, który przyglądał się tej scenie, podszedł do Valtayi.

– Zapomnij o tym, dziewczyno – powiedział. – On nie jest do zdobycia.

– A ty jesteś, co, Galand?

– Pewnie! Zastanów się jednak, zanim powiesz tak. Nie jestem zbyt wielkim łupem.

Valtaya roześmiała się. – Lepszym niż uważasz.

– Mimo to twoja odpowiedź brzmi: „Nie”?

– Nie sędzę, żebyś szukał żony, prawda?

– Gdybym tylko miał czas – odpowiedział poważnie Galand i ujął jej dłoń. – Jesteś wspaniałą kobietą, Val i nie sędzę, by mężczyzna mógł pragnąć więcej. Szkoda, że nie znałem cię w lepszych czasach.

– Czasy są takie, jakie sobie stworzymy. Są na świecie narody, które wystrzegają się ludzi podobnych Cesce. Panuje tam pokój.

– Nie chcę być obcokrajowcem, Val. Chcę żyć w moim kraju i wśród moich ludzi. Chcę ... –

urwał. Valtaya zobaczyła w jego oczach cierpienie. Położyła mu rękę na ramieniu, a on spojrzał

w bok.

– O co chodzi Galand? Co chciałeś powiedzieć?

– Nieważne. – Spojrzał na nią znowu, tym razem wzrokiem czystym i skrywającym uczucia.

– Powiedz, co cię interesuje w naszym pokiereszowanym przyjacielu?

– Nie wiem. Trudno znaleźć odpowiedź na takie pytanie. Chodź, poszukajmy czegoś do jedzenia.

Decado, Acuas, Balan i Katan opuścili obozowisko i skierowali konie ku wejściu do kotliny, gdzie przystanęli, obserwując jak legioniści krzątają się przy rannych. Zabitych pozawijano już w koce i przymocowano w poprzek siodeł.

– Dobrze się spisaliście – powiedział Decado, ściągając hełm i zawieszając go na łęku siodła.

– To było okropne – powiedział Katan.

Wódz odwrócił się w siodle. – Jesteś wojownikiem z wyboru. Pogódź się z tym!

– Wiem, Decado – odpowiedział ciemnooki mnich. Uśmiechnął się żałośnie i przetarł twarz.

– Jednak wcale mnie to nie zachwyca.

– Nie o to mi chodziło. Zdecydowałeś się walczyć przeciwko złu i właśnie odniosłeś drobne zwycięstwo. Gdyby nie ty i reszta, dziecko na pewno by zginęło.

– To też wiem. Mimo to jest mi ciężko.

Cała czwórka zsiadła z koni i odpoczywała na trawie, rozkoszując się ciepłem słońca.

Decado zdjął biały płaszcz i starannie go zwinął. Zamknął oczy i nagle zdał sobie sprawę z dziwnego wrażenia, podobnego do chłodnej bryzy, które ogarnęło jego umysł.

Spróbował skoncentrować się na nim i zaczął odczuwać delikatne wiry i przepływy, ogarniające jego mózg jak echo odległych fal, przetaczających się nad kamieniami. Wyciągnął

się, spokojny i odprężony, usiłując odnaleźć w sobie źródło tego wrażenia. Nie zdziwił się, gdy szept morza zamienił się w cichą rozmowę, w której rozpoznał głos Acuasa.

– Nadal uważam, że Abaddon może się mylić. Czy wyczuwaliście u Decado tę żądzę walki podczas ataku na jeźdźców? Była tak silna, że nieomal się jej poddałem.

– Abaddon prosi, aby nie wydawać sądów. – To Katan.

– On nie jest już opatem – przemówił Balan.

– Zawsze pozostanie Opatem Mieczy. Należy go szanować. – Znowu Katan.

– To mnie krępuje – ripostował Acuas. – Co z jego Talentem? W długiej historii Trzydziestu nie było nigdy wodza, który nie potrafiłby Podróżować i Rozmawiać.

– Uważam, że powinniśmy rozważyć wszystkie możliwości – mówił Katan. – Jeżeli Abaddon pomylił się w wyborze Głosu, to mogłoby to dowodzić, że Chaos zapanował nad Źródłem. To z kolei neguje każdy inny wybór Abaddona i stawia nas Poza Przeznaczeniem.

– Niekoniecznie – powiedział Balan. – Jesteśmy ludźmi. Abaddon mógł popełnić tylko jeden błąd. Jest natchniony przez Źródło, lecz wiele zależy od interpretacji. Śmierć Estina i przybycie Decado mogły być zbiegiem okoliczności lub spiskiem ciemnych mocy.

– Albo zamiarem Źródła – powiedział Acuas.

– To prawda.

Decado otworzył oczy i usiadł. – Co oni planują? – zapytał głośno, wskazując na legion.

– Czekają na przybycie swojej armii – powiedział Acuas. – Ich wódz o imieniu Argonis opowiada ludziom, że wykurzą nas z tych gór i zabiją razem ze wszystkimi innymi buntownikami w Skodzie. Próbuje podnieść ich na duchu.

– Jednak bezskutecznie – wtrącił Balan.

– Opowiedz nam o Smoku, Decado – poprosił Katan.

Decado uśmiechnął się.

– Stare dzieje – powiedział. – Wydaje się, jakby to było w innym życiu.

– Lubieś tamto życie? – zaciekał się Acuas.

– I tak, i nie. Raczej nie, o ile dobrze pamiętam. Legion Smoka był dziwnym oddziałem. W

pewnym sensie, jak przypuszczam, stworzył między nami więź podobną do waszej, z tym wyjątkiem, że nie posiadaliśmy waszego talentu i nie umieliśmy ani Podróżować, ani Rozmawiać. Byliśmy jednak rodziną. Braćmi. I utrzymywaliśmy jedność narodu.

– Musiałeś się załamać, kiedy Ceska zniszczył twoich przyjaciół – powiedział Balan.

– Tak. Jednak byłem mnichem i moje życie uległo wielkiej zmianie. Miałem ogród i rośliny.

Mój świat ograniczał się do tego miejsca.

– Zawsze dziwiło mnie, że udaje ci się wyhodować tak wiele odmian warzyw na tak małej powierzchni – powiedział Balan.

Decado uśmiechnął się. – Sadziłem pomidory między ziemniakami – powiedział. – Kiedy jedne rosły

w górę, drugie rosły w dół. Miałem bardzo dobre wyniki.

– Tęsknisz za swoim ogrodem? – zapytał Acuas.

– Nie, nie tęsknię i przykro mi z tego powodu.

– Podobało ci się życie mnicha? – spytał Katan. Decado spojrział na smutnego młodego człowieka o łagodnej twarzy. – Podoba ci się życie wojownika? – odpowiedział pytaniem.

– Nie. Ani trochę.

– Mnie w pewien sposób podobało się. Dobrze było ukryć się na chwilę.

– Ukryć się przed czym? – zapytał Balan.

– Myślę, że znacie odpowiedź. Ja rozdaję śmierć, przyjaciele – zawsze tak było. Niektórzy ludzie potrafią malować, inni tworzą piękno w kamieniu lub w słowach. Ja zabijam. Jednak duma i wstyd nie dają się pogodzić. I ten brak harmonii załamał mnie. Zabijając, czułem uniesienie, lecz później...

– Co się stało później? – zapytał Acuas.

– Żaden żywy człowiek nie mógł równać się ze mną w walce na miecze, tak więc wszyscy wrogowie stali się bezbronni. Nie byłem już wojownikiem, lecz mordercą. Dreszcz emocji osłabł, a wątpliwości rosły. Kiedy rozwiązano Smoka, pojechałem w świat szukać innych przeciwników.

Nie znalazłem żadnego. Wtedy zrozumiałem, że tylko jeden człowiek mógłby stawić mi czoło i zdecydowałem się go wyzwać. W drodze do jego domu, w Ventrii, zatrzymała mnie na trzy dni burza piaskowa. Miałem czas zastanowić się nad tym, co robię. Widzicie, ten człowiek był moim przyjacielem, a jednak, gdyby nie burza, zabiłbym go. Wtedy właśnie powróciłem do domu i postanowiłem zmienić swoje życie.

– A co się stało z twoim przyjacielem? – zapytał Katan.

Decado uśmiechnął się.

– Został Niosącym Pochodnię.

Rozdział 9

Sala obrad widziała już lepsze dni. Teraz ściany wyłożone boazerią pokryte były licznymi dziureczkami, świadczącymi o ingerencji korników, a malowidło przedstawiające siwobrodego Drussa Legendę oblażiło brzydkimi płatami, spod których wychodziła szara pleśń rosnąca na tynku.

Około trzydziestu mężczyzn oraz tuzin kobiet i dzieci zajmowało miejsca na drewnianych ławkach i słuchało słów kobiety, siedzącej w fotelu radnego. Ciemne włosy spływały jej na ramiona jak lwia grzywa, a zielone oczy płonęły gniewem. Była wysoka, o mocnej budowie i szerokich barkach.

– Posłuchajcie tylko samych siebie! – huknęła, wstając i wygładzając fałdy ciężkiej, zielonej spódnicy. – Słowa, słowa, słowa! A co one wszystkie znaczą? Zdać się na łaskę Ceski? Cóż to ma być, do diabła? Poddać się, o to chodzi! Ty, Petar – wstawaj!

Jeden z mężczyzn zerwał się na nogi; spuścił głowę i zaczerwienił się okropnie.

– Podnieś rękę! – krzyknęła kobieta. Usłuchał. Nie miał dłoni, a na kikucie wciąż było widać ślady smoły, którą zasklepiono ranę.

– Oto miłosierdzie Ceski! Bardzo głośno wiwatowaliście, kiedy moi górale wyrzucili żołnierzy z naszej ziemi. Wtedy zrobilibyście dla nas wszystko, prawda? A teraz oni wracają, a wy skamlecie o ucieczce. Cóż, nie ma dokąd uciec. Vagrianie nie pozwolą nam przekroczyć swojej granicy, a możecie być pewni, że Ceska nie zapomni i nie przebaczy.

Siedzący obok Petara mężczyzna w średnim wieku również wstał. – Nie trzeba krzyczeć, Rayvan. Jaki mamy wybór? Nie możemy ich pokonać. Wszyscy zginiemy.

– Każdy kiedyś umrze, Voraku – zadudnił głos kobiety. – A może o tym nie wiesz? Mam sześciuset zbrojnych, którzy twierdzą, że pokonają Legion. Jest jeszcze pięciuset chętnych, którzy przyłączą się do nas, jak tylko zdobędziemy więcej broni.

– Założmy, że rzeczywiście pokonamy Legion – powiedział Vorak. – A co będzie, jeśli Ceska wyśle na nas Spojonych? Cóż warci będą wtedy twoi zbrojni?

– Zobaczymy, gdy nadejdzie czas – stwierdziła.

– Niczego nie zobaczymy. Wracaj skąd przybyłaś i pozwól nam ugodzić się z Ceską. Nie chcemy ciebie tutaj! – krzyknął Vorak.

– Och, teraz już mówisz w imieniu wszystkich, nieprawdaż? – Rayvan zeszła z podwyższenia i ruszyła w stronę mężczyzny. Przełknął ślinę, kiedy stanęła nad nim, chwytając go za kołnierz i pchając na ścianę. – Spójrz tam i powiedz mi, co widzisz – rozkazała.

– To ściana, Rayvan, ściana z obrazem. A teraz puść mnie!

– To nie jest jakiś tam obraz, głupcze! To Druss! Człowiek, który stawiał czoło hordom Ulryka, nie bawiąc się w ich liczenie. Niedobrze mi się robi na twój widok!

Zostawiła go i wróciwszy na podwyższenie, zwróciła się do zgromadzonych.

– Mogłabym posłuchać Voraka, zabrać moich ludzi i na powrót zniknąć w górach. Wiem jednak, co by się wtedy stało – zabiliby was wszystkich. Nie macie innego wyboru jak walczyć.

– Mamy rodziny, Rayvan – zaprotestował inny mężczyzna.

– Tak, one również zginą.

– Tak mówisz – powiedział tamten. – Ale z pewnością zginiemy, jeżeli stawimy opór Legionowi.

– Róbcie więc, co chcecie – warknęła. – A teraz zejście mi z oczu. Wszyscy! Kiedyś w tym kraju byli mężczyźni. Wynocha!

Petar, który wychodził ostatni, odwrócił się w drzwiach. – Nie sądź nas zbyt ostro, Rayvan – zawołał.

– Wyjdź! – wrzasnęła. Podeszła do okna i spojrzała w dół, na miasto skąpane w blasku wiosennego słońca. Piękne, ale bezbronne, pozbawione murów obronnych. Wyrzuciła z siebie stek przekleństw. Poczła się nieco lepiej... ale niewiele.

Za oknem, na wijących się ulicach i otwartych placach tłoczyli się ludzie i chociaż Rayvan nie mogła słyszeć ich słów, wiedziała, co jest tematem każdej rozmowy.

Poddać się. Przeżyć. Czowała za tymi słowami wszechobecny strach!

Co się z nimi stało? Czy terror Ceski podciął wiarę tych ludzi? Odwróciła się i spojrzała na wyblakły obraz. Druss Legenda, krępy i potężny, z toporem w dłoni, a za nim góry Skody, które wydawały się odbijać echem jego charakterystyczne cechy – tak samo przyprószone bielą i niepokonane.

Rayvan spojrzała na swoje dłonie: szerokie, grube i wciąż uwalane ziemią z jej farm. Lata pracy i morderczego wysiłku odarły je z piękna. Cieszyła się, że nie ma lustra. Kiedyś była

„dziewczyną z gór”, smukłą w pasie i z wieńcem we włosach. Jednak mijające lata – takie dobre lata – nie obeszły się z nią łaskawie. Ciemne włosy miała przyprószone siwizną, a rysy twarzy stały się równie surowe jak granit Skody. Niewielu mężczyzn spoglądało na nią z pożądaniem – i bardzo dobrze. Po dwudziestu latach małżeństwa i urodzeniu dziewięciorga dzieci straciła nieco zainteresowanie płcią odmienną.

Powróciwszy do okna, spojrzała na otaczający miasto pierścień gór. Skąd nadejdzie wróg?

Jak go przywita? Jej ludzie byli zbyt pewni siebie. Czyż nie pokonali kilku setek żołnierzy, tracąc przy tym jedynie czterdziestu swoich? Rzeczywiście, pokonali – jednak żołnierze zostali zaskoczeni, a poza tym byli jedynie bandą tchórzów. Tym razem będzie inaczej.

Rayvan długo i z ciężkim sercem myślała o nadchodzącej walce. Inaczej? Rozsiekają nas na kawałki. Zakłęła, jeszcze raz przypominając sobie chwile, gdy żołnierze wpadli na ich ziemię, zabijając jej męża i dwóch synów. Tłum gapiów patrzył potulnie do czasu, gdy uzbrojona w zakrzywiony tasak Rayvan rzuciła się do przodu i zatopiła go w boku oficera.

Potem nastąpiło piekło.

A teraz... Teraz nadszedł czas zapłaty.

Przeszła przez salę i z rękami wspartymi na biodrach stanęła przed malowidłem.

– Przechwalałam się zawsze, że w moich żyłach płynie twoja krew, Druss – powiedziała. – O

ile wiem, nie jest to prawdą. Chciałabym jednak, żeby tak było. Mój ojciec dużo mi o tobie opowiadał. Był żołnierzem w Delnoch i wiele miesięcy spędził na studiowaniu kronik Księcia z Brązu. Wiedział o tobie więcej niż jakikolwiek żyjący człowiek. Chciałabym, żebyś mógł wrócić.

Zejdź z tej ściany! Spojeni nie powstrzymaliby cię, prawda? Pomaszerowałbyś do Drenanu i zdarł koronę z głowy Ceski. Ja nie mogę tego zrobić, Druss. Nie znam się na wojnie. I, cholera, nie mam czasu się uczyć.

Zaskrzypiały drzwi. – Rayvan?

Odwróciła się i zobaczyła swojego syna, Lucasa, z łukiem w dłoni. – O co chodzi?

– Jeźdźcy – około pięćdziesięciu, kierują się do miasta.

– Niech to diabli! Jak ominęli strażę?

– Nie wiem. Lake zbiera ludzi.

– Dlaczego tylko pięćdziesięciu?

– Najwidoczniej nie cenią nas zbyt wysoko – powiedział Lucas, uśmiechając się szeroko. Był

przystojnym, ciemnowłosym chłopcem o szarych oczach; wiedziała, że on i Lake byli najładniejszymi z jej dzieci.

– Docenią nas, gdy się spotkamy – powiedziała. – Ruszajmy.

Opuścili izbę i długim, marmurowym korytarzem, a następnie szerokimi schodami zeszli na ulicę. Wieści rozeszły się już i Vorak czekał na nich na czele ponad pięćdziesięciu kupców.

– To koniec, Rayvan! – krzyknął, kiedy ukazała się w świetle słońca. – Twoja wojna się skończyła.

– Co to znaczy? – spytała, powstrzymując gniew.

– Ty to wszystko zaczęłaś – to twoja wina. Teraz mamy zamiar oddać cię w ich ręce.

– Pozwól mi go zabić – szepnął Lucas i sięgnął po strzałę.

– Nie! – syknęła Rayvan, spoglądając na budynki znajdujące się naprzeciwko. W każdym oknie stał łucznik z bronią gotową do strzału. – Wróć do sali i wyjdź przez Aleję Piekarzy.

Zabierz brata i zrób wszystko, żeby się dostać do Vagrii. Kiedyś mnie pomścisz.

– Nie zostawię cię, matko.

– Zrobisz, co ci każę.

Zaklął, ale wycofał się za drzwi. Rayvan zeszła wolno po schodach, z kamienną twarzą i zielonymi oczami utkwionymi w Voraku. Cofnął się pod jej spojrzeniem.

– Związać ją! – krzyknął. Kilku ludzi podbiegło do Rayvan i wykręciło jej rękę do tyłu.

– Ja wrócę, Vorak. Nawet zza grobu – obiecała. Uderzył ją w twarz otwartą dłonią. Nie wydała żadnego dźwięku, tylko z rozciętej wargi popłynęła krew. Ciągnęli ją poprzez tłum aż do granicy miasta, na równinę, na której pojawili się jeźdźcy. Ich wodzem był wysoki mężczyzna o surowej twarzy. Gdy zsiadł z konia, Vorak podbiegł do niego.

– Pojmaliśmy zdrajczynię, sir. Przewodziła rebelii, jeżeli można to tak nazwać. Jesteśmy niewinnymi ludźmi, my wszyscy.

Mężczyzna kiwnął głową i podszedł do Rayvan. Spojrzała w jego skośne fioletowe oczy.

– A więc to tak – powiedziała cicho. – Nawet Nadirowie są z Ceską?

– Jak się nazywasz, kobieto? – spytał.

– Rayvan. Zapamiętaj to imię, dzikusie, bo moi synowie wyryją je na twoim sercu.

Odwrócił się do Voraka. – Co mamy z nią zrobić?

– Zabić! Dla przykładu. Śmierć wszystkim zdrajcom!

– Ale ty jesteś lojalny?

– Tak jest. Zawsze byłem. To ja pierwszy doniosłem o buncie w Skodzie. Powinieneś mnie znać – jestem Vorak.

– A ci ludzie z tobą – czy też są wierni?

– Najwierniejsi. Każdy z nich jest oddany Cesce. Mężczyzna ponownie skinął głową i znów zwrócił się do Rayvan.

– Jak to się stało, że dałaś się pojmać, kobieto?

– Wszyscy popełniamy błędy.

Mężczyzna podniósł dłoń i trzydziestu jeźdźców w białych płaszczach otoczyło gromadkę mieszczan.

– Co robisz? – zapytał Vorak.

Nieznajomy wyjął miecz, sprawdzając kciukiem ostrość klingi. Nagle odwrócili się na pięcie, ostrze błysnęło i głowa wybałuszającego z przerażenia oczy Voraka spadła z karku, jakby zdmuchnął ją

wiatr.

Potoczyła się do stóp mężczyzny, a ciało nieszczęśnika osunęło się w trawę, zalewając ją krwią. Tłum padł na kolana, żebrząc o litość.

– Cisza! – ryknął olbrzym w czarnej masce, siedzący na kasztanowym ogierze. Zgiełk ucichł, chociaż tu i ówdzie wciąż słyhać było pochlipywania.

– Nie zamierzam zabijać was wszystkich – powiedział Tenaka Khan. – Zostaniecie zabrani do kotliny i uwolnieni, abyście mogli zawrzeć pokój z Legionem. Życzę wam szczęścia – bo szczerze wierzę, że będzie wam potrzebne. A teraz wstawajcie i ruszajcie stąd.

Ludzie pomaszerowali na wschód, popędzani przez Trzydziestu jak stado bydła, a Tenaka rozwiązał ręce Rayvan.

– Kim jesteś?

– Tenaka Khan, z rodu Księcia z Brązu – odpowiedział z ukłonem.

– Ja jestem Rayvan – z rodu Drussa Legendy – odpowiedziała, opierając ręce na biodrach.

Scaler spacerował samotnie po ogrodach Gathere, na tyłach ratusza. Wcześniej słuchał

rozmów Rayvan i Tenaki o nadchodzącej bitwie, jednak nie potrafił wtrącić żadnej sensownej uwagi. Wymknął się więc chyłkiem z ciężkim sercem. Głupio zrobił przyłączając się do nich. Co mógł im zaoferować? Nie był przecież wojownikiem.

Usiadł na kamiennej ławce i zapatrzył się w obramowaną kamieniami sadzawkę, obserwując złote rybki, baraszkujące pośród lilii wodnych. Scaler był zawsze samotnym dzieckiem. Niełatwo było żyć z wybuchowym Orrinem wiedząc, że starzec skupił w nim wszystkie swoje nadzieje na posiadanie godnego następcy. Rodzinę przesładował zły los i Scaler był ostatni z rodu – nie licząc Tenaki Khana. A większość ludzi nie brała go pod uwagę.

Jednak Arvan -jak nazywał się wtedy Scaler – przywiązał się do nadiryjskiego wyrostka i spędzał z nim każdą wolną chwilę, chłonąc jego opowiadania o życiu na Stepach. Pewnej nocy, gdy do jego pokoju wkradł się zabójca, ten podziw przeszedł w uwielbienie.

Skrytobójca, cały w czerni i zakapturzony, wyciągnął rękę w czarnej rękawicy i zamknął mu usta. Arvan – wrażliwy, przerażony sześciolatek – zemdlął ze strachu i oprzytomniał dopiero wtedy, gdy lodowaty zimowy wiatr przeniknął jego ciało. Otworzywszy oczy zobaczył, że jest na blankach, a daleko w dole widzi bruk dziedzińca. Wykręcił się i poczuł, jak palce tamtego zwalniają uścisk.

– Jeśli cenisz swe życie, nie rób tego – powiedział czyjś głos. Morderca zaklął cicho, lecz mocniej zacisnął dłoń.

– A jeśli pozwolę mu żyć? – zapytał stłumionym głosem.

– To i ty będziesz żył – powiedział Tenaka Khan.

– Ty też jesteś jeszcze chłopcem. Mógłbym zabić i ciebie.

– To rób, co masz robić i spróbuj szczęścia.

Przez kilka sekund morderca wahał się. Potem powoli wyciągnął Arvana z powrotem na blanki i postawił go na kamiennych stopniach. Sam cofnął się w ciemność i zniknął. Chłopiec podbiegł do Tenaki, który schował już miecz do pochwy i przytulił go.

– Chciał mnie zabić, Tani.

– Wiem. Ale już go nie ma.

– Dlaczego chciał to zrobić?

Tenaka nie znał odpowiedzi. Nie umiał jej też znaleźć Orrin. Jednak od tamtego czasu pod drzwiami Arvana umieszczono wartownika, a w jego życiu pojawił się stały towarzysz – strach...

– Dzień dobry.

Scaler podniósł oczy i zobaczył stojącą przy sadzawce młodą kobietę w powiewnej sukni z cienkiej, białej wełny. Miała ciemne, lekko falujące włosy, a w jej zielonych oczach tańczyły złote plamki. Wstał i uklonił się.

– Skąd ten ponury nastrój? – zapytała.

Wzruszył ramionami. – Powiedziałbym raczej, że melancholijny. Kim jesteś?

– Ravenna, córka Rayvan. Dlaczego nie jesteś tam, razem z innymi?

Uśmiechnął się. – Nic nie wiem na temat wojen, kampanii i bitew.

– A na czym się znasz?

– Na sztuce, literaturze, poezji i wszystkim co piękne.

– Nie pasujesz do swoich czasów, przyjacielu.

– Scaler. Nazywaj mnie Scaler.

– Scaler. Wspinacz, dziwne imię. Czy zajmujesz się wspinaczką?

– Głównie na mury. – Gestem wskazał na ławkę. – Przyłączysz się do mnie? – spytał.

– Tylko na chwilę. Mam zadanie do wykonania.

– Jestem pewien, że to może poczekać. Powiedz mi, jak to się stało, że na czele rebelii stanęła

kobieta?

– Musiałbyś znać moją matkę, żeby to zrozumieć. Jest z rodu Drussa Legendy i nie lęka się nikogo ani niczego. Kiedyś odpędziła górskiego lwa dużą miotłą.

– Wyjątkowa kobieta – powiedział Scaler.

– To prawda. Podobnie jak ty nie wie nic o wojnie, kampaniach i bitwach. Jednak dowie się.

I ty też powinieneś.

– Wolałbym raczej dowiedzieć się więcej o tobie, Ravenno – rzekł, przywołując na pomoc najbardziej czarujący uśmiech.

– Widzę, że na niektórych kampaniach znasz się nie najgorzej – powiedziała, wstając. – Miło było cię poznać.

– Zaczekaj! Czy możemy się jeszcze spotkać? Na przykład dzisiaj wieczorem?

– Być może. Jeśli zasługujesz na swój przydomek.

Tej nocy Rayvan leżąc w swym szerokim łóżu i spoglądając w gwiazdy, była spokojniejsza niż kiedykolwiek w ciągu kilku ostatnich, gorączkowych miesięcy. Nie zdawała sobie sprawy, jakim obciążeniem jest funkcja wodza. Nigdy nie chciała nim być. Zabiła tylko człowieka, który zamordował jej męża – ale od tej chwili wszystko potoczyło się tak szybko, jak kula sunąca po oblodzonym zboczu.

Po kilku tygodniach walk szczupłe siły Rayvan kontrolowały większość gór Skoda. To były oszałamiające dni, pełne wiwatujących tłumów i powszechnego braterstwa. Później zaczęły nadchodzić plotki o gromadzących się wojskach i nastroje zmieniły się. Mimo iż nieprzyjaciel jeszcze nie przybył, Rayvan czuła się jak obleżona.

Teraz ciężar spadł jej z serca.

Tenaka Khan to nieprzeciętny człowiek. Uśmiechnęła się i zamknąwszy oczy przywołała w myślach jego obraz. Poruszał się jak tancerz, doskonale panujący nad swymi ruchami, a pewność siebie nosił jak płaszcz. Urodzony wojownik!

Ananais był bardziej tajemniczy, ale, na boga, także miał w sobie coś z orła. Oto człowiek bywały w świecie. On to zaofiarował pomoc w szkoleniu jej nieopierzonych żołnierzy, a Lake zabrał go do ich obozowiska pośród wzgórz. Pojechali z nimi również dwaj bracia, Galand i Parsal – solidni ludzie, nieugięci.

Nie była pewna czarnoskórego. Wygląda jak jeden z tych przeklętych Spojonych, pomyślała.

Mimo wszystko jednak przystojny z niego czort. I niewątpliwie również potrafi zadbać o siebie.

Rayvan przewróciła się na bok i uklepała twardą poduszkę.

Przysyłaj swój Legion, Ceska. Powyrywamy im przeklęte kły!

W głębi długiego korytarza, w pokoju wychodzącym na wschodnią stronę, Tenaka i Renya leżeli obok siebie. Między nimi panowała niewygodna cisza.

Pół-Drenaj przewrócił się na bok, oparł na łokciu i patrzył na nią. Jego wybranka jednak nie odwzajemniła spojrzenia.

– O co chodzi? – zapytał.

– O nic.

– Czuję, że nie mówisz mi prawdy. Proszę, Renya, porozmawiaj ze mną.

– Chodzi o tego człowieka, którego zabiłeś.

– Znałaś go?

– Nie, nie znałam. Był nie uzbrojony – nie musiałeś go zabijać.

– Rozumiem – powiedział. Zwinnie zdjął długie nogi z łóżka i podszedł do okna. Leżała, patrząc na jego nagie ciało, obrysowane blaskiem księżyca.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Musiałem.

– Wyjaśnij mi to.

– Dowodził tłumem i najwyraźniej szpiegował dla Ceski. Jego nagła śmierć zastraszyła pozostałych. Widziałaś ich – byli uzbrojeni, wielu miało łuki. Mogli się zwrócić przeciwko nam.

Tymczasem ta śmierć zaskoczyła ich.

– Mnie również – to było morderstwo!

Odwrócił się twarzą do niej. – To nie zabawa, Renya. Wielu ludzi poniesie śmierć jeszcze przed upływem tego tygodnia.

– Nadal uważam, że to nie było sprawiedliwe.

– Sprawiedliwe? To nie poemat, kobieto! Nie jestem jakimś wymyślonym bohaterem w złotej zbroi, który naprawia zło. Liczyłem na to, że jego śmierć pozwoli nam usunąć raka toczącego miasto bez strat z naszej strony. Poza tym zasługiwał na śmierć.

– Nie poruszyło cię to, prawda? Odebranie życia? Nie obchodzi cię, że mógł mieć rodzinę, dzieci,

matkę.

– Masz rację, nie obchodzi mnie. Jest tylko dwoje ludzi na świecie, których kocham – ty i Ananais. Ten człowiek sam podjął decyzję. Opowiedział się po jednej stronie i dlatego zginął.

Nie żałuję tego i prawdopodobnie zapomnę o tym w ciągu miesiąca.

– To straszne, co mówisz!

– Wolałabyś, żebym kłamał?

– Nie. Myślałam tylko, że jesteś... inny.

– Nie osądzaj mnie. Jestem tylko zwykłym człowiekiem, który stara się postępować najlepiej jak umie. Nie potrafię być inny.

– Wracaj do łóżka.

– Czy kłótnia skończona?

– Jeśli tak chcesz – skłamała.

W pokoju nad nimi Pagan uśmiechnął się i odszedł od okna.

Jakie to dziwne stworzenia – kobiety. Zakochują się w mężczyźnie, a potem starają się go zmienić. Najczęściej im się to udaje – po czym resztę życia spędzają zastanawiając się, jak mogły poślubić takiego nudnego konformistę. To leży w ich naturze – powiedział sobie Pagan. Pomyślał

o swoich własnych żonach, przywołując w pamięci ich obrazy, ale zdołał sobie przypomnieć zaledwie około trzydziestu z nich. Starzejesz się – powiedział do siebie. Często zastanawiał się, jak mógł dopuścić do tego, że ich liczba tak urosła. W pałacu zrobiło się tłoczniej niż na bazarze.

Ego. To właśnie to! Nie było przed tym ucieczki. Podobnie jak przed czterdzieściorgiem dzieci.

Zadrzał. A potem zachichotał.

Cichy szmer zakłócił bieg jego myśli. Podeszedł do okna i wyjrzał w ciemność.

W odległości około dwudziestu stóp na prawo zobaczył wspinającego się po murze mężczyznę – był to Scaler.

– Co robisz? – zapytał cicho Pagan.

– Sadzę kukurydzę – syknął Scaler. – A jak myślisz?

Pagan spojrzał na ciemne okno nad nimi. – Dlaczego po prostu nie wszedłeś po schodach?

– Poproszono mnie, bym się zjawił w ten sposób. To schadzka.

– Ach tak, rozumiem. Cóż, życzę ci dobrej nocy!

– I ja tobie.

Pagan schował głowę. Dziwne, ile wysiłku zadaje sobie mężczyzna tylko po to, żeby narobić sobie kłopotów.

– Co się dzieje? – dobiegł go głos Tenaki Khana.

– Nie mógłbyś mówić ciszej? – warknął Scaler.

Pagan wrócił do okna i wychyliwszy się, zobaczył zadartą głowę Tenaki.

– Wybiera się na schadzkę... albo coś w tym rodzaju – powiedział Murzyn.

– Jeśli spadnie, skręci sobie kark.

– On nigdy nie spada – powiedział Belder z okna po lewej. – Ma naturalną zdolność do nie spadania.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, dlaczego ten człowiek wspina się po murze? – krzyknęła Rayvan.

– Idzie na schadzkę! – odkrzyknął Pagan.

– Dlaczego nie wszedł po schodach? – odpowiedziała.

– Wszyscy o to pytaliśmy. Poproszono go, żeby przyszedł w ten sposób.

– Aha. To na pewno Ravenna – powiedziała.

Scaler przylgnął do ściany, klnąc w myślach wszystkich Zgrzybiałych Nieśmiertelnych.

W tym samym czasie w ciemnej komnacie na górze Ravenna gryzła poduszkę, usiłując powstrzymać śmiech.

Bez skutku.

Przez całe dwa dni Ananais wędrował między wojownikami Skody, organizując ich w dwudziestoosobowe oddziały i musztrując je ostro. Z dwustu osiemdziesięciu dwóch ludzi większość była twarda i zahartowana jak wilki. Typowi ludzie gór. Brakowało im jednak dyscypliny. Nie nawykli też do wojennego rzemiosła. Gdyby miał więcej czasu, mógłby ich przekształcić w armię zdolną stawić czoło każdemu wysłanemu przez Ceskę wojsku. Jednak nie miał go.

Pierwszego ranka, razem z szarookim Lakiem zebrał żołnierzy i sprawdził uzbrojenie. Nie mieli nawet stu mieczy.

– To nie jest broń farmerów – powiedział Lake. – Mamy za to mnóstwo toporów i łuków.

Ananais skinął głową i poszedł dalej. Pot spływał mu pod maskę i palił nie gojące się rany,

wzmagając rozdrażnienie.

– Znajdź dwudziestu ludzi zdolnych dowodzić – powiedział i szybkim krokiem poszedł do chaty zagrodnika, która była jego kwaterą. Galand i Parsal podążyli za nim.

– Co z tobą? – zapytał Galand, gdy wszyscy trzej usiedli w chłodzie głównej izby.

– Co ze mną? Tam jest prawie sześciuset ludzi, którzy zginą za kilka dni. To mi dolega.

– Stajesz się defetystą, co? – powiedział Parsal obojętnie.

– Jeszcze nie. Ale jestem tego bliski – przyznał Ananais. – Są zahartowani i chętni. Jednak nie można wysyłać tłumu przeciwko Legionowi. Nie mamy nawet trąbki. A gdybyśmy ją mieli, to i tak nikt z nich nie zrozumie żadnego sygnału.

– Tak więc będziemy musieli siec na oślepiec i uciekać – uderzać z impetem i wycofywać się – stwierdził Galand.

– Nigdy nie byłeś oficerem, prawda? – powiedział Ananais.

– Nie. Niewłaściwe pochodzenie – odburknął Galand.

– Niezależnie od powodów faktem jest, że nie szkolono cię na dowódcę. Nie możemy uderzać i uciekać, ponieważ w ten sposób rozdzielibyśmy nasze siły. Wtedy Legion wykończyłby oddziałek po oddziałku, a my nawet nie wiedzielibyśmy, co się dzieje z resztą wojska. To pozwoliłoby im wkroczyć do Skody i rozpocząć rzezie w miastach i wioskach.

– Cóż więc proponujesz? – zapytał Parsal i z kamiennego dzbana nalał wody do glinianych kubków, które podał towarzyszom.

Ananais odwrócił się, podniósł maskę i głośno siorbał zimną wodę. Po chwili znowu zwrócił

się do nich. – Mówiąc prawdę, sam jeszcze nie wiem. Jeżeli pozostaniemy razem, rozsieką nas w ciągu jednego dnia. Jeśli się rozdzielimy, rozniosą wieśniaków. Żadna z możliwości nie jest atrakcyjna. Prosiłem Lake'a o orientacyjne mapy terenu. Mamy też około dwóch dni na wyszkolenie ludzi, tak by reagowali na podstawowe komendy – użyjemy rogów myśliwskich i opracujemy proste systemy sygnalizacji. Galand, chciałbym, żebyś pochodził między ludźmi i wybrał dwustu najlepszych – chcę mieć grupę zdolną stawić czoło kawalerii. Parsal, ty poszukaj łuczników. Znowu chcę z najlepszych uformować jeden oddział. Zależy mi też na dobrych biegaczach. I przyślijcie do mnie Lake'a.

Gdy wyszli, Ananais delikatnie zdjął czarną skórzaną maskę. Nappełnił wodą miskę i zwilżył

czerwone, zaognione blizny. Drzwi otworzyły się, a on błyskawicznie odwrócił się plecami do przybysza. Dopiero po nałożeniu maski zaproponował Lake'owi krzesło. Najstarszy syn Rayvan był przystojnym młodym człowiekiem, silnym i smukłym, o oczach koloru zimowego nieba.

Poruszał się ze zwierzęcym wdziękiem i pewnością siebie człowieka, który zna swoje możliwości, lecz jeszcze nie osiągnął ich kresu.

– Nie jesteś zachwycony naszym wojskiem? – zapytał.

– Jestem pod wrażeniem ich odwagi.

– To ludzie gór – powiedział Lake, prostując się na krześle i opierając swe długie nogi o blat stołu. – Jednak nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– To nie było pytanie – stwierdził Ananais. – Znałeś odpowiedź. Nie jestem zachwycony.

Ale oni nie są wojskiem.

– Czy możemy odeprzeć Legion?

Ananais zastanowił się. Wielu innym ludziom skłamałby, ale nie temu. Lake był zbyt bystry.

– Prawdopodobnie nie.

– A mimo to zostaniecie z nami?

– Tak.

– Dlaczego?

– To dobre pytanie. Jednak nie umiem na nie odpowiedzieć.

– Wydaje się dość proste.

– A ty zostaniesz? – zapytał Ananais.

– To jest moja ziemia i moi ludzie. Moja rodzina sprowadziła na nich to wszystko.

– To znaczy, twoja matka?

– Jeśli tak chcesz to ująć.

– To wspaniała kobieta.

– To prawda. Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego ty zostajesz.

– Ponieważ to moje zajęcie, chłopcze. Walka. Jestem z Legionu Smoka. Rozumiesz?

Lake przytaknął. – A więc nic cię nie obchodzi walka między dobrem a złem?

– Ależ obchodzi, chociaż nie za bardzo. Powodem większości wojen jest chciwość. My mamy więcej szczęścia – walczymy o nasze życie i życie tych, których kochamy.

– I o ziemię – powiedział Lake.

– Bzdura! – burknął Ananais. – Nikt nie walczy za trawę i błoto. Nie, za góry też nie. One stały tutaj jeszcze przed Upadkiem i pozostaną tutaj, gdy świat znów runie w otchłań.

– Ja patrzę na to inaczej.

– Oczywiście – jesteś młody i pełen ognia. Ja jestem starszy niż morze. Wędrowałem po świecie i zaglądałem w oczy Węża. Widziałem już wszystko, młodzieńcze. I nie jestem wcale pod wrażeniem.

– Tak! Nareszcie się zrozumieliśmy – powiedział Lake z uśmiechem. – Jakie masz dla mnie polecenia?

– Chcę, żebyś wysłał ludzi do miasta. Mamy tylko siedem tysięcy strzał, a to za mało. Nie mamy żadnych zbroi – niech zdobędą trochę. Chcę, żeby przetrząsnęli miasto. Potrzebujemy żywności, owsa, mąki, suszonego mięsa, owoców. Aha, i jeszcze koni – około pięćdziesięciu lub więcej, jeżeli się uda.

– A jak za to wszystko zapłacimy?

– Daj im kwity.

– Nie przyjmą obietnic od chodzących trupów.

– Rusz głową, Lake. Przyjmą – ponieważ w innym wypadku weźmiecie po prostu to, czego będzie wam trzeba. Każdy kto odmówi, zostanie uznany za zdrajcę i odpowiednio potraktowany.

– Nie zabiję człowieka tylko dlatego, że nie chce się zgodzić, żebym go obrabował.

– To wracaj do matki i przyślij mi kogoś, kto chce zwyciężyć! – ryknął Ananais.

Żywność i broń zaczęły napływać rankiem trzeciego dnia.

Do rana czwartego dnia Galand, Parsal i Lake wybrali dwustu ludzi, o których prosił Ananais i którzy mieli stawić czoło Legionowi. Parsal sformował również najlepszych łuczników w jeden, prawie stuosobowy oddział.

Kiedy słońce rozjaśniło wschodnie szczyty, Ananais zebrał ludzi na rozległej łące poniżej obozu. Wielu z nich miało już teraz miecze, które zawdzięczali wysiłkom miejskiego płatnerza.

Każdy z łuczników dźwigał dwa kołczany strzał, a w szeregach nowo uformowanej piechoty Ananaisa od czasu do czasu można było dostrzec nawet napierśnik. W towarzystwie Parsala, Galanda i Lake'a Ananais podszedł do odwróconego wozu, wdrapał się nań i podparł pod boki, spoglądając na siedzących wokół niego żołnierzy.

– Nie będzie żadnej kwiecistej przemowy, chłopcy – powiedział do nich. – Wczoraj wieczorem dowiedzieliśmy się, że Legion jest tuż, tuż. Jutro będziemy gotowi na ich powitanie.

Kierują się ku dolnej, wschodniej dolinie, którą podobno nazywacie Uśmiechem Diabła. Mamy około tysiąca dwustu wojowników, zaopatrzonych w konie i dobrze uzbrojonych. Dwustu spośród nich to łucznicy – pozostali to kopiarze i szermierze. – Przerwał, dając im czas na przyswojenie liczb i patrzył jak wymieniają spojrzenia, z przyjemnością stwierdzając, że nie ma w nich strachu.

– Nigdy nie oszukiwałem moich podwładnych – kontynuował po chwili. – Tak więc powiem wam, co następuje: nasze szansę na zwycięstwo są nikłe. Bardzo nikłe! Ważne, abyśmy to rozumieli. Znacnie moją reputację. Jak dotąd nie poznaliście mnie jako człowieka. Proszę jednak, abyście posłuchali tego, co wam powiem teraz, jakby to były słowa waszych dziadów szeptane wam do ucha. Bardzo często bitwy są wygrywane dzięki działaniom jednostek. Każdy z was może być taką kroplą, przechylającą szalę na korzyść zwycięstwa lub klęski. Takim człowiekiem był Druss Legenda. Odwrócił bieg bitwy pod Skeln Pass, zamieniając ją w jedno z największych zwycięstw w historii Drenajów. A przecież był tylko człowiekiem, mężczyzną z gór Skoda. Jutro jeden z was lub dziesięciu czy stu odwróci bieg bitwy. Albo chwilą paniki, albo jedną sekundą heroizmu. – Przerwał znowu i po chwili podniósł w górę rękę z wyprostowanym jednym palcem.

– Jedną jedyną sekundą! Muszę teraz poprosić niektórych z was o pierwszy dowód odwagi. Jeśli ktokolwiek z obecnych tutaj uważa, że mógłby zawieść swoich przyjaciół w jutrzejszej bitwie, niech opuści obóz, nim skończy się dzień. Przysięgam na wszystko, co jest mi drogie, że nie będę pogardzał takim człowiekiem. Ponieważ jest niezmiernie ważne, aby ludzie, którzy jutro zajrzą śmierci w oczy, nie załamali się. Trochę później dołączy do nas wojownik, nie mający sobie równych na ziemi – najbardziej utalentowany generał jakiego znam i najgroźniejszy wojownik pod słońcem. Przybędzie z nim grupa żołnierzy posiadających szczególne umiejętności; wojownicy ci zostaną rozproszeni pośród was, a ich rozkazy mają być wykonywane bez wahania.

To rozkaz! Na koniec poproszę o coś dla siebie. Byłem kiedyś Ganem Skrzydła najwspanialszego wojska na świecie – Legionu Smoka. Byli moją rodziną, przyjaciółmi, braćmi.

Teraz nie żyją, zdradzeni i zgubieni. Smok był jednak czymś więcej niż wojskiem, był ideałem.

Marzeniem, jeśli wolicie. Był w stanie stawić opór siłom Ciemności, a tworzyli go ludzie, którzy mogliby pójść do Piekieł z wiaderkiem wody, przekonani, że ugaszą ogień. Żeby należeć do Smoków niepotrzebna wam lśniąca zbroja ani przeszkolenie bojowe. Musicie po prostu chcieć.

Siły Ciemności maszerują na nas jak wichur przeciwko latarni. Oczekują, że ukryjemy się w górach jak przestraszone owce. Chcę, żeby poczuli oddech Smoka na karkach, a jego kły w trzewiach! Chcę, aby te zakute w czarne zbroje, dumne sukinsyny spłonęły w ogniu Smoka! –

krzyczał teraz, a dla podkreślenia słów wymachiwał zaciśniętą pięścią. Zrobił głęboki wdech, potem jeszcze jeden i nagle rozpostarł ramiona, jakby chciał ich wszystkich objąć.

– Chcę, żebyście byli Smokiem, myśleli jak Smok. A kiedy zaatakują, żebyście walczyli jak Smok! Czy możecie to zrobić? No, czy możecie? – ryknął, wskazując na człowieka w pierwszym rzędzie.

– Jak cholera! – wrzasnął tamten.

– A ty? – zapytał Ananais, patrząc na wojownika kilka rzędów dalej. Mężczyzna skinął głową. – Chcę cię usłyszeć! – huknął generał.

– Mogę! – odkrzyknął.

– A czy znasz zawołanie Smoka? Potrząsnął przecząco głową.

– Zawołanie Smoka to śmierć. Śmierć. Śmierć! Powtórz! – właśnie ty!

Mężczyzna odchrząknął i zaczął krzyczeć. Okropnie się rumienił.

– Pomóżcie mu! – powiedział Ananais, przyłączając się do niego. – Śmierć. Śmierć.

Śmierć...

Dźwięk narastał, ogarniając całą łąkę i odbijając się echem od pokrytych śniegiem gór. Rósł w siłę i pewność, jednoczył ludzi i wprawiał w trans.

Ananais zszedł z wozu i przyciągnął do siebie Lake'a.

– Teraz ty tam wejdź, chłopcze. Powiedz im o walce za ziemię. Są już gotowi na taką przemowę!

– Żadnych kwiecistych mów, rzeczywiście – roześmiał się Lake.

– Właż, Lake, i pobudź bieg ich krwi!

Rozdział 10

Pagan zawiózł kobietę ze wsi, Parise, do gospody w południowej części miasta, dając oberżyscie trzy złote monety. Karczmarz wytrzeszczył oczy na widok tej małej fortuny, migoczącej na jego ręku.

– Chcę, by kobieta i dziecko mieli najlepszą opiekę – powiedział cicho. – Zostawię jeszcze trochę złota u przyjaciół na wypadek, gdyby to okazało się niewystarczające.

– Będę się nią opiekował jak własną siostrą – odpowiedział mężczyzna.

– To dobrze – stwierdził Murzyn, uśmiechając się szeroko i pochylając nad oberżystą. –

Ponieważ jeśli tego nie zrobisz, zjem twoje serce.

– Nie musisz mnie straszyć, czarnoskóry – powiedział krępy, łysawy karczmarz, prostując ramiona i zaciskając potężne pięści. – Nie potrzebuję pouczeń, by wiedzieć, jak traktować kobietę.

Pagan pokiwał głową.

– Niestety, w tych czasach nie można polegać jedynie na zaufaniu.

– Tak, to smutna prawda. Napijesz się ze mną?

Obaj mężczyźni usiedli nad kuflami piwa, a Parise karmiła niemowlę w zaciszu swego nowego pokoju. Oberżysta miał na imię Ilter i mieszkał w tym mieście od dwudziestu trzech lat, to jest od czasu, gdy stracił farmę podczas wielkiej suszy.

– Wiesz, że dałeś mi za dużo pieniędzy, prawda? – zapytał.

– Wiem – odpowiedział Pagan.

Ilter pokiwał głową i dopił piwo.

– Nigdy przedtem nie widziałem czarnoskórego.

– W moim kraju, za mrocznymi dżunglami i Księżycowymi Górami, ludzie nigdy nie widzieli białego człowieka, chociaż legendy mówią, że tacy istnieją.

– Dziwny jest świat, prawda? – powiedział Ilter.

Pagan wpatrzył się w złoty płyn i zatęsknił nagle za bezkresnymi równinami, purpurowymi zachodami słońca i kaszłym rykiem polującego lwa.

Przypomniał sobie ranek Dnia Śmierci. Czy kiedykolwiek zdoła go zapomnieć? Okręty o czarnych żaglach zacumowały w Zatoce Białego Złota i jeźdźcy szybko wdarli się w głąb lądu aż do wioski jego ojca. Starzec pospiesznie zebrał wojowników, lecz było ich zbyt mało i wyrżnięto ich do nogi przed zagrodą starego króla.

Obcy przybyli w poszukiwaniu złota, ponieważ niezliczone historyjki opisywały bogactwo mieszkańców znad zatoki, ale stare kopalnie już się wyczerpały, a ludzie zajęli się uprawą złota w postaci zboża i kukurydzy. Rozwścieczeni najeźdźcy porwali kobiety i torturowali, gwałcąc je na koniec i mordując. W sumie około czterystu dusz opuściło tamtego dnia ten świat – wśród nich rodzina Pagana: ojciec, matka, trzy siostry, młodszy brat i cztery z jego córek.

Jedno z dzieci uciekło i pędząc jak wiatr, odnalazło Pagana, który ze swoją przyboczną strażą polował na Wysokich Wzgórzach. Wraz ze swoimi sześćdziesięcioma ludźmi mknął boso przez równinę z włócznią o drugim ostrzu na ramieniu. Dotarli do wsi tuż po ich odjeździe.

Ogarnawszy jednym spojrzeniem całą scenę, Murzyn zabrał się do szukania śladów. Zagrodę jego ojca zaatakowało ponad trzystu ludzi – zbyt wielu, by dać sobie z nimi radę. Pagan przełożył

włócznię przez kolano i złamał tuż powyżej ostrza, odrzucił długie drzewce i spróbował użyć reszty jak krótkiego miecza. Jego ludzie zrobili to samo.

– Chcę, żeby wielu zginęło, ale jeden ma pozostać żywy – rzekł. – Ty, Bopa, weźmiesz jeńca i przyprowadzisz go do mnie. Co do reszty – napijemy się ich krwi.

– Słyszemy i usłuchamy, Kataskicana – krzyknęli, a on poprowadził ich przez dżunglę w kierunku

zatoki.

Poruszając się cicho jak duchy, dopędzili śpiewającą i roześmianą grupę, wracającą na statki.

Pagan i jego sześćdziesięciu ludzi spadli na nich jak demony piekieł, siekąc i kłując. Potem zniknęli w dżungli. W czasie tego jednego ataku zginęło osiemdziesięciu jeźdźców, a jednego, zaginionego, uznano za martwego. Przez trzy dni marzył, żeby to była prawda.

Pagan zabrał go do zniszczonej wsi i tam wypróbował na nim wszystkie barbarzyńskie sztuki swego ludu, aż w końcu ten strzęp, który kiedyś był człowiekiem, oddał swą duszę Otchłani.

Pagan kazał spalić zwłoki.

Powróciwszy do pałacu, wezwał do siebie doradców i opowiedział im o ataku.

– Krew mojej rodziny woła o pomstę – powiedział im. – Jednak nasze narody są zbyt odległe od siebie, aby wypowiedzieć im wojnę. Zabójcy pochodzili z ludu zwanego Drenajami i zostali wysłani przez króla w poszukiwaniu złota. Ja także jestem królem i niosę w dłoniach serce mego ludu. Dlatego ja sam zaniosę wojnę do kraju wroga. Odszukam ich króla i zniszczę go. Do czasu mojego powrotu na tronie zasiądzie mój syn, Katasi. Jeśli nie wrócę w ciągu trzech lat... –

zwrócił się do wojownika siedzącego obok niego – czas na ciebie, Katasi. W twoim wieku byłem już królem.

– Pozwól mi pójść zamiast ciebie, ojcze – prosił młodzieniec.

– Nie. Ty jesteś przyszłością. Jeśli nie wrócę, nie chcę, żeby spalono moje żony. Co innego, gdy podążają za swym królem w dniu i miejscu jego śmierci. Jeśli jednak mam zginąć, a może się to wydarzyć już wkrótce, to nie chcę, aby czekały trzy lata, a potem zgubiły się we mgle.

Pozwólcie im żyć.

– Usłyszeć to znaczy usłuchać.

– Dobrze! Mam nadzieję, że dobrze cię przygotowałem, Katasi. Kiedyś nienawidziłeś mnie za to, że cię wysłałem na studia do Ventrii – podobnie jak ja nienawidziłem mojego ojca. Teraz sądzę, że te lata wyjdą ci na dobre.

– Niech Pan Shem tchnie ducha w twój miecz – powiedział Katasi, obejmując ojca.

Ponad rok zabrała Paganowi podróż do kraju Drenajów i kosztowała go połowę posiadanego złota. Szybko zrozumiał, jak ogromnego podjął się zadania. Teraz, jak sądził, bogowie dali mu szansę.

Kluczem do niej był Tenaka Khan.

Jednak najpierw muszą pokonać Legion.

Przez ostatnie czterdzieści godzin Tenaka obozował w dolinie zwanej Uśmiechem Diabła.

Przemierzał teren wzdłuż i wszerz, badając każde zagłębienie i każde wzniesienie, ucząc się na pamięć ukształtowania terenu i możliwych kątów natarcia.

Siedział teraz z Rayvan i jej synem Lucasem w najwyższym punkcie doliny i wpatrywał się w równinę za górami.

– I cóż? – spytała Rayvan już po raz trzeci. – Czy wymyśliłeś coś?

Przecierając zmęczone oczy, Tenaka wyjął szkic, nad którym dotąd pracował i z uśmiechem odwrócił się do kobiety-wojownika. Jej obfitą figurę okrywała teraz długa kolczuga, a ciemne, zaplecione w warkocz włosy przykrywał okrągły, czarny hełm.

– Mam nadzieję, że zrezygnowałaś z zamiaru wzięcia udziału w walce, Rayvan – powiedział.

– Nie zdołasz mnie od tego odwieść – odpowiedziała. – Podjęłam już decyzję.

– Szkoda słów, człowieku – doradził Lucas. – Tracisz tylko czas.

– Ja ich w to wplątałam i niech będę przeklęta, jeśli pozwolę im umierać samym – rzekła.

– Musisz to dobrze rozumieć, Rayvan, czeka nas mnóstwo śmierci. Nie osiągniemy tutaj łatwego zwycięstwa; będzie dobrze, jeśli nie stracimy dwóch trzecich naszych sił.

– Tak wielu? – szepnęła.

– Co najmniej. Pole rażenia jest zbyt wielkie.

– Czy nie możemy po prostu zasypać ich strzałami z góry, kiedy wkroczą w kotlinę? –

zapytał Lucas.

– Możemy. Wtedy jednak zwiążą nas połową swych sił, a reszta zaatakuje miasto i wsie.

Straty będą ogromne.

– Co więc proponujesz? – spytała Rayvan.

Kiedy przedstawił jej swój plan, zbladła. Lucas nie powiedział ani słowa. Tenaka zwinął

pergamin z notatkami i szkicami, po czym związał go kawałkiem skóry. Nikt nie powiedział ani słowa.

– Chociaż płynie w tobie obca krew – powiedziała na koniec kobieta – mam do ciebie zaufanie, Tenaka. W ustach kogoś innego uznałabym ten plan za szaleństwo. Nawet w twoich...

– Nie ma innego sposobu, żeby wygrać. Zgadzam się, że plan ten pod wieloma względami jest bardzo

niebezpieczny. Zaznaczyłem miejsca, w których trzeba wykonać prace, a na mapach zaznaczyłem odległości, które muszą zapamiętać łucznicy. Jednak decyzja należy do ciebie, Rayvan. Ty tutaj dowodzisz.

– Co o tym myślisz, Lucasie? – zapytała syna.

Machnął ręką.

– Mnie nie pytaj! Nie jestem żołnierzem.

– A myślisz, że ja jestem? – warknęła Rayvan. – Chcę znać twoją opinię.

– Nie podoba mi się. Jednak nie potrafię zaproponować czegoś innego. Jak mówi Tenaka, jeśli wybierzemy atak i ucieczkę, otworzymy dla nich Skodę. I nie zwyciężymy w ten sposób.

Ale dwie trzecie...

Kobieta z trudem wstała, zgrzytając zębami, gdy zreumatyzowane kolano niemal załamało się pod jej ciężarem. Zeszła w dół zbocza i usiadła nad wijącym się jak wstążka strumykiem.

Woda płynęła wartko nad białymi kamykami, pobłyskującymi perłście tuż pod powierzchnią.

Pogrzebała w kieszeni kolczugi i wyjęła twarde herbatnik. Metalowe kółka przełamały go na trzy części.

Czuła się jak głupiec.

Co ona tutaj robi? Co wie o wojnie?

Wychowała wspaniałych synów, a jej mąż był księciem pośród ludzi, wielki, łagodny i ciepły jak gęsi puch. Zareagowała błyskawicznie, kiedy zabili go żołnierze. Jednak od tamtego czasu żyła w kłamstwie – rozkoszowała się swoją nową rolą królowej wojny, podejmowała decyzje i kierowała armią. Wszystko to było równie nieprawdziwe jak jej pretensja do pokrewieństwa z Drussem. Pochyliła głowę i zagryzła palce, tłumiąc szloch.

– Kim jesteś, Rayvan? – zapytała samą siebie.

Tłustą kobietą w średnim wieku, ubraną w męską kolczugę. Jutro, a najdalej pojutrze czterystu młodych ludzi odda dla niej swe życie... ich krew splami jej dłonie. Wśród nich znajdują się jej ostatni synowie. Zanurzyła ręce w strumieniu i opłukała twarz.

– Och, Druss, co powinnam zrobić? Co ty zrobiłbyś na moim miejscu?

Odpowiedzi nie było. Nie spodziewała się jej zresztą. Umarli byli umarłymi – nie wracali w postaci złotych cieni, wędrujących po upiornych pałacach i spoglądających z czułością na swoich potomków. Nie miała nikogo, kto odpowiedziałby na wołanie o pomoc, ani jednej żywej duszy.

Chyba, że usłyszałby je strumień pełen podobnych do pereł kamyków lub miękka wiosenna trawa i fioletowy wrzos. Była sama.

W pewnym sensie zawsze tak było. Mąż, Laska, był dla niej wielką pociechą i kochała go bardzo. Miłość ta niewiele miała wspólnego z wszechogarniającą namiętnością, o której kiedyś marzyła. Twardy jak skała, wytrzymałością dorównywał górcom. Mogła się ukryć w jego ramionach, kiedy nikt jej nie widział. Miał wewnętrzną siłę i nie przeszkadzało mu, że w obecności innych narzucała mu swoją wolę i stwarzała pozory, że to ona podejmuje wszystkie rodzinne decyzje. W rzeczywistości, w zaciszu ich pokoju słuchała jego rad i najczęściej postępowała według nich. Teraz Laska odszedł, z nim jeden z ich synów, Geddis, a ona siedziała sama w tej niedorzecznej kolczudze. Spojrzała na góry u wylotu Uśmiechu Diabła, wyobrażając sobie czarnych rycerzy Legionu, wjeżdżających do doliny i jeszcze raz wspominając cios, który powalił jej męża. Nie spodziewał się ataku, siedział przy studni, rozmawiając z Geddisem. W

pobliżu znajdowało się około dwustu mieszkańców Skody, oczekujących na aukcję bydła. Nie słyszała, co zaszło między mężem a oficerem, ponieważ oddalona o trzydzieści kroków siekała mięso na szaszłyk. Zobaczyła błysk miecza w powietrzu i widziała, jak głęboko zanurzyła się stal. I wtedy pobięła, z tasakiem w dłoni...

Teraz Legion przybywa zemścić się – nie tylko na niej, ale i na niewinnych mieszkańcach Skody. Ogarnął ją gniew – chcieli wkroczyć do jej gór i splamić trawę krwią jej ludu!

Wstała z trudem i powoli ruszyła w stronę Tenaki Khana.

Siedział nieruchomo jak posąg i obserwował ją beznamiętnie tymi swoimi fioletowymi oczami. Nagle wstał. Zamrugła oczami, bo ruch był tak szybki i płynny; w jednej chwili siedział, w następnej już stał. W jego ruchach była perfekcja, która dodała jej pewności siebie, choć Rayvan nie wiedziała dlaczego.

– Podjęłaś decyzję? – zapytał.

– Tak. Postąpimy zgodnie z twoją radą. Ja stanę z ludźmi pośrodku.

– Jak sobie życzysz, Rayvan. Ja będę u wylotu kotliny.

– Czy to mądre? – zapytała. – Czy to nie nazbyt niebezpieczne dla naszego generała?

– Ananais stanie w środku, a Decado na prawym skrzydle. Ja cofnę się na lewe. Jeśli zginę, moje miejsce zajmie Galand. Teraz muszę poszukać Ananaisa, ponieważ chcę, aby jego ludzie pracowali przez noc.

Dowódcy Trzydziestu spotkali się w osłoniętej kotlinie na wschodnim zboczu Uśmiechu Diabła. Poniżej, w jasnym blasku księżyca, czterystu ludzi trudziło się, podnosząc płyty torfu i kopiąc tunele w miękkiej ziemi pod nim.

Cała piątka siedziała ciasnym kręgiem, nie odzywając się ani słowem. Acuas podróżował i odbierał raporty od towarzyszy, nadzorujących przygotowania. Po chwili poszybował wysoko po ciemnym

niebie, rozkoszując się wolnością; nie istniało tu przyciąganie ani konieczność oddychania, ani okowy mięśni czy kości. Tutaj, ponad światem, jego oczy sięgały bezkresu i słyszał muzykę słonecznych wiatrów. Upajało go to i jego dusza wzbierała zachwytem nad pięknem i różnorodnością wszechświata.

Z trudem wrócił do swoich obowiązków, lecz był człowiekiem zdyscyplinowanym. Popłynął myślą do zwiadowców na zewnętrznej linii, odpowiedzialnych za osłanianie przygotowań przed Templariuszami, i poczuł zło czyhające za barierą.

– Jak idzie, Owardzie? – zapytał.

– Ciężko, Acuasie. Cały czas rosną w siłę. Niedługo nie będziemy w stanie ich powstrzymać.

– Templariusze nie mogą zobaczyć przygotowań.

– Jesteśmy prawie na granicy naszych możliwości, Acuasie. Jeszcze trochę i przebiją się.

Wtedy śmierć zbierze obfite żniwo.

– Wiem. Trzymajcie ich!

Acuas popędził w dół i minąwszy góry, znalazł się na równinie, na której obozował Legion.

Nad nimi szybował wojownik o imieniu Astin.

– Pozdrowienia, Acuasie!

– Pozdrowienia. Jakież zmiany?

– Nie sędzę. Templariusze właśnie nas odcięli i nie mogę już penetrować myśli dowódcy.

Jednak jest bardzo pewny siebie. Nie spodziewa się poważnego oporu.

– Czy Templariusze próbowali przebić się do ciebie?

– Jak dotąd nie. Osłona trzyma się. Jak sobie dają radę Oward i reszta?

– Przyciskają ich prawie do kresu możliwości. Nie zwlekaj zbyt długo, Astin. Nie chcę, żeby ci odcięli odwrót.

– Acuasie – zaczął Astin, gdy tamten zbierał się już do powrotu.

– Tak?

– Ci ludzie, których eskortowaliśmy za granice miasta...

– Co z nimi?

– Legioniści wycięli ich co do jednego. To było upiorne.

– Obawiałem się, że to się tak skończy.

– Czy jesteśmy odpowiedzialni za ich śmierć?

– Nie wiem, przyjacielu. Obawiam się, że tak. Bądź ostrożny. Acuas powrócił do swojego ciała i otworzył oczy. Przedstawił sytuację pozostałym i czekał na reakcję Decado.

– Nic więcej nie możemy zrobić – stwierdził Decado – to pewne. Za trzy godziny nadejdzie świt i Legion zaatakuje. Jak wiecie, Tenaka życzy sobie, by pięciu z nas dołączyło do jego żołnierzy. Wybór ludzi zostawiam Acuasowi. Pozostali zajmą miejsca pośrodku, u boku Ananaisa. Ta kobieta, Rayvan będzie razem z nami – Ananais chce, by ją chronić za wszelką cenę.

– To niełatwe zadanie – powiedział Balan.

– Wcale nie mówiłem, że łatwe – odparł Decado. – Musimy spróbować. Z psychologicznego punktu widzenia jest niezbędna, ludzie ze Skody bowiem walczą w równym stopniu dla niej jak i za ziemię.

– Rozumiem to, Decado – powiedział Balan. – Nie możemy jednak niczego obiecać.

Znajdziemy się na otwartym terenie, bez koni i możliwości ucieczki.

– Czy to znaczy, że krytykujesz plan Tenaki? – zapytał Abaddon.

– Nie – odparł zakonnik. – Wszyscy tutaj uczyliśmy się wojny i wiemy, że z taktycznego punktu widzenia jego strategia bitwy ma solidne podstawy. Jednakże, w najlepszym razie, ma niecałe trzydzieści procent szans powodzenia.

– Sześćdziesiąt – powiedział Decado.

Balan podniósł brew.

– Naprawdę? Wyjaśnij.

– Zgadzam się, że jesteście uzdolnieni ponad ludzką miarę. Także z tym, iż wasza znajomość strategii jest wyjątkowa. Strzeż się jednak pychy, Balan.

– Dlaczego? – zapytał mnich z nutką szyderstwa w uśmiechu.

– Ponieważ twoje szkolenie było jedynie tym – teorią. Gdybyśmy rozrysowali bitwę w postaci gry wojennej, wtedy trzydzieści procent byłoby właściwą oceną szans. Jednak to nie jest gra. Wśród tych ludzi, tam w dole jest Ananais, Złoty. Posiada wielką siłę i jeszcze większą sprawność. Co ważniejsze jednak, ma wpływ na ludzi, dorównujący niemal waszym psychicznym talentom. Tam, gdzie on wytrwa, inni wytrwają – bo utrzyma ich na miejscu siłą swej woli. To czyni z niego wodza. Jakikolwiek oszacowanie szans powodzenia takiego planu będzie zależało od woli utrzymania szyku i woli wytrwania, nawet za cenę życia. Będzie ich można rozsiekać, ale się nie cofną. – Dodaj do

tego bystrość myśli Tenaki Khana – mówił dalej.

– Podobnie jak Ananais jest niezwykle sprawnym wojownikiem, a jego znajomość strategii nie ma sobie równych. Jednak przede wszystkim celuje w rozplanowaniu czasu. Może nie ma przywódczych zdolności Ananaisa, ale to tylko z powodu swego pochodzenia. Każdy Drenaj pomyśli dwa razy zanim posłucha Nadira. – A w końcu ta kobieta, Rayvan. Jej ludzie będą walczyć z większym zapałem, kiedy ona będzie z nimi. Musisz zrewidować swoją ocenę, Balan.

– Zrobię to, uwzględniając twoje sugestie – powiedział mnich.

Decado skinął głową i zwrócił się do Acuasa.

– Jak daleko znajdują się Templariusze?

– Nie zdążą na jutrzejszą bitwę, dzięki Źródłu! Znajdują się jakieś dwa dni drogi stąd w liczbie stu ludzi. Pozostali są w Drenanie, towarzysząc przywódcom Sześciu w czasie spotkania z Ceską.

– A więc to problem na inny dzień – powiedział Decado. – Chyba możemy teraz odpocząć.

– Czy nie odprawisz modłów, Decado? – przemówił po raz pierwszy ciemnooki Katan.

Wojownik uśmiechnął się łagodnie. W słowach młodego mnicha nie było krytyki.

– Nie, Katanie. Ty jesteś bliżej Źródła niż ja i ty jesteś Duszą Trzydziestu. Ty poprowadź.

Katan skłonił się i wszyscy zamknęli oczy w milczącym zjednoczeniu. Decado odprężył się i nasłuchiwał odległego szumu morza. Dryfował, dopóki „głos” Katana nie nasilił się i poszybował

w jego stronę. Modlitwa była krótka i szczerą. Decado wzruszył się słysząc, jak młody mnich wymienia jego imię i prosi Pana Niebios, żeby go chronił.

Później, kiedy leżał i patrzył w gwiazdy, podszedł do niego Abaddon i usiadł obok. Smukły wojownik podniósł się i przeciągnął.

– Czy z niecierpliwością oczekujesz jutrzejszego dnia? – zapytał opat.

– Obawiam się, że tak.

Starzec oparł się o drzewo i zamknął oczy. Wyglądał na zmęczonego, jakby wypompowano z niego wszystkie siły. Zmarszczki na jego twarzy – kiedyś delikatne jak pajęczyna – teraz pogłębiły się jak wyryte dłutem.

– Skrzywdziłem cię, Decado – szepnął opat. – Wciągnąłem cię w sprawy, w których inaczej nie wzięłbyś udziału. Nieustannie modlę się za ciebie. Sprawiłoby mi przyjemność, gdybym wiedział, że postąpiłem słusznie. Jednak nie wiem.

– Nie mogę ci pomóc, Abaddonie.

– Wiem. Obserwowałem cię codziennie w twoim ogrodzie i zastanawiałem się. Prawdę mówiąc, więcej w tym było nadziei niż pewności. Nie jesteśmy prawdziwymi Trzydziestoma – i nigdy nie byliśmy. Zakon rozwiązano za czasów mojego ojca, lecz ja uważałem – w mej pysze –

że świat nas potrzebuje. Przeczesalem więc kontynent w poszukiwaniu dzieci o szczególnych zdolnościach. Zrobiłem, co mogłem, by ich przygotować, zanosząc do Źródła modły o pomoc.

– Może miałeś rację – powiedział cicho Decado.

– Sam już nie wiem. Obserwowałem ich dziś wieczorem, łącząc się z nimi duchem. Zamiast spokoju jest w nich podniecenie, a nawet żądza walki. Rozpoczęło się to, kiedy zabiłeś Padaxesa, a oni radowali się z twojego zwycięstwa.

– A czegoś się po nich spodziewasz? Żaden z nich nie przekroczył dwudziestego piątego roku życia! A ponadto nigdy nie żyli normalnie... nie upijali się... nigdy nie całowali kobiety.

Stłumiono w nich poczucie człowieczeństwa.

– Naprawdę tak myślisz? Wolałbym raczej usłyszeć, że je uwydatniono.

– To dla mnie za mądre – przyznał Decado. – Nie wiem, czego od nich oczekujesz. Zginą dla ciebie – czy to nie wystarczy?

– Nie. To o wiele za mało. Ta ponura, mała wojna jest całkowicie bez znaczenia w porównaniu z bezmiarem ludzkiego wysiłku. Czy nie sądzisz, że te góry wszystko to już kiedyś widziały? Jakie to ma znaczenie, jeśli nawet jutro wszyscy umrzemy? Czy świat będzie się kręcił

choć odrobinę wolniej? Czy gwiazdy będą świeciły choć troszeczkę jaśniej? Za sto lat żadnego z tych ludzi nie będzie już wśród żywych. Czy będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie? Wiele lat temu Druss Legenda stał i umarł na murach Dros Delnoch, żeby powstrzymać inwazję Nadirów.

Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

– To miało znaczenie dla Drussa. Dla mnie również ma.

– Dlaczego?

– Ponieważ jestem człowiekiem, mnichu. Po prostu. Nie wiem, czy Źródło istnieje, i naprawdę nic mnie to nie obchodzi. Wszystko co mam to ja sam i szacunek do samego siebie.

– Musi istnieć coś więcej. Światło musi zatryumfować. Człowiek jest tak prześladowany przez chciwość, żądzę i pogoń za nieuchwytnym. Jednak dobroć, wyrozumiałość i miłość są równoprawnymi częściami ludzkiej natury.

– Czy chcesz teraz powiedzieć, że powinniśmy kochać Legion?

– Tak. I mimo to pokonać ich.

– To dla mnie zbyt głębokie – rzekł Decado.

– Wiem. Mam jednak nadzieję, że pewnego dnia zrozumiesz to. Nie będzie mnie tutaj i nie zobaczę tego. Modlę się za ciebie.

– Wpadasz teraz w posępny nastrój. Zawsze tak bywa w przeddzień bitwy.

– Nie jestem posępny, Decado. Jutrzejszy dzień będzie dla mnie ostatnim na tym świecie.

Wiem, widziałem to. Jednak to bez znaczenia... Miałem tylko nadzieję, że dziś wieczorem przekonasz mnie, iż postąpiłem słusznie – przynajmniej w stosunku do ciebie.

– Cóż mam powiedzieć?

– Nic nie możesz powiedzieć.

– A więc nie mogę ci pomóc. Wiesz jakie było moje życie zanim ciebie spotkałem. Byłem zabójcą, który znajdował rozkosz w zabijaniu. To co powiem, to nie słabość, nigdy jednak nie chciałem taki być – po prostu taki byłem. Nie miałem ani siły, ani ochoty, żeby się zmienić.

Rozumiesz? Potem jednak niemal zabiłem człowieka, którego kochałem. I przyszedłem do ciebie. Pozwoliłeś mi schować się i byłem ci za to wdzięczny. Teraz znów wróciłem do mojego świata, mam miecz na podporządku i wroga przed sobą. Nie sprzeciwiam się Źródłu. Nie rozumiem jednak tej gry, którą prowadzi – dlaczego pozwala istnieć takim potworom jak Ceska.

I nie chcę rozumieć. Ze wszystkich sił będę przeciwstawiał się złu, które niesie ze sobą ten człowiek. A na koniec jeśli Źródło powie do mnie – „Decado, nie zasługujesz na nieśmiertelność” – odpowiem – „Niech tak się stanie”. Zrobię to bez żalu. Może masz rację. Być może umrzesz jutro. Jeśli przeżyjemy, zaopiekuję się twoimi młodymi wojownikami. Będę się starał utrzymać ich na twojej ścieżce. Myślę, że cię nie zawiodą. Poza tym będziesz już ze swoim Źródłem i możesz poprosić Je o pomoc.

– A jeśli się myliłem? – zapytał opat, pochylając się i chwytając mocno rękę Decado. – A jeśli przywróciłem do życia Trzydziestu tylko dla zaspokojenia własnej pychy?

– Nie wiem, Abaddonie. Jednak działałeś w dobrej wierze, nie myśląc o zyskach. Nawet jeśli się myliłeś, twój Bóg powinien ci wybaczyć. Jeśli nie wybaczy, to znaczy, że nie warto w niego wierzyć. Czy gdyby jeden z twoich mnichów popełnił błąd, nie wybaczyłbyś mu? Czy jesteś więc bardziej wyrozumiały niż twój Bóg?

– Nie wiem. Niczego już nie jestem pewien.

– Kiedyś powiedziałeś mi, że wiara i pewność nie chodzą ze sobą w parze. Musisz mieć wiarę, Abaddonie.

– To niełatwe, Decado, być ufnym w dniu śmierci.

– Dlaczego do mnie się z tym zwracasz? Ja nie pomogę ci odnaleźć wiary. Dlaczego nie porozmawiałeś z Katanem albo z Acuasem?

– Czułem, że mnie zrozumiesz.

– Cóż, pomyliłeś się. Zawsze byłeś taki przekonany – promieniowałeś harmonią, spokojem.

Miałeś gwiazdy we włosach, a twoje słowa były mądrością. Czy to wszystko było udawaniem?

Czy nagle ogarnęły cię wątpliwości?

– Kiedyś oskarżyłem cię o ukrywanie się w ogrodzie. Prawdę mówiąc, ja też się ukrywałem.

Łatwo było stłumić wątpliwości za solidnymi murami klasztoru. Miałem swoich uczniów i swoje książki; wtedy wydawało się to wspaniałym projektem światła. Kiedy jednak pomyślę o tej grupie ludzi, którzy próbowali wydać Rayvan: byli przerażeni i chcieli żyć, a my pogoniliśmy ich z miasta na równinę, jak bydło na rzeź. Nie pozwoliliśmy im nawet pożegnać rodzin.

– Teraz rozumiem – powiedział Decado. – Postrzegałeś nas jak Białych Templariuszy, maszerujących przeciwko złu pośród wiwatujących tłumów: oazę bohaterstwa w srebrze i bieli.

Cóż, to nigdy nie mogło się sprawdzić, Abaddonie. Zło mieszka w bagnie. Jeśli chcesz je pokonać – musisz się w nim zanurzyć i utyłać w błocie. Na białych płaszczach brud jest bardziej widoczny niż na czarnych, srebro traci blask. Teraz zostaw mnie i połącz się ze swoim Bogiem, który zna więcej odpowiedzi niż ja.

– Czy pomodlisz się za mnie, Decado? – poprosił opat.

– A dlaczegoż by Źródło miało wysłuchać mnie, jeśli nie chce słuchać ciebie? Módl się sam za siebie, człowieku!

– Proszę. Zrób to dla mnie.

– Dobrze. A teraz idź i odpocznij.

Decado patrzył, jak starzec znika w ciemności. Potem położył się i spoglądał w rozświetlone niebo.

Rozdział 11

Tenaka stał na wzniesieniu nad równiną w krwawym blasku wschodzącego słońca. Razem z nim było stu ludzi uzbrojonych w łuki, miecze i topory. Tylko około trzydziestu miało tarcze i tych rozmieścił na otwartej przestrzeni u wylotu doliny. Po obu stronach niewielkiego oddziałku piętrzyły się góry, a za nimi Uśmiech Diabła rozszerzał się w obu kierunkach, przechodząc w pokryte lasem wzgórza.

Pół-Drenaj wyczuwał niepokój w sercach ludzi i nie umiał znaleźć dla nich słów otuchy. W

napięciu krążyli wokół Nadira, rzucając nań podejrzliwe spojrzenia; zgodzili się walczyć u jego

boku tylko na prośbę Rayvan.

Mieszaniec osłonił oczy dłonią i zobaczył, że Legion rusza do ataku. Rozpoznał to po migocących w słońcu ostrzach włóczni i wypolerowanych napierśnikach. Po żołnierzach Smoka legioniści byli najświetniejszymi wojownikami Drenajów.

Tenaka wyjął miecz i sprawdził kciukiem jego ostrość. Wziął osetkę i jeszcze raz przejechał po krawędzi.

Podszedł do niego Galand.

– Życzę szczęścia, generale! – powiedział.

Tenaka uśmiechnął się i obrzucił wzrokiem nieduży oddział. Twarze mieli skupione, zdecydowane; nie było w nich poddania. Przez wieki podobni im ludzie utrzymywali jedność imperium Drenajów przeciwko największym armiom świata: hordom Ulryka, Nieśmiertelnym Gorbena oraz dzikim jeźdźcom z Vagrii podczas Wojen Chaosu.

Teraz znowu mieli stawić czoło złu w nieprawdopodobnie nierównej walce.

Dudniący tętent kopyt na suchej równinie popłynął w góry i odbił się od nich echem jak bębny Sądu Ostatecznego. Po lewej stronie, tam gdzie znajdowali się ludzie z tarczami, stał syn Rayvan, Lucas. Założył strzałę na cięciwę i przełknął ślinę, po czym otarł rękawem czoło. Pocił

się okropnie – dziwne, jak dużo wilgoci tworzy się na twarzy, kiedy w ustach jest tak sucho.

Obejrzał się na nadiryjskiego generała i zobaczył, że tamten stoi spokojnie z mieczem w dłoni i fioletowymi oczami utkwionymi w atakujących jeźdźcach. Na jego twarzy nie dostrzegł ani kropli potu.

Drań, pomyślał Lucas. Wyzuty z ludzkich uczuć drań!

Kawalerzyści dojechali do zbocza przed Uśmiechem i minimalnie zwolnili. Na spotkanie wybiegła im pojedyncza strzała, spadając około trzydzieści kroków przed linią.

– Czekać na rozkaz! – ryknął Galand, spoglądając na nieruchomego Tenakę.

Jeźdźcy gnali jak wichry, pochylając włócznie.

– Teraz? – spytał Galand, gdy pierwsze konie minęły miejsce, gdzie upadła strzała. Tenaka przecząco potrząsnął głową.

– Patrzeć przed siebie! – krzyknął Galand, gdy łucznicy nerwowo wykręcali szyje, czekając na znak.

Legioniści jechali w dwudziestu pięciu szeregach, po pięćdziesięciu w każdym. Tenaka ocenił odstęp między nimi na około sześć długości. Bardzo zdyscyplinowany atak.

– Teraz! – powiedział.

– Do Piekła z nimi! – wrzasnął Galand i sto strzał świsnęło w powietrzu. Pierwszy rząd koni zniknął, zmieciony gradem strzał. Ludzie spadali na łeb na szyję i rozbijali się na skałach, gdy rżące z bólu konie cofały się i padały. Drugi szereg załamał się, ale odstęp między rzędami umożliwił jeźdźcom spięcie koni na czas i przeskoczenie leżących. Wpadli prosto na drugą falę strzał, które uśmiercały, raniły lub kaleczyły ich konie. Gdy oszołomieni podnosili się z ziemi, widzieli już następne strzały, które przesywały odsłonięte części ciała i niosły im śmierć. Jednak natarcie trwało i jeźdźcy prawie dosięgali wroga.

Wyjawszy ostatnią strzałę, Lucas podniósł się z kolan. Jeden z lansjerów wyłamał się z szyku i młodzieniec nie celując, wypuścił weń strzałę. Odbiła się od czaszki konia, który stanął dęba, lecz jeździec utrzymał się w siodle. Chłopak rzucił łuk i podbiegł do niego, wyciągając myśliwski nóż. Skoczył na koński grzbiet i zadał cios w pierś mężczyzny, lecz ten odchylił się w prawo. Pod podwójnym ciężarem koń upadł. Lucas wylądował na jeźdźcu, a impet upadku poparty ciężarem całego ciała wepchnął nóż aż po rękojeść. Jeździec jęknął i umarł; syn Rayvan spróbował wyszarpnąć nóż, ale ostrze wbiło się zbyt głęboko. Porwał więc miecz tamtego i skoczył na drugiego lansjera.

Tenaka przykucnął, unikając pchnięcia, skoczył i ściągnął jeźdźca z siodła. Tnąc na odlew rozplątał krtań wroga, który zachłysnął się własną krwią. Pół-Drenaj dosiadł konia. Łucznicy wycofali się z przełęczy i zasypywali strzałami legionistów, wjeżdżających pod górę. Trupy ludzi i koni zatarasowały wejście do doliny. Zapanował chaos. Tu i ówdzie kawalerzyści przebili się przez linię obrońców, tam jednak piechota Skody siekła ich mieczami i toporami.

– Galand! – krzyknął Tenaka.

Czarnobrody wojownik, walczący u boku brata zabił kolejnego przeciwnika i odwrócił się na wołanie. Tenaka wskazał na tłum z przodu i Galand pomachał mieczem na znak zrozumienia.

– Do mnie, Skoda! – ryknął. – Do mnie!

Wraz z bratem i około dwudziestu innymi natarł na ludzkie kłębówisko. Ujrzawszy nadbiegających, jeźdźcy rzucili włócznie i w popłochu sięgnęli po miecze. Tenaka zawrócił

konia w miejscu i dołączył do nich. Walka trwała przez kilkanaście krwawych minut. Wtem z równiny dobiegł dźwięk trąbki i Legioniści zawrócili konie, uchodząc z pola bitwy.

Do Tenaki podbiegł Galand, z głową krwawiącą od płytkiej rany. – Zaraz przeprowadzą następny atak – powiedział. – Nie powstrzymamy ich.

Książę Nadirów schował miecz do pochwy. Stracił prawie połowę ludzi.

Podbiegł Lucas. – Pozwól pozbierać rannych – poprosił.

– Nie ma na to czasu! – powiedział pół-Drenaj. – Zajmijcie pozycje – bądźcie jednak gotowi do ucieczki, gdy wydam rozkaz. – Spiął konia piętami i wjechał na szczyt wzniesienia.

Legioniści zawrócili u podnóża stoku i przegrupowywali się w pięćdziesięcioosobowe szeregi.

Za jego plecami łucznicy Skody rozpaczliwie zbierali strzały, wyciągając je z trupów.

Tenaka podniósł rękę i przywołał ich do siebie. Usłuchali bez wahania.

Na dole znowu zagrała trąbka i odziani na czarno jeźdźcy ruszyli do przodu. Tym razem nie włócznie, lecz miecze lśniły w ich dłoniach. Znowu dudnienie kopyt rozeszło się echem po górach.

Kiedy znaleźli się w odległości trzydziestu kroków, Tenaka podniósł rękę. – Teraz! – wrzasnął. – Setki strzał sięgnęło celu. – Do tyłu! – krzyknął.

Żołnierze Skody zawrócili i pomknęli szukać schronienia wśród lesistych wzgórz.

Tenaka oszacował straty Legionu na około trzystu ludzi i nieco więcej koni. Zawrócił rumaka i pogalopował w kierunku wzgórz. Przed sobą zobaczył Galanda i Parsala, którzy pomagali rannemu synowi Rayvan. Lucas chciał wyciągnąć strzałę z ciała jeźdźca, lecz ten żył jeszcze i ciął chłopca w lewą nogę.

– Zostawcie go mnie! – krzyknął Tenaka, zbliżając się do nich. Pochylił się, wciągnął Lucasa na siodło i spojrzął za siebie. Legioniści ukazali się właśnie na szczycie wzniesienia i ruszyli w pościg za uciekającymi. Galand i Parsal popędzili na północ.

Księżę Nadirów skręcił na północny zachód. Kawalerzyści ostrogami popędzali swoje konie do galopu.

Przed nim znajdowało się pierwsze wzgórze, za którym czekał Ananais z głównymi siłami.

Mieszaniec ponaglał konia, lecz podwójnie obciążone zwierzę gnało resztkami sił. Wjeżdżając na szczyt, wyprzedzał pościg o najwyższej piętnaście długości. Jednak przed nim stał Ananais i czterystu ludzi. Zmęczony wierzchowiec pół-Drenaja zdobył się na galop. Ananais wysunął się do przodu i dał znak, żeby Tenaka skręcił w lewo, na co ten ściągnął wodze, manewrując zwierzęciem pośród pułapek, których budowę sam nadzorował przez całą ubiegłą noc. Za nim setka Legionistów zatrzymała się w oczekiwaniu na rozkazy. Tenaka pomógł zejść Lucasowi i sam zsiadł z konia.

– Jak poszło? – zapytał Ananais. Księżę Nadirów podniósł w górę trzy palce.

– Byłoby miło, gdyby zamiast trzech było pięć – powiedział.

– Są zdyscyplinowani, Ani, atakują szereg za szeregiem.

– Trzeba im przyznać, że zawsze tacy byli. Cóż, to jeszcze nie koniec dnia.

Rayvan przepchnęła się do przodu. – Czy wielu straciliśmy?

– Około czterdziestu w natarciu. Jednak więcej wyłapią w lesie – odpowiedział Tenaka.

Podeszli Decado i Acuas.

– Generale – powiedział Acuas. – Dowódca Legionu zna już nasze pozycje. Rozsyła ordynansów z rozkazem ataku czołowego.

– Dzięki. Mieliśmy nadzieję, że tak właśnie postąpi.

– Mam nadzieję, że zrobi to szybko – powiedział mnich, drapiąc żółtą brodę. – Templariusze przerwali naszą osłonę i wkrótce dowiedzą się o przygotowaniach. Potem przekażą te wiadomości dowódcy.

– Jeśli tak się stanie, zginęliśmy – mruknął Ananais.

– Czy przy całej swojej mocy nie możecie osłonić dowódcy? – zapytał Tenaka.

– Moglibyśmy – odpowiedział natychmiast zakonnik – jednak ludzie wykonujący to zadanie naraziliby się na wielkie niebezpieczeństwo.

– Tak się składa – powiedział ironicznie człowiek w masce – że my też narażamy się na nie mniejsze ryzyko.

– Zrobimy to – powiedział Decado. – Dopilnuj tego, Acuasia.

Mnich skinął głową i zamknął oczy.

– Dalej, zabierz się za to, chłopcze – ponaglał Ananais.

– Właśnie to robi – powiedział cicho Decado. – Zostaw go w spokoju.

Ostre, skrzeczące dźwięki rozdarły powietrze i w ciągu kilku sekund szereg czarnych jeźdźców pojawił się na szczycie przeciwległego wzgórza.

– Cofnij się do środka – Ananais rozkazał Rayvan.

– Traktujesz mnie jak dziewczkę!

– Traktuję cię jak wodza, kobieto! Jeśli padniesz w pierwszym starciu, bitwa będzie skończona.

Rayvan cofnęła się, a żołnierze napięli łuki.

Pojedynczy sygnał trąbki oznajmił atak i kawaleria ruszyła w dół zbocza. Fala strachu ogarnęła szeregi obrońców. Ananais wyczuł ją raczej, niż zauważył. – Spokojnie, chłopcy! –

zawołał opanowanym głosem.

Tenaka wyciągnął szyję, żeby obejrzeć formację: stu w linii, odstęp między rzędami na jedną długość. Zaklął cicho. Pierwszy szereg dojechał do stóp wzgórza i zaczął się wspinać w kierunku obrońców, zwalniając na stromym zboczu. Spowodowało to dalsze zmniejszenie odległości między szeregami. Książę Nadirów uśmiechnął się. Na trzydzieści kroków przed linią obrońców pierwszy szereg jeźdźców natknął się na rów, ukryty pod miękką warstwą torfu, wspartą na cienkich gałęziach. Jeźdźcy runęli pokotem, jak ścięci toporem niewidzialnego olbrzyma. Drugi szereg znajdujący się zbyt blisko, wpadł za nimi w skotłowaną masę ludzi i koni.

– Do ataku! – krzyknął Ananais i trzystu żołnierzy Skody rzuciło się naprzód, siekąc i tnąc.

Pozostała setka wysyłała chmary strzał ponad głowami swych towarzyszy w dalsze szeregi lansjerów – tamci ściągnęli wodze swoich wierzchowców i znieruchomieli, stanowiąc świetny cel dla łuczników. Na wzgórzu za nimi generał legionistów Karespa klął na czym świat stoi.

Odwrócił się w siodle i rozkazał trębaczowi grać do odwrotu. Ostre dźwięki poszybowały nad polem bitwy i Legion zaczął się wycofywać. Karespa machnął ręką w lewo i lansjerzy zawrócili konie do ataku z flanki. Ananais wycofał swoich na szczyt wzgórza.

Legion znowu ruszył do ataku, lecz wkrótce wierzchowce napotkały pułapki z drutu rozciągniętego w wysokiej trawie. Generał legionistów znowu wydał polecenie odwrotu. Nie mając innego wyboru, rozkazał ludziom zsiąść z koni i atakować pieszo pod osłoną łuczników.

Posuwali się wolno do przodu, pierwsze szeregi przerażone i pełne wahania. Nie mieli tarcz i nie kwapili się, by zostać celem dla łuczników Skody.

Znalazłszy się tuż za zasięgiem strzał, pierwszy szereg znieruchomiał, gotując się do szaleńczego ataku. W tym momencie z ziemi za ich plecami podniósł się Lake i jego pięćdziesięciu ludzi. Zrzucali z siebie poprzetykane trawą koce i wylazili z rowów, dobrze ukrytych za granitowymi głazami. Z punktu obserwacyjnego na szczycie wzgórza Karespa dostrzegł ludzi, wychodzących jak spod ziemi i przetarł oczy z niedowierzaniem.

Lake błyskawicznie napiął łuk, a pozostali poszli za jego przykładem. Ich celem byli łucznicy wroga. Świsnęło w powietrzu pięćdziesiąt strzał, a potem znowu pięćdziesiąt. Rozpętało się prawdziwe piekło. Ananais poprowadził swoich czterystu ludzi do nagłego ataku i Legion padł pokotem pod burzą tnących kling. Generał legionistów odwrócił się, żeby nakazać odwrót, lecz głos uwiązł mu w gardle ze zdumienia. Trębacz został właśnie ściągnięty z siodła przez czarnobrodego wojownika, który stał teraz obok konia Karespy z uśmiechem na twarzy i sztyletem w dłoni. Opodal stali inni, uśmiechając się bez cienia wesołości.

Galand podniósł trąbkę do ust i odegrał posępny sygnał poddania. Zagrała trzykrotnie, nim ostatni legioniści złożyli broń.

– Skończone, generale – powiedział Galand. – Proszę zsiąść z konia.

– Niech mnie diabli porwą, jeśli usłucham! – warknął.

– Jeśli nie usłuchasz, zginiesz – obiecał Galand.

Karespa zsiadł z konia.

W kotlinie poniżej sześciuset legionistów siedziało na trawie, a górale ze Skody uwijali się wśród nich, uwalniając ich od broni i napierśników.

Decado schował miecz do pochwy i podszedł do Acuasa, który klęczał przy ciele Abaddona.

Nie dostrzegł żadnych ran.

– Co się stało? – zapytał Decado.

– Był najsilniejszym umysłem pośród nas. Jego talent o wiele przewyższał zdolności pozostałych. Zgłosił się na ochotnika, żeby uniemożliwić Templariuszom kontakt z Karespą.

– Wiedział, że dzisiaj umrze – powiedział Decado.

– On nie umrze dzisiaj – warknął Acuas. – Czyż nie powiedziałem, że łączy się z tym wielkie niebezpieczeństwo?

– Zginął człowiek i cóż? Wielu dzisiaj zginęło.

– Nie mówię o śmierci, Decado. Tak, jego ciało umarło, lecz duszę porwali Templariusze.

Scaler siedział na wysokim murze ogrodu otaczającego wieżę i spoglądał na odległe góry, wypatrując oznak zwycięskiego Legionu. Poczul ulgę, kiedy Tenaka rozkazał mu zostać, lecz teraz dręczyła go niepewność. Wiadomo, że nie był wojownikiem i nie na wiele przydałby się w bitwie, ale przynajmniej znałby rezultat.

Czarne chmury zebrały się nad ogrodem i zasłoniły słońce; Scaler owinał się ciasniej błękitnym płaszczem, zszedł z muru i poszedł w stronę osłoniętych od wiatru kwiatów. Ten ogród założył przed sześćdziesięciu laty jakiś starzejący się senator, którego słudzy wnieśli tutaj ponad trzy tony żyznej gleby. Teraz rosły tu wszelkiego rodzaju drzewa, krzewy i kwiaty. W

narożniku widać było wawrzyn i czarny bez, rosnące obok jemioly i wiązu, gdzie indziej na tle szarych, kamiennych murów kwitły na różowo i biało wiśnie. Przez środek wiała się pośród kwiatowych grządek ozdobna ścieżka. Scaler spacerował po niej, rozkoszując się zapachem kwiatów.

Renya wspięła się po spiralnych schodach i weszła do ogrodu właśnie wtedy, gdy słońce wyszło zza chmur. Zobaczyła samotnego Scalera z czarną skórzaną opaską na skroni, przytrzymującą jego ciemne włosy. Jaki przystojny, pomyślała... i samotny. Nie miał miecza i przyglądał się właśnie złotemu kwiatkowi na krawędzi skalnego ogródka.

– Dzień dobry – powiedziała, a on podniósł oczy. Dziewczyna miała na sobie bladozieloną wełnianą tunikę i włosy okryte jedwabną chustą koloru rdzy. Była boso.

– Dzień dobry, pani. Czy dobrze spałaś?

– Nie. A ty?

– Obawiam się, że też nie. Jak myślisz, kiedy się dowiemy?

Wzruszyła ramionami. – Wkrótce.

Potwierdził skinieniem głowy i razem poszli przez ogród, aż do południowego muru wychodzącego na Uśmiech Diabła.

– Dlaczego nie poszedłeś z nimi? – zapytała.

– Tenaka kazał mi zostać.

– Czemu?

– Wyznaczył mi zadanie i nie chce, żebym zginął, zanim spróbuję je wykonać!

– A więc to niebezpieczne zadanie?

– Dlaczego tak myślisz?

– Powiedziałaś „Spróbuję”. To brzmi, jakbyś wątpił w możliwość powodzenia.

Roześmiał się ponuro. – Wątpił? Ja nie wątpię – ja wiem. Jednak to bez znaczenia. Nikt nie żyje wiecznie. Poza tym może nigdy do tego nie dojdzie. Najpierw muszą pokonać Legion.

– Pokonają – powiedział Renya i usiadła na kamiennej ławce, podciągając nogi.

– Jak możesz być taka pewna?

– To nie są ludzie, którzy dadzą się pokonać. Tenaka znajdzie sposób, żeby wygrać. A jeśli poprosił cię o pomoc, to musi być pewien, że masz szansę.

– W jakże prosty sposób kobiety postrzegają świat mężczyzn – skomentował Scaler.

– To nie tak. To mężczyźni zawsze komplikują najprostsze rzeczy.

– Śmiertelna riposta, pani. Jestem rozbrojony!

– Czy tak łatwo cię pokonać, Scaler?

Usiadł obok niej. – Łatwo mnie pokonać, Renya, ponieważ niezbyt zależy mi na zwycięstwie. Tylko na życiu! Uciekam, żeby przetrwać. Już jako dziecko byłem otoczony skrytobójcami. Cała moja rodzina zginęła z ich rąk. To sprawa Ceski – teraz to widzę, ale wtedy wydawał się przyjacielem moim i dziadka. Przez lata mój pokój był w nocy strzeżony.

Próbowano moje jedzenie, przeszukiwano zabawki sprawdzając, czy nie ma w nich zatrutych kolców. Nie można tego nazwać szczęśliwym dzieciństwem.

– Ale teraz jesteś już mężczyzną – powiedziała.

– Nie bardzo. Łatwo mnie przestraszyć. Jednak jest w tym pocieszenie. Gdybym był twardszy, pewnie byłbym już martwy.

– Lub zwycięski.

– Tak – przyznał – może zwycięski. Jednak kiedy zabili Orrina – mojego dziadka – uciekłem.

Zrezygnowałem z książęcego tytułu i zszedłem pod ziemię. Towarzyszył mi Belder – ostatni ze świty. Jestem dla niego wielkim rozczarowaniem.

– Jak udało ci się przetrwać?

Uśmiechnął się. – Zostałem złodziejem. Stąd to imię. Wspinałem się do sypialni ludzi i okradałem ich z kosztowności. Mówią, że Książę z Brązu zaczynał swą karierę w podobny sposób. Tak więc kontynuuję rodzinną tradycję.

– Profesja złodzieja wymaga odwagi. Mogli cię złapać i powiesić.

– Nigdy nie widziałaś jak biegam – szybciej niż wiatr.

Renya uśmiechnęła się i wstała, by wyjrzeć za mur na południe. Potem znowu usiadła.

– Czego żąda od ciebie Tenaka?

– Nic szczególnego. Chce tylko, żebym znowu został księciem i odebrał Dros Delnoch, podporządkował sobie dziesięć tysięcy żołnierzy i otworzył bramy nadiiryjskiej armii. To wszystko!

– Poważnie – czego chce?

Scaler pochylił się do przodu. – Powiedziałem ci.

– Nie wierzę. To szaleństwo!

– Niemniej jednak...

– To niemożliwe.

– Lecz prawdziwe, Renya, prawdziwe. Jednakże, jest w tym planie pewna ironia. Pomyśl: potomek Księcia z Brązu, który obronił fortecę przed Ulrykiem, otrzymuje teraz rozkaz zdobycia fortecy i otwarcia bram potomkowi Ulryka, żeby przeszedł przez nie ze swym wojskiem.

– A gdzie on zdobędzie to wojsko? Nadirowie nienawidzą go tak samo jak Drenajowie.

– O tak, ale to Tenaka Khan – powiedział sucho Scaler.

– A więc jak zdobędziesz fortecę?

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie pomaszeruję do wartowni, powiem kim jestem i poproszę, żeby się poddali.

– To dobry plan – prosty i skuteczny – powiedziała poważnie.

– Jak wszystkie dobre plany – stwierdził. – Powiedz mi, jak ty wplątałaś się w to wszystko?

– Po prostu jestem w czepku urodzona – powiedziała Renya i znowu wstała. – Cholera!

Dlaczego nie wracają?

– Jak powiedziałaś, dowiemy się niebawem. Czy zjesz ze mną śniadanie?

– Raczej nie. W kuchni jest Valtaya – ona ci coś przygotowuje.

Wyczuwając w niej potrzebę samotności, poszedł w kierunku schodów i dalej, kierując się smakowitym zapachem smażonego boczku.

Po drodze minął Valtayę i wszedł do kuchni, gdzie Belder pochłaniał w pocie czoła ogromną górę bekonu, jajek i fasolki szparagowej.

– Mężczyzna w twoim wieku powinien już stracić apetyt – zauważył Scaler, siadając naprzeciwko sędziwego wojownika. Belder rzucił mu gniewne spojrzenie. – Powinniśmy być z nimi – powiedział.

– Tenaka prosił, żebym został – odparł Scaler.

– Ciekawe dlaczego – warknął Belder sarkastycznie. – Pomyśl tylko, jak bardzo moglibyśmy się im przydać.

Scaler stracił cierpliwość. – Może nie mówiłem ci tego wcześniej – zauważył – ale zaczynam mieć cię dosyć, Belder. Zamknij się albo zejdź mi z oczu!

– Ta druga możliwość brzmi lepiej – powiedział stary wojownik z błyskiem w oczach.

– Więc zrób to! I skończ z tymi świętoszkowatymi kazaniami. Od lat już krytykujesz mój rozrzutny sposób życia, moje obawy i porażki. Przecież nie zostałeś ze mną z powodu lojalności

– zostałeś, bo także jesteś uciekinierem. Przy mnie łatwo możesz się ukryć. Tenaka poprosił o pozostanie mnie, a nie ciebie – mogłeś iść z nim.

Scaler zerwał się na nogi i wyszedł z pokoju. Stary odsunął talerz i oparł głowę na rękach.

– Naprawdę pozostałem z powodu lojalności – szepnął.

Po skończonej bitwie Tenaka odszedł samotnie w góry. Czuł na sercu ogromny ciężar i ogarniająca go melancholię.

Rayvan patrzyła jak odchodził i nawet chciała pójść za nim, lecz Ananais powstrzymał ją.

– On tak zawsze – powiedział olbrzym. – Zostaw go w spokoju.

Wzruszyła ramionami i powróciła do opatrywania rannych. Sklecono naprędce nosze z włóczni i płaszczy legionistów. Trzydziestu zdjęło zbroje; teraz uwijali się wśród rannych, używając swych niesamowitych zdolności do uśmierzenia bólu podczas nakładania szwów.

Na otwartym polu układano rzędem zabitych – razem legionistów i żołnierzy Skody. Tego dnia zginęło sześciuset jedenastu lansjerów; obok nich ułożono dwustu czterdziestu sześciu górali.

Rayvan przechadzała się między rzędami zmarłych, przypominając sobie ich imiona i modląc się za każdego z nich. Wielu miało farmy i zagrody, żony i dzieci, siostry, matki. Rayvan знаła ich wszystkich. Przywołała do siebie Lake'a i kazała mu przynieść papier oraz węgiel, żeby sporządzić listę poległych.

Ananais, oczyściwszy szaty z krwi, kazał przywołać do siebie generała legionistów, Karespę.

Wszedł posępny i raczej nie w nastroju do rozmowy.

– Będę musiał cię zabić, Karespa – powiedział Ananais przepraszająco.

– Wiem.

– Dobrze. Zjesz ze mną?

– Nie, dziękuję. Właśnie opuścił mnie apetyt.

Ananais pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Czy masz jakieś życzenia co do sposobu?

Tamten wzruszył ramionami.

– A jakie to ma znaczenie?

– A więc będzie to pchnięcie mieczem. Chyba że wolisz to zrobić sam?

– Idź do diabła!

– Zatem ja to zrobię. Masz czas do świtu, żeby przygotować się na śmierć.

– Obejdzie się. Zrób to teraz, póki jestem w nastroju.

– W porządku – przytaknął Ananais i w tym samym momencie Karespa poczuł w swoim karku ostry i

przenikliwy ból. Spróbował się odwrócić, lecz jego umysł zapadł już w ciemność.

Galand wyciągnął miecz i wytarł go o płaszcz generała. Następnie minął ciało i usiadł obok Ananaisa.

– Szkoda – powiedział czarnobrody wojownik.

– Nie mogliśmy pozwolić mu odejść.

– Chyba nie. Na boga, generale, zwyciężyliśmy! Niewiarygodne, prawda?

– Przeciwnie, przecież Tenaka tak właśnie to zaplanował.

– Daj spokój, wszystko mogło się zdarzyć. Mogli nie ruszyć do natarcia – mogli zsiąść z koni i wysłać przodem łuczników.

– To prawda. Mogli. Jednak nie zrobili tego. Postępowali zgodnie z zasadami. Dokładnie według podręcznika kawalerii, który mówi, że jedynym posunięciem przeciwko nieregularnej piechocie jest natarcie. Legioniści są niezwykle zdyscyplinowani i dlatego można było oczekiwać, że postąpią według reguł podanych w książce. Chcesz, żebym zacytował rozdział i wers?

– To nie jest konieczne – mruknął Galand. – Domyślam się, że sam go napisałeś.

– Nie. Najnowsze zmiany wprowadził Tenaka Khan osiemnaście lat temu.

– Przypuśćmy jednak...

– Tylko po co, Galand? Miał rację.

– Przecież nie mógł wiedzieć, gdzie zatrzyma się Karespa z trębaczem. A jednak kazał

Parsalowi i mnie iść na to właśnie wzgórze.

– A skąd, jak nie stamtąd Karespa mógł obserwować bitwę?

– Mógł przecież pójść razem z ludźmi.

– I zostawić trębaczowi podejmowanie decyzji?

– W twoich ustach brzmi to tak prosto, a przecież bitwy wcale takie nie są. Strategia to jedno, a umiejętności i zaangażowanie – drugie.

– Nie przeczę. Legioniści nie walczyli dziś najlepiej. Jest wśród nich wielu dobrych ludzi i nie sądzę, żeby podobało im się to zadanie. Jednak to już przeszłość. Teraz mam zamiar poprosić ich, żeby się do nas przyłączyli.

– A jeśli odmówią?

- Wypędzę ich z doliny – gdzie będziesz czekał z setką łuczników. Ani jeden nie może ujść cało.
- Jesteś bezwzględny człowiekiem, generale!
- Dlatego żyję, Galand. I mam zamiar pozostać przy życiu. Galand wstał. – Życzę ci tego, generale. Mam też nadzieję, że Tenaka Khan wymyśli kolejny cud, kiedy nadejdą Spojeni.
- To jutro – powiedział Ananais. – Na razie cieszymy się dniem dzisiejszym.

Rozdział 12

Tenaka znalazł samotność, której tak potrzebował, wysoko w górach, nad ukrytym wodospadem, gdzie powietrze było czyste i chłodne, a na zboczach leżał jeszcze śnieg. Powoli i starannie rozniecił ognisko w kręgu kamieni, a potem usiadł przy nim i obserwował płomień.

Nie czuł radości zwycięstwa; zmyła ją krew zabitych. Po chwili podszedł do strumienia, przypominając sobie słowa Asta Khana, wiekowego szamana plemienia Wolfsheadów.

– Wszystko na tym świecie stworzono na potrzeby Człowieka. Jednak każda rzecz ma dwojaki przeznaczenie. Wody płyną, żebyśmy mogli ugasić pragnienie, a jednocześnie symbolizują błahość naszego istnienia. Ich piękno jest jak nasze życie, zrodzone z czystości gór.

Jako niemowlęta gaworzą i biegają, potem rosną i rozkwitają w silne, młode rzeki. Następnie rozszerzają się i zwalniają biegu, aż w końcu zataczają meandry jak starcy, by połączyć się z morzem. I podobnie jak ludzkie dusze w Niebycie, krążą aż słońce podniesie ich znowu, by w postaci kropli deszczu spadły na góry.

Tenaka zanurzył dłonie w wartkim strumieniu wody. Poczuł się zagubiony, poza swoim czasem. Na pobliskiej skale podskakiwał maleńki brązowy ptak; był tak zajęty poszukiwaniem jedzenia, że nie zwrócił uwagi na jego obecność. Nagle zanurkował w wodzie i Tenaka drgnął

zaskoczony, pochylając się nad strumieniem, żeby zobaczyć, jak płynie pod powierzchnią: niesamowity widok. Ptak wynurzył się, wskoczył na skałę i otrzepał piórka, aby po chwili znów zanurzyć się w wodzie. Ten widok w dziwny sposób uspokajał Tenakę. Przez jakiś czas obserwował ptaka, a potem położył się na trawie i patrzył, jak na błękitnym niebie gromadzą się chmury.

Orzeł wzniósł się wysoko w powietrze. Z rozpostartymi skrzydłami wydawał się prawie nieruchomy.

W polu widzenia Tenaki pojawiła się trzepocząca skrzydełkami pardwa. Pióra miała wciąż cętkowane i częściowo białe – idealny kamuflaż na zboczach pokrytych gdzieś śniegiem.

Tenaka zastanowił się nad ptakiem. W zimie jego upierzenie było całkowicie białe, na wiosnę częściowo białe, podczas gdy latem cętki przybierały szarobrunatną barwę, co umożliwiało mu ukrywanie się pośród głazów. Te zmieniające się kolory były jedyną obroną ptaka.

Pardwa uniosła się w powietrze, a orzeł zanurkował ostro, spadając jak kamień. Jednak w locie przeciął słońce i jego cień padł na ziemię przed pardwą, która odskoczyła, unikając szponów o włos.

Małeńki, cętkowany ptaszek skrył się z powrotem w krzewach.

Orzeł przysiadł na gałęzi nie opodal Tenaki z nastroszonymi piórami. Nadir ułożył się wygodniej i zamknął oczy.

Walka była zawzięta, lecz ta strategia nie zadziałała po raz drugi. Zyskał na czasie i to wszystko. Ceska wysłał Legion dla stłumienia niewielkiego buntu – przyjęliby inną taktykę wiedząc, że jest pośród nich Tenaka. Teraz będą już wiedzieli... Ceska wykorzysta przeciwko niemu wszystkie swe umiejętności.

Ilu ludzi rzuci przeciw nim tym razem?

W grę wchodziła reszta Legionu – cztery tysiące wojowników. Ponadto dziesięć tysięcy regularnego wojska. Oszczepnicy z Drenanu – dwa tysiące według ostatnich informacji. Jednak bardziej zatrważający niż to wszystko byli Spojeni. Ilu zdążył ich stworzyć? Pięć tysięcy?

Dziesięć?

Jak należało mierzyć ich siły w porównaniu ze zwykłymi ludźmi? Jeden do pięciu? Tylko przy takim porównaniu warci byli tyle co dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy.

Ceska nie popełni po raz drugi tego samego błędu, nie doceniając powstania w Skodzie.

Nagle Tenaka poczuł się bardzo zmęczony. Jego pierwotny plan był taki prosty: zabić Ceskę i umrzeć. Teraz sytuacja skomplikowała się w stopniu powodującym zawrót głowy.

Tak wielu poległo i tylu jeszcze zginie.

Wrócił do ogniska i dorzucił dREW; położył się obok, szczelnie owinięty płaszczem. Pomyślał

o Illae i swoim domu w Ventrii. Jakie dobre to były lata.

Potem w jego myślach pojawiła się twarz Renyi i uśmiechnął się. Przez całe życie miał

szczęście. Był smutny i samotny, ale nie nieszczęśliwy. Szczęściem było mieć matkę tak oddaną jak Shillat. Znaleźć przyjaciela takiego jak Ananais. Być w legionie Smoka. Kochać Illae.

Znaleźć Renyę.

Takie szczęście było darem, który z naddatkiem rekompensował samotność i ból odrzucenia.

Tenaka zadrżał. Dołożył więcej drewna i położył się, czekając na mdłości, które, jak wiedział, niebawem nadejdą. Najpierw pojawił się ból głowy wraz z kolorowymi plamkami światła, które zatańczyły mu przed oczami. Oddychał głęboko, starając się uspokoić i przygotować na atak choroby. Ból rósł, przenikając mózg i promieniując na całe ciało.

Przez cztery godziny dręczył go tak, że nieomal doprowadził do płaczu. Potem powoli ustąpił,

pozwalając Tenace zasnąć...

Znalazł się w ciemnym, pochyłym i zimnym korytarzu. Pod stopami widział szkielety szczurów. Chciał je ominąć, lecz one ruszyły za nim, grzechocząc kośćmi. Minęły go i zniknęły w ciemnościach. Tenaka potrzęsnał głową, starając się przypomnieć sobie, gdzie jest. Przed nim na łańcuchach wisiał człowiek, jego ciało rozkładało się.

– Pomóż mi! – prosił.

– Jesteś martwy. Nie mogę ci pomóc.

– Dlaczego odmawiasz?

– Jesteś martwy.

– Wszyscy jesteśmy martwi. I nikt nam nie pomoże.

Tenaka poszedł dalej, szukając drzwi, schodząc coraz niżej. Korytarz rozszerzył się w salę o ciemnych kolumnach, znikających w próżni. Z mroku wyłoniły się niewyraźne postacie z czarnymi mieczami w dłoniach.

– Teraz cię mamy, Niosący Pochodnię – powiedział głos. Nie mieli na sobie zbroi, a twarz przywódcy wydawała się znajoma. Tenaka daremnie usiłował przypomnieć sobie jego imię.

– Padaxes – powiedział tamten. – Nawet tutaj potrafię czytać w twoich przerażonych myślach. Padaxes, który zginął od miecza Decado. A jednak czy jestem martwy? Nie jestem!

Lecz ty, Niosący Pochodnię – ty będziesz martwy, ponieważ wkroczyłeś w sferę panowania Ducha. Gdzie są twoi Templariusze? Gdzie tych przeklętych Trzydziestu?

– To tylko sen – powiedział Tenaka. – Nie możesz mnie dotknąć.

– Tak sądzisz? – Z klingi jego miecza trysnął płomień, parząc ramiona Tenaki. Książę Nadirów odskoczył w tył, czując ukłucie strachu. Padaxes zaśmiał się piskliwie. – Teraz też tak uważasz?

Tenaka wstał i wyciągnął miecz.

– Więc chodź – powiedział. – Niech zobaczę, jak umierasz po raz drugi.

Czarni Templariusze ruszyli do przodu, otaczając go półkolem. Nagle Tenaka poczuł, że nie jest sam. Przez moment, jak we wcześniejszym śnie sądził, że to Trzydziestu przyszło mu z pomocą, lecz kiedy spojrział w lewo, zobaczył potężnego, barczystego Nadira w tunice z kozłej skóry. Za nim nadeszli inni.

Templariusze zawahali się. Nadir podniósł miecz.

– Odpędźcie te cienie – powiedział do swoich wojowników. Setka skośnookich plemieńców naszyła

do ataku, zmuszając Templariuszy do ucieczki.

Nadir zwrócił się do pół-Drenaja. Miał płaską, szeroką twarz i przenikliwe fioletowe oczy.

Promieniował mocą i siłą, jak żaden z ludzi znanych Tenace, który po chwili po tym właśnie go rozpoznał. Upadł na kolana i pochylił ciało w głębokim pokłonie.

– Rozpoznałeś mnie więc, ty, który jesteś krwią z mojej krwi?

– Tak, panie – powiedział Tenaka. – Ty jesteś Ulryk, Władca Hord!

– Widziałem cię, chłopcze. Patrzyłem jak rosłeś, ponieważ mój stary szaman Nosta Khan wciąż jest ze mną. Nie sprawiłeś mi zawodu... Przecież płynie w tobie najświetniejsza krew.

– Nie wszyscy tak to czuli – powiedział Tenaka.

– Świat jest pełen głupców – odparł Ulryk. – Walczyłem przeciwko Księżciu z Brązu, który był potężnym człowiekiem. I wyjątkowym. Był pełen wątpliwości, które udało mu się przezwyciężyć. Stał na murach Dros Delnoch i rzucił mi wyzwanie mimo iż posiadał bardzo mało wojska. Kochałem go za to. Był wojownikiem i marzycielem. Rzadkie połączenie. Bardzo rzadkie!

– Spotkałeś go więc?

– Był z nimi jeszcze drugi wojownik – starzec, Druss. Nazywaliśmy go Krocząca Śmierć.

Kiedy poległ, kazałem przenieść jego ciało do mojego obozu, gdzie zbudowaliśmy mu stos pogrzebowy. Wyobrazasz to sobie? Wrogowi! Byliśmy o krok od zwycięstwa. Tej samej nocy Księżę z Brązu – mój największy wróg – przyszedł do mojego obozu na czele swoich generałów i wziął udział w pogrzebie.

– Szaleństwo! -powiedział Tenaka. – Mogłeś go pojmać i zająć fortecę.

– A ty zrobiłbyś to?

Pół-Drenaj zastanowił się. – Nie – powiedział po chwili.

– Ja też tego nie zrobiłem. Przestań się już martwić swoim pochodzeniem. Niech ludzie niższego stanu szydzą cię do woli.

– Czy ja żyję? – zapytał Tenaka.

– Tak.

– Dlaczego więc jestem tutaj?

– Spisz. To mnisie robactwo przyciągnęło tutaj twoją duszę. Pomogę ci wrócić.

– Gdzie to jest, u diabła, i jak się tu znalazłeś?

– Moje serce nie wytrzymało podczas wojen z Ventrią. I tak przybyłem tutaj. To pustka, zawieszona pomiędzy światami Źródła i Ducha. Żaden z nich najwidoczniej się do mnie nie przyznaje i dlatego egzystuję tutaj razem z podobnymi do mnie. Nigdy nie czułem niczego poza moim mieczem i rozumem – teraz za to cierpię. Jednak potrafię to znieść, bo czyż nie jestem mężczyzną?

– Jesteś Legendą.

– Nietrudno nią zostać. To przychodzi samo, kiedy musisz żyć jak bohater.

– Czy potrafisz spojrzeć w przyszłość?

– Częściowo.

– Czy ja... czy moi przyjaciele zwyciężą?

– Nie pytaj. Nie mogę zmienić twego przeznaczenia, nawet gdybym chciał. To twoja ścieżka, Tenaka i musisz nią kroczyć jak mężczyzna. Po to się urodziłeś.

– Rozumiem, panie. Nie powinienem był pytać.

– Nie ma nic złego w pytaniu – powiedział Ulryk z uśmiechem. – Teraz zamknij oczy –
musisz powrócić do świata krwi.

Tenaka obudził się. Zapadła już noc, ognisko jednak płonęło jasno i promieniowało ciepłem.

Ktoś narzucił też koc na jego śpiące ciało. Jęknął i przewrócił się na bok, podpierając głowę ręką.

Po drugiej stronie ogniska siedział Ananais, a światło migotało na jego masce.

– Jak się czujesz? – zapytał olbrzym.

– Dobrze. Potrzebowałem odpoczynku.

– Czy ból ustał?

– Tak. Przyniosłeś coś do jedzenia?

– Oczywiście. Przez chwilę martwiłem się o ciebie. Pobladłeś jak trup, a twój puls niebezpiecznie osłabł.

– Już wszystko dobrze. – Tenaka usiadł.

Przyjaciel rzucił mu płócienny worek z suszonym mięsem i owocami. Jedli w milczeniu.

Wodospad migotał w świetle księżyca jak diamenty na tle czerni. W końcu odezwał się Ananas.

- Przyłączyło się do nas czterystu ludzi z Legionu. Decado twierdzi, że mają szczerą intencję
- mówi, że jego mnisi czytali ich dusze. Tylko trzech odrzucili. Dwustu innych wybrało powrót do Ceski.

Tenaka przetarł oczy.

- I?
- I co?
- I co stało się z tymi, którzy wybrali powrót?
- Wypędziłem ich z kotliny.
- Ani, przyjacielu, już wróciłem. Czuję się dobrze. Możesz mi powiedzieć.
- Kazałem ich zabić na równinie. To było konieczne, ponieważ mogli donieść o naszej liczebności.
- I tak jest im znana – obserwują nas Templariusze.
- Dobrze. Nawet jeśli tak – zawsze to dwustu ludzi mniej przeciwko nam w następnym starciu.

Zapadło milczenie, a Ananais ostrożnie podniósł maskę i dotknął zaognionych blizn.

- Zdejmij to – powiedział Tenaka. – Niech powietrze dotrze do skóry.

Ananais zawahał się, a potem westchnął i zdjął maskę. W czerwonym blasku ogniska wyglądał jak demon, nieludzki i straszny. Niebieskie oczy spoglądały na Tenakę przenikliwym spojrzeniem, które wydawało się oczekiwać na oznaki obrzydzenia.

- Powiedz, jak oceniasz bitwę – powiedział Tenaka.
- Przebiegła zgodnie z planem. Byłem zadowolony z ludzi Rayvan, a jej syn, Lake to prawdziwy klejnot. Czarnoskóry walczył dobrze. Jest wspaniałym wojownikiem. Gdybym miał rok, mógłbym z tych ludzi odbudować Smoka.
- Nie mamy roku.
- Wiem – powiedział Ananais. – Liczę na jakieś dwa miesiące.
- Nie pokonamy ich w ten sposób, Ani.
- Masz jakiś plan?
- Tak. Ale nie będzie ci się podobał.

– Jeśli oznacza naszą wygraną, to będzie – obiecał Ananais. – Co to za plan?

– Zamierzam sprowadzić tu Nadirów.

– Miałeś rację – nie podoba mi się. Co więcej, uważam, że cuchnie jak gnijące mięso. Ceska jest złem, lecz Nadirowie są jeszcze gorsi. Na boga, człowieku, z Ceską przynajmniej jesteśmy wciąż Drenajami. Straciłeś rozum?

– To wszystko, co nam zostało. Mamy niecały tysiąc ludzi. Nie utrzymamy Skody i z trudem odeprzemy pierwszy następny atak.

– Posłuchaj, Tani! Wiesz, że nigdy nie miałem ci za złe pochodzenia. Nie bierz tego do siebie. Kocham cię bardziej niż brata. Jednak nienawidzę Nadirów bardziej niż czegokolwiek innego na ziemi. Wielu podziela to uczucie. Żaden z tutejszych ludzi nie będzie walczył u ich boku. Założmy jednak, że przyprowadzisz armię. Co się u diabła stanie, kiedy wygramy? Czy tak po prostu pójdą do domu? Kraj stanie przed nimi otworem, a nas czeka kolejna krwawa wojna.

– Ja widzę to inaczej.

– A w jaki sposób ich sprowadzisz? Nie ma żadnych przejść przez góry, nawet przez przełęcz Sathuli. Żadne wojsko z północy nie może ominąć Dros Delnoch, a nawet Ulrykowi nie udało się jej zdobyć.

– Poprosiłem Scalera, żeby przejął Dros Delnoch.

– Och, Tani, ty oszalałeś! To niedołęga i uciekinier, który jak dotąd nie włączył się do żadnej walki. Kiedy walczyliśmy o tę wiejską dziewczynę, on schował twarz w dłonie i leżał w trawie.

Kiedy znaleźliśmy Pagana, on został z kobietami. Kiedy planowaliśmy wczorajszą potyczkę, on drżał jak liść na wietrze, więc kazałeś mu zostać. I to on ma zdobyć Delnoch?

Tenaka dorzucił drewna do ognia i zsunął z ramion koc.

– Wiem to, Ani. Mimo wszystko, uważam że jest to możliwe. Scaler jest podobny do swego przodka, Księcia z Brązu. Wątpi w siebie i dręczą go obawy. Jednak pod nimi, jeśli kiedykolwiek to dostrzeże, czeka wspaniały człowiek – odważny i szlachetny. Jest też błyskotliwy i bystry.

– A więc w nim pokładamy nasze nadzieje? – zapytał Ananais.

– Nie. Raczej w mojej opinii o nim.

– Nie baw się słowami. To oznacza to samo.

– Potrzebuję twojego wsparcia, przyjacielu.

Ananais skinął głową. – Czemu nie? Mówimy przecież tylko o śmierci. Stanę przy tobie, Tani. Cóż warto jest życie, jeśli człowiek nie może liczyć na swoich przyjaciół, gdy opuszcza go zdrowy

rozsądek?

– Dziękuję, Ani. Naprawdę.

– Nie trzeba. Jestem zmęczony. Prześpię się chwilę. Położył się i oparł głowę na zwiniętym płaszczu. Dobrze było czuć nocny wiatr na poranej bliznami twarzy. Był zmęczony – bardziej niż kiedykolwiek dotąd. To zmęczenie wynikało z rozczarowania. Plan Tenaki to koszmar, a jednak nie było innej możliwości. Ceska trzymał kraj w szponach swych Spojonych i może, tylko być może, nadiryjski podbój oczyści naród. Jednak Ananais wątpił w to.

Od jutra zacznie szkolić swoich żołnierzy ostrzej niż kiedykolwiek. Zmusi ich, by biegali do upadłego, walczyli do bólu ramion. Przygotuje ich nie tylko do odparcia Legionów Ceski ale także, jeżeli przetrwają, do pokonania nowego wroga – Nadirów Tenaki Khana.

Ciała poległych złożono pośrodku doliny w pośpiesznie wykopanym dole i przykryto ziemią oraz kamieniami. Rayvan odmówiła modlitwę, a ci, którzy przetrwali, uklękli wokół wspólnego grobu, szepcząc słowa pożegnania z przyjaciółmi, braćmi, ojcami i krewnymi.

Po ceremonii Trzydziestu udało się na wzgórze, pozostawiając Decado z Rayvan i jej synami. Dopiero po pewnym czasie zauważył ich nieobecność.

Odszedł od ogniska, żeby ich odnaleźć. Dolina była rozległa, więc szybko zdał sobie sprawę z ogromu zadania. Księżyc stał już wysoko na niebie, gdy Decado zrozumiał, że opuścili go celowo: nie chcieli, żeby ich znalazł.

Usiadł pod białym marmurowym głazem i uwolniwszy umysł, poszybował w pełne szeptów królestwo podświadomości.

Cisza.

Targnął nim gniew, burząc jego koncentrację, ale uspokoił się i ponowił próbę.

Nagle usłyszał krzyk. Najpierw był to cichy, stłumiony okrzyk, który rósł aż do przenikającego duszę, przerażającego wrzasku agonii. Decado słuchał przez chwilę i natężył

uwagę, usiłując zidentyfikować źródło tego dźwięku. Nagle zrozumiał. To był Abaddon.

Wiedział już, dokąd udało się Trzydziestu: podążyli, żeby uwolnić Opata Mieczy i pozwolić mu umrzeć. Wiedział też, że była to głupota najgorszego rodzaju. Obiecał kiedyś Abaddonowi, że będzie opiekował się jego uczniami, a oto teraz, zaledwie w dzień po śmierci starego opuścili go i udali się w tę bezsensowną podróż w krainę potępieńców.

Ogarnął go głęboki smutek, ponieważ nie mógł za nimi podążyć. Zaczął się modlić.

Odpowiedź jednak nie nadchodziła. Nie oczekiwał jej zresztą.

– Cóż z ciebie za Bóg? – zapytywał z rozpaczą. – Czegóż oczekujesz od swoich wyznawców? Nie

dajesz im nic, a żądasz wszystkiego. Z duchami ciemności można przynajmniej nawiązać jakiś kontakt. Abaddon umarł dla ciebie i nadal cierpi. Teraz przyszła kolej na jego uczniów. Dlaczego mi nie odpowiadasz?

Cisza.

– Ty nie istniejesz! W czystości nie ma siły. Wszystko, co człowiek posiada to wola czynienia dobra. Wyrzekam się ciebie. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego!

Te słowa przyniosły mu spokój i mógł głębiej wejrzeć we własną duszę w poszukiwaniu tajemnic, które przez lata nauki obiecywał Abaddon. Próbował już tego w przeszłości, lecz nigdy tak usilnie. Podróżował coraz głębiej, spadając i wirując poprzez natłok wspomnień – widząc znowu bitwy i potyczki, obawy i porażki. Dalej i dalej poprzez gorzki smutek dzieciństwa, aż do pierwszych poruszeń w łonie matki i poza nie, aż po podziały: nasienie i jajo. Podróżował i czekał.

Ciemność.

Ruch. Pęknięcie łańcuchów, bezkresna wolność.

Światło.

Decado wznosił się swobodnie, przyciągany czystym srebrem księżycowego blasku. Z

trudem zatrzymał się i spojrzał w dół, na urzekające piękno łuku Uśmiechu Diabła. Ciemna chmura przepłynęła pod nim, przesłaniając obraz. Spojrzał na swoje ciało, nagie i blade w świetle księżyca, i radość wypełniła mu duszę.

Zmroził go krzyk. Wspomnił na swe zadanie i oczy zapłonęły mu zimnym ogniem. Jednak nie mógł przecież podróżować nagi i nie uzbrojony. Zamknąwszy oczy duszy, wyobraził sobie zbroję, czarno-srebrny pancerz Smoka.

I oto jest. Jednak przy jego boku nie zwisał miecz, na ramieniu nie miał tarczy.

Spróbował jeszcze raz. Nic.

Przypląnęły do niego słowa Abaddona, wypowiedziane przed wielu laty. – W podróży duchowej wojownik Źródła posługuje się mieczem swojej wiary, a tarczą jest jego siła.

Decado nie posiadał żadnej z nich.

– Bądź przeklęty! – krzyknął w ciemność kosmosu. – Nadal mnie ponizas, mimo iż spełniam twoją misję. – Znowu zamknął oczy. – Jeśli to wiary mi potrzeba, mam ją. Wiarę w samego siebie. Wierzę w Decado, Lodowatego Zabójcę. Nie potrzebuję miecza, gdyż moje ręce niosą śmierć.

Popłynął jak promień księżyca w kierunku krzyku. Z przerażającą prędkością opuścił świat ludzi i poszybował nad ciemnymi górami i posępnymi równinami; nad tą ziemią krążyły dwie błękitne planety, a gwiazdy lśniły zimnym, zamglonym światłem.

W dole dostrzegł zamek koloru hebanu, wzniesiony na zboczu niedużego wzgórza.

Zatrzymał się w locie, zawisając nad kamiennymi blankami. Nagle pomknął ku niemu jakiś ciemny kształt i Decado uchylił się przed spadającym ostrzem. Błyskawicznie uchwycił

nadgarstek szermierza i obrócił go. Równocześnie zadał silny cios lewą ręką; trzasnęły kręgi szyjne i napastnik zniknął. Lodowaty Zabójca odwrócił się na pięcie w tej samej chwili, gdy skoczył na niego drugi przeciwnik. Nosił czarny strój Templariuszy. Mężczyzna uskoczył w tył, unikając zamachowego ciosu wymierzonego w brzuch. Gdy tamten usiłował na odlew ciąć go w szyję, wojownik przykucnął i zanurkował pod ostrzem, uderzając go głową w brodę. Templariusz zatoczył się.

Decado błyskawicznie podniósł rękę do przodu, wbijając palce w krtań Templariusza. I znowu przeciwnik zniknął.

Dalej znajdowały się uchylone drzwi, prowadzące do głębokiej klatki schodowej. Pobiegnął w ich kierunku, lecz zaraz przystanął. Instykt nakazywał ostrożność. Odbiwszy się, obiema nogami kopnął w drzwi, a stojący za nimi mężczyzna jęknął i runął jak długi. Lodowaty Zabójca zerwał się na równe nogi i kantem stopy uderzył w pierś tamtego, łamiąc mu mostek.

Pobiegnął w dół, przeskakując po trzy stopnie, aż znalazł się w okrągłej sali. Na środku zobaczył Trzydziestu, zbitych w ciasny krąg i otoczonych ze wszystkich stron przez Templariuszy w czarnych płaszczach. Miecze zwierzały się bezdźwięcznie, walka toczyła się w milczeniu. Trzydziestu walczyło o życie przeciwko dwukrotnie liczniejszemu przeciwnikowi.

Walczyli i przegrywali.

Pozostała im tylko jedna możliwość. Ucieczka. W tym momencie Decado zauważył po raz pierwszy, że już nie szybuje w powietrzu – moc opuściła go, gdy tylko dotknął tych ponurych murów. Tylko dlaczego? W następnej chwili znalazł odpowiedź; zawierała się w słowach, które wypowiedział kiedyś do Abaddona: – Zło mieszka w bagnie. Jeśli chcesz je pokonać – musisz się w nim zanurzyć i utyłać w błocie.

Tam właśnie się znajdowali, a moc światła traciła tutaj swoją siłę, podobnie jak moce ciemności przegrywały w walce przeciwko ludziom o silnym sercu.

– Do mnie! – zawołał Decado. – Trzydziestu do mnie!

Walka zamarła na moment, gdy Templariusze podnieśli głowy, by znaleźć źródło dźwięku.

Potem sześciu z nich wycofało się z kręgu i ruszyło na niego. Acuas wykorzystał chwilowe zamieszanie i poprowadził swoich w stronę schodów.

Trzydziestu torowało sobie drogę srebrnymi mieczami, które lśniły jak pochodnie w mroku.

Na zimne kamienie nie spadały żadne ciała, każdy przebity mieczem w tej bezkrwawej walce zniknął, jakby go nigdy nie było. Zostało jedynie dziewiętnastu mnichów.

Decado poczuł zbliżającą się śmierć. Był niezwykle zręczny, lecz nikomu jeszcze nie udało się walczyć bez broni przeciwko sześciu uzbrojonym ludziom i przeżyć. On jednak spróbuje.

Podjąwszy decyzję, poczuł ogromny spokój i uśmiechnął się do swoich przeciwników.

Dwa miecze oślepiającego światła pojawiły się w jego dłoniach. Zaatakował z siłą błyskawicy. Cios z lewej, blokada i riposta, cięcie z prawej, pchnięcie lewą. Trzech padło i rozwiało się jak dym na wietrze. Pozostali trzej Templariusze odskoczyli – wprost na siejące zniszczenie miecze Trzydziestu.

– Za mną! – krzyknął Decado. Odwróciwszy się, pobiegł pierwszy w górę schodami na blanki. Wskoczył na mur i spojrzał w dół, na poszarpane skały na dnie przepaści. Nadbiegli mnisi.

– Skaczcie! – rozkazał.

– Spadniemy! – krzyknął Balan.

– Nie spadniesz, dopóki ci nie każę, ty głupcze! Ruszaj!

Balan rzucił się z blanków, a pozostali szybko poszli w jego ślady. Ostatni dołączył do nich Decado.

Na początku spadali, lecz znalazłszy się poza zasięgiem przyciągania zamku, poszybowali w noc i popędzili w kierunku rzeczywistego świata Skody.

Decado powrócił do swego ciała i otworzył oczy. Wolnym krokiem udał się do zagajnika na wschodzie, kierując się wyczuwalną dla niego rozpaczą młodych mnichów.

Odnalazł ich na polanie między dwoma wzgórzami. Zgromadzili już jedenaście ciał zabitych towarzyszy, a teraz modlili się z pochylonymi głowami.

– Wstańcie! – rozkazał Decado. – No już, natychmiast.

– Posłuchali go w milczeniu. – O nieba, jacy jesteście śmieszni! Przy wszystkich swoich talentach wciąż jesteście dziećmi. Powiedzcie mi, jak udała się wyprawa ratunkowa, dzieci? Czy uwolniliśmy Abaddona? Czy będziemy świętować? Spójrzcie mi w oczy, do cholery!

Podszedł do Acuasa.

– Cóż, żółtobrody. Przeszedłeś samego siebie. Osiągnąłeś to, czego nie udało się osiągnąć ani Templariuszom, ani wojskom Ceski. Zniszczyłeś jedenastu swoich ludzi.

– To nie w porządku! – krzyknął Katan ze łzami w oczach.

– Zamknij się! – zagrzmiął Decado. – W porządku? Mówimy o faktach. Czy znaleźliście Abaddona?

– Nie – powiedział cicho Acuas.

– Czy domyślacie się dlaczego?

– Nie.

– Ponieważ oni nigdy nie mieli jego duszy – to byłby wyczyn, przekraczający ich możliwości. Zwabili was w pułapkę oszustwem, które jest ich domeną. A teraz jedenastu waszych braci zginęło. Ich śmierć obciąża wasze sumienia.

– A twoje? – zapytał Katan, a jego spokojną zazwyczaj twarz wykrzywił gniew. – Gdzie byłeś, gdy ciebie potrzebowaliśmy? Co z ciebie za przywódca! Nie wierzysz w to, co my. Jesteś zwykłym mordercą! Ty nie masz serca, Decado. Jesteś Lodowatym Zabójcą. My przynajmniej walczyliśmy za coś, w co wierzyliśmy. Zginęliśmy za człowieka, którego kochamy. Zgoda, popełniliśmy błąd – lecz od śmierci Abaddona nie mamy przywódcy.

– Powinniście byli przyjść do mnie – odpowiedział Decado, próbując się bronić.

– Dlaczego? To ty jesteś wodzem i to ty powinieneś być z nami. Szukaliśmy cię. Wiele razy.

Tymczasem nawet wtedy, kiedy odkryłeś swój talent – talent, o który modliliśmy się – pozostałeś na zewnątrz. Nigdy nie zrobiłeś kroku w naszą stronę. Kiedy ostatnio jadłeś z nami? Czy rozmawiałeś z nami? Spisz sam, z dala od ognia. Jesteś samotnikiem. Przybyliśmy tutaj, żeby umrzeć za Źródło. A ty?

– Ja jestem tutaj, żeby zwyciężyć, Katanie. Jeśli chcesz umrzeć, dlaczego nie rzucisz się na swój miecz? Możesz też poprosić mnie – zrobię to dla ciebie, zakończę twoje życie w jednej chwili. Jesteście tutaj, żeby walczyć dla Źródła i dopilnować, aby zło nie zatriumfowało na tej ziemi. Koniec gadania. Jestem wodzem z wyboru i nie potrzebuję od was przysięg. Ani obietnic.

Ci, którzy mnie usłuchają, niech przyjdą do mnie rano.

Zjemy razem – tak – i pomodlimy się wspólnie. Ci, którzy wolą podążać własną ścieżką, mogą odejść. Teraz zostawiam was, żebyście pochowali zmarłych.

Mieszkańcy grodu witali zwycięskie wojsko już na polach, o pół mili na południe od miasta i prowadzili je wiwatując, aż do naprędce wzniesionych baraków. Okrzyki nie były jednak zbyt głośne, gdyż tłumilo je pytanie dręczące każdego: Co teraz? Kiedy Ceska nadejdzie ze swymi bestiami?

Tenaka, Rayvan, Ananais, Decado i inni dowódcy nowej armii spotkali się w sali Senatu, gdzie synowie Rayvan, Lake i Lucas przedstawili mapy terenu po wschodniej i południowej stronie.

Po trwającej całe popołudnie gorącej dyskusji stało się oczywiste, że większości Skody nie da się obronić. Przełęcz prowadzącą do Uśmiechu Diabła można by zamknąć murem, lecz żeby ją utrzymać, należało postawić tam tysiąc ludzi, a tymczasem na północy i południu było jeszcze sześć innych przełęczów, które otwierały dostęp do hal i dolin Skody.

– Przypomina to obronę króliczej nory – powiedział Ananais. – Ceska – nawet bez Spojonych – może wystawić do bitwy pięćdziesięciokrotnie więcej ludzi niż my. Mogą nas zaatakować na każdym z szesnastu możliwych frontów. My po prostu nie możemy ich obsadzić.

– Armia będzie rosła w siłę – powiedziała Rayvan. – Nawet teraz dołączają do nas ludzie z gór. Wieść rozejdzie się po kraju i buntownicy napłyną tłumem.

– Tak – przyznał Tenaka – jest jednak pewien problem. Ceska wyśle szpiegów, agentów, podżegaczy – i wszyscy oni przenikną do naszych szeregów.

– Trzydziestu pomoże nam wyeliminować szpiegów – rzekł Decado. – Jeśli jednak przyjmiemy zbyt wielu ludzi, nie poradzimy sobie z nimi.

– Musimy więc obsadzić przełęcz i rozdzielić Trzydziestu między naszych ludzi – powiedział Tenaka.

I tak przebiegała dyskusja. Niektórzy ludzie chcieli wrócić do swoich farm, żeby przygotować pola na lato, inni pragnęli zanieść do domu wiadomość o zwycięstwie. Lake uskarżał się na niedostateczne zapasy żywności. Galand opowiadał o bójkach między góralami a nowo przyjętymi ochotnikami z Legionu.

Aż do zmierzchu przywódcy próbowali rozwiązać przeróżne problemy. Ostatecznie zgodzono się, że połowę wojska można rozpuścić do domów, pod warunkiem, że zgodzą się pracować także na farmach tych, którzy zostaną. Pod koniec miesiąca pierwsza połowa powróci, a do domów udadzą się pozostali.

Ananais kipiał gniewem. – A co ze szkoleniem? – huknął. – Jak, do ciężkiej cholery, mam ich przygotować do walki?

– To nie jest regularne wojsko – powiedziała cicho Rayvan. – To pracujący ludzie, obarczeni żonami i dziećmi.

– A co ze skarbcem miejskim? – zapytał Scaler.

– O co ci chodzi? – zaciekawiała się Rayvan.

– Ile w nim jest?

– Nie mam pojęcia.

– A więc powinniśmy sprawdzić. Ponieważ to my rządzą Skodą, pieniądze należą do nas.

Możemy je przeznaczyć na zakup żywności i broni w Vagrii. Oni być może nie pozwolą nam przekroczyć granicy, ale na pewno nie pogardzą naszymi pieniędzmi.

– Ależ jestem głupia! – powiedziała Rayvan. – Oczywiście, że musimy tak zrobić. Lake, sprawdź zaraz skarbiec – jeżeli jeszcze nie opróżniono go do czysta.

– Postawiliśmy przed nim straż, matko – powiedział Lake.

– Mimo to zejdź tam zaraz i przelicz wszystko.

– To zajmie całą noc!

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Westchnął.

– W porządku, Rayvan – powiedział. – Idę. Jednak ostrzegam – jak tylko skończę, obudzę cię, żebyś podać ci sumę!

Rayvan uśmiechnęła się do niego, a następnie spojrzała na Scalera.

– Masz dobrze poukładane w głowie – czy pojedziesz do Vagrii i kupisz to, czego nam potrzeba?

– On nie może – powiedział Tenaka. – Ma inną misję.

– Pewnie – mruknął Ananais.

– Cóż, proponuję – wtrąciła Rayvan – abyśmy przerwali dzisiejsze spotkanie i siedli do wieczerzy. Czuję, że mogłabym zjeść konia z kopytami. Może spotkamy się jutro?

– Nie – powiedział Tenaka. – Jutro opuszczam Skodę.

– Opuszczasz? – powtórzyła Rayvan ze zdziwieniem. – Przecież jesteś naszym generałem.

– Muszę, pani – muszę znaleźć wojsko. Jednak wrócę.

– Gdzie masz zamiar znaleźć wojsko?

– U swoich.

W sali Senatu zapadła głęboka cisza. Mężczyźni wymieniali nerwowe spojrzenia i tylko Ananais wydawał się nieporuszony; siedział na krześle z nogami opartymi o blat stołu.

– Wyjaśnij to – wymamrotała Rayvan.

– Myślę, że wiecie, o czym mówię – powiedział chłodno Tenaka. – Nadirowie to jedyny naród, który ma wystarczająco dużo wojowników, aby pokonać Ceskę. Jeśli dopisze mi szczęście, wrócę z armią.

– Sprowadziłbyś tych morderczych dzikusów na ziemię Drenajów? Przecież oni są gorsi niż potwory Ceski – powiedziała Rayvan i ciężko podniosła się z krzesła. – Nie zgadzam się, prędzej zginę niż pozwolę, aby ci barbarzyńcy postawili stopę w Skodzie.

Zebrani zaczęli uderzać pięściami w stół na znak poparcia. Wtedy Tenaka wstał i podniósł ręce, prosząc o ciszę.

– Rozumiem uczucia wszystkich tu obecnych. Zostałem wychowany wśród Nadirów i znam ich. Jednak oni nie jedzą niemowląt i nie parzą się z demonami. Są ludźmi, wojownikami, którzy żyją dla wojny. To ich sposób życia. Są też ludźmi honoru.

Nie jestem jednak tutaj, by bronić moich ludzi – chcę tylko dać wam szansę przeżycia lata.

Wydaje się wam, że odnieśliście wielkie zwycięstwo. Wygraliście jednak zaledwie potyczkę.

Nim nadejdzie lato, Ceska rzuci przeciw wam pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Kto stawi im czoło? A jeśli was pokona, co stanie się z waszymi rodzinami? On obróci Skodę w pustynię, a tam gdzie stały drzewa, będą szubienice: ziemia trupów, opuszczona i storturowana. Nie gwarantuję, że uda mi się zebrać wojsko wśród Nadirów. Dla nich jestem skażony krwią okrąglookich – przeklętym pariasem. A to dlatego, że nie różnią się od was. Nadiryjskie dzieci karmi się opowiadaniem o waszym rozwiązłym życiu, a nasze legendy pełne są historii o popełnianym tutaj ludobójstwie.

Nie proszę o pozwolenie na to, co zamierzam zrobić. Prawdę mówiąc, nie dbam o nie wcale!

Wyjeżdżam jutro. Zamilkł i usiadł, a Ananais pochylił się do niego.

– Nie trzeba było owijać w bawełnę – powiedział. – Trzeba było im wyłożyć kawę na ławę.

Komentarz ten wywołał mimowolne parsknięcie Rayvan, które po chwili zamieniło się w gardłowy chichot.

Napięcie przy stole zamieniło się w śmiech, podczas gdy Tenaka siedział z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zarumieniony i poważny.

Wreszcie przemówiła Rayvan.

– Nie podoba mi się twój plan, przyjacielu. I myślę, że wypowiadam tu uczucia wszystkich.

Jednak grałeś z nami uczciwie i gdyby nie ty, jadłyby nas teraz kruki – westchnęła i pochyliła się nad stołem, kładąc rękę na ramieniu Tenaki. – Zależy ci na nas, bo inaczej nie byłoby cię tutaj, a jeśli popełniasz błąd – trudno. Ja stoję po twojej stronie. Przyrowadź Nadirów, jeśli ci się uda, a ja przytulę do piersi pierwszego kozojada, który przyjedzie z tobą.

Tenaka odprężył się i uważnie spojrzał w jej zielone oczy.

– Jesteś wspaniałą kobietą, Rayvan – szepnął.

– Radzę ci o tym nie zapominać, generale!

Rozdział 13

Ananais wyjechał z miasta o zmierzchu, pragnąc uwolnić się od jego hałaśliwej ciasnoty.

Kiedyś uwielbiał miejskie życie z jego nie kończącymi się przyjęciami i polowaniami. Znajdował

tam piękne kobiety, spragnione miłości i mężczyzn, których pokonywał w zapasach lub na turniejach szermierczych. Polowania z sokołami, turnieje i tańce przeplatały się ze sobą w nieustannej pogoni za przyjemnością, jakiej oddawał się jeden z najbardziej cywilizowanych krajów zachodu.

Wtedy jednak był Złotym Rycerzem, o którym opowiadały legendy.

Podniósł czarną maskę z okaleczonej twarzy i poczuł wiatr, przynoszący ulgę jątrzącym się ranom. Wjechał na szczyt pobliskiego wzgórza, porośniętego krzewami jarzębiny, ześliznął się z siodła i usiadłszy, wpatrzył się w góry. Tenaka miał rację – nie było powodu, żeby zabijać legionistów. Mieli prawo wybrać powrót – to był nawet ich obowiązek. Jednak nienawiść to potężna siła, a Ananais miał nienawiść wyrytą w sercu. Nienawidził Ceski za to, co zrobił z tą krainą, i nienawidził swoich ziomków za to, że na to pozwolili. Nienawidził kwiatów za ich piękno i powietrza, które pozwalało mu oddychać.

A najbardziej ze wszystkiego nienawidził siebie za to, że nie miał odwagi zakończyć swojej niedoli.

Cóż mogli wiedzieć ci wieśniacy z gór Skody o tym, dlaczego był z nimi? Wiwatowali na jego cześć w dniu bitwy, a potem znowu, kiedy powrócił do miasta. – Czarna Maska – wołali na niego – jak na bohatera z przeszłości, stworzonego na obraz i podobieństwo nieśmiertelnego Drussa.

Cóż mogli wiedzieć o jego smutku?

Spojrzał na maskę. Nawet ona świadczyła o próżności, ponieważ wymodelowano ją, zachowując kształt nosa. Równie dobrze mógł w niej wyciąć dwa otwory.

Był człowiekiem bez twarzy i przyszłości. Tylko przeszłość sprawiała mu przyjemność – a równocześnie przynosiła ból. Została mu jedynie niebywała siła... a i ta słabła. Miał już czterdzieści sześć lat i jego czas dobiegał kresu.

Po raz tysięczny wspominał arenę i walkę ze Spojonym. Czy był jakiś inny sposób, żeby go zabić?

Czy mógł oszczędzić sobie tego cierpienia? Oczym wyobraźni prześledził jeszcze raz całą walkę. Nie było innego sposobu – potwór dwukrotnie przewyższał go siłą, a jeszcze bardziej zwinnością. Cud, że w ogóle zdołał go pokonać.

Koń zarżał, zastrzygł uszami i odwrócił głowę. Ananais nałożył maskę i czekał. Po kilku sekundach jego wyostrzony słuch rozróżnił cichy stukot kopyt idącego konia.

– Ananais! – zawołała z ciemności Valtaya. – Jesteś tam?

Zaklął cicho, ponieważ zupełnie nie miał ochoty na towarzystwo.

– Tutaj! Na zawietrznej wzgórza.

Podjechała do niego i zeskoczywszy z siodła, zarzuciła wodze na szyję wierzchowca. W

blasku księżycy jej złote włosy nabrały srebrnego koloru, a w oczach odbijały się gwiazdy.

– Czego chcesz? – zapytał, odwracając się od niej i siadając na trawie.

Zdjęła z ramion płaszcz, rozpostarła go na ziemi i usadowiła się obok.

– Dlaczego przyjechałeś tu sam?

– Żebym mógł być sam. Mam wiele rzeczy do przemyślenia.

– Powiedz tylko słowo, a odjadę – powiedziała.

– Myślę, że powinnaś – powiedział, lecz ona nie ruszyła się z miejsca, tak jak przewidywał.

– Ja też jestem samotna – mruknęła. – Ale nie chcę być sama.

– Nie mogę ci nic zaoferować, kobieto! – warknął głosem równie szorstkim jak te słowa.

– Mógłbyś przynajmniej pozwolić mi być przy tobie – powiedziała i z jej oczu popłynęły łzy.

Spuściła głowę, a potem zaczęła szlochać.

– Cii, kobieto, nie ma powodu do łez. Dlaczego płaczesz? Wcale nie musisz być samotna.

Jesteś bardzo atrakcyjna i bardzo podobasz się Galandowi. To dobry człowiek. – Jednak gdy szloch nie ustawał, Ananais przysunął się do dziewczyny, objął ją i przytulił.

Oparła mu głowę na piersi i szlochanie powoli przeszło w urywany płacz, aż ucichło.

Poklepywał jej plecy i głaskał włosy; jej ręka ukradkiem objęła go w pasie i lekko popchnęła na rozpostarty na trawie płaszcz. Ananais poczuł przemożne pragnienie. Pożądał jej w tej chwili bardziej niż czegokolwiek innego, co mogło mu zaoferować życie. Poczuł jej ciało na sobie, ciepło jej piersi na swojej.

Sięgnęła ręką do jego maski, ale chwycił jej nadgarstek z szybkością, która ją zdumiała.

– Nie! – poprosił, puszczając jej rękę. Mimo to powoli podniosła maskę, a on zamknął oczy, czując dotknięcie wiatru na bliznach. Jej wargi musnęły jego czoło, potem powieki, a potem zniekształcone policzki. Nie miał ust, żeby oddać jej pocałunki, więc zapłakał; przytuliła go, aż łkanie ustało.

– Przysięgłem – powiedział w końcu – że raczej zginę, niż pozwolę kobiecie zobaczyć mnie w takim stanie.

– Kobieta kocha mężczyznę. Twarz to nie męczyzna, tak jak noga czy ręka. Kocham cię, Ananaisie! A twe blizny są częścią ciebie. Rozumiesz?

– Jest pewna różnica między miłością i wdzięcznością – powiedział. – Uratowałem ci życie, ale nie masz u mnie żadnego długu. I nigdy nie będziesz miała.

– Masz rację – jestem ci wdzięczna. Jednak nie ofiarowałabym ci siebie z wdzięczności. Nie jestem dzieckiem. Wiem, że mnie nie kochasz. Dlaczego miałoby być inaczej? Wybierałeś spośród najpiękniejszych w Drenanie. Jednak ja cię kocham i pragnę – choćby przez ten krótki czas jaki nam został.

– A więc wiesz?

– Oczywiście, że wiem! Nie pokonamy Ceski – nigdy nie mieliśmy szans. Jednak to niczego nie zmienia. Kiedyś umrze. Wszyscy umierają.

– Czy uważasz, że to co robimy nie ma sensu?

– Nie. Zawsze będą tacy... muszą być tacy... którzy będą walczyć z Ceskami tego świata. Po to, aby w przyszłości ludzie wiedzieli, że zawsze istnieli herosi, stawiający opór siłom ciemności.

Potrzebujemy ludzi takich jak Druss i Książę z Brązu, jak Egel i Karnak, jak Bild i Ironlatch.

Dają nam poczucie dumy i sensu. Potrzebujemy takich ludzi jak Ananais i Tenaka Khan. Nie ma znaczenia, że Niosący Pochodnię nie może wygrać – ważne jest tylko to, że przez krótką chwilę rozbliśnie światło.

– Jesteś czytana, Val – powiedział.

– Nie jestem głupia, Ananaisie. – Pochyliła się nad nim i jeszcze raz ucałowała jego twarz.

Delikatnie przytuliła usta do jego twarzy. Jęknął i objął ją swoimi wielkimi ramionami.

Rayvan nie mogła spać; powietrze było duszne i nabrzmiałe groźbą burz. Odrzuciła ciężki koc i wstała z łóżka, owijając swą krępałą figurę wełnianą szatą. Otworzyła szeroko okno, lecz nad górami nie przelatywało nawet najsłabsze tchnienie wiatru.

Noc była czarna jak aksamit, a wokół wieży widać było maleńkie nietoperze, które latały wokół niej

i sfruwały w dół, do sadu. Złapany przez smugę księżycowego blasku borsuk spojrział

w górę na jej okno i czmychnął w poszycie. Westchnęła – ta noc miała tyle uroku. Nagle dostrzegła jakiś ruch i ledwie rozpoznała klęczącego przy różanym krzewie wojownika w białym płaszczu. Kiedy wstał, po płynnych ruchach poznała Decado.

Odeszła od okna i cicho wędrowała długimi korytarzami. Po spiralnych schodach wyszła do ogrodu na dziedzińcu. Decado, wsparty na niskim murku, obserwował blask księżyca igrający na szczytach gór. Usłyszał nadchodzącą Rayvan i odwrócił się, witając ją słabym uśmiechem.

– Oddajesz się samotności? – spytała.

– Raczej rozmyślaniom.

– Wybrałeś dobre miejsce. Spokojne.

– Tak.

– Urodziłam się tam – powiedziała, wskazując na wschód. – Mój ojciec miał małą farmę za granicą lasu – głównie bydło i koniki górskie. To było dobre życie.

– Nie utrzymamy się tutaj, Rayvan.

– Wiem. Kiedy nadejdzie czas, wycofamy się w wyższe partie gór, gdzie przełęcze są wąskie.

Przytaknął. – Myślę, że Tenaka nie wróci.

– Nie spisuj go na straty, Decado. To zdolny człowiek.

– Nie musisz mi mówić – służyłem pod nim sześć lat.

– Lubisz go?

Nagły uśmiech rozjaśnił mu twarz, usuwając w cień minione lata. – Oczywiście, że go lubię.

Nigdy nie miałem bliższego przyjaciela.

– A twoi ludzie, twoich Trzydziestu?

– Co z nimi? – spytał czujnie.

– Czy uważasz ich za przyjaciół?

– Nie.

– To dlaczego są z tobą?

– Kto wie? Mają marzenie: pragnienie śmierci. To mnie nie dotyczy. Powiedz mi o swojej farmie –

byłaś tam szczęśliwa?

– Tak. Dobry mąż, wspaniałe dzieci, żyzna ziemia pod otwartym niebem. Czegóż więcej może pragnąć kobieta w podróży między narodzinami a śmiercią?

– Czy kochałaś męża?

– A cóż to za pytanie? – odburknęła.

– Nie chciałem cię urazić. Nigdy nie wspominasz jego imienia.

– To nie ma nic wspólnego z brakiem miłości. Prawdę mówiąc, jest wprost przeciwnie.

Kiedy wymawiam jego imię, uświadamiam sobie, co straciłam. Jednak w sercu przechowuję jego obraz – rozumiesz?

– Tak.

– Dlaczego ty nigdy się nie ożeniłaś?

– Nigdy nie chciałem i nie pragnąłem dzielić życia z kobietą. Nie czuję się dobrze wśród ludzi, chyba że na moich własnych warunkach.

– Byłeś mądry – powiedziała Rayvan.

– Tak sądzisz?

– Tak. Wiesz, jesteście do siebie bardzo podobni, ty i twoi przyjaciele. Sprawiacie wrażenie ludzi niekompletnych – okropnie smutnych i bardzo samotnych. Nic dziwnego, że ciągnęło was do siebie! My potrafimy dzielić nasze życie, żartować i opowiadać, razem płakać i śmiać się.

Żyjemy, kochamy i pracujemy. Oferujemy sobie nawzajem drobne, codzienne pocieszenia i to nam pomaga przetrwać. Wy nie możecie ofiarować nic podobnego. W zamian za to oddajecie w ofierze swoje życie – swoją śmierć.

– To nie jest takie proste, Rayvan.

– Życie rzadko jest proste, Decado. A przecież ja jestem tylko prostą kobietą z gór i opisuję rzeczy tak, jak je widzę.

– Nie mów tak, pani. Nie ma w tobie nic z prostaczki! Załóżmy jednak – przez chwilę – że masz rację. Czy wydaje ci się, że Tenaka, Ananais, czy ja sam, jesteśmy tacy z wyboru? Mój dziadek miał psa. Chciał go nauczyć nienawiści do Nadirów, więc wynajął starego plemieńca, który przychodził co wieczór i smagał szczeniaka szpicrutą. Z czasem znenawidził on starego oraz wszystkich skośnookich. Czy to wina psa? Tenaka Khan został wychowany w nienawiści i chociaż nie odpowiedział tym samym, brak miłości zostawił na nim swój ślad. Kupił sobie żonę i obdarzył ją wszystkim, co miał. Teraz ona nie żyje, a jemu nie zostało nic. Ananais? Wystarczy tylko spojrzeć na

niego, żeby zrozumieć, jak cierpi. Jednak to nie cała historia. Jego ojciec oszalał, zabijawszy przedtem swoją żonę na oczach chłopca. A jeszcze wcześniej spał z jego siostrą... umarła w połogu. A jeśli chodzi o mnie, moja historia jest jeszcze bardziej plugawa i smutna. Tak więc podaruj sobie te górskie kazania, Rayvan. Gdybyśmy dojrzewali do męskości na zboczach twoich gór, z pewnością byłibyśmy lepszymi ludźmi.

Uśmiechnęła się, a potem wspięła na mur i spojrzała na niego z góry. – Głupi chłopcze! –

powiedziała. – Nie powiedziałam, że powinniście być lepszymi ludźmi. Jesteście najlepszymi z ludzi i kocham całą waszą trójkę. Nie masz nic wspólnego z psem swojego dziadka, Decado –

jesteś mężczyzną. A mężczyzna potrafi przewyciężyć swoje pochodzenie tak samo, jak pokonać sprawnego przeciwnika. Częściej patrz dokoła siebie: zobacz, jak ludzie dotykają się nawzajem, okazując sobie miłość. Jednakże, nie przyglądaj się im z pozycji chłodnego obserwatora. Nie szybuj nad życiem – weź w nim udział. Dokoła ciebie są ludzie gotowi cię kochać. Nie powinieneś odrzucać tego lekką ręką.

– Jesteśmy, jacy jesteśmy, pani. Nie żądaj zbyt wiele. Jestem szermierzem, Ananais –

wojownikiem, Tenaka generałem, nie mającym sobie równych. Nasze korzenie ukształtowały nas tak, a nie inaczej. Potrzebujecie nas właśnie takimi.

– Niewykluczone. Jednak może moglibyście wznieść się jeszcze wyżej.

– Teraz nie czas na eksperymenty. Chodź – odprowadzę cię do twojej komnaty.

Scaler siedział na szerokim łożu, wpatrując się w pokryte ciemnymi plamami drzwi. Tenaka już odjechał, ale on wciąż jeszcze miał w oczach wysoką postać nadiryjskiego wojownika i słyszał wydawane cichym głosem polecenia. To farsa – znalazł się w pułapce, uwikłany w pajęczą sieć bohaterów. Zdobyć Dros Delnoch?

Mógł tego dokonać Ananais, szarżując w pojedynkę ze swym srebrnym mieczem, lśniącym w porannym słońcu. Mógł to zrobić Tenaka, wymyślając na poczekaniu jakiś genialny plan, wymagający jedynie kawałka sznura i trzech kamyków. Oni byli ludźmi stworzonymi dla Legendy, ukształtowanymi przez bogów jako tworzywo sag.

Gdzie tu jednak było miejsce dla Scalera?

Podszedł do zawieszzonego na ścianie długiego lustra. Spojrzał na niego wysoki młodzieniec o długich, ciemnych włosach, przytrzymywanych na skroniach opaską z czarnej skóry. Oczy błyszczały inteligencją; kwadratowa szczeka zadawała kłam autorom sag. Obsyty frędzlami kaftan z kozłej skóry leżał na nim jak ulał, ściągnięty w smukłej talii szerokim pasem miecza. U

lewego boku zwisał sztylet. Na nogach miał dopasowane spodnie z miękkiej, czarnej skóry i sięgające ud buty według ostatniej mody Legionu. Sięgnął po swój miecz, wsunął go do pochwy i przypiął do boku.

– Biedny durniu! – powiedział do niego wojownik z lustra. – Powinieneś być zostać w domu.

Próbował wytłumaczyć Tenace, że nie nadaje się do tej misji, lecz Nadir uśmiechnął się tylko łagodnie i zignorował go.

– Masz w swych żyłach królewską krew, Arvanie. Ona cię poprowadzi – powiedział.

Słowa! Tylko słowa! Krew to jedynie ciemna ciecz – nie zawierała żadnych sekretów, żadnych tajemnic. Odwaga to sprawa duszy, a nie dar, który można przekazać synom.

Drzwi otworzyły się i Scaler spojrział na wchodzącego Pagana. Czarnoskóry uśmiechnął się na powitanie, siadając w szerokim skórzanym fotelu. W świetle pochodni jego postać uderzała ogromem, potężne ramiona objęły poręcze fotela. Tak jak tamci, pomyślał Scaler – człowiek, który mógłby przenosić góry.

– Przyszedłeś pożegnać się ze mną przed podróżą? – spytał, przerywając milczenie.

Czarnoskóry potrząsnął przecząco głową.

– Jadę z tobą.

Scaler poczuł nieomal fizyczną ulgę, jednak nie okazał swoich uczuć.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? Lubię jazdę konną.

– Znasz moje zadanie?

– Masz zająć fort i otworzyć bramy wojownikom Tenaki.

– To nie jest takie proste, jak się wydaje – powiedział Scaler, powracając do łóżka i siadając.

Poprawił miecz, który zaplątał mu się między nogami.

– Nie martw się, coś wymyślisz – powiedział Pagan z szerokim uśmiechem. – Kiedy chcesz wyruszyć?

– Za jakieś dwa lata.

– Nie bądź dla siebie taki surowy, Scaler; to ci nie pomoże. Wiem, że misja jest trudna. Dros Delnoch posiada sześć murów obronnych i kasztel. Stacjonuje tam ponad siedem tysięcy żoł-

nierzy – i około pięćdziesięciu Spojonych. Zrobimy jednak, co będzie można. Tenaka mówi, że masz jakiś plan.

Scaler uśmiechnął się. – To miło z jego strony. Wymyślił go dawno temu i czekał, żebym do niego

dojrzał.

– Opowiedz mi.

– Sathuli to lud gór i pustyni, zawzięci i niezależni. Przez wieki walczyli z Drenajami o prawo do pasma gór Delnoch. Podczas Pierwszej Wojny Nadiryjskiej pomogli mojemu przodkowi, Księżciu z Brązu. W zamian za to nadał im ziemię. Nie wiem jak wielu ich jest –

prawdopodobnie około dziesięciu tysięcy, może mniej. Ceska jednak zerwał zawarte wcześniej układy i znowu zaczęły się graniczne potyczki.

– Będziesz więc u nich szukał pomocy?

– Tak.

– Jednak bez większej nadziei na powodzenie?

– Łagodnie mówiąc. Sathuli zawsze nienawidzili Drenajów i nie mają do nas zaufania. Co gorsza, gardzą Nadirami. A nawet jeśli pomogą, to jak, do diabła, mam ich potem zmusić do opuszczenia fortecy?

– Nie wszystko naraz, Scaler!

Młodzieniec wstał, przewracając się prawie o miecz, który znowu mu się okręcił, odpiął od pasa pochwę i cisnął nią o łóżko.

– Nie wszystko naraz? W porządku! Spójrzmy na to, co nas czeka. Żaden ze mnie wojownik, żaden szermierz. Nigdy nie byłem żołnierzem. Boję się walki i nigdy też nie wykazywałem wielkich zdolności taktycznych. Nie jestem wodzem i z trudem zdołałbym namówić głodnych, żeby poszli ze mną do kuchni. Którym z tych problemów powinienem zająć się najpierw?

– Usiądź, chłopcze – powiedział Pagan, kładąc dłonie na oparciach fotela. Scaler usłuchał, gniew już mu przeszedł. – Teraz posłuchaj! W moim kraju jestem królem. Zasiadłem na tronie, przelewając krew i siejąc śmierć, jako pierwszy z mojego plemienia sięgnąłem po Opal. Kiedy byłem młody i pełen pychy, przyszedł do mnie stary mnich i powiedział, że będę się smażył w piekle za moje zbrodnie. Rozkazałem żołnierzom zbudować stos z wielu drzew. Nie można było do niego podejść bliżej niż na trzydzieści kroków, a płomienie były wysoko w niebo. Wtedy rozkazałem wojsku ugasić ten ogień. Tysiąc ludzi rzuciło się w płomienie i zdusiło je. – Jeśli pójdę do piekła – powiedziałem mnichowi – moi ludzie podążą za mną i zdeptają ogień.

Rządziłem królestwem, rozciągającym się od wielkiego Morza Dusz aż po Góry Księżycowe.

Przetrwałem truciznę podaną w winie i ciosy sztyletów w plecy, fałszywych przyjaciół i szlachetnych wrogów, zdradzieckich synów i letnie plagi. A jednak podążę za tobą, Scaler.

Młodzieniec przełknął głośno ślinę, patrząc na płomyki pochodni tańczące na hebanowych rysach siedzącego przed nim mężczyzny.

– Dlaczego pójdziesz ze mną?

– Ponieważ to trzeba zrobić. A teraz mam zamiar objawić ci wielką prawdę, którą – jeśli będziesz mądry – zachowasz w sercu. Ludzie są głupi. Pełno w nich strachu i niepewności – co czyni ich słabymi. Zawsze ten drugi ktoś wydaje się im silniejszy, bardziej pewny siebie i zdolniejszy. Spójrz na siebie. Kiedy tu przybyłem, traktowałeś mnie jak swojego czarnego przyjaciela, Pagana – wielkiego, silnego i łagodnego. A teraz? Czyż nie myślisz o mnie jak o barbarzyńskim królu, stojącym o wiele wyżej od ciebie? Czy nie wstyd ci, że zdradziłeś się przede mną ze swoimi błahymi wątpliwościami? Scaler skinął potakująco głową.

– A jednak, czy naprawdę jestem królem? Czy rzeczywiście rozkazałem swym żołnierzom ugasić ogień? Skąd możesz wiedzieć? Nie wiesz! Słuchałeś tylko głosu swojej pełnej kompleksów duszy. A także uwierzyłeś, że jesteś w mojej mocy. Jeśli dobędę miecza, zginiesz! A przecież kiedy patrzę na ciebie, widzę dobrze zbudowanego, inteligentnego, odważnego młodzieńca w kwiecie wieku. Mógłbyś być księciem pośród zabójców, najgroźniejszym wojownikiem pod słońcem. Mógłbyś być imperatorem, generałem, poetą... A dlaczego nie przywódcą, Scaler? Każdy może zostać wodzem, ponieważ wszyscy pragną być prowadzeni.

– Nie jestem Tenaką Khanem – odparł. – Nie jestem z tego gatunku.

– Powiesz mi to za miesiąc. Jednak począwszy od teraz, graj rolę przywódcy. Zdziwi cię, ilu ludzi zdołasz w ten sposób omamić. Nie dziel się z nikim swoimi wątpliwościami! Życie to gra.

Zacznij postępować jak gracz.

Scaler uśmiechnął się. – Czemu nie? Ale powiedz mi – naprawdę wysłałeś tych ludzi w ogień?

– Ty mi powiedz – powiedział Pagan, a rysy jego twarzy stężały i oczy zalśniły w blasku lampy.

– Nie, nie zrobiłeś tego!

– Pagan uśmiechnął się. – Nie! Konie będą gotowe o świcie. Do zobaczenia rano.

– Nie zapomnij zapakować mnóstwa miodowych ciastek – Belder je uwielbia.

Pagan potrząsnął głową. – Stary nie jedzie z nami. Jego towarzystwo źle na ciebie wpływa, stracił już zapał. Zostaje.

– Jeśli jedziesz ze mną, to, do cholery, zrobisz, co każę – warknął Scaler. – Mają być trzy konie i Belder jedzie z nami!

Murzyn podniósł brwi i rozpostarł ręce. – Bardzo dobrze. – Otworzył drzwi.

– Jak wyszło? – zapytał Scaler.

– Nieźle, jak na początek. Do zobaczenia.

Pagan wrócił do swego pokoju z ponurą twarzą. Przeniósł na łóżko swój ogromny toboł i rozłożył broń, którą miał zamiar jutro zabrać: dwa noże myśliwskie o ostrzach jak brzytwy; cztery sztylety do rzucania na odległość, noszone w pochwach przymocowanych do pendentu miecza; krótki obosieczny miecz i topór, który przymocuje do siodła.

Rozebrał się do naga i wyjąwszy z tobołu flakonik oliwy, zaczął nacierać całe ciało, masując przy tym mocno węzły mięśni na barkach. Wilgotne powietrze zachodu dawało się we znaki jego kościom.

Pobiegł myślami wstecz. Wciąż czuł żar płomieni i słyszał krzyki swoich żołnierzy pędzących w ogień...

Tenaka zjechał z gór na stoki vagryjskich dolin. Słońce wzeszło nad jego lewym ramieniem, a nad głową zgromadziły się chmury. Rozwiewający włosy wiatr uspokajał; mimo iż musiał

jeszcze pokonać ogromne problemy, tutaj czuł się lekki i wolny od ich brzemienia.

Zastanawiał się, czy to jego nadiryjskie dziedzictwo powodowało, że czuł się nieswojo wśród mieszczuchów z ich wysokimi murami i okiennicami zasłaniającymi okna. Silniejszy podmuch wiatru wywołał jego uśmiech.

Jutro śmierć może pomknąć ku niemu na grocie strzały – lecz dziś... dziś jest wspaniale.

Odsunął od siebie wszystkie kłopoty związane ze Skodą – mogą się nimi z powodzeniem zająć Ananais i Rayvan. Również Scaler jest teraz sobą i podąża w kierunku swego przeznaczenia. Wszystko, co mógł zrobić Tenaka, to wypełnić swoją szczególną rolę w tej historii.

Powrócił myślą do dzieciństwa spędzonego między plemionami Nadirów. Spear, Wolfshead, Green Monkey, Grave Mountain, Soul Stealers: tyle obozowisk, ogromne terytorium.

Plemię Ulryka zostało uznane za największych wojowników; byli Panami Stepów, Przynoszącymi Wojnę. Byli Wolfsheadami, a ich zawziętość w walce opiewano w legendach.

Kto jednak przewodzi im teraz? Jongir z pewnością już nie żyje.

Tenaka zastanawiał się nad kandydatami, wybierając ich spośród współtowarzyszy dzieciństwa:

Knifespeaks, skory do gniewu, lecz nie do wybaczenia. Przebiegły, pomysłowy i ambitny.

Abadai Truthmaker, podstępny i biegły w sztuce szamanów.

Tsuboy, znany jako Saddleskull po tym, jak przytroczył sobie do siodła czaszkę własnoręcznie zabitego jeźdźca.

Wszyscy oni byli wnukami Jongira i potomkami Ulryka.

Fiołkowe oczy Tenaki błysnęły ponuro i chłodno na wspomnienie tej trójki. Każdy z nich okazywał nienawiść mieszańcowi.

Najbardziej zajadły Abadai posunął się nawet do próby otrucia Tenaki podczas Święta Długich Noży. Tylko Shillat, jego czujna matka, zauważyła jak wsypywał proszek do kubka syna.

Jednak żaden z nich nie wyzwiał pół-Drenaja otwarcie, ponieważ już w wieku czternastu lat zyskał sobie miano Tańczącego Ostrza i biegle posługiwał się każdą bronią.

Spędzał również długie godziny przy wieczornych ogniskach, gdzie przysłuchiwał się opowiadaniom starców o dawnych wojnach, zapamiętując szczegóły dotyczące strategii i taktyki wojennej. W wieku piętnastu lat znał wszystkie bitwy i potyczki w historii plemienia Wolfshead.

Tenaka ściągnął wodze i spojrzał na rozciągające się w oddali pasmo gór Delnoch.

Jesteśmy Nadirami, Dziećmi młodości, Rozlewem krwi, Ciosem topora, Niepokonani.

Roześmiał się i wbił pięty w boki wierzchowca. Zwierzę prychnęło i ruszyło pełnym galopem poprzez równinę, a jego kopyta zadudniły jak werble w porannej ciszy.

Tenaka pozwolił mu pędzić przez kilkanaście minut, a potem zwolnił do kłusa i stępa. Mieli przed sobą wiele mil drogi i chociaż koń był silny, nie chciał go przemęczyć.

Wielkie nieba, jak dobrze uwolnić się od ludzi. Nawet od Reny i.

Była piękna i kochał ją, ale potrzebował samotności – taki już był – potrzebował swobody, w której mógł obmyślać swoje plany.

Wysłuchiwała w milczeniu, gdy powiedział jej, że zamierza jechać sam. Oczekiwał zażartej kłótni i brak reakcji zaskoczył go. Objęła go tylko i kochali się bez pasji, lecz z wielką czułością.

Jeżeli przeżyje tą szaloną misję, przyjmie ją do swego serca i domu. Jeśli przeżyje? Oceniał

szansę powodzenia jako jedną do setek, a może tysięcy. Nagle uderzyła go nowa myśl. Czy nie był głupcem? Miał Renyę i majątek, czekający na niego w Ventrii. Po co ryzykować to wszystko?

Czy kochał Drenajów? Rozważył to pytanie wiedząc, że odpowiedź jest negatywna, lecz pragnąc zbadać swoje uczucia. Ci ludzie nigdy go nie zaakceptowali, nawet jako generała Smoka. Ziemia zaś, mimo iż piękna, nie miała w sobie nic z dziewiczego splendoru Stepów. Więc jakie były jego uczucia?

Śmierć Illae, która nastąpiła tak szybko po zniszczeniu Smoka, rozstroiła go. Wstyd, jaki czuł

z powodu opuszczenia przyjaciół, zlał się z rozpaczą po utracie Mae i w jakiś dziwny sposób odczuwał tę utratę jako karę za niewypełnienie obowiązku. Tylko śmierć Ceski – i jego własna –

mogły zmyć tę hańbę. Teraz jednak wszystko się zmieniło.

Ananais będzie walczył, w razie potrzeby nawet samotnie, wierząc, że Tenaka dotrzyma obietnicy i powróci. A przyjaźń to coś nieskończenie bardziej trwałego i o wiele bardziej krzepią-

cego niż miłość do ziemi. Tenaka Khan przejdzie najgłębsze otchłanie Piekieł i zniesie największe trudy, aby dotrzymać danej Ananaisowi obietnicy.

Obejrzał się za siebie na góry Skody. Tam śmierć dopiero zbierze żniwo. Lud Rayvan stał jak na kowadle historii i patrzył z wyzwaniem na młot Ceski.

Tuż przed świtem Ananais odprowadził go za granice miasta, gdzie zatrzymali się na szczycie wzgórza.

– Uważaj na siebie, ty nadiryjski opoju!

– I ty, Drenaju. Pilnuj swoich dolin!

– Mówię poważnie, Tani, uważaj. Zbierz swoją armię i wracaj szybko. Nie mamy dużo czasu. Myślę, że wyślą przeciw nam załogę Delnoch, żeby nas zmiękczyć przed głównym natarciem.

Tenaka przytaknął. – Będą uderzać i odskakiwać – żeby was zmęczyć. Wykorzystaj Trzydziestu; w nadchodzących dniach będą dla was bezcenni. Czy masz jakiś pomysł na drugą linię obrony?

– Tak, przenosimy zapasy do wyżej położonego miejsca na lewo od miasta. Są tam dwie wąskie przełęcze, które mamy szansę utrzymać. Jednak jeśli zepchną nas aż tam, to będziemy skończeni. Stamtąd nie ma już dokąd uciec.

Dwaj mężczyźni podali sobie ręce, a potem uścisnęli się serdecznie.

– Chciałbym, żebyś wiedział... – zaczął Tenaka, ale Ananais przerwał mu.

– Wiem, chłopcze! Musisz się spieszyć z powrotem. Możesz być pewien, że Czarna Maska utrzyma fort.

Tenaka uśmiechnął się i ruszył w stronę vagryjskich równin.

Rozdział 14

Przez sześć dni nie dostrzeżono na wschodnich granicach Skody ani śladu wrogich działań.

W góry napływały potoki uciekinierów, przynosząc opowieści o szalejącym wszędzie terrorze, o torturach i głodzie. Trzydziestu lustrowało uciekinierów najlepiej jak umiało, odrzucając tych, których przyłapano na kłamstwie lub potajnym sympatyzowaniu z Ceską.

Jednak z każdym dniem, w miarę jak okoliczne ziemie spływały krwią, liczba uciekinierów rosła. W wielu dolinach powstały kolejne obozowiska, a Ananaisa prześladowały problemy związane z zapewnieniem żywności i higieny. Z tym ostatnim poradziła sobie Rayvan, która zorganizowała uciekinierów w brygady do kopania latryn i budowania prymitywnych szałasów dla starych i chorych.

Młodych mężczyzn, którzy tłumnie zgłaszali chęć wstąpienia do wojska, zostawiano do dyspozycji

Galanda, Parsala i Lake'a. Ci przyjmowali ich i wcielali w szeregi milicji Skody.

Wszyscy wypytywali stale o odzianego w czerń olbrzyma, którego nazywali Czarną Maską.

Uważali go za Pogromcę Ceski, a znajdujący się pośród przybyszów poeci układali o nim pieśni, które wieczorami śpiewano przy ogniskach.

Drażniło to Ananaisa, ale starał się tego nie okazywać, rozumiejąc znaczenie tych legend w nadchodzących dniach.

Każdego ranka jechał w góry, penetrował doliny i zbocza, poszukując przejść i mierząc odległości oraz kierunki ewentualnych ataków. Kazał ludziom budować wały ziemne i rowy, przetaczać skały na osłony. W różnych miejscach ukryto zapasy włóczni i strzał, w gałęziach drzew pozawieszano worki z żywnością, dobrze schowane w gęstym listowiu. Dowódca każdego oddziału wiedział przynajmniej o trzech takich schowkach.

O zmierzchu Ananais zwoływał dowódców pododdziałów do swojego ogniska i wypytywał o wyniki prowadzonego szkolenia, zachęcając jednocześnie do zgłaszania własnych pomysłów co do strategii obrony. Zapamiętywał starannie tych, którzy takie pomysły zgłaszali i zatrzymywał

po zakończeniu narady. Lake, mimo swego idealistycznego zapału, był inteligentny i bystry.

Doskonale znał teren i był wielką pomocą dla Ananaisa. Również Galand okazał się przebiegłym wojownikiem. Ludzie szanowali go; był solidny, niezawodny i lojalny. Jego brat Parsal nie odznaczał się talentem taktycznym, lecz jego odwaga nie podlegała dyskusji. Do tego najbliższego kółka przyjaciół włączył Ananais jeszcze dwóch ludzi: Tursa i Thorn. Obaj byli milczący i stroniący od towarzystwa. Wcześniej zarabiali na życie przemierzając wzdłuż i wszerz ziemie Vagrian i kradnąc bydło oraz konie, które później sprzedawali na nizinach wschodu. Turs był młodszy i bardziej zapalczywy; jego dwaj bracia i siostra zostali zabici w czasie tego samego napadu, który rozpoczął powstanie Rayvan. Nieco starszy od niego Thorn był żyłasty jak rzemień i chudy jak wilk. Mieszkańcy Skody szanowali obu i w milczeniu słuchali ich słów.

To właśnie on siódmego dnia od wyjazdu Tenaki przyniósł wiadomość o heroldzie.

Ananais przemierzał właśnie wschodnie stoki góry Carduil, kiedy odnalazł go Thorn. Razem pogalopowali na wschód.

Ich konie obficie pokryły się pianą, nim dotarli do doliny Dawn, gdzie przywitał ich Decado z sześcioma z Trzydziestu. Wraz z nimi zebrało się tam około dwustu górali, którzy okopali się na pozycji, z której mieli dobry widok na równinę poniżej.

Ananais wdrapał się na urwisty występ skalny. Poniżej zobaczył sześciuset wojowników w czerwonych szatach załogi Delnoch. Pośrodku, na białym koniu, siedział starszy mężczyzna w jaskrawoczerwonej szacie, z długą, siwą brodą. Ananais rozpoznał go i uśmiechnął się kwaśno.

– Kto to? – zapytał Thorn.

– Breight. Nazywają go Wytrwałym. Nie dziwię się -jest doradcą od prawie czterdziestu lat.

– Musi być człowiekiem Ceski – powiedział Thorn.

– Służy każdej władzy, ale dokonano trafnego wyboru, powierzając mu rolę posłańca, ponieważ jest dyplomata i patrycjuszem. Uwierzyłbyś mu nawet, gdyby ci powiedział, że wilki składają jaja.

– Czy powinniśmy sprowadzić Rayvan?

– Nie, ja z nim porozmawiam.

W tej chwili sześciu ludzi podjechało do przodu i ustawiło się po obu stronach sędziwego doradcy. Mieli na sobie czarne zbroje i także płaszcze. Gdy podnieśli oczy na patrzącego z góry Ananaisa, krew w jego żyłach stężała ze strachu.

– Decado! – zawołał przerażony. Natychmiast spłynął na niego spokój, gdy przyjaciel i jego sześciu wojowników osłonili go siłą swych umysłów.

Rozgniewany Ananais krzyknął do Breighta, żeby podjechał bliżej. Stary zawahał się, lecz gdy jeden z Templariuszy powiedział coś do niego, spiął konia ostrogami i zaczął piąć się w górę stromym zboczem.

– Wystarczy! – rzekł Ananais, wychodząc mu naprzeciw.

– Czy to ty, Złoty? – zapytał Breight głębokim i dźwięcznym głosem. Jego brązowe oczy spoglądały nadzwyczaj przyjaźnie.

– Tak, to ja. Mów, co masz do powiedzenia.

– Między nami nie ma zwady, Ananaisie. Czyż nie ja pierwszy wiwatowałem na twoją cześć, gdy nagrodzono cię za wojenne zwycięstwa? Czyż nie ja wystarałem się dla ciebie o pierwszy przydział do Smoka? Czy nie byłem powiernikiem twojej matki?

– Wszystko to prawda i jeszcze więcej, starcze! Jednak teraz jak lokaj zlizujesz plwociny tyrana i przeszłość umarła.

– Źle oceniasz naszego pana Ceskę – dobro Drenajów leży mu głęboko na sercu. Nastaly ciężkie czasy, Ananaisie. Bardzo ciężkie. Nasi wrogowie prowadzą przeciw nam cichą wojnę, morząc nas głodem. Ani jedno z sąsiadujących z nami królestw nie życzy sobie rozkwitu państwa oświecenia, oznacza to bowiem upadek panującego w nich przekupstwa.

– Oszczędź mi tych bzdur, Breight! Nie mam zamiaru wdawać się z tobą w dyskusje. Czego chcesz?

– Widzę, że zgorzkniałeś z powodu okropnych ran, jakie odniosłeś, i żal mi ciebie. Przynoszę ci królewskie ulaskawienie! Mój pan czuje się głęboko urażony twoimi działaniami przeciw niemu, lecz twe wcześniejsze zasługi zaskarbiły ci miejsce w jego sercu. Z twego też powodu gotów jest przebaczyć wszystkim buntownikom w Skodzie. Ponadto obiecuje osobiście rozpatrzyć wszystkie

wasze pretensje, prawdziwe bądź urojone. Czyż może być bardziej sprawiedliwy?

Breight podniósł głos tak, by mogli go usłyszeć obrońcy na murach, a jego oczy przepatrywały ich szeregi, badając efekt słów.

– Ceska nie rozpoznałby „sprawiedliwości”, nawet gdyby przypaliła mu pośladki –

powiedział Ananais. – To wąż, nie człowiek!

– Rozumiem twoją nienawiść, Ananaisie – wystarczy na ciebie spojrzeć... pokryty bliznami, zdeformowany, nieludzki. Z pewnością jednak pozostał w tobie chociaż ślad ludzkich uczuć? Jak możesz dopuścić, by twoja nienawiść sprowadziła straszną śmierć na tysiące niewinnych? Nie możesz wygrać! Spojeni już się przygotowują, a nie ma na tej ziemi wojska, które by się im oparło. Odważysz się skazać tych ludzi na zagładę? Wejrzyj w swe serce, człowieku!

– Nie będę się z tobą spierał, starcze. Tam w dole czekają twoi ludzie, a wśród nich Templariusze – którzy żywią się ciałami dzieci. Twoje półludzkie bestie zbierają się w Drenanie, a każdego dnia tysiące bezbronnych przybywa do tego jedyne bastionu wolności. Wszystko to zadaje kłam twoim słowom. Nawet nie jesteś w stanie mnie rozgniewać, Breighcie Wytrwały!

Zaprzedałeś duszę za wyściełaną jedwabiem kanapę. Rozumiem cię jednak – jesteś starym, przerażonym człowiekiem, który nigdy nie żył naprawdę, bo nigdy się na to nie odważył. W tych górach jest prawdziwe życie, a powietrze smakuje jak wino. Masz rację mówiąc, że możemy nie wygrać ze Spojonymi. Zdajemy sobie z tego sprawę, nie jesteśmy głupcami. Nie o chwałę tu chodzi; jesteśmy ludźmi, potomkami ludzi i przed nikim nie zginamy kolan. Czemu nie przyłączysz się do nas? Nawet teraz mógłbyś nauczyć się smaku wolności.

– Wolności? Jesteście zamknięci jak w klatce, Ananaisie. Vagrianie nie pozwolą wam cofnąć się na wschód, na ich ziemię, a my czekamy na zachodzie. Oszukujesz sam siebie. Jaką wartość ma ta wasza wolność? W ciągu kilku dni, zgodnie z przyjętym planem, nadciągną tu wojska imperatora. Widziałeś stwory Ceski – cóż, będzie ich więcej. Ogromne bestie, stworzone z małą ze wschodu, ogromnych niedźwiedzi z północy i wilków z południa. Uderzają z szybkością błyskawicy i żywią się ludzkim mięsem. Twoja żalosna armia zostanie zmieciona jak kurz podmuchem wichru. A ty mi mówisz o wolności, Ananaisie? Nie pragnę wolności grobowca.

– A jednak ku niej właśnie zdążasz, Breight, z każdym siwym włosem, z każdą zmarszczką na wędnącej twarzy. Śmierć dopadnie cię i położy ci zimną dłoń na oczach. Nie uciekniesz!

Odejdź, starcze, twoja misja skończona.

Breight spojrział na obrońców i wyciągnął w górę ramiona.

– Nie dajcie się oszukiwać temu człowiekowi! – krzyknął.

– Jego wysokość Ceska jest człowiekiem honoru i dotrzyma danej obietnicy.

– Idź umierać do domu! – powiedział Ananais i odwróciwszy się na pięcie, szybkim krokiem wrócił

do swych ludzi.

– Śmierć przyjdzie najpierw po ciebie! – krzyknął Breight wysokim głosem. – A będzie straszliwa. – Po tych słowach starzec zawrócił konia i pocwałował w dół.

– Moim zdaniem bitwa rozpocznie się jutro – mruknął Thorn.

Ananais przytaknął i przywołał do siebie Decado. – A ty jak myślisz?

Decado wzruszył ramionami. – Nie udało się nam przeniknąć przez osłonę wzniesioną przez Templariuszy.

– A czy oni przebili się przez naszą?

– Nie.

– A więc przynajmniej zaczynamy z równymi szansami – powiedział Ananais. – Próbowali nas podbić słowami. Teraz przejdą do mieczy i spróbują nas złamać nagłym atakiem. Pytanie tylko gdzie? I jak powinniśmy zareagować?

– Cóż – odparł Decado. – Zapytano kiedyś wielkiego Tertulliana co zrobiłby, gdyby zaatakował go człowiek silniejszy, szybszy i nieskończenie zręczniejszy.

– Co odpowiedział?

– Powiedział, że obciąłby łeb takiemu przekłętemu kłamcy.

– Brzmi nieźle – wtrącił Thorn. – Ale słowa są teraz niewiele warte.

– Zgadzam się – przytaknął z uśmiechem Ananais. – Co więc proponujesz, góralu?

– Obetnijmy im łby.

Chata była skąpana w miękkim czerwonym blasku ledwie żarzących się polan. Ananais leżał

na łożu z głową wspartą na ramionach. Obok niego siedziała Valtaya i wcierała oliwę w jego ramiona i plecy – ugniatała mięśnie, rozmasowując napięte mięśnie wokół kręgosłupa. Palce miała silne, a ich powolne, rytmiczne ruchy przynosiły ukojenie. Ananais westchnął i zapadł w półsen, marząc o lepszych dniach.

Kiedy ręce zdrętwiały jej ze zmęczenia, podniosła je do góry i na chwilę zacisnęła dłonie.

Oddech śpiącego pogłębił się. Nakryła go kocem, a potem, przysunąwszy do łóżka krzesło, usiadła i zapatrzyła się w jego poranioną twarz. Jątrząca się blizna pod okiem trochę przyschła i zagoiła się; Valtaya delikatnie wmasowała w nią odrobinę oliwy. Ananais westchnął, wciągając powietrze przez owalne otwory, które widniały tam, gdzie powinien być nos. Valtaya odchyliła się do tyłu, a smutek wypełnił jej duszę aż do bólu. Był wspaniałym mężczyzną i nie zasługiwał

na swój los. Musiała zmobilizować całe, niemałe przeciw zapasy silnej woli, żeby go wtedy pocałować, a i teraz jeszcze nie potrafiła patrzeć na jego twarz bez odrazy. A jednak kochała go.

Życie jest okrutne i nieskończenie smutne.

Spała już z wieloma mężczyznami. Kiedyś robiła to dla przyjemności, później dla pieniędzy.

W tamtym okresie przychodzili do niej również ci mało urodziwi i nauczyła się skrywać przy nich swoje uczucia. Teraz cieszyła się z tej umiejętności, gdy zdjęła bowiem maskę Ananaisa, spostrzegła jednocześnie dwie rzeczy. Po pierwsze, przerażający stan jego okaleczonej twarzy.

Po drugie, niewypowiedziany niepokój w oczach. Mimo całej swej siły w tym momencie był

kruchy jak kryształ. Spojrzała na jego włosy – ciasno skręcona, złota przędza, poprząkana srebrem. Ten Złoty! Jaki piękny musiał być dawniej. Jak bóg. Przesunęła dłonią po swoich jasnych włosach, odgarniając je z oczu.

Poczuła się zmęczona, wstała i przeciągnęła się. Podeszła do uchylonego okna i otworzyła je na oścież. Dolina tonęła w ciszy pod sierpem księżyca.

– Chciałabym być znowu młoda – szepnęła. – Mogłabym poślubić tego poetę.

Katan unosił się ponad górami pragnąc, by jego ciało mogło się wzbić tak wysoko jak dusza.

Marzył, by poczuć smak powietrza, dotknięcie ostrego wiatru na skórze. Pod nim szczyty Skody podnosiły głowy jak ostrza włóczy. Wzniósł się jeszcze wyżej, dzięki czemu góry przybrały inny wygląd. Uśmiechnął się.

Teraz Skoda przypominała kamienną różę o postrzępionych płatkach, rosnącą na tle zieleni.

Pierścienie wyniosłego granitu przeplatały się, tworząc olbrzymich rozmiarów kwiat.

Na północno– wschodnim widnokręgu Katan dostrzegał jeszcze zarys fortecy Delnoch, a na południowym wschodzie migoczące światłami miasta Drenajow. Przepiękny to był widok. Z tej odległości nie widział okrucieństwa, tortur i terroru. Nie było tu miejsca dla ludzi o ciasnych umysłach i bezgranicznej ambicji.

Znowu odwrócił się w stronę róży Skody. Zewnętrzny rząd liści krył w sobie dziewięć dolin, przez które mogła przemaszerować armia. Zbadał je wszystkie, zapamiętując kontury i nachylenia, wyobrażając sobie linie walczących, nacierających jeźdźców i uciekającą piechotę.

Potem skupił się na drugim pierścieniu. Tutaj widać było jedynie cztery główne doliny, ale trzy zdradzieckie przełęczce wiodły z nich na otwarte pastwiska i do lasów za nimi.

Pośrodku kwiatu góry zbijały się ciasno i tylko dwa przejścia umożliwiały dostęp do nich od wschodu – doliny znane pod nazwami Tarsk i Magadon.

Zakończywszy swą misję, Katan powrócił do swego ciała i zdał raport Decado. Nie przynosił dobrych wieści.

– Na zewnętrznym pierścieniu jest dziewięć głównych kotlin oraz wiele pomniejszych przejść. Nawet na wewnętrznym, wokół Carduil, możliwe są dwa kierunki ataku. Nasze siły nie są w stanie utrzymać żadnej z tych przełęczy. Nie sposób planować obrony, której szansę powodzenia są mniejsze niż jeden do dwudziestu. Przez sukces rozumiem tutaj odparcie jednego ataku.

– Nikomu nic nie mów – rozkazał Decado. – Porozmawiam z Ananaisem.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział chłodno. Decado uśmiechnął się łagodnie. –

Przepraszam, Katan.

– Za co?

– Za to, że jestem, jaki jestem – odpowiedział wojownik i poszedł w górę zbocza, aż dotarł

do miejsca, z którego widać było kilka dolin. Piękny kraj – zaciszny, spokojny. Ziemia nie była tu tak żyzna jak na równinie Sentran na północnym wschodzie, ale starannie uprawiane farmy prosperowały i bydło szybko tuczyło się na trawiastym poszyciu lasów.

Rodzice Decado mieli gospodarstwo na dalekim wschodzie i chyba po nich odziedziczył

miłość do ziemi. Przykucnął, wbijając palce w glebę u swych stóp. Wyczuł pod nimi glinę, dzięki której trawa rosła bujna i soczysta.

– Mogę zostać z tobą? – poprosił Katan.

– Ależ proszę, zostań.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując bydło, pasące się w oddali na żyznych zboczach.

– Brak mi Abaddona – powiedział nagle Katan.

– Tak. To był dobry człowiek.

– To był człowiek z wizją. Brakowało mu jednak cierpliwości, a jego wiara nie była głęboka.

– Jak możesz tak mówić? – zapytał Decado. – Wierzył na tyle mocno, by ponownie wskrzesić Trzydziestu.

– Dokładnie! Zdecydował, że złu należy się przeciwstawić surową siłą. A przecież nasza wiara głosi, że należy je zwalczać miłością.

– To szaleństwo. W jaki więc sposób należy postępować z wrogami?

– Czyż jest lepszy sposób, niż zamienić ich w naszych przyjaciół?

– Słowa są piękne, lecz argumentacja zwodnicza. Nie zaprzyjaźnisz się z takim Ceską – zostaniesz niewolnikiem lub zginiesz.

Katan uśmiechnął się. – A jakie to ma znaczenie? To Źródło rządzi wszystkim, a wieczność drwi z ludzkiego życia.

– Uważasz, że nasza śmierć nie ma znaczenia?

– Oczywiście, że nie. Źródło zabierze nas i będziemy żyć wiecznie.

– A jeśli Ono nie istnieje? – zapytał Decado.

– Wtedy śmierć jest jeszcze bardziej pożądana. Nie nienawidzę Ceski. Żał mi go. Zbudował

imperium terroru. I cóż osiągnął? Każdy dzień zbliża go do grobu. Czy jest zadowolony? Czy spogląda z miłością na jeden choćby przedmiot? Otacza się wojownikami, by się obronić przed zamachowcami, a potem wojownikami, którzy śledzą tychże wojowników i wyszukują zdrajców.

A kto śledzi śledzących? Co za żalosna egzystencja!

– A więc – rzekł Decado – Trzydziestu to nie wojownicy Źródła?

– Są nimi, jeżeli wierzą.

– Te odpowiedzi są wzajemnie sprzeczne, Katanie. Młody człowiek zaśmiał się. – Być może.

W jaki sposób zostałeś wojownikiem?

– Każdy człowiek jest wojownikiem, bo życie to walka. Farmer walczy z suszą, powodzią, chorobą i śmiercią. Marynarz walczy z morzem i burzami. Ja nie miałem na to dość odwagi, więc postanowiłem walczyć z ludźmi.

– A z kim walczy duchowny?

Decado spojrzał w oczy tego poważnego młodego człowieka.

– Duchowny walczy ze sobą. Nie może z pożądaniem spojrzeć na kobietę, bez palącego poczucia winy. Nie może się też upić i zapomnieć. Nie może nawet na dzień zanurzyć się w pięknie tego świata, nie zastanawiając się jednocześnie nad tym, czy nie powinien właśnie spełniać jakiegoś zbożnego uczynku.

– Jak na mnicha masz dość niską opinię o swych braciach – stwierdził Katan.

– Wprost przeciwnie. Mam o nich bardzo wysokie mniemanie.

– Byłeś bardzo surowy dla Acuasa. On naprawdę wierzył, że idzie uwolnić duszę Abaddona.

– Wiem o tym, Katanie. Podziwiam go za to – a właściwie was wszystkich. Byłem zły na siebie. To nie było dla mnie łatwe, ponieważ nie mam waszej wiary. Dla mnie Źródło jest tajemnicą, której nie potrafię zgłębić. Mimo to obiecałem Abaddonowi, że dopilnuję wypełnienia jego misji. Jesteście wspaniałymi młodymi ludźmi, a ja tylko wojownikiem rozmiłowanym w śmierci.

– Nie bądź zbyt surowy dla siebie. Zostałeś wybrany. To wielki zaszczyt.

– Przypadek! Przyszedłem do świątyni, a Abaddon wyczytał z tego faktu więcej niż powinien.

– Nie – powiedział Katan. – Pomyśl o tym: zjawiłeś się tego dnia, kiedy zmarł jeden z naszych braci. Co więcej – nie jesteś zwykłym wojownikiem, lecz prawdopodobnie największym szermierzem naszych czasów. W pojedynkę pokonałeś Templariuszy. Ponadto wykształciłeś w sobie talent, z którym większość z nas się urodziła. Przybyłeś nam na pomoc do Zamku Niebytu.

Kto jak nie ty może być naturalnym przywódcą? A jeśli nim jesteś... to co cię do nas przywiodło?

Decado odchylił się do tyłu i spojrzał w niebo, na gromadzące się chmury.

– Znosi się na deszcz – zauważył.

– Czy próbowałeś się modlić, Decado?

– Mimo to myślę, że będzie padać.

– Próbowaleś? – nalegał mnich.

Decado wyprostował się i westchnął ciężko. – Oczywiście, że próbowałem. Jednak nie otrzymałem żadnych odpowiedzi. Próbowałem tej nocy, kiedy wy podróżowaliście do krainy Niebytu. .. lecz On nie chciał mi odpowiedzieć.

– Jak możesz tak mówić? Czyż nie nauczyłeś się wtedy podróżować? Czyż nie znalazłeś nas pośród mgieł Otchłani? Czy myślisz, że dokonałeś tego własnymi tylko siłami?

– Tak właśnie myślę.

– A więc to ty odpowiedziałeś na swe własne modlitwy?

– Tak.

Katan uśmiechnął się. – Zatem nie przerywaj modłów. Kto wie, na jakie wzniesiesz się wyżyny.

Tym razem roześmiał się Decado. – Drwisz ze mnie, młody Katanie! Nie podoba mi się to. I dlatego możesz poprowadzić modlitwę dziś wieczorem. Myślę, że Acuasowi należy się odpoczynek.

– Z przyjemnością.

Na równinie Ananais spał konia ostrogami, zmuszając go do galopu. Pochylił się nisko nad szyją wierzchowca, poganiając go, a kopyta rumaka dudniły na suchym podłożu. Przez tych kilka chwil szalonego pędu zapomniał o swoich problemach i rozkoszował się wolnością. Za nim Galand i Thorn pędzili łeb w łeb, lecz ich konie nie mogły dorównać ogierowi Ananaisa, który dotarł do strumienia, wyprzedzając ich o prawie dwadzieścia długości. Jeździec zeskoczył na ziemię, poklepał rumaka i pospacerował z nim, trzymając go z dala od wody. Jego towarzysze zsiadli z koni.

– To nie w porządku! – powiedział Galand. – Twój wierzchowiec jest znacznie wyższy i był hodowany do wyścigów.

– Tylko że ja ważę więcej niż wy dwaj razem wzięci – odpowiedział Ananais.

Thorn nie powiedział ani słowa, tylko uśmiechnął się półgębkiem i potrząsnął głową. Lubił

Ananaisa i cieszyła go zmiana, która w nim zaszła od czasu, gdy ta jasnowłosa kobieta wprowadziła się do jego chaty. Był bardziej ożywiony – jakby pogodzony ze światem.

Tak działa na ludzi miłość. Thorn kochał się już wiele razy, a nawet teraz, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, miał nadzieję na przynajmniej jeden lub dwa romanse. Myślał o pewnej wdowie, która miała farmę w wysoko położonym, odludnym kraju na północy; często zatrzymywał się u niej na śniadanie. Jeszcze nie zmiękła, ale zmięknie – Thorn znał kobiety. Nie trzeba się spieszyć... Łagodna rozmowa, oto właściwy sposób. Zapytać o ich zainteresowania...

Okazać troskę. Mężczyźni często przechodzą przez życie gotowi parzyć się tak szybko, jak kobieta na to pozwoli. Bez sensu! Najpierw porozmawiaj. Zrozum. Potem dotykaj, powoli, z uczuciem. Okaz troskę. Kochaj i czekaj. Thorn wcześniej pojął tę lekcję, ponieważ nigdy nie był

urodziwy. Inni zazdrościli mu sukcesów, nigdy jednak nie zadali sobie trudu, aby pójść za jego przykładem. Głupcy!

– Dziś rano przybyła kolejna karawana z Vagrii – powiedział Galand, drapiąc się w brodę. –

Jednak złoto ze skarbca wyczerpuje się szybko. Ci przekłeci Vagrianie podwoili ceny.

– To rynek sprzedawcy – powiedział Ananais. – Co przywieźli?

– Groty do strzał, trochę mieczy i innego żelastwa. Najwięcej mąki i cukru. Aha – i dużo wyprawionych i nie wyprawionych skór. Zamówił je Lake. Żywności powinno wystarczyć na miesiąc... ale nie więcej.

Śmiech Thorn'a przerwał Galandowi w pół słowa.

– Co cię tak cieszy?

– Jeżeli za miesiąc będę jeszcze żył, z przyjemnością zaznam nieco głodu!

– Czy uciekinierzy wciąż napływają? – zapytał Ananais.

– Tak – powiedział Galand – ale ich liczba maleje. Z tym sobie poradzimy. Wojsko musztruje się w liczbie dwóch tysięcy, jesteśmy jednak trochę za bardzo rozproszeni. Nie lubię sytuacji, kiedy musimy siedzieć i czekać na atak. Smok zawsze działał zgodnie z zasadą, że najważniejsze jest pierwsze uderzenie.

– Nie mamy wyboru – odparł Ananais – ponieważ przez kilka najbliższych tygodni musimy utrzymać jak najdłuższy front. Jeśli wycofamy się, oni po prostu zajmą nasze miejsca. Teraz nie wiedzą, co robić.

– Ludzie się denerwują – powiedział Thorn. – Niełatwo jest tak czekać. Zaczynają myśleć, zastanawiać się, wyobrażać sobie różne rzeczy. Rayvan dokonuje cudów, podróżując z jednej doliny do drugiej, podsycia ich odwagę i nazywa ich bohaterami. Jednak to może nie wystarczyć.

– Zwycięstwo uderzyło nam do głowy, Ananaisie, ale teraz ci, którzy nie widzieli bitwy, przeważają liczebnie nad tymi, którzy brali w niej udział. Nie sprawdzili się. Dlatego są nerwowi.

– Co proponujesz?

Thorn zaśmiał się drwiąco. – Ja nie jestem generałem, Czarna Masko. Ty mi powiedz!

Rozdział 15

Caphas oddalił się od namiotów i rozpostarł swój czarny płaszcz jak koc na suchej ziemi.

Usadowił się na nim i zdjął hełm. Gwiazdy świeciły jasno, lecz nie patrzył na nie. Noc była chłodna i rześka, ale on nienawidził pustki. Tęsknił za ustronną Świątynią i orgiami narkotykowymi. Wspominał muzykę sali tortur, miłe dla ucha błaganie męczonych tam ludzi.

Tego mu brakowało w tej odludnej krainie. Śmiechu.

Między torturującym a jego ofiarą nawiązywała się szczególnego rodzaju więź. Początkowo był to opór i nienawiść. Potem łzy i jęki, przechodzące w błaganie. Aż wreszcie, kiedy złamano już ducha, ta zależność zmieniała się w pewien rodzaj miłości. Caphas zaklął głośno i wstał, podniecenie obudziło w nim gniew. Otworzył niewielką skózaną sakiewkę na biodrze i wyjął z niej podłużny liść lorassium. Zwinął go w kulkę i włożywszy do ust, zaczął powoli żuć. Kiedy zawładnął nim sok rośliny i zakręciło mu się w głowie, zdał sobie sprawę, że czyta sny śpiących żołnierzy, a także głodne myśli borsuka ukrytego w poszyciu po prawej stronie. Odciął je, zmuszając swą pamięć, by jeszcze raz odtworzyła scenę z niedawnej przeszłości, kiedy to do sali tortur przyprawdzono małą dziewczynkę...

Ogarnął go nagły niepokój. Przełączył swój mózg na terażniejszość i wbił wzrok w cień pod drzewami.

Przed nim pojawiło się jasne światło, migoczące i przybierające postać wojownika w srebrnej zbroi. Nieznajomy miał na ramionach biały płaszcz, którego krawędzie powiewały na wietrze.

Caphas zamknął oczy i opuścił swoje ciało, uzbrojony w czarny miecz i tarczę duszy. Srebrny wojownik odparował cios i cofnął się.

– Podejdź tu i zgiń – rzekł. – Dwunastu spośród was już nie żyje. Chodź, dołącz do nich!

Tamten nie odpowiedział, a spod srebrnego hełmu widać było jedynie błękitne oczy.

Promieniujący z nich spokój i cicha pewność siebie przeszły serce Caphasa. Jego tarcza skurczyła się.

– Nie możesz mnie dotknąć! – krzyknął. – Duch jest silniejszy niż Źródło. Jesteś wobec mnie bezsilny!

Wojownik potrząsnął głową.

– Bądź przeklęty – krzyknął Caphas, gdy jego tarcza zniknęła. Skoczył na wroga, tnąc wściekle.

Acuas z łatwością odparował cios i wbił swój miecz głęboko w pierś Templariusza. Tamten westchnął, gdy lodowate ostrze rozplatało jego ducha. Dusza wojownika wykrwawiła się i umar-

ła, a stojące nieco dalej ciało runęło na ziemię.

Acuas zniknął. W odległym o dwieście kroków lasku otworzył oczy i osunął się w ramiona Decado i Katana.

– Wszyscy wartownicy Templariuszy nie żyją – powiedział.

– Dobra robota! – pochwalił go wojownik.

– Czuję się zbrukany złem. Samo dotknięcie ich powoduje, że człowiek czuje się przeklęty.

Decado cicho cofnął się do miejsca, gdzie czekał Ananais z setką wojowników. Po jego lewej ręce przycupnął Thorn, a po prawej Galand. Połowę wojowników stanowili dawni legioniści, których Ananais nie był pewien. Mimo iż ufał instynktowi Decado, wciąż nie dowierzał talentom Trzydziestu. Dzisiaj sprawdzi, czy ci ludzie są z nim. Przez cały czas miał

niepokojącą świadomość tego, że ma wokół siebie tylu niedawnych przeciwników.

Ananais poprowadził ludzi do krawędzi lasu. Przed nim stały namioty załogi Delnoch –

około stu – z których każdy dawał schronienie sześciu ludziom. Za namiotami, ogrodzonymi sznurami, znajdowała się zagroda dla koni.

– Chcę żywego Breigha i chcę te konie – szepnął Ananais. – Galandzie, weź pięćdziesięciu ludzi i wyprowadź je. Pozostali za mną. – Ruszył do przodu prawie na czworakach, a ubrani w czarne zbroje wojownicy poszli za nim.

Kiedy dotarli do namiotów rozdzielili się i zbrojni, cicho podnosząc zasłony przy wejściach, wślizgiwali się do środka. Śpiący umierali bez słowa, gdy sztylety przecinały im gardła. Na skraju obozu jakiś żołnierz obudził się, czując parcie pełnego pęcherza; zsunął się z koca i wyszedł na nocne powietrze. Pierwsze, co zobaczył był olbrzym w czarnej masce, nacierający na niego wraz z dwudziestoma żołnierzami. Krzyknął raz... i umarł.

Nagle rozpętało się piekło. Z namiotów wyskakiwali mężczyźni z mieczami w dłoniach.

Ananais ściał dwóch żołnierzy, którzy stanęli mu na drodze i zaklął głośno. Namiot Breightha był tuż obok, na błękitnym jedwabiu widniał emblemat drenajskiego herolda, Biały Koń.

– Do mnie, Legionie! – zawołał i pobiegł. Jeden z żołnierzy zaatakował go włócznią, lecz Ananais odskoczył w bok, a jego miecz śmignął straszliwym łukiem, który rozłupał żebra napastnika. Pobiegł dalej, szarpnięciem otworzył namiot i skoczył do środka. Breight krył się za łóżkiem, ale wojownik wyciągnął go za włosy i pchnął na zewnątrz.

Stary Thorn podbiegł do Ananaisa. – Mamy drobne kłopoty, Czarna Masko – powiedział.

Pięćdziesięciu legionistów otoczyło pierścieniem namiot Breightha, lecz ich z kolei otaczali wojownicy z Delnoch, czekając tylko na rozkaz do ataku. Ananais postawił Breightha na nogi i powlókł do pierwszej linii.

– Rozkaż swoim ludziom odłożyć broń, inaczej poderżnę ci tę nędzną gardziel – syknął.

– Tak, tak – zaskomlał starzec, podnosząc w górę ręce. – Ludzie Ceski, odłóżcie broń. Moje życie jest zbyt cenne, by je zmarnować w ten sposób. Pozwólcie im odejść, rozkazuję wam!

Z szeregu wystąpił Czarny Templariusz. – Nic nie jesteś wart, starcze! Miałeś do wypełnienia tylko jedną misję – gadaniem przekonać te psy, by ustąpiły ze wzgórz. Nie udało ci się. – Jego ręka przesunęła się w tył, potem w dół i czarny sztylet przeszył krtań Breightha. Stary zatoczył się i upadł na kolana. – Teraz bierzcie tamtych! – ryknął Templariusz i wojsko z Delnoch ruszyło do ataku. Ananais ciął i dźgał, ściągając do siebie wroga jak ćmy do świecy.

Jego miecze śmigały tak szybko, że nie można było ich uchwycić spojrzeniem. Wokół niego legioniści walczyli zaciekle i dzielnie, a stary Thorn zręcznie parował i zadawał ciosy.

Nagle łomot kopyt zagłuszył szczęk stali i atak zbrojnych z Delnoch załamał się, gdyż wielu z nich oglądało się na nowe siły, wkraczające do bitwy.

Oddział Galanda uderzył na ich tyły jak młot, rozpraszając wroga. Ananais skoczył naprzód, nawołując swoich ludzi, by podążali za nim. Nagle poczuł pchnięcie miecza w bok. Syknął przez zaciśnięte zęby i ciosem na odlew zwałił przeciwnika z nóg. Decado skierował konia w jego stronę, wyciągając rękę. Ananais chwycił ją i wskoczył na siodło za przyjacielem. Legioniści poszli za jego przykładem i wszyscy galopem opuścili obóz. Obejrzał się i poszukał wzrokiem Thorną, którego dostrzegł za plecami Galanda.

– To naprawdę twardy staruszek! – powiedział. Decado nie odpowiedział. Dopiero co otrzymał raport od Balana, którego zadaniem było penetrowanie Drenanu i śledzenie pochodzących sił Ceski. Nowiny nie były dobre.

Ceska nie marnował czasu.

Spojeni byli już w drodze, a Tenaka Khan w żaden sposób nie zdąży sprowadzić Nadirów, aby im przeszkodzić.

Według raportu Balana, wojska staną obozem w dolinach Skody przed upływem czterech dni.

Tenace pozostanie tylko pomścić ich, ponieważ żadna siła na ziemi nie zdoła oprzeć się bestiom Ceski.

Ananais wjechał do miasta, trzymając się prosto w siodle, chociaż zmęczenie przytłaczało go jak głąz. Dwie noce i jeden dzień spędził ze swoimi porucznikami i dowódcami sekcji, informując ich o błyskawicznym marszu Ceski. Wielu dowódców na jego miejscu zataiłoby to niebezpieczeństwo, obawiając się dezercji i nadwątlenia morale, jednak Ananais nigdy nie wyznawał tej teorii. Ludzie, których czekała śmierć, mieli wszelkie prawo wiedzieć o tym.

Teraz czuł zmęczenie.

W mieście było cicho, ponieważ od świtu upłynęły zaledwie dwie godziny, a mimo to na ulicy zgromadziły się dzieci, które przerywały zabawę, by popatrzeć jak przejeżdża Czarna Maska. Rumak potknął się na gładkim bruku. Ananais podciągnął mu głowę i poklepał po szyi.

– Jesteś prawie tak strudzony jak ja – prawda, mały?

Z ogrodu po prawej wyszedł stary człowiek, krępy i łysawy. Twarz miał zaczerwienioną z gniewu.

– Hej ty! – krzyknął, wskazując na jeźdźca. Ananais zatrzymał wierzchowca, a mężczyzna podszedł do niego. Za nim skupiło się prawie dwadzieścioro dzieciaków.

– Chcesz ze mną rozmawiać, przyjacielu?

– Nie jestem twoim przyjacielem, rzeźniku! Chcę tylko, żebyś spojrział na te dzieci.

– No więc spojrzalem. Wspaniała gromadka.

– Wspaniale, prawda? Ich rodzice też byli wspaniali, a teraz gniją w Uśmiechu Diabła. I po co? Po to, żebyś ty mógł się bawić swoim lśniącym mieczykiem!

– Skończyłeś?

– Nie, do cholery! Co się stanie z tymi dziećmi, gdy nadejdą Spojeni? Byłem kiedyś żołnierzem i wiem, że nie zdołacie powstrzymać tych piekielnych bestii – wejdą do miasta i zabiją każde żywe stworzenie. Co się wtedy stanie z tymi dziećmi?

Ananais ubódł piętami boki wierzchowca, który ruszył z miejsca.

– Dobrze! – wrzasnął za nim starzec. – Uciekaj od problemu. Jednak zapamiętaj ich twarze, słyszysz?

Wojownik pojechał dalej krętymi uliczkami aż do budynku ratusza. Jakiś młodzian podszedł i odprowadził konia, a Ananais wszedł na marmurowe schody.

Rayvan siedziała samotnie w sali i wpatrywała się -jak to często robiła – w wyblakły fresk.

W ciągu ostatnich kilku dni bardzo schudła. Znów miała na sobie kolczugę i szeroki pas, a ciemne włosy zaczesła gładko do tyłu i spięła na karku.

Uśmiechnęła się na widok Ananaisa i wskazała mu krzesło obok siebie.

– Witaj, Czarna Masko – powiedziała. – Jeśli masz złe wieści, wstrzymaj się z nimi przez chwilę. Mam dość własnych.

– Co się stało? – zapytał Ananais.

Machnęła ręką i zamknęła oczy, nie mogąc mówić. Potem wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. – Czy słońce świeci? – zapytała.

– Tak, pani.

– To dobrze! Lubię widzieć słońce nad górami. Niesie obietnicę życia. Jadłeś?

– Nie.

– Chodźmy więc do kuchni i poszukajmy czegoś. Zjemy w ogrodzie przy wieży.

Usiedli w cieniu gęstego, kwitnącego krzewu. Rayvan przyniosła bochen czarnego chleba i ser, ale żadne z nich nie jadło. Samo milczenie przynosiło ulgę.

– Słyszałam, że udało ci się ująć z życiem – powiedziała w końcu Rayvan. – Jak twój bok?

– Moje rany szybko się goją, pani. Ta nie była głęboka, a szwy będą się trzymać.

– Mój syn, Lucas – zmarł wczoraj wieczorem. Musieliśmy mu amputować nogę... gangrena.

– Przykro mi – powiedział Ananais cicho.

– Był bardzo dzielny. Teraz zostali mi tylko Lake i Ravenna. Wkrótce nie będzie nikogo. Jak to się stało, powiedz mi, Czarna Masko?

– Nie wiem. Pozwoliliśmy dojść do władzy szaleńcowi.

– Czy naprawdę? Wydaje mi się, że każdy ma tylko tyle władzy, ile mu jej damy. Czy Ceska potrafi

przenosić góry? Czy jest w stanie zgasić gwiazdy? Czy może sprowadzić deszcz? Jest tylko człowiekiem i gdyby wszyscy odmówili mu posłuszeństwa, musiałby upaść. Jednak tak nie jest, prawda? Powiadają, że ma armię złożoną z czterdziestu tysięcy ludzi. Ludzi. Drenajów!

Gotowych pomaszerować na innych Drenajów. W Wojnach Nadiryjskich wiedzieliśmy przynajmniej na pewno, kto jest wrogiem. Teraz nie ma wrogów. Tylko upadli przyjaciele.

– Cóż mogę powiedzieć? – zapytał Ananais. – Nie znam odpowiedzi. Powinnaś zapytać Tenakę. Ja jestem tylko wojownikiem. Pamiętam nauczyciela, który powiedział mi, że wszyscy myśliwi świata mają oczy skierowane przed siebie: lwy, jastrzębie, wilki, ludzie. A wszystkie ofiary mają oczy umieszczone po bokach, co daje im większe szansę zauważenia myśliwego.

Mówił, że człowiek nie różni się niczym od tygrysa. Natura stworzyła nas na morderców i jest w nas wielki apetyt na zabijanie. Nawet po naszych herosach widać, że miłujemy wojnę. Na przykład Druss, największa maszyna do zabijania wszech czasów – to w jego podobiznę wpatrujesz się w sali obrad.

– To prawda – powiedziała Rayvan. – Jest jednak różnica między Drussem i Ceską. Legenda zawsze walczył za wolność innych.

– Nie oszukuj się, Rayvan. Druss walczył, ponieważ to uwielbiał – to robił najlepiej.

Przypomnij sobie jego historię.

Udał się na wschód i walczył dla tyrana Gorbena, którego wojska równały z ziemią miasta, wieś i narody. Druss brał w tym udział i na pewno nie szukałby wymówek. Ty też nie powinnaś.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy nie było prawdziwych bohaterów?

– Nie rozpoznałbym bohatera, nawet gdyby mnie ugryzł w tyłek! Posłuchaj Rayvan, w każdym z nas mieszka zwierzę. Staramy się postępować jak najlepiej, lecz często jesteśmy podli, małostkowi lub niepotrzebnie okrutni. Nie staramy się o to, ale tacy jesteśmy. Większość herosów, których pamiętamy – pamiętamy ze względu na ich zwycięstwa. A żeby zwyciężyć, trzeba być bezwzględny. Zawzięty. Taki był Druss i dlatego nie miał przyjaciół – tylko wielbicieli.

– Czy możemy zwyciężyć, Ananaisie?

– Nie. Jednak możemy sprawić, by Ceska ucierpiał tak mocno, że komuś innemu uda się zwyciężyć. Nie dożyjemy do powrotu Tenaki. Ceska jest już w drodze; możemy jednak związać jego siły, zadać ciężkie straty – zniszczyć aurę niezwyciężoności, jaką roztacza wokół swoich potworów.

– Przecież nawet Smokowi nie udało się oprzeć tym bestiom.

– Smok został oszukany, złapany w pułapkę. Wielu żołnierzy zestarzało się. Piętnaście lat to kawał czasu. Tak naprawdę, to nie był już prawdziwy Legion Smoka. My nim jesteśmy – i na Boga, zapłacą nam za wszystko!

– Lake wymyślił jakąś broń i chciałby, żebyś ją obejrzał.

– Gdzie on jest?

– W starych stajniach w południowej dzielnicy. Najpierw odpocznij trochę -jesteś wyczerpany.

– Dobrze. – Wstał ciężko, zachwiał się i uśmiechnął. – Starzeję się, Rayvan. – Odszedł kilka kroków, a potem wrócił i położył swą ogromną prawą dłoń na jej ramieniu. – Nie potrafię okazywać uczuć, pani. Przykro mi z powodu Lucasa. Był dobrym człowiekiem – co jest twoją zasługą.

Kiedy odszedł, Rayvan podeszła do muru i spojrzała w stronę gór.

Śmierć była coraz bliżej. Ona jednak nie dbała o to.

Tenaka Khan był wściekły. Ręce miał ciasno skrępowane rzemieniami z surowej skóry, a ciało przywiązane do pnia smukłego wiązu. Przed nim pięciu mężczyzn siedziało wokół ogniska i przeszukiwało jego juki. Odnaleźli małą sakiewkę ze złotem, która teraz leżała obok wodza –

jednookiego zbira, krępego i gburowatego. Tenaka zamrugał powiekami, żeby pozbyć się strumyczka krwi, który spływał do prawego oka, i starał się zapomnieć o bolesnych potłuczeniach.

Zamyślił się, wjeżdżając do lasu i wypuszczony z procy kamień uderzył go w skroń, wpółprzytomnego zwalając z konia. Mimo to, gdy bandyci go zaatakowali, zdołał wyciągnąć miecz i zabić jednego z nich, zanim pozostali zwalili go z nóg ciosami maczug i pałek. Ostatnimi słowami jakie usłyszał, były: „Zabił mojego brata. Nie zabijajcie go – chcę go żywego”.

I tak oto, niecałe cztery dni drogi od Skody, przywiązany do drzewa czekał na rychłą i okropną śmierć. Wściekle szarpał powrozy, ale związane go fachowo. Bolały go nogi i piekły plecy. Jednooki bandyta wstał i podszedł do drzewa. Twarz miał wykrzywioną szyderczym grymasem. – Ty świński ryju – zabiłeś mego brata!

Tenaka nie odpowiedział.

– Zapłacisz mi za to. Potnę cię na drobne kawałeczki, upiekę na ogniu twoje ciało i każę ci je zjeść. Jak ci się to podoba?

Tenaka zignorował obelgę, a tamten zamachnął się pięścią. Mimo iż zdążył napiąć mięśnie brzucha, ból był i tak okropny. Kiedy pochylił głowę, bandyta uderzył go w twarz.

– Odpowiedz mi, ty nadiryjski gównojadzie! – syknął bandyta.

Tenaka splunął krwią i oblizał spuchnięte wargi.

– Będiesz jeszcze ze mną rozmawiał; nim nadejdzie świt, zaśpiewasz słodko jak ptaszek.

– Wydłub mu oczy, Baldur! – powiedział jeden z bandytów.

– Nie. Chcę, żeby wszystko widział.

– To chociaż jedno – nalegał tamten.

– Aha – powiedział Baldur – no, może jedno. – Wyciągnął sztylet i podszedł bliżej. – Jak ci się to podoba, Nadirze? Jedno z twoich oczu zawiśnie na policzku.

Ciszę nocy przerwał upiorny krzyk, wysoki i przerażający. Powtórzyło go echo.

– A cóż to takiego, do wszystkich diabłów? – spytał Baldur, odwracając się na pięcie.

Pozostali zrobili znak Ochronnego Rogu i sięgnęli po broń.

– To było blisko – stwierdził jeden z nich, pokurcz o jasnej brodzie.

– Może kot. Brzmiało podobnie do kota – powiedział Baldur. – Dorzuc do ognia.

Dwóch z nich rzuciło się po suche drewno, a brat zabitego odwrócił się do Tenaki.

– Czy słyszałeś już kiedyś ten dźwięk, Nadirze? Tenaka przytaknął skinieniem głowy.

– Cóż to takiego?

– Leśny demon – powiedział Tenaka.

– Nie nabierzesz mnie! Całe życie mieszkam w lasach. Tenaka wzruszył ramionami.

– Cokolwiek to jest, nie podoba mi się – powiedział Baldur. – A więc nie umrzesz powolną śmiercią. Otworzę ci tylko brzuch i zostawię, żebyś wykrwawił się na śmierć. Albo dostanie cię leśny demon!

Zamachnął się...

Czarnopióry grot jakby wyrósł mu z szyi. Bandyta przez moment stał jak ogłuszony. Potem wypuścił z ręki nóż i powoli sięgnął do drzewca strzały. Wytrzeszczył oczy, kolana ugięły się pod nim i runął na ziemię. Druga strzała śmignęła przez polanę i utkwiała w prawym oku bandyty o piaskowej brodzie. Padł z wrzaskiem. Trzej pozostali zapominając o broni, uciekli w las. Przez chwilę panowała cisza, a potem spomiędzy drzew wyszła drobna postać z łukiem w dłoni.

Miała na sobie tunikę i spodnie z jasnobrązowej skóry, a włosy przykryte zielonym burnusem. U jej boku zwisał krótki, smukły miecz.

– Jak się masz, Tenako? – zapytała słodko Renya.

– Naprawdę cieszę się, że cię widzę – odpowiedział. – Uwolnij mnie.

– Uwolnić ciebie? – powiedziała, przykucając przy ognisku. – Takiego wielkiego, silnego mężczyznę

– Jak ty? Daj spokój. Jesteś pewien, że potrzebujesz pomocy od kobiety?

– Nie czas na takie rozmowy, Renya. Rozwiąż mnie.

– I będę mogła pojechać z tobą?

– Oczywiście – powiedział, wiedząc, że nie ma wyjścia.

– Jesteś pewien, że nie będę przeszkodą?

Tenaka zgrzytnął zębami, próbując zachować spokój, a Renya obeszła drzewo i mieczem rozcięła rzemienie. Kiedy więzy puściły, Tenaka zachwiał się i upadł, tak że musiała mu pomóc dojść do ogniska.

– Jak mnie znalazłaś?

– To nie było trudne – nastroszyła się. – Jak się czujesz?

– Żywy. Prawie! Kiedy przekroczymy góry, muszę być ostrożniejszy.

Renya podniosła głowę, biorąc głęboki oddech.

– Wracają – powiedziała.

– Cholera! Podaj mi miecz. – Obejrzał się, ale jej już nie było, zniknęła między drzewami.

Zaklął, dźwignął się z ziemi i wziął swój miecz, leżący opodal ogniska. Nie czuł się na siłach, żeby walczyć.

Znowu usłyszał to upiorne wycie i krew zastygła mu w żyłach. Po chwili Renya z szerokim uśmiechem na twarzy wróciła na polanę.

– Teraz uciekają tak szybko, że chyba zatrzymają się dopiero, kiedy dotrą do morza –

powiedziała. – Czemu nie prześpisz się trochę?

– Jak ty to robisz?

– To mój talent – powiedziała.

– Nie doceniałem cię, kobieto – powiedział Tenaka i wyciągnął się przy ognisku.

– Mężczyźni mówią nam to od wieków.

Zapadała kolejna noc, kiedy Renya i Tenaka dojrzeliby opuszczoną fortecę Dros Corteswain, kryjącą się w cieniu pasma Delnoch. Zbudowana w czasach Egela, pierwszego Księcia z Brązu, do obrony przed inwazją Vagrian, forteca stała pusta od ponad czterdziestu lat. Powstałe wokół

niej miasto również wymarło.

– Niesamowite, prawda? – powiedziała Renya i skierowała siwą klacz bliżej Tenaki.

– Corteswain od początku była pomyłką – odpowiedział Tenaka, spoglądając w górę na opustoszałe blanki. – Jedyne błęd Egeła. Spośród fortec drenajskich tylko ta nigdy nie widziała bitwy.

Dudnienie kopyt ich koni rozległo się echem po nocy, gdy wjechali na podjazd przed główną bramą. Drewniane wrota zdjęto, a kamienny otwór ział pustką jak bezzębne usta.

– Czy nie moglibyśmy zostać na zewnątrz? – zapytała Renya.

– Za dużo tu leśnych demonów – powiedział Tenaka i pochylił się, żeby uniknąć ciosu w głowę.

– Stój! – zawołał drżący głos. Tenaka zmrużył oczy.

W otwartej bramie stał staruszek w zardzewiałej kolczudze. W rękach dzierżył włócznię ze złamanym grotem. Tenaka zatrzymał konia.

– Podaj mi swoje imię, wojowniku! – zawołał starzec.

– Jestem Tańczące Ostrze. To moja żona.

– Masz przyjazne zamiary?

– Nie zagrażam nikomu, kto nie zagraża nam.

– Możesz więc wejść – powiedział starzec. – Gan mówi, że możesz wejść.

– Czy ty jesteś Ganem Dros Corteswain? – zapytał Tenaka.

– Nie. To jest Gan – powiedział starzec, wskazując na puste miejsce obok siebie. – Nie widzisz?

– Oczywiście, wybaczyć! Ukłony dla dowódcy.

Tenaka wjechał w bramę i zsiadł z konia. Staruszek pokuśtykał do niego. Wyglądał na ponad osiemdziesiąt lat, rzadkie siwe włosy przylegały do jego żółtej czaszki jak górskie mgły. Miał

zapadnięte policzki, a prawie przezroczyste oczy okalały błękitne sińce.

– Żadnych fałszywych ruchów – ostrzegł. – Spójrz na blanki. Są tam łucznicy, śledzący każdy wasz krok. – Tenaka podniósł oczy – nie zobaczył jednak nikogo prócz śpiących gołębi.

– Dobrze pomyślane – powiedział. – Czy macie jakąś żywność?

– O tak. Dla mile widzianych gości.

– Czy jesteśmy mile widziani?

– Gan mówi, że wyglądasz jak Nadir.

– Jestem nim, lecz mam ten zaszczyt i służę w armii Drenajów. Jestem Tenaka Khan z Legionu Smoka. Czy przedstawiś mnie Ganowi?

– Jest dwóch Ganów – powiedział starzec. – To jest Gan Orrin – pierwszy Gan. Hogun jest naszym zwiadowcą.

Tenaka skłonił się nisko. – Słyszałem o Ganię Orrinie. Wyrazy uznania za obronę Dros Delnoch.

– Gan mówi, że jesteście mile widziani i możecie wejść do jego kwatery. Jestem jego adiutantem. Nazywam się Ciall. Dun Ciall.

Starzec odłożył włócznię i poszedł w stronę ciemnego stołu. Tenaka poluzował popręg konia i puścił go wolno. Renya poszła za jego przykładem, po czym podążyli za Dunem Ciallem.

– Jest szalony! – powiedziała Renya. – Oprócz niego nie ma tu nikogo.

– Wydaje się nieszkodliwy. I na pewno ma coś do jedzenia. Chętnie zachowam nasze zapasy na później. Posłuchaj – ludzie, o których mówi, to prawdziwi Ganowie Dros Delnoch z czasów, gdy mój przodek walczył z Ulrykiem. Orrin i Hogun dowodzili, zanim Rek został Księciem z Brązu. Rozwesel go – to będzie dobry uczynek.

W kwaterze Gana Ciall nakrył stół dla trzech osób. Pośrodku stał dzban czerwonego wina, a w kotle nad ogniem bulgotał gulasz. Drżącymi dłońmi starzec napełnił im talerze, zmówił

modlitwę do Źródła i sięgnął po drewnianą łyżkę. Tenaka spróbował gulaszu; był gorzkawy, lecz smaczny.

– Oni wszyscy nie żyją – powiedział Ciall. – Nie jestem szalony – wiem, że nie żyją. Mimo to są tutaj.

– Jeśli ty ich widzisz, to znaczy, że są – powiedziała Renya.

– Nie żartuj ze mnie, kobieto! Widzę ich i opowiadają mi różne historie... cudowne historie.

Przebaczyli mi. Ludzie nie, ale duchy są lepsze od ludzi. One wiedzą więcej. Rozumieją, że człowiek nie może być silny przez cały czas. Są takie chwile, kiedy nie może się powstrzymać od ucieczki. Przebaczyli mi – powiedzieli, że mogę być żołnierzem. I powierzyli mi opiekę nad fortecą.

Ciall zadrżał nagle i chwycił się za bok. Renya spojrzała w dół i zobaczyła krew, wypływającą na rdzę i skapującą na ławkę. – Jesteś ranny – powiedziała.

– To nic. Nie czuję tego. Jestem teraz dobrym żołnierzem – oni tak mówią.

– Zdejmij kolczugę – powiedział cicho Tenaka.

– Nie mogę. Jestem na służbie.

– Zdejmij ją, mówię! – zagrzemiał Tenaka. – Czyż nie jestem Ganem? W mojej obecności to nie będzie brak dyscypliny.

– Tak jest, sir – powiedział Ciall i zaczął gmerać przy starym pasku. Renya przyszła mu z pomocą i wspólnymi siłami ściągnęli zbroję. Staruszek nawet nie jęknął. Plecy miał poorane śladami batoga. Renya przeszukała szuflady i szafki, i znalazła starą koszulę. Przyniosę wody –

powiedziała.

– Kto ci to zrobił, Ciall? – zapytał Tenaka.

– Jeźdźcy... wczoraj. Szukali kogoś. – Oczy starego rozbliły się. – Szukali ciebie, nadiryjski księżę.

– Spodziewałem się tego.

Powróciła Renya, dźwigając miedzianą misę pełną wody. Delikatnie obmyła plecy staruszka, potem podarła koszulę i opatrzyła najdotkliwsze rany.

– Dlaczego cię katowali? Czy myśleli, że wiesz gdzie jestem?

– Nie – powiedział Ciall ze smutkiem. – Myślę, że sprawiało im to przyjemność. Duchy nie mogły mi pomóc. Jednak było im mnie żal – powiedziały, że zniosłem to dzielnie.

– Dlaczego jesteś tutaj, Ciall? – zapytała Renya.

– Uciekłem, pani. Kiedy przyszli Nadirowie, uciekłem. Nie miałem dokąd pójść.

– Jak długo tutaj jesteś?

– Długo, bardzo długo. Całe lata najprawdopodobniej. Tu jest bardzo przyjemnie, mogę rozmawiać z mnóstwem ludzi. Oni mi przebaczyli, wiecie. A to, co robię, jest bardzo ważne.

– A co robisz? – zapytał Tenaka.

– Strzegę kamienia Egela. Jest umieszczony przy bramie i napis głosi, że imperium Drenajów padnie, gdy Corteswain opustoszeje. Egel wiedział wszystko. Był tutaj, wiecie, ale nie mogłem się z nim zobaczyć; nie byłem tutaj wystarczająco długo i duchy jeszcze mi nie ufały.

– Idź spać, Ciall – powiedział Tenaka. – Potrzebujesz odpoczynku.

– Najpierw muszę ukryć wasze konie – powiedział Ciall. – Tamci jeźdźcy wrócą.

– Ja to zrobię – obiecał Tenaka. – Renya, pomóż mu.

– Nie mogę spać tutaj – to łóżko Gana.

– Orrin mówi, że możesz. Dzisiaj spotyka się z Hogunem i zostanie w jego kwaterze.

– To dobry człowiek – powiedział Ciall. – Jestem dumny, że pod nim służę. Wszyscy oni są dobrzy – mimo że nie żyją.

– Odpocznij, Ciall. Porozmawiamy rano.

– Czy ty jesteś tym nadiryjskim księciem, który dowodził natarciem na ventryjskich rabusiów pod Purdol?

– Tak, to ja.

– Czy wybaczysz mi?

– Tak, wybaczam ci – powiedział Tenaka Khan. – A teraz śpij.

Tenakę obudził stuk kopyt na kamieniach dziedzińca. Kopnięciem zrzucił koc, obudził

Renyę i razem podczołgali się do okna. Jeźdźców było około dwudziestu; mieli na sobie czerwone peleryny załogi Delnoch i hełmy z brązu zwieńczone kitami z czarnego końskiego włosa. Dowódca był wysokim mężczyzną o brodzie w kształcie trójzębu, a obok niego stał jeden z bandytów, którzy porwali Tenakę.

Ciall przykuśtykał na dziedzińcu ze złamaną włócznią w dłoni.

– Stać! – powiedział. Jego przybycie przerwało panujące napięcie, jeźdźcy roześmiali się.

Przywódca podniósł rękę, nakazując ciszę, a potem pochylił się nad końską szyją.

– Poszukujemy dwóch jeźdźców, starcze. Czy są tutaj?

– Nie jesteście tutaj mile widziani. Gan rozkazuje wam odejść.

– Czy nie dostałeś wczoraj swojej lekcji, głupcze?

– Czy mamy użyć siły? – odparł Ciall.

Bandyta pochylił się i szepnął coś przywódcy, na co ten skinął głową. Odwrócił się w siodle.

– Zwiadowca mówi, że oni są tutaj. Weźcie starego i zmuście go do mówienia.

Dwóch jeźdźców zaczęło zsiadać z konia. Ciall z wojennym okrzykiem na ustach ruszył

naprzód; oficer nie zdążył się odwrócić, kiedy złamana włócznia wbiła mu się w bok. Wrzasnął i prawie upadł. Ciall wyszarpnął swoją broń i uderzył go jeszcze raz, ale jeździec z lewej spiął

konia i pochyliwszy włócznię, ruszył na starca. Uderzenie żelaznego grota uniosło go w powietrze. Drzewce pękło pod ciężarem i stary spadł na kamienie.

Oficer z trudem wyprostował się w siodle.

– Zabierzcie mnie stąd; wykrwawię się na śmierć! – powiedział.

– A co z tamtymi? – zapytał zwiadowca.

– Do diabła z nimi! Nasze patrole przeczesują teren stąd aż do Delnoch. Nie mogą uciec.

Zabierzcie mnie stąd!

Zwiadowca chwycił wodze oficera i pogalopowali z powrotem. Tenaka zbiegł na dziedziniec i ukląkł przy śmiertelnie rannym Ciallu.

– Dobrze się spisałeś, Dunie Ciall – powiedział, unosząc jego głowę.

Ciall uśmiechnął się. – Teraz im się to udało – powiedział. – To z kamieniem.

– Wciąż tutaj będziesz. Z Ganem i resztą.

– Tak. Gan ma dla ciebie wiadomość, lecz ja jej nie rozumiem.

– Co mówi?

– Każe ci szukać Króla Poza Bramą. Rozumiesz?

– Tak. Rozumiem.

– Miałem kiedyś żonę... – wyszeptał Ciall. I umarł. Tenaka zamknął starcowi oczy; potem podniósł kruche ciało i przeniósł je w cień wieży, koło bramy, gdzie złożył je na spoczynek pod kamieniem Egela. W jego dłoni umieścił złamaną włócznię.

– Wczoraj wieczorem – powiedział – modlił się do Źródła. Za mało wiem, żeby wierzyć w jakiegokolwiek boga. Lecz jeśli tam jesteś, proszę cię, przyjmij jego duszę. On nie był zły.

Renya czekała na dziedzińcu, kiedy powrócił.

– Biedak – powiedziała. Wziął ją w ramiona i pocałował w czoło.

– Czas jechać – rzekł.

– Słyszałeś, co mówili – wszędzie są patrole.

– Najpierw muszą nas zobaczyć. Po drugie, muszą nas schwytać. Jesteśmy o godzinę drogi od gór, a trasą, którą ja wybiorę, oni nie pójdą.

Jechali przez cały ranek, trzymając się granicy drzew i ostrożnie przejeżdżali przez otwarty teren, unikając wznieść. Dwukrotnie dostrzegli w oddali jeźdźców. Przed południem dotarli do stóp szczytów Delnoch. Tenaka poprowadził Renyę pod górę. O zmierzchu konie były wyczerpane.

Poszukali więc miejsca na obóz.

– Jesteś pewien, że przejdziemy tędy? – spytała, owijając się szczelnie płaszczem.

– Tak. Być może jednak nie będziemy mogli zabrać koni.

– Jest zimno.

– Zrobi się jeszcze zimniej. Musimy wspiąć się jeszcze o jakieś trzy tysiące stóp wyżej.

W nocy tulili się do siebie pod kocami. Tenaka spał niespokojnie. Zadanie, które przed sobą postawił, było przerażające. Dlaczego Nadirowie mieliby pójść za nim? Nienawidzili go bardziej niż Drenajowie. Wojownik dwóch światów. Otworzył fiołkowe oczy i patrzył w gwiazdy, czekając na świt.

Nadszedł wreszcie w jaskrawym splendorze i oblał niebo szkarłatem -jak gigantyczna rana rozlewająca się od wschodu. Po pospiesznym śniadaniu ruszyli dalej, ku wysokim szczytom.

Trzy razy w ciągu poranka zsiadali z koni, żeby dać im odpocząć i prowadzili je poprzez łąty śniegu. Daleko w dole Renya spostrzegła czerwone płaszcze jeźdźców z Delnoch.

– Znaleźli nas! – krzyknęła.

Tenaka odwrócił się. – Są zbyt daleko. Nie martw się.

Godzinę przed zmierzchem znaleźli się na szczycie wzniesienia. Przed nimi grunt stromo opadał w dół. Po lewej wąska ścieżka przytulała się do nagiej, oblodzonej skały; jej szerokość nie przekraczała sześciu stóp.

– Chyba nie pójdziemy tędy? – zapytała Renya.

– Właśnie tak.

Tenaka dotknął piętami konia i ruszył w tamtą stronę. Prawie natychmiast zwierzę pośliznęło się, a potem wyprostowało. Pół-Drenaj trzymał głowę wierzchowca w górze i przemawiał do niego niskim, uspokajającym głosem. Lewą nogą dotykał skały, prawa zwisała nad przerażającą przepaścią. Nie miał odwagi przenieść ciężaru ciała na bok, żeby zobaczyć jak sobie daje radę Renya. Koń powoli posuwał się do przodu; położył po sobie uszy, wybałuszając z przerażenia oczy. W odróżnieniu od góralskich kucyków, których używali Nadirowie lub Sathuli, nie przyzwyczajono go do pracy w górach.

Ścieżka biegła przez skały, rozszerzając się w niektórych miejscach, a w innych zwężając okropnie, aż wreszcie dotarli do miejsca, w którym przecięła im drogę stroma tafla lodu. Tenaka miał zaledwie tyle miejsca, aby zsunąć się z siodła i przyklęknąć. Stwierdził, że pod przyprószoną świeżym śniegiem powierzchnią znajduje się śliski, lśniący lód.

– Czy możemy zawrócić? – zawołała Renya.

– Nie, nie ma miejsca, by zawrócić konie. A poza tym jeźdźcy z Delnoch dotarli już do ścieżki. Musimy iść dalej.

– Tędy?

– Będziemy prowadzić wierzchowce – powiedział Tenaka. – Jeśli twój zacznie spadać, nie próbuj go przytrzymać. Rozumiesz?

– To głupota – powiedziała, patrząc na leżące sto stóp niżej skały.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – powiedział z gorzkim uśmiechem. – Trzymaj się blisko skalnej ściany i nie owijaj wodzy wokół dłoni – trzymaj je luźno. Gotowa?

Bardzo ostrożnie postawił nogę na puszystym śniegu.

Pociągnął za wodze, lecz koń ani drgnął; oczy miał szeroko otwarte i widać było, że zaraz wpadnie w popłoch. Tenaka cofnął się i obejmując ramieniem jego szyję, szepnął mu do ucha:

– To dla ciebie nie problem, szlachetne serce. Masz odwagę w duszy. To tylko trudna ścieżka. Będę przy tobie. – Przemawiał tak przez kilka chwil, poklepując przy tym i gładząc smukłą szyję. – Zaufaj mi, wspaniały. Przejdź się ze mną kawałek.

Znowu zrobił krok na lód i pociągnął za wodze. Tym razem koń ruszył. Powoli i ostrożnie opuścili bezpieczną ścieżkę. Rumak Renyi potknął się, lecz szybko odzyskał grunt pod nogami.

Tenaka słyszał ich, lecz nie mógł się odwrócić. Do litej skały pozostało im już tylko kilka cali, ale gdy pół-Drenaj stanął na niej, jego wierzchowiec pośliznął się nagle i zarżał z przerażenia.

Księżę Nadirów mocno ściągnął wodze prawą ręką, wyciągając jednocześnie lewą w stronę skalnej skały i chwytając się sterczącego występu.

Koń zsuwał się do przepaści. Tenaka czuł, jak mięśnie pleców napinają się i trzeszczą. Miał

wrażenie, że ramiona zaraz wyskoczą mu ze stawów. Chciał puścić wodze, ale nie mógł; instynktownie owinał je wokół nadgarstka. Jeśli koń spadnie, pociągnie go za sobą.

Równie nagle, jak stracił grunt pod nogami, koń znalazł litą skałę i z pomocą swego pana wrócił na ścieżkę. Tenaka osunął się po skalnej ścianie. Wierzchowiec obwąchał go, a on poklepał go po szyi. Nadgarstek krwawił w miejscu, gdzie rzemień przeciął skórę.

– Głupiec! – powiedziała Renya, wyprowadzając konia na bezpieczną ścieżkę.

– Nie przeczę – powiedział. – Ale udało się. Od tego miejsca ścieżka rozszerza się i nie spotkamy już wielu naturalnych niebezpieczeństw. Nie sądzę też, by Drenajowie poszli naszym śladem.

– Chyba się w czepku urodziłeś, Tenako Khanie. Tylko nie zużyj całego zapasu szczęścia, zanim dojedziemy do Nadirów.

Rozłożyli obóz w niewielkiej jaskini, nakarmili konie i rozpalili ognisko drewnem, które przywieźli przytroczone do siodła. Tenaka zdjął kaftan i położył się na kocu przy ognisku, a Renya rozmasowała mu nadwerężone plecy. Płacił teraz za wysiłek włożony w uratowanie konia i nie mógł poruszyć prawym ramieniem. Renya delikatnie zbadała spuchnięte miejsce wokół

łopatki.

– Wygląda paskudnie – powiedziała – całe w sińcach.

– A boli jeszcze gorzej.

– Zaczynasz się robić na to zbyt stary – powiedziała złośliwie.

– Mężczyzna jest tak stary Jak się czuje, kobieto! – warknął.

– A na ile się czujesz?

– Na jakieś pięćdziesiąt – przyznał. Nakryła go kocem i usiadłszy, zapatrzyła się w noc.

Było spokojnie, daleko od wojny i rozmów o niej. Tak naprawdę nie zależało jej na zrzuceniu Ceski z tronu – zależało jej tylko na tym, żeby być z Tenaką Khanem. Mężczyźni są tacy głupi; w ogóle nie rozumieją realiów życia.

Tylko miłość miała znaczenie. Wzajemna miłość dwojga ludzi. Dotknięcie rąk, dotknięcie serc. Ciepło przynależenia, radość dzielenia. Dyktatorzy będą zawsze. Ludzie najwidoczniej nie potrafią obyć się bez nich. Ponieważ bez tyranów nie byłoby herosów, a człowiek nie umiałby żyć bez bohaterów.

Renya owinęła się płaszczem i wrzuciła do ognia resztę drewna. Tenaka spał z głową opartą na siodle.

– Kim byłbyś bez Ceski, mój kochany? – zapytała go wiedząc, że nie może jej usłyszeć. –

Myślę, że potrzebujesz go bardziej niż mnie.

Otworzył swe fioletowe oczy i uśmiechnął się sennie.

– Nieprawda – powiedział. Potem znowu zamknął oczy.

– Kłamca – szepnęła i zwinęła się w kłębek obok niego.

Rozdział 16

Scaler, Belder i Pagan leżeli na brzuchach na skale nad obozem Drenajów. Pod nimi wokół

pięciu ognisk siedziało około dwudziestu żołnierzy. Na środku obozu, przywiązani do siebie plecami znajdowali się dwaj więźniowie, pilnowani przez wartowników.

– Czy jesteś pewny, że to konieczne? – zapytał Belder.

– Jestem – odpowiedział Scaler. – Jeżeli uwolnimy dwóch wojowników Sathuli, łatwiej nam będzie prosić o pomoc ich współplemieńców.

– Wygląda na to, że są dobrze strzeżeni – mruknął stary.

– Racja – powiedział Pagan. – Jeden wartownik stoi w odległości dziesięciu kroków od więźniów. Dwaj następni patrolują skraj lasu, a czwarty zajął pozycję w lesie.

– Mógłbyś go znaleźć?

Pagan uśmiechnął się szeroko. – Oczywiście. A co z pozostałymi trzema?

– Znajdź tamtego w lesie i przynieś mi jego zbroję – powiedział Scaler.

Pagan zsunął się i zniknął, a Belder zajął jego miejsce obok Scalera. – Chyba nie zamierzasz schodzić na dół?

– Jak najbardziej. To podstęp – czyli coś, w czym jestem dobry.

– Nie będziesz mógł się wycofać. Schwytają nas.

– Proszę, Belder, żadnych umoralniających kazań – wpędzisz mnie w zarozumiałstwo.

– Cóż, ja tam nie pójdę.

– Nie przypominam sobie, żebym cię o to prosił. Minęło prawie pół godziny, nim wrócił

Pagan. Przyniósł odzież wartownika zawiniętą w czerwony płaszcz.

– Ukryłem ciało najlepiej jak umiałem – powiedział.

– Jak daleko do zmiany warty?

– Godzina – może trochę mniej – powiedział Belder. – Za mało czasu.

Scaler otworzył tobołek, zbadał jego zawartość, a potem zaczął przypinać napierśnik. Nie bardzo pasował, ale lepiej za duży niż za mały – pomyślał.

– Jak wyglądam? – zapytał, wkładając na głowę hełm z pióropuszem.

– Niedorzecznie – powiedział Belder. – Nie dadzą się nabrać ani przez moment.

– Starcze – syknął Pagan – jesteś jak wrzód na tyłku! Jesteśmy razem od trzech dni, a mam cię już naprawdę dosyć. Zamknij się.

Belder już się szykował do ciętej odpowiedzi, lecz jedno spojrzenie w oczy czarnoskórego

powstrzymało go. Ten człowiek był gotów go zabić! Krew zastygła mu w żyłach i odwrócił się.

– Jaki masz plan? – zapytał Pagan.

– Są trzej strażnicy, ale tylko jeden z nich stoi blisko więźniów. Mam zamiar go zmienić.

– A dwaj pozostali?

– Do tego jeszcze nie doszedłem.

– Dobry początek – powiedział Pagan. – Jeśli pierwsza część planu zagra i wartownik pójdzie spać, podejdź do tamtych dwóch. Trzymaj nóż w pogotowiu i zaatakuj ich równocześnie ze mną.

Scaler oblizwał wargi. „Trzymaj nóż w pogotowiu?” Nie był pewien, czy wystarczy mu zimnej krwi, aby wbić ostrze w czyjeś ciało.

We dwójkę zakradli się przez poszycie lasu na skraj obozu. Księżyc świecił jasno, lecz od czasu do czasu przysłaniały go chmury i wtedy polana pogrążała się w mroku. Ogniska ledwie się tliły, a wojownicy spali mocno.

Pagan prawie przyłożył usta do ucha Scalera i wyszeptał: – Do pierwszego śpiącego żołnierza masz około dziesięciu kro-Iców. Gdy nadpłynie następna chmura, podejdź tam i połóż się. Kiedy księżyc znowu zaświeci, usiądź i przeciągnij się. Zrób to tak, żeby wartownik cię zauważył. – Scaler potakująco skinął głową.

Minuty upływały w pełnym napięcia milczeniu, aż w końcu zapadła ciemność. Scaler natychmiast wstał i ruszył naprzód, po czym położył się dokładnie w momencie, gdy księżyc znów wyjrzał zza chmur.

Usiadł i szeroko rozłożył ramiona, ziewając tak, żeby zobaczył to wartownik. Potem wstał, rozejrzał się i podniósł włócznię, leżącą obok śpiącego żołnierza. Nabrał głęboko tchu i spacer-kciem poszedł przez polanę, ziewając raz po raz.

– Nie mogę spać – powiedział do tamtego. – Ziemia jest wilgotna.

– Powinieneś postać tutaj przez chwilę – mruknął strażnik z niezadowoleniem.

– Czemu nie? – zaproponował Scaler. – Idź, połóż się. Ja obejmę wartę.

– Naprawdę miło z twojej strony – odpowiedział tamten. – Ale wkrótce mają mnie zmienić.

– Twoja sprawa – powiedział Scaler, ponownie ziewając.

– Nie widziałem cię tutaj – powiedział mężczyzna. – U kogo służysz?

Scaler uśmiechnął się. – Wyobraź sobie faceta o świńskim pysku, obsypanego brodawkami i z mózgiem opóźnionego w rozwoju gołębia.

– Dun Gideus – powiedział wartownik. – To pech!

– Mogło być gorzej – skomentował Scaler.

– Chyba nie – odpowiedział żołnierz. – Moim zdaniem jest jakieś specjalne miejsce, gdzie hodują głupców. Mówię o tym – po co atakować Sathuli? Jak gdyby nie było dość cuchnących problemów ze Skodą. To mnie zdumiewa.

– Mnie także – powiedział Scaler. – Chociaż, dopóki płacą...

– Tobie zapłacili? Ja czekam już cztery miesiące – powiedział ze złością mężczyzna.

– To tylko żart – powiedział Scaler. – Oczywiście, że nie zapłacili!

– Nie żartuj na ten temat, człowieku. I bez tego mamy dość kłopotów.

Dołączył do nich drugi wartownik.

– Zmienia cię, Cal?

– Nie, tylko nie może zasnąć.

– Idę ich obudzić. Dość mam tego stania – powiedział drugi żołnierz.

– Nie bądź głupcem – doradził pierwszy. – Zbudzisz Gideusa i oberwie nam się!

– A może zejdziecie i odpoczniecie trochę? – zaproponował Scaler. – Mogę zostać na warcie

– i tak nie mogę zasnąć.

– Do diabła, chyba tak zrobię – powiedział pierwszy żołnierz. – Nogi mi zupełnie zdrętwiały.

Dzięki, przyjacielu – powiedział i poklepał Scalera po ramieniu. Potem odszedł i położył się przy towarzyszach.

– Jeśli chcesz zdrzemnąć się gdzieś w lesie, to obudzę cię, kiedy zobaczę, że zmiana jest gotowa – podsunął Scaler.

– Dzięki, ale nie. Ostatniego wartownika, którego przyłapano na spaniu, Gideus kazał powiesić. Łajdak! Nie będę ryzykował.

– Jak sobie życzysz – powiedział obojętnie Scaler, choć serce waliło mu w piersiach.

– Dranie znowu cofnęli przepustki – powiedział wartownik. – Od czterech miesięcy nie widziałem żony i dzieciaków. – Scaler ujął dłonią nóż. – Farma też nie idzie dobrze. Cholerne podatki! Mimo to, przynajmniej jeszcze żyję.

– Tak, to już coś – zgodził się Scaler.

– Życie jest parszywe, nieprawdaz? W każdej chwili mogą nas wysłać do Skody, żeby zabić jeszcze kilku naszych. Życie jest parszywe, bez dwóch zdań!

– Tak. – Scaler ścisnął mocniej nóż, który trzymał za plecami, gotowy w każdej chwili wbić go w szyję wartownika.

Nagle tamten zaklął. – Chyba skorzystam z twojej propozycji – powiedział. – Już trzecią noc z kolei wyznaczają mnie na wartę. Obiecujesz, że mnie obudzisz?

– Obiecuję – powiedział Scaler, czując ogarniającą go ulgę. W tym momencie jednak Pagan wysunął się z cienia i rzucił nożem, trafiając w szyję drugiego wartownika. Scaler zareagował

natychmiast – jego sztylet błysnął w górze, wbijając się w kark wartownika tuż pod linią szczęki i w górę, aż do mózgu. Upadł bez jęku, lecz Scaler dostrzegł wyraz jego gasnących oczu i odwrócił wzrok.

Podbiegł do niego Pagan. – Dobra robota. Uwolnijmy więźniów i wiejmy stąd.

– Był dobrym człowiekiem – szepnął Scaler.

Pagan ujął go za ramiona. – W Skodzie zginęło wielu dobrych ludzi. Trzymaj się... Idziemy.

Dwaj więźniowie w milczeniu obserwowali te zabójstwa. Obaj mieli na sobie szaty plemienia Sathuli, a twarze częściowo zakryte powiewnymi burnusami. Pagan zbliżył się do nich i zaczął rozcinać nożem krępujące ich więzy. Dołączył do nich Scaler i ukląkł przy pierwszym wojowniku, który odsunął burnus z twarzy i głęboko odetchnął. Miał ciemną twarz o wyrazistych rysach, orli nos i gęstą, czarną brodę. Głęboko osadzone oczy wydawały się również czarne w świetle księżyca.

– Dlaczego? – zapytał.

– Porozmawiamy później – powiedział Scaler. – Nasze konie są tam. Postarajcie się być cicho.

Dwaj Sathuli podążyli za nimi w ciemność lasu. Po kilku minutach znaleźli Beldera i konie.

– Teraz powiedz mi, dlaczego – powtórzył Sathuli.

– Chcę, żebyś mnie zaprowadził do swego obozowiska. Muszę rozmawiać z twoim ludem.

– Nie możesz nam powiedzieć nic, czego chcielibyśmy słuchać.

– Skąd możesz wiedzieć? – zapytał Scaler.

– Wiem, że jesteś Drenajem i to mi wystarczy.

– Nic nie wiesz – powiedział, zdejmując z głowy hełm i ciskając nim w poszycie. – Nie będę się z

tobą kłócił. Wsiadaj na konia i zaprowadź mnie do swoich.

– Dlaczegoż to?

– Ponieważ jestem, kim jestem. Mam u was dług do odebrania.

– Nic ci nie jestem winien. Nie prosiłem, żebyś mnie uwolnił.

– Nie o ten dług chodzi. Posłuchaj mnie, ty wielki dzieciaku! Powróciłem z Gór Śmierci, przez mgły stuleci. Spójrz mi w oczy. Czy widzisz w nich horror Sheol? Jadłem tam obiad z Joachimem, największym spośród książąt Sathuli. Zabierzesz mnie w góry i pozwolisz, by twój wódz podjął decyzję. Na duszę Joachima, jesteś mi winien przynajmniej to!

– Łatwo jest mówić o wielkim Joachimie – powiedział tamten niepewnie – kiedy on nie żyje od ponad stu lat.

– On nie umarł – powiedział Scaler. – Jego duch żyje i jest rozczarowany tchórzostwem Sathuli. Prosił, żebym dał wam szansę poprawy. Jednak decyzja należy do was.

– Kimże więc jesteś?

– Mój wizerunek znajdziesz w waszych grobowcach, gdzie stoję u boku Joachima. Spójrz na moją twarz, człowieku i powiedz mi, kim jestem.

Sathuli obliział wargi, niepewny, a jednak pełen zabobonnego strachu.

– Czy jesteś Księciem z Brązu?

– Ja jestem Regnak, Książę z Brązu. Teraz zabierz mnie w góry!

Jechali przez całą noc, skręcając w lewo w pasmo Delnoch, a potem wspinali się w górę poprzez liczne przełęcze, które wiły się aż do samego serca gór. Cztery razy zatrzymywały ich patrole Sathuli. Na koniec, kiedy poranne słońce osiągnęło już wysokość południa, wjechali do miasta – ukrytej kotliny wypełnionej tysiącem białych budynków. Tylko jeden z nich miał więcej niż jedno piętro i ten okazał się pałacem.

Scaler jeszcze nigdy tu nie był. Niewielu Drenajów odwiedziło to miejsce. Dzieci zebrały się, żeby na nich popatrzeć, a gdy podjechali do pałacu, otoczyło ich około pięćdziesięciu odzianych w białe szaty wojowników, uzbrojonych w zakrzywione szable. U wrót pałacu czekał człowiek z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Był wysoki i postawny, a twarz miał pełną dumy.

Scaler zatrzymał konia przed bramą i czekał. Mężczyzna opuścił ręce i ruszył w ich stronę, nie odrywając oczu od Scalera.

– Mówisz, że jesteś zmarłym? – zapytał Sathuli. Scaler nie przerywał milczenia. – Jeśli tak, nie pogniewasz się, kiedy przesyję mieczem twoje ciało?

– Mogę umrzeć jak każdy – powiedział Scaler. – Już raz to zrobiłem. Jednak ty mnie nie zabijesz, więc skończmy już tę grę. Przestrzegaj waszych praw gościnności i zaproponuj nam coś do jedzenia.

– Dobrze grasz swoją rolę, Książę z Brązu. Zsiądź z konia i chodź ze mną.

Poprowadził ich do zachodniego skrzydła pałacu i zostawił, żeby mogli się wykąpać w ogromnej marmurowej wannie, do której służba dodała perfumy. Belder nie odezwał się ani słowem.

– Nie możemy zabawić tu zbyt długo, Książę – powiedział Pagan. – Ile czasu im dasz?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

Pagan osunął swe gigantyczne ciało do ciepłej wody i zanurzył głowę. Scaler wezwał

służącego, prosząc o mydło. Tamten skłonił się i odszedł, powracając z kryształowym słojem.

Młodzieniec wylał jego zawartość na głowę, umył włosy, a potem poprosił o brzytwę i lustro, ogolił się. Czuł się zmęczony, lecz dzięki kąpeli bardziej podobny do człowieka. Kiedy wyszedł na marmurowe schody, służący podbiegł do niego z okryciem, które zarzucił na ramiona Scalera. Następnie zaprowadził go do sypialni, w której młodzieniec znalazł swe świeżo wyszczotkowane ubranie. Wyjął z juków czystą koszulę i szybko się przebrał. Rozczesał włosy i starannie umieścił na skroni skórzaną opaskę. Potem, pod wpływem nagłego impulsu, zdjął ją i odszukał w jukach srebrną, z opalem w środku. Włożył ją na głowę, a inny służący przyniósł

lustro. Podziękował mu, z satysfakcją dostrzegając podziw w jego oczach.

Podniósł lustro i przyjrzał się sobie.

Czy mógł uchodzić za Ręka, Księcia-Wojownika? Pagan poddał mu ten pomysł mówiąc, że ludzie zawsze są skłonni wierzyć, że to ci inni są silniejsi, szybsi i zdolniejsi niż oni sami.

Wszystko jest kwestią stworzenia odpowiednich pozorów. Powiedział, że Scaler mógłby się okazać księciem, zabójcą lub generałem.

Dlaczego więc nie zmartwychwstałym bohaterem?

Przede wszystkim, kto zdoła dowieść, że tak nie jest?

Wyszedł z pokoju; wartownik z dzidą w ręku nakazał mu iść za sobą. Poprowadził go do obszernej izby, w której siedział młody człowiek sprzed bramy, dwóch uratowanych przez niego Sathuli oraz starzec w wyblakłej brązowej szacie.

– Witaj – powiedział wódz Sathuli. – Jest tu ktoś, kto nie może się doczekać spotkania z tobą. – Wskazał na starca. – To Raffir, święty mędrzec. Jest potomkiem Joachima i wielkim badaczem historii. Ma wiele pytań odnośnie do oblężenia Dros Delnoch.

– Będę szczęśliwy, mogąc na nie odpowiedzieć.

– Z pewnością. Ma on jeszcze jeden talent, który jest nam wielce przydatny – rozmawia z duchami zmarłych. Dziś wieczorem zamierza wprowadzić się w trans i mam nadzieję, że z przyjemnością weźmiesz w tym udział.

– Oczywiście.

– Ja ze swej strony czekam na to z niecierpliwością – powiedział Sathuli. – Wiele razy słuchałem głosu ducha Raffira i zadawałem mu pytania. Jednak mieć zaszczyt doprowadzenia do spotkania takich przyjaciół... cóż, jestem bardzo dumny.

– Wyrażaj się jasno, Sathuli! – powiedział Scaler. – Nie mam nastroju do dziecinnych zabaw.

– Och, tysiąckrotnie cię przepraszam, szlachetny gościu. Próbowałem ci tylko powiedzieć, że duch Raffira to nikt inny jak twój przyjaciel, wielki Joachim. Będę zachwycony, mogąc przysłuchiwać się waszej rozmowie.

– Przestań panikować! – powiedział Pagan do Scalera, chodzącego tam i z powrotem po komnacie. Zwolniono służących, a przerażony nowinami Belder spacerował po ogrodzie pod oknami.

– To właśnie odpowiedni czas na panikę – powiedział Scaler. – Kiedy zawodzi wszystko inne. Teraz tak właśnie jest, więc panikuję.

– Jesteś pewien, że ten stary jest autentyczny?

– A cóż to za różnica? Jeśli nie jest, został z pewnością przeszkolony przez księcia, aby mi zadał kłam. Jeśli jest prawdziwy, to duch Joachima wyprze się mnie. Nie ma żadnej innej możliwości.

– Mógłbyś zarzucić staremu oszustwo – powiedział Pagan bez przekonania.

– Zdemaskować ich świętego w ich własnej świątyni? Nie sędzę. Mogłoby to niebezpiecznie nadwerężyć prawa gościnności.

– Przykro mi, że mówię jak Belder, ale to był twój pomysł. Naprawdę trzeba było lepiej go przemyśleć.

– Nie znoszę, kiedy mówisz jak Belder.

– Przestań wreszcie tak chodzić. Masz, zjedz coś. – Pagan rzucił mu jabłko, którego Scaler nie złapał.

Drzwi otworzyły się i wszedł Belder. – Wpakowaliśmy się w niezłą kabałę, nie ma co – powiedział ponuro.

Scaler opadł na szeroki, skórzany fotel. – Zapowiada się wyjątkowa noc.

– Czy możemy zabrać broń? – zapytał Pagan.

– Jeśli chcesz – powiedział Belder. – Chociaż nawet ty nie przebijesz się przez tysiąc Sathuli!

– Nie chcę umierać bez miecza w dłoni.

– Nieźle powiedziane! – powiedział Scaler. – Wezmę to jabłko. Nie chcę umierać bez kawałka owocu w dłoni. Czy moglibyście skończyć z tym gadaniem o śmierci? To niezwykle denerwujące!

Rozmawiali tak bezsensownie aż do chwili, gdy do drzwi zapukał służący i poprosił, aby poszli za nim. Scaler kazał mu poczekać chwilę, podszedł do dużego lustra po przeciwnej stronie pokoju i sprawdził, jak wygląda; zdziwił się, widząc uśmiech na swojej twarzy. Dramatycznym gestem zarzucił płaszcz na ramię i poprawił na skroni opaskę z opalem.

– Bądź przy mnie, Rek – powiedział. – Potrzebuję każdej możliwej pomocy.

Wszyscy trzej podążyli za służącym poprzez pałac aż do bramy świątyni, gdzie mężczyzna skłonił się i odszedł. Scaler wszedł w chłodny cień bramy, a potem dalej, do wnętrza świątyni.

Wszystkie miejsca po obu stronach zajmowali milczący plemieńcy. Księżę i Raffir siedzieli obok siebie na podwyższeniu pośrodku. Trzecie krzesło umieszczono po prawej ręce Raffira.

Młodzieniec wyprostował się i pomaszerował tam, idąc środkiem. Zdjął płaszcz i starannie umieścił go na oparciu krzesła.

Księżę wstał i ukłonił się nowo przybyłemu. W jego ciemnych oczach Scaler dostrzegł złośliwy błysk.

– Witam cię dzisiaj w tym miejscu, szlachetny gościu. Żaden Drenaj nie postawił dotąd stopy w tej świątyni. Jednak ten człowiek twierdzi, iż jest Przekleństwem Nadirów, żyjącym duchem Księcia z Brązu, bratem krwi wielkiego Joachima. Dlatego też właściwe jest, aby spotkał się z Joachimem w tym świętym miejscu. Skupcie się, bracia – mówił dalej – na sprawach ducha i pozwólcie swym sercom otworzyć się na muzykę Otchłani. Niech Raffir zjednoczy się z ciemnością...

Scaler zadrżał, gdy zgromadzeni jednocześnie pochyłili głowy. Raffir wyprostował się na krześle; otworzył szeroko oczy, które po chwili wywróciły się, ukazując białka. Młodzieniec poczuł mdłości.

– Wzywam cię, mój przyjacielu, duchu! – krzyknął Raffir wysokim, przerywanym głosem. –

Przybądź do nas ze świętej krainy. Użycz nam swej mądrości.

Świece w świątyni spłynęły woskiem, jakby owiał je nagły podmuch wiatru.

– Przybądź do nas, przyjacielu duchu! Prowadź nas. Płomienie świec zatańczyły ponownie – tym razem wiele zgasło. Scaler oblizwał wargi; Raffir nie udawał.

– Kto wzywa Joachima Sathuli? – zagrzemiał głęboki i dźwięczny głos. Scaler drgnął na swym

krześle, wydobywał się on bowiem z chudej krtani Raffira.

– Krew z twojej krwi wzywa cię, wielki Joachimie – powiedział książę. – Jest tutaj człowiek, który twierdzi, że jest twoim przyjacielem.

– Każ mu więc przemówić – powiedział duch – ponieważ zbyt często już słyszałem twoje skamlanie.

– Mów! – rozkazał książę. – Słyszałeś rozkaz.

– Nie rozkazuj mi, śmieciu! – warknął Scaler. – Ja jestem Rek, Książę z Brązu i żyłem w czasach, gdy Sathuli byli mężczyznami. Joachim był mężczyzną – i moim bratem. Powiedz mi, Joachimie, jak ci się podobają synowie twoich synów?

– Rek? Nie widzę cię. Czy to ty?

– To ja, bracie. Tutaj, pośród tych, którzy są jak twoje cienie. Dlaczego nie możesz być tu ze mną?

– Nie wiem... tyle czasu, Rek! Nasze pierwsze spotkanie. Pamiętasz swoje słowa?

– Pamiętam. „Ile jest warte twoje życie, Joachimie?” A ty odpowiedziałeś: „Tyle co złamany miecz”.

– Tak, tak, pamiętani. A na koniec, te ważne słowa. Te słowa, które przywiodły mnie do Dros Delnoch.

– Jechałem, żeby zginąć w fortecy i powiedziałem ci o tym. Potem powiedziałem: „Przed sobą mam wyłącznie wrogów i wojnę. Chciałbym myśleć, że przynajmniej za sobą zostawiłem kilku przyjaciół”. Poprosiłem, abys uścisnął mi dłoń jak przyjaciel.

– To ty, Rek! Mój brat! Jak to się dzieje, że znów cieszysz się życiem?

– Świat się nie zmienił, Joachimie. Nadal zło podnosi się jak piana na wrzącej wodzie.

Prowadzę wojnę bez sprzymierzeńców, tylko z garstką przyjaciół. Przybyłem do Sathuli, tak jak niegdyś.

– Czego potrzebujesz, bracie?

– Potrzebuję ludzi.

– Sathuli nie pójdą za tobą. I nie powinni. Kochałem cię, Rek, ponieważ byłeś wspaniałym człowiekiem. Jednakże nie może być, żeby Drenaj przewodził wybranemu ludowi. Musisz być w rozpaczliwej potrzebie, jeśli o to prosisz. Wspomogę cię, ofiarując ci Cheiam, którego możesz użyć wedle woli. Och, Rek, mój bracie, tak chciałbym jeszcze raz kroczyć u twego boku z mieczem w dłoni! Wciąż widzę, jak Nadirowie wspinają się na ostatni mur, słyszę ich pełne nienawiści okrzyki. Byliśmy mężczyznami, prawda?

– Byliśmy – powiedział Scaler. – Nawet ranny w bok, wciąż walczyłeś mężnie.

– Mój lud źle się teraz sprawuje, Rek. Jak owce wiedzione przez kozła. Użyj dobrze Cheiama. I niech cię błogosławi Pan Wszelkiego Stworzenia.

Scaler przełknął głośno. – Czy pobłogosławił ciebie, przyjacielu?

– Mam, na co zasłużyłem. Zegnaj, przyjacielu. Ogromny smutek ogarnął Scalera. Osunął się na kolana, a po jego policzkach popłynęły strumienie łez. Bezskutecznie próbował powstrzymać łkanie. Podbiegł do niego Pagan i postawił go na równe nogi.

– Tyle smutku w jego głosie – powiedział Scaler. – Zabierz mnie stąd.

– Zaczekaj! – rozkazał ksiączę. – Ceremonia jeszcze się nie skończyła.

Pagan jednak zignorował go i wyniósł prawie łkającego Scalera ze świątyni. Żaden z Sathuli nie zastąpił im drogi, gdy wracali do pokoju. Pagan pomógł Scalerowi położyć się na szerokim atlasowym łożu i przyniósł mu chłodnej i słodkiej wody z kamiennego dzbana.

– Czy kiedykolwiek słyszałeś taki smutek? – zapytał go Scaler.

– Nie – przyznał Pagan. – Usłyszawszy go, zacząłem doceniać życie. Jak to zrobiłeś? To było niezrównane przedstawienie.

– Jedno oszustwo więcej... Czuję się okropnie! Cóż to za sztuka oszukać ślepego, udręczonego ducha? Boże, Pagan, on nie żyje już od ponad stu lat. Po bitwie spotykali się z Rekiem bardzo rzadko – należeli do dwóch różnych kultur.

– Znałeś jednak wszystkie słowa...

– Pamiętniki Księcia. Ni mniej, ni więcej. Jestem z zamiłowania historykiem. Spotkali się, gdy Sathuli zastawili pułapkę na mojego przodka, a Rek wyzwał go na pojedynek. Walczyli nieskończenie długo i wtem miecz Joachima złamał się. Rek oszczędził go jednak i taki był

początek ich przyjaźni.

– Wybrałeś dla siebie trudną rolę. Nie jesteś szermierzem.

– To prawda, ale nie muszę nim być. Myślę, że ta scena wystarczy. Chyba pośpię teraz.

Boże, jaki jestem zmęczony... i tak diabelnie mi wstyd.

– Nie masz powodu, żeby się wstydzić. Powiedz mi jednak, kim są Cheiam?

– Synowie Joachima. Myślę, że to jakiś rodzaj kultu; jestem pewien. Pozwól mi zasnąć.

– Śpij dobrze, Rek, zasłużyłeś na to.

– Nie ma powodu, żeby używać tego imienia prywatnie.

– Wprost przeciwnie – od teraz wszyscy musimy podjąć tę rolę. Nic nie wiem na temat twojego przodka, ale myślę, że byłby z ciebie dumny. To, czego dokonałeś, wymagało stalowych nerwów.

Jednak Scaler nie usłyszał już komplementu, bo zasnął. Pagan wrócił do pierwszego pokoju.

– Jak się czuje? – zapytał Belder.

– W porządku. Mam jednak dla ciebie jedną radę, stary: skończ już ze swoimi ciętymi uwagami! Od dziś jest Księciem z Brązu i należy go odpowiednio traktować.

– Jak ty mało wiesz, czarnoskóry! – burknął Belder. – On nie tylko gra rolę Księcia z Brązu, on nim jest! Według prawa i urodzenia. Jemu się wydaje, że gra rolę. Niech tak będzie. To, co teraz w nim widzisz, to rzeczywistość. Zawsze w nim była – byłem tego pewien. To stąd ta moja gorycz. Uszczypliwe uwagi? Jestem z niego dumny – tak dumny, że chce mi się śpiewać!

– Tylko nie rób tego – powiedział z uśmiechem Pagan. – Masz głos chorej hieny.

Scalera obudziła szorstka dłoń, zamykająca mu usta. Nie było to przyjemne przebudzenie.

Srebrny promień księżycy przedarł się przez otwarte okno, a lekki wietrzyk wydał koronkową firankę. Pochylająca się nad nim postać była zaledwie ciemną plamą na tle światła.

– Zachowaj milczenie – ostrzegł głos. – Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie! – Przybysz zdjął rękę z ust Scalera i przysiadł na łóżku.

Młodzieniec powoli wstał. – Niebezpieczeństwie? – szepnął.

– Książę rozkazał cię zabić.

– Jak miło!

– Jestem tutaj, żeby ci pomóc.

– Cieszę się.

– To nie żarty. Nazywam się Magir i jestem dowódcą Cheiam. Jeżeli się nie ruszysz, znajdziesz się na powrót w Otchłani Umarłych.

– Ruszysz dokąd?

– Z miasta. Jeszcze dziś w nocy. Mamy obóz wysoko w górach, gdzie będziesz bezpieczny. –

Zza okna dobiegło ciche drapanie, jakby sznura ocierającego się o mur. – Za późno! – szepnął

Magir. – Już są. Chwytaj miecz!

Scaler sięgnął przez łóżko i wyciągnął z pochwy miecz. Ciemna postać wskoczyła do pokoju.

Magir zagroził jej drogę pchnięciem swej zakrzywionej szabli. Ciszę nocy rozdarł przeraźliwy krzyk. Do pokoju wpadli dwaj następni skrytobójcy. Młodzieniec wrzasnął z całej siły i skoczył, wymachując mieczem. Wbił go w ciało pierwszego, który osunął się na ziemię bez jęku. Potknął

się o trupa, unikając o włos sztyletu, który błysnął mu nad głową. Przewrócił się na plecy i od dołu pchnął w brzuch drugiego napastnika. Tamten charcząc z bólu, zatoczył się wprost w otwarte okno i zniknął w ciemności.

– Wspaniale! – powiedział Magir. – Nigdy jeszcze nie widziałem tak pięknie wykonanego przewrotu. Mógłbyś z powodzeniem należeć do Cheiam.

Scaler usiadł i oparł się o ścianę. Z pozbawionych nagle czucia palców wypadł miecz.

Pagan z hukiem wyważył drzwi. – Wszystko w porządku, Rek? – Scaler odwrócił się i zobaczył, że olbrzymi czarnoskóry wypełnia sobą wejście jak hebanowy posąg, a drzwi zwisają na wyrwanych zawiasach.

– Mogłeś je po prostu otworzyć – powiedział. – Bogowie, co za dramatyczne wejście na scenę!

– Skoro mowa o zabijaniu... – rzekł Pagan. – Mam dwa trupy w moim pokoju. Belder nie żyje, poderżnęli mu gardło.

Scaler zerwał się na równe nogi. – Jego zabili? Dlaczego?

– Okryłeś wstydem księcia – powiedział Magir. – Musi was zabić – nie ma innego wyjścia.

– A duch Joachima? Jaki miał cel w tym, żeby go sprowadzić?

– Nie potrafię na to odpowiedzieć, Książę. Musimy uciekać.

– Uciekać? Zabił mojego przyjaciela – prawdopodobnie jedyne, jakiego miałem. Był dla mnie jak ojciec. Wyjdźcie i zostawcie mnie samego – obaj wyjdźcie!

– Nie zrób czegoś głupiego – ostrzegł Pagan.

– Głupiego? Wszystko to jest niemądre. Życie jest farsą – idiotyczną, przyprawiającą o mdłości i odgrywaną przez głupców. A oto jeden z nich, który mówi dość. Dalej, idźcie!

Scaler ubrał się szybko i przypiął pas, biorąc miecz do ręki. Podeszedł do okna i wychylił się.

Sznur dyndał na nocnym wietrze. Chwycił go, skoczył i zsunął się na rękach na dziedziniec.

Czterech wartowników obserwowało w milczeniu, jak wylądował na marmurowych płytach i wyszedł na środek dziedzińca. Spojrzał w górę na okna izby księcia.

– Wyjdź, książę tchórzy! – krzyknął. – Pokaż się, książę kłamstw i oszustwa. Joachim nazwał cię skamlącym. Wyjdź!

Wartownicy wymienili spojrzenia, ale nie ruszyli się z miejsca.

– Jestem żywy, książę. Książę z Brązu żyje! Wszyscy twoi mordercy zginęli, a ty zaraz do nich dołączysz. Wychodź – bo inaczej dopadnę cię tam, gdzie się ukrywasz. Wyłaź!

Zasłony okna poruszyły się i stanął w nim książę, z twarzą czerwoną z gniewu. Wychylił się przez rzeźbiony w kamieniu parapet i krzyknął do strażników:

– Zabić go!

– Chodź i sam to zrób, ty szakalu! – wrzasnął Scaler. – Joachim nazwał mnie swoim przyjacielem i rzeczywiście nim jestem. Słyszałeś go w swojej własnej świątyni, a mimo to wysłałeś morderców do mojej komnaty. Ty wieprzu bez charakteru! Hańbisz swych przodków i plugawisz prawa gościnności. Złaź, ścierwo!

– Słyszeliście rozkaz. Zabić go! – krzyknął książę falsetem. Wartownicy ruszyli, pochyliwszy włącznie.

Scaler przygotował się i skupił wzrok na prowadzącym.

– Nie chcę walczyć z wami – powiedział. – Co mam powiedzieć Joachimowi, kiedy go znowu spotkam? A co wy mu powiecie, gdy go spotkacie w drodze do Sheol? – Mężczyźni zawahali się. W tym momencie Pagan przebiegł przez dziedziniec i z dwoma mieczami w dłoniach stanął za plecami Scalera, a tuż za nim Magir.

Wartownicy szykowali się do ataku.

– Zostawcie go! – krzyknął Magir. – Jest księciem i właśnie rzucił wyzwanie.

Książę wspiął się na parapet okna i z wysokości dziesięciu stóp zeskoczył na kamień dziedzińca; jego biała szata rozwiała się na wietrze. Podszedł do wartownika, wziął od niego szablę i sprawdził jej wyważenie.

– Teraz zginiesz – powiedział. – Wiem, że jesteś kłamcą. Nie zmarłym przed laty księciem – a oszustem.

– Udowodnij to! – warknął Scaler. – Wychodź. Jestem największym szermierzem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Odparłem hordy Nadirów. Złamałem miecz Joachima Sathuli.

Wychodź i giń.

Książę obliznął wargi i spojrzał w płonące oczy. Pot spłynął mu po policzkach i w tym momencie zrozumiał, że jego los jest przesądzony. Życie stało się nagle niezwykle cenne i poczuł, że jest zbyt ważny, by dać się wciągnąć w walkę temu szatanowi z piekła rodem. Ręka zaczęła mu drżeć.

Poczuł na sobie spojrzenia swoich ludzi i podniósłszy oczy zobaczył, że cały dziedziniec otaczają

Sathuli. Był jednak sam; żaden z nich nie przyszedłby mu z pomocą. Musiał

zaatakować, lecz to oznaczało śmierć. Z dzikim okrzykiem i wzniesionym mieczem skoczył

naprzód. Scaler wbił miecz w serce księcia, a potem wyciągnął ostrze; trup runął na bruk.

Podszedł do niego Magir. – Teraz musisz wyjechać. Pozwolę ci opuścić góry, ale potem ruszą za tobą, żeby pomścić tę śmierć.

– To nie ma dla mnie znaczenia – powiedział Scaler. – Przybyłem tutaj, żeby ich zwerbować.

Bez nich i tak jesteśmy zgubieni.

– Masz przecież Cheiam, przyjacielu. Pójdziemy za tobą choćby i do samych Piekieł.

Scaler spojrział na ciało księcia. – On nawet nie próbował walczyć – po prostu rzucił się na miecz.

– To pies i pomiot psa. Pluję na niego! -powiedział Magir. – Nie był ciebie wart, Książę, chociaż był największym szermierzem wśród Sathuli.

– Naprawdę? – zdziwił się Scaler.

– Naprawdę. Zrozumiał jednak, że jesteś większym od niego człowiekiem, i ta wiedza zniszczyła go, zanim dosięgnął go twój miecz.

– Głupiec. Gdyby tylko...

– Rek – przerwał mu Pagan – czas ruszać. Przyprawdzą konie.

– Nie. Zanim wyruszymy, chcę dopilnować pogrzebu Beldera.

– Moi ludzie dopilnują tego – powiedział Magir. – Twój człowiek ma jednak rację. Każę przyprawdzić konie na dziedziniec. Do naszego obozowiska mamy tylko godzinę drogi. Tam omówimy nasze plany.

– Magir!

– Tak, panie.

– Dziękuję.

– To był mój obowiązek, Książę. Myślałem, że będzie on bardzo przykry, ponieważ Cheiam nie kochają Drenajów. Ty jednak okazałeś się mężczyzną.

– Powiedz mi, kim są Cheiam?

– Tymi, Którzy Piją Krew, synami Joachima. Czcimy jednego tylko boga: Boga Śmierci, Shalli.

– Ilu was jest?

– Tylko stu, Książę. Jednak nie powinieneś nas oceniać według tej liczby. Przyjrzyj się raczej liczbie trupów, które zostawimy za sobą.

Rozdział 17

Mężczyzna był zakopany po szyję, a sucha ziemia wokół niego była twardo ubita. Mrówki spacerowały mu po twarzy, a słońce paliło ogoloną czaszkę. Słyszał kroki nadjeżdżających koni, ale nie mógł się odwrócić.

– Przekleństwo na ciebie i całą twoją rodzinę! – krzyknął. Wtem usłyszał, jak ktoś zsiada z konia, i litościwy cień zasłonił słońce. Podniósł oczy i zobaczył przed sobą wysoką postać w czarnej, skórzanej tunice i jeździeckich butach; nie mógł dostrzec twarzy. Kobieta przyprowadziła konie w zasięg jego wzroku, a mężczyzna przykucnął.

– Szukamy namiotów Wilków – powiedział.

Zakopany mężczyzna wypluł mrówkę. – Świetnie! – powiedział. – Po co mi to mówisz?

Myślisz, że zostawili mnie tutaj w charakterze drogowskazu?

– Zastanawiałem się właśnie, czy cię nie wykopać.

– Na twoim miejscu nie trudziłbym się. Wzgórza za wami roją się od Tragarzy. Nie spodoba się im, że się wtrącasz.

Tragarzami nazwano członków plemienia Green Monkey po bitwie sprzed dwustu lat, po której, pozbawieni koni, zostali zmuszeni do noszenia swych tobołków na grzbiecie. Pozostałe plemiona nigdy nie zapomniały tej hańby, ani też nie pozwoliły o niej zapomnieć Green Monkey.

– Ilu ich jest? – zapytał Tenaka.

– Kto to wie? Dla mnie wszyscy wyglądają podobnie. Książę Nadirów przytknął do ust mężczyzny skórzany bukłak z wodą, z którego tamten zaczął chciwie pić.

– Z jakiego jesteś plemienia? – zapytał pół-Drenaj.

– Cieszę się, że zadałeś mi to pytanie dopiero po tym, jak dałeś mi wody – powiedział

człowiek. – Jestem Subodai z plemienia Spears.

Mieszaniec pokiwał głową. Wolfsheadowie nienawidzili Spearsów tylko z tego powodu, że ich wojownicy byli równie zaciekli i sprawni jak oni.

Nadirowie rzadko szanowali wrogów. Słabszych traktowano z pogardą, silniejszych nienawidzono. Plemię Spearsów, chociaż nie było silniejsze, należało do tej drugiej kategorii.

– Jak to się stało, że jeden Spears dostał się w ręce Tragarzy? – zapytał Tenaka.

– Pech – odpowiedział Subodai, wypluwając kolejne mrówki. – Mój koń złamał nogę i wtedy czterech z nich rzuciło się na mnie.

– Tylko czterech?

– Źle się czułem.

– Chyba cię wykopię.

– To nie jest mądre posunięcie, Wolfsheadzie. Może będę musiał cię zabić.

– Nie przejąłbym się kimś, kto dał się pojmać czterem zaledwie Tragarzom. Renya, wykop go.

Tenaka odszedł i przykucnął opodal, obserwując wzgórze. Nie dostrzegł ani śladu człowieka, wiedział jednak, że są obserwowani. Wyprostował potłuczone plecy – w ciągu ostatnich pięciu dni ból znacznie zelżał.

Renya rozgarnęła ubitą ziemię i uwolniła ręce mężczyzny, które były skrępowane za plecami.

Uwolniony odsunął ją na bok i pracował ciężko, aż wydostał się z dołu. Nie odzywając się ani słowem do Renyi, podszedł do Tenaki i przykucnął obok.

– Zdecydowałem, że cię nie zabiję – powiedział Subodai.

– jak na Spearsa jesteś bardzo rozumnym człowiekiem powiedział Tenaka, nie odrywając oczu od wzgórz.

– To prawda. Widzę, że twoja kobieta jest z Drenajów. Delikatna!

– Lubię delikatne kobiety.

– Myślę, że coś w nich jest – zgodził się Subodai. – Sprzedasz mi miecz?

– A czym mi za niego zapłacisz?

– Dam ci konia Tragarzy.

– Twoja szczodrość może się równać jedynie twojej pewności siebie – zauważył Tenaka.

– Ty jesteś Tańczące Ostrze, pół-krwi Drenaj – zauważył Subodai, który ściągnął kaftan i wydrapywał mrówki ze swego krępego, potężnie zbudowanego ciała.

Tenaka nie raczył mu odpowiedzieć; patrzył, jak na wzgórzach podnoszą się tumany kurzu świadczące o tym, że ludzie dosiadają koni.

– Więcej niż czterech – powiedział Subodai. – A wracając do miecza...

– Odjeżdżają – powiedział Tenaka. – Powrócą w większej liczbie. – Podniósł się, podszedł do konia i wskoczył na siodło. – Do widzenia, Subodai!

– Poczekaj! – zawołał Nadir. – A miecz?

– Nie zapłaciłeś mi koniem.

– Zapłacę, daj mi tylko trochę czasu.

– Nie mam czasu. Co jeszcze możesz mi zaoferować? Subodai znalazł się w pułapce.

Pozostawiony tutaj bez broni, zginie w ciągu godziny. Zastanawiał się, czy nie rzucić się na Tanakę. Odsunął jednak od siebie tę myśl – fioletowe oczy patrzyły z niepokojącą pewnością siebie.

– Nie mam nic innego – powiedział. – Jednak ty z pewnością masz coś na myśli. Widzę to.

– Zostań moim niewolnikiem na dziesięć dni i zaprowadź i Wilków – zaproponował Tenaka.

Subodai odchrząknął i splunął. – Brzmi to tylko odrobinę bardziej obiecująco niż śmierć na tym miejscu. Na dziesięć dni, mówisz?

– Dziesięć dni.

– A dzień dzisiejszy liczysz jako pierwszy?

– Tak.

– A zatem zgadzam się. – Subodai podniósł rękę, a Tenaka chwycił ją i wciągnął go na siodło za swoimi plecami. – Cieszę się, że mój ojciec nie dożył tej chwili – wymamrotał Nadir.

Kiedy galopowali na północ, Subodai myślał o swoim ojcu. Silny człowiek i wspaniały jeździec – i cóż za temperament!

To właśnie ta jego cecha była przyczyną jego śmierci. Po wyścigach, w których Subodai zwyciężył, ojciec oskarżył go o poluzowanie popręgu siodła na jego klaczy. Kłótnia przerodziła się w prawdziwą walkę na pięści i noże.

Subodai wciąż pamiętał wyraz zdziwienia na twarzy ojca, gdy nóż syna przebił mu pierś.

Człowiek powinien umieć zapanować nad sobą.

Nadir obrócił się w siodle, spoglądając czarnymi oczami na Renyę. To dopiero kobieta!

Może niezbyt dobra na Stepach, ale świetna do czego innego.

Jeszcze przez dziewięć dni będzie służył Tańczącemu Ostrzu. Potem zabije go i weźmie jego kobietę.

Przeniósł spojrzenie na wierzchowce. Wspaniałe bestie. Uśmiechnął się nagle, gdyż ogarnęła go znowu przemożna radość życia.

Weźmie tę kobietę.

Zatrzyma konie.

Ponieważ warto ich dosiąść niejeden raz.

Lake pocił się mocno, podnosząc grubą drewnianą rączkę, która naciągała ramię arbalety i rzemienną cięciwę z powrotem na spust. Młody człowiek w skórzanym fartuchu podał mu związaną luźno wiązkę pięćdziesięciu strzał, które Lake umieścił w misce urządzenia. Po drugiej stronie pomieszczenia, w odległości około trzydziestu stóp, dwóch innych pomocników stanęło przy drzwiach z grubego drewna.

Ananais siedział w rogu oparty plecami o chłodny, szary kamień ściany starej stajni.

Ładowanie maszyny zajęło już ponad dziesięć minut. Podniósł maskę i podrapał się po brodzie.

Dziesięć minut na pięćdziesiąt strzał! Jeden łucznik mógłby wypuścić dwukrotnie więcej w połowie tego czasu. Lake jednak starał się tak bardzo, że Ananais nie chciał go zniechęcać.

– Gotowi? – zapytał Lake pomocników z drugiego końca stajni. Obaj skinęli głowami i pośpiesznie schowali się za wielkimi worami zboża.

Lake spojrzał wyczekująco na Ananaisa i pociągnął za sznurek mechanizmu zwalniającego.

Potężne ramię wystrzeliło do przodu i pięćdziesiąt strzał wbiło się w dębowe drzwi, a niektóre, przebiwszy je na wylot, wznieciły iskry na kamiennej ścianie za nimi. Ananais podszedł tam, będąc pod wrażeniem siły uderzenia. Drzwi były w strzępach, a pośrodku, gdzie wbiła się ponad jedna trzecia strzał, załamały się.

– Co o tym myślisz? – zapytał Lake z niepokojem.

– Powinieneś rozszerzyć pole rażenia – powiedział Ananais. – Gdybyśmy wypuścili je na nacierającą hordę Spojonych, połowa strzał zniszczyłaby zaledwie dwie bestie. Trzeba rozszerzyć je w poziomie. Możesz to zrobić?

– Chyba tak. Ale podoba ci się?

– Czy masz pociski do proc?

– Tak.

– Załaduj nimi miskę.

– To zniszczy głowicę – zaprotestował. – Jest przeznaczona do wyrzucania strzał.

Ananais położył dłoń na ramieniu młodego człowieka. – Jest przeznaczona do zabijania, Lake. Spróbuj strzelić.

Jeden z pomocników przyniósł worek pocisków i wysypał do miedzianej misy kilkaset ołowianych kulek wielkości kamyków. Ananais ujął dźwignię urządzenia, a pozostali w ciągu czterech minut zamocowali rzemienie.

Ananais przesunął się potem na bok i chwycił rzemyk spustu.

– Odsunąć się – rozkazał. – Zapomnijcie o workach. Uciekajcie za drzwi. – Pomocnicy popędzili w bezpieczne miejsce, a mężczyzna pociągnął zwalniacz. Gigantyczne ramię arbalety skoczyło do przodu i ołowiane kulki zadudniły o drzwi. Rozległ się ogłuszający huk, a drewno rozszczerpiło się z jękiem i spadło na ziemię w kilku kawałkach. Ananais spojrział na skórzany uchwyt na końcu ramienia – był poskręcany i podarty.

– To lepsze niż strzały, młodzieńcze – powiedział, kiedy Lake podbiegł do maszyny, żeby sprawdzić głowicę i rzemienie przyciągające.

– Zrobię głowicę z miedzi – powiedział Lake – i rozszerzę zasięg. Będziemy potrzebować dwóch dźwigni, po jednej z każdej strony. Każę też spiłować pociski, tak aby miały po cztery ostre szpice.

– Jak szybko możesz mieć jedną skończoną? – zapytał Ananais.

– Jedną? Już mam trzy gotowe. Poprawki zajmą zaledwie dzień i wtedy będziemy mieć cztery.

– Dobra robota, chłopcze.

– Martwi mnie jednak, jak przewieziemy je w doliny.

– Nie myśl o tym. Nie będziemy ich potrzebować na pierwszej linii. Zabierz je wysoko w góry; Galand powie ci, gdzie je umieścić.

– Ale przecież one mogłyby nam pomóc się utrzymać – zaprotestował Lake, podnosząc głos.

Ananais wziął go pod ramię i wyprowadził ze stajni na rześkie, nocne powietrze.

– Zrozum, chłopcze: nic nam nie pomoże utrzymać pierwszej linii. Nie mamy dość ludzi. Za wiele jest przełęczy i ścieżek. Jeśli zatrzymamy się tam zbyt długo, odetną nas i otoczą. Twoja broń jest dobra i wykorzystamy ją – później.

Gniew Lake'a ucichł i zastąpiła go tępa, znużona rezygnacja. Od wielu dni pracował ponad siły i bez wytchnienia: szukał czegoś, czegokolwiek, co mogłoby odwrócić klęskę. Nie był

jednak głupcem i w głębi duszy wiedział.

– Nie możemy obronić miasta – stwierdził.

– Miasto można odbudować – odpowiedział Ananais.

– Jednak wielu ludzi nie zechce go opuścić. Większość, powiedziałbym.

– W takim razie zginą.

Młody człowiek zdjął roboczy fartuch ze skóry i usiadł na odwróconej beczce. Zgniół go w ciasną kulę, którą cisnął pod nogi. Ananais współczuł mu w tej chwili, ponieważ młodzieniec spoglądał teraz na swoje zdruzgotane marzenia.

– Do cholery, Lake, chciałbym móc powiedzieć coś, żeby cię podnieść na duchu. Wiem, co czujesz... Ja myślę podobnie. Obraża to nasze poczucie sprawiedliwości, kiedy widzimy, że to przeciwnik ma wszystkie atuty. Przypomina mi się mój stary nauczyciel, który mawiał, że za każdą chmurą czeka słońce, zdolne nas spalić na śmierć.

Lake uśmiechnął się. – Ja też kiedyś miałem takiego nauczyciela. Niezwykły staruszek, który mieszkał w chacie pod zachodnim wzgórzem. Mówił, że ludzie dzielą się na trzy kategorie: zwycięzców, przegranych i walczących. Zwycięzcy drażnili go swoją arogancją, przegrani denerwowali go ciągłym pojękiwaniem, a walczący złościли głupotą.

– Do której kategorii zaliczał siebie?

– Mówił, że próbował wszystkich trzech i żadna mu nie odpowiadała.

– Cóż, przynajmniej próbował. To wszystko, co człowiek może zrobić, Lake. I my spróbujemy. Uderzymy na nich i zadamy im cios. Uwikłamy ich w nieustającą wojnę. Pięścią i głową, ogniem i mieczem. A przy odrobinie szczęścia, gdy Tenaka wróci, zmieciemy ich z pomocą jego nadiryjskiej jazdy.

– Na razie nie dopisuje nam szczęście – zauważył młodzieniec.

– Musimy je sami wykuć. Nie wierzę w bogów, Lake. Nigdy nie wierzyłem. Jeśli istnieją, niezbyt dbają – jeśli w ogóle dbają – o zwykłych śmiertelników. Wierzę w siebie – wiesz dlaczego? Ponieważ nigdy nie przegrałem! Wyszedłem cało z ran, zadanych włócznią i sztyletem, przeżyłem truciznę. Włókł mnie za sobą dziki koń, przebił rogiem byk i pogryzł

niedźwiedź. Ale nigdy nie przegrałem. Nawet kiedy Spojony zdarł mi twarz. Wciąż trwam. A zwyciężanie wchodzi w nawyk.

– Jesteś trudnym przykładem do naśladowania, Czarna Masko. Kiedyś raz zwyciężyłem w biegach, a raz byłem trzeci w zapasach podczas Zawodów. Aha... I raz ugryzła mnie pszczoła, kiedy byłem dzieckiem. Płakałem przez wiele dni.

– Potrafisz, Lake! Już nauczyłem cię jak być dobrym kłamcą! Teraz wracajmy do środka i zabierzmy się do pracy nad twoją bronią.

Przez trzy dni od świtu do zmierzchu Rayvan i jej liczni pomocnicy przemierzali miasto,

przygotowując ludzi do ewakuacji w górskie odstępny. Niewdzięczne to było zadanie. Wielu nie chciało nawet myśleć o opuszczeniu domu. A niektórzy wręcz drwili z przedstawianego przez Rayvan niebezpieczeństwa. Po co Ceska miałaby atakować gród? – pytali. Dlatego zbudowano je bez murów obronnych, żeby nie było powodu go plądrować. Wybuchały kłótnie, z trzaskiem zamykano drzwi. Rayvan narażała się na obelgi i poniżenie. Mimo to wciąż przemierzała ulice.

Czwartego dnia rano uchodźcy zgromadzili się na łąkach na wschód od miasta; ich dobytek złożono na wozach – niektóre ciągnęły muły, inne koniki górskie, a nawet woły. Mniej zasobni taszczyli swe rzeczy na plecach w płóciennych tobołach. W sumie zgromadziło się mniej niż dwa tysiące ludzi – dwukrotnie większa liczba wolała pozostać.

Galand i Lake poprowadzili ich długim i trudnym szlakiem na wyżyny, gdzie trzystu ludzi budowało już prowizoryczne schronienia w ukrytych kotlinach.

Na czele kolumny, na sześciu wozach, pod przykryciem z naoliwionej skóry, umieszczono maszyny wojenne Lake'a.

Rayvan, Decado i Ananais przyglądali się wyruszającym w drogę. Wtem Rayvan potrząsnęła głową, zakląła i, nie mówiąc już ani słowa pomaszzerowała z powrotem do sali obrad. Dwaj mężczyźni poszli za nią. Znalazłszy się w środku, wybuchnęła gniewem.

– Na wszystkie moce Chaosu, cóż oni sobie myślą? – grzmiała. – Czy mało razy widzieli wyczyny Ceski? Niektórzy z nich są od lat moimi przyjaciółmi. To solidni, inteligentni i myślący ludzie. Czyżby chcieli umrzeć?

– To nie takie proste, Rayvan – powiedział cicho Decado. – Nie nawykli do zła i nie potrafią pojąć, dlaczego Ceska mógłby chcieć wymordować mieszkańców miasta. Dla nich nie ma to sensu. Pytasz, czy mało razy widzieli poczynania Ceski. Krótko mówiąc, nie! Widzieli mężczyzn z odciętymi rękami, widzowie jednak zawsze mogą zapytać: – A może on na to zasłużył?

Słyszeli o głodzie i nieszczęściach w innych regionach, lecz Ceska zawsze miał na to jakąś odpowiedź. Jest mistrzem w zrzucaniu winy na innych. A tak naprawdę, oni nie chcą wiedzieć.

Dla większości z nich życie to dom i rodzina, dogłądanie dzieci i patrzenie z nadzieją w następny rok, który może będzie lepszy. W południowej Ventrii cała społeczność żyje na wulkanicznej wyspie. Co jakieś dziesięć lat wulkan pluje popiołem, pyłem i płonącymi kawałkami skały, które zabijają tysiące ludzi. A jednak trwają tam, ciągle się nawzajem zapewniając, że najgorsze już za nimi. Nie dręcz się, Rayvan. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Więcej niż można było oczekiwać.

Opadła na krzesło i potrząsnęła głową. – Mogłam ich przekonać. Zginie tu około czterech tysięcy ludzi. Straszne! A wszystko przez to, że rozpoczęłam wojnę, której nie można wygrać.

– Nonsens! – powiedział Ananais. – Dlaczego tak się zadręczasz, kobieto? Wojna zaczęła się, ponieważ żołnierze Ceski wtargnęli w wasze góry i zmasakrowali niewinnych ludzi. Ty broniłaś jedynie swego. Dokąd, u diabła, doszlibyśmy, pozwalając na podobne okrucieństwa? Nie podoba mi się ta sytuacja; cuchnie bardziej niż dziesięciodniowa zdechła świnia w lecie, lecz to nie moja wina.

Ani twoja. Chcesz mieć winnego? Obwiniaj ludzi, którzy oddali mu władzę. Obwiniaj Smoka, który go nie obalił, kiedy jeszcze mógł. Obwiniaj jego matkę za wydanie go na ten świat.

Dość tego! Każdy mężczyzna i każda kobieta tutaj miała wolny wybór. Ich los jest w ich własnych rękach. Nie jesteś za nic odpowiedzialna.

– Nie chcę się z tobą spierać, Czarna Masko. Jednak ktoś musi ją wziąć na siebie. Wojna nie jest moim dziełem, jak mówisz. Przecież to ja zgodziłam się stanąć na czele tych ludzi i śmierć każdego z nich spadnie na moją głowę. Nie zgodzę się na żadne inne rozwiązanie. A to dlatego, że mi zależy. Czy ty tego nie rozumiesz?

– Nie – powiedział Ananais otwarcie. – Jednak akceptuję to.

– Ja cię rozumiem – powiedział Decado. – Lecz teraz musisz zatroszczyć się o tych, którzy ci zaufali i odeszli w góry. Razem z uciekinierami spoza Skody będzie ich ponad siedem tysięcy.

Będą problemy z żywnością, higieną, chorobami. Trzeba zorganizować linie komunikacyjne.

Magazyny, dostawy żywności i leków. Wszystko wymaga planowania i ludzi. A każdy człowiek, którego przez to stracimy, to jeden mniej przeciwko Cesce.

– Zajmę się tym – powiedziała Rayvan. – Mogę powołać jeszcze może ze dwadzieścia kobiet.

– Z całym szacunkiem – powiedział Ananais – będziesz potrzebowała również mężczyzn.

Życie w takim napięciu spowoduje wybuchy irytacji i niektórzy mogą dojść do wniosku, że dostają mniej niż należąca im racja. Wielu spośród uciekinierów to tchórze – a to prowadzi często do znęcania się nad słabszymi. Pojawią się złodzieje, a przy tak dużej liczbie kobiet znajdą się mężczyźni skłonni do gwałtu.

Oczy Rayvan zapłonęły. – Ze wszystkim sobie poradzę, Czarna Masko. Możesz mi wierzyć!

Nikt nie ośmieli mi się sprzeciwić.

Ananais uśmiechnął się. Głos Rayvan brzmiał zdecydowanie, a jej kwadratowy podbródek uniósł się wojowniczo. Prawdopodobnie ma rację, pomyślał. Tylko bardzo odważny mężczyzna zaryzykowałby stanąć przeciw niej. A wszyscy odważni będą stawiać czoła o wiele groźniejszemu przeciwnikowi.

W ciągu następnych dni Ananais dzielił swój czas między nadzorowanie niewielkiej armii, która obsadzała zewnętrzny pierścień gór, a przygotowywanie przejściowej fortecy obronnej na wewnętrznym pierścieniu. Zablokowano pomniejsze przejścia, a główne przełęcze – kotliny Tarsk i Magadon – pośpiesznie przegrodzono murami z kamieni. Podczas długich godzin dnia zahartowani górale Skody umacniali fortyfikacje, przetaczając z okolicznych wzgórz ogromne głazy i zaklinowując je u wejść do dolin. Powoli mury rosły. Wykwalifikowani budowniczowie zainstalowali wielokrążki i drewniane wieże do wciągania głazów za pomocą lin. Cementowano je mieszkanką gliny i sproszkowanego kamienia.

Głównym budowniczym i architektem muru był uciekinier z Vagrii o imieniu Leppoe. Był

wysoki, smagły, łysawy i nieustrudzony. Ludzie obchodzili go ostrożnie, ponieważ miał

denerwujący zwyczaj nie zauważania człowieka i patrzenia poprzez niego, podczas gdy jego umysł pracował nad jakimś problemem, dotyczącym naprężenia lub konstrukcji. Potem, gdy już go rozwiązał, uśmiechał się nagle, stawał się serdeczny i przyjazny. Niewielu potrafiło dotrzymać mu kroku w pracy. Nie raz i nie dwa zostawał długo w noc, albo planując jakieś ulepszenie, albo przejmując miejsce przodownika w jednej z brygad i zagrzewając swych ludzi do wysiłku przy blasku księżyca.

Kiedy mury były już prawie gotowe, Leppoe dodał jeszcze jedno ulepszenie. Wewnątrz ułożono i sprytnie zamocowano deski, tworząc blanki, a na zewnątrz wygładzono mury zaprawą murarską, czyniąc je w ten sposób jeszcze trudniejszymi do zdobycia.

Leppoe umieścił dwie z gigantycznych arbalet Lake'a pośrodku każdego z murów; Lake sam sprawdził ich zasięg i rozrzut, a dwunastu ludzi przyuczył do ich obsługi. Obok przygotowano worki z pociskami oraz kilka tysięcy strzał.

– Wygląda to dość solidnie – powiedział Thorn do Ananaisa. – Jednak nie jest to Dros Delnoch!

Ananais przemierzał konno blanki Magadonu, wyszukując ewentualne kąty ataku. Mury broniły przed jazdą Ceski, lecz nie przedstawiały trudności dla Spojonych. Leppoe dokonał

cudów, podnosząc je do piętnastu stóp wysokości, to jednak nie wystarczało. Broń Lake'a mogła siać spustoszenie na odległość trzydziestu stóp od muru, lecz przy mniejszej stawała się bezużyteczna.

Ananais wysłał Thorna, żeby przejechał konno dwie mile, dzielące ich od kotliny Tarsk.

Potem kazał dwóm ludziom przebiec tę samą odległość. Thorn przejechał ten odcinek w dwie minuty, podczas gdy biegaczom zabrało to aż dwanaście.

Zadanie generała nie było łatwe. Ceska prawdopodobnie zaatakuje obie kotliny jednocześnie i jeżeli jedna padnie, dla drugiej nie będzie już ratunku. Dlatego też należało trzymać w pogotowiu trzeci oddział, gdzieś pośrodku, gotowy wesprzeć natychmiast słabnące miejsce. Lecz przerwanie obrony muru to kwestia sekund, nie mieli więc do dyspozycji wielu minut. Bezużyteczna była sygnalizacja za pomocą ognia, ponieważ między kotlinami wznosił się masyw Skody.

Jednak Leppoe rozwiązał ten problem, proponując sygnalizację w systemie trójkąta. Za dnia można było za pomocą luster tub latarni przekazywać wiadomości w dolinę, gdzie nieustannie trzymali straż wyznaczeni ludzie. Otrzymałą wiadomość przekazywaliby oni w ten sam sposób do drugiej kotliny. Pomiędzy nimi leżałoby obozem wojsko w sile pięciuset ludzi, którzy po otrzymaniu sygnału popędziliby co sił w nogach. System ten ćwiczyli wiele razy, zanim Ananais przekonał się do jego skuteczności. Czas przekazania prośby o pomoc i dostania posił-

ków skrócono do czterech minut. Ananais wolałby, co prawda, zmniejszyć go jeszcze o połowę, lecz i tak był zadowolony.

Valtaya odjechała w góry z Rayvan i objęła nadzór nad zapasami leków. Tęsknił za nią okropnie; dręczyło go dziwne przecucie nieuchronności losu, którego nie potrafił z siebie strząsnąć. Nigdy nie poświęcał wiele uwagi myślom o śmierci; teraz myśl ta prześladowała go.

Kiedy poprzedniej nocy Valtaya żegnała się z nim, czuł się tak nieszczęśliwy jak nigdy w życiu.

Trzymając ją w ramionach walczył, by wypowiedzieć to, co czuł, rozpaczliwie pragnąc wyznać jej głębię swojej miłości.

– Będę... będę za tobą tęsknił.

– To nie potrwa długo – powiedziała, całując go w pokryty szramami policzek i odwracając oczy od miejsca, w którym kiedyś miał usta.

– Dbaj... hm... o siebie.

– I ty także.

Gdy pomagał jej wsiąść na konia, kilku innych podróżnych zbliżyło się do chaty i Ananais pośpiesznie nałożył maskę. A potem Valtaya odeszła. Patrzył za nią, aż połknęła ją ciemność.

– Kocham cię – powiedział w końcu, za późno. Zerwał z twarzy maskę i z całej siły krzyknął: – Kocham cię! – Słowa rozeszły się echem po górach, a on upadł na kolana i uderzał

pięścią w ziemię. – Niech to diabli! Kocham cię. Kocham!

Rozdział 18

Tenaka, Subodai i Renya mieli godzinę przewagi nad pościgiem, lecz ten czas kurczył się nieustannie pomimo siły drenajskich wierzchowców, gdyż koń pół-Drenaja niósł teraz podwójny ciężar. Na szczycie piaszczystego wzgórza mieszaniec osłonił ręką oczy i próbował policzyć ścigających ich jeźdźców, co nie było łatwe, ponieważ wzbijali tuman kurzu.

– Powiedziałbym, że jest ich nie więcej niż dwunastu – powiedział w końcu Tenaka.

Subodai wzruszył ramionami. – Albo i mniej – powiedział.

Księżę Nadirów wsiadł ponownie na konia, rozglądając się za odpowiednim miejscem na zasadzkę. Poprowadził ich pod górę, do nisko zwieszającej się skały, sterczącej nad ścieżką jak wyciągnięta pięść, po czym stanął na siodle i przeskoczył na skałę. Subodai zaskoczony wysunął

się naprzód i chwycił wodze.

– Pojedźcie do tego ciemnego wzgórza, a potem powoli zatoczcie krąg i wróćcie tutaj –

powiedział do niego Tenaka.

- Co zamierzasz zrobić? – zapytała Renya.
- Mam zamiar zdobyć konia dla mojego niewolnika – odpowiedział z uśmiechem Tenaka.
- Chodź, kobieto! – mruknął Subodai i pokłusował przodem. Renya i Tenaka wymienili spojrzenia.
- Nie jestem pewna, czy będzie mi się podobała rola potulnej kobiety Stepów – szepnęła.
- Mówiłem ci – przypomniał jej z uśmiechem. Skinęła głową i popędziła konia za Subodai.

Tenaka położył się na skale i obserwował nadjeżdżających; znajdowali się około ośmiu minut za Subodai. Przyjrzał się im z bliska; było ich dziewięciu i mieli na sobie charakterystyczne dla stepowych jeźdźców kaftany z nie wyprawionej koziej skóry oraz okrągłe skórzane hełmy obszyte futrem. Ich płaskie twarze miały żółtawy, ziemisty odcień, a w czarnych jak noc oczach czaiło się okrucieństwo. Każdy miał w ręku włócznię, a przy pasie miecz lub sztylet. Pół-Drenaj patrzył, jak nadjeżdżają, i czekał na ostatniego.

Jak burza wjechali na wąską ścieżkę, zwalniając na zakręcie pod skałą. Mieszaniec zsunął się na krawędź skały i przykucnął na podkurczonych nogach. Potem, gdy ostatni jeździec znalazł się tuż pod nim, spadł z góry jak kamień, uderzając obutymi stopami w twarz wroga. Tamten wyleciał z siodła jak z katapulty. Tenaka spadł na ziemię, przeokoziółkował, podniósł się i sięgnął

po wodze konika. Zwierzę stało nieruchomo i tylko drżące nozdrza świadczyły o przeżyтым szoku. Tenaka poklepał go łagodnie i poprowadził do leżącego wojownika. Zdjął z zabitego kaftan i nałożył na siebie. Następnie zabrał hełm i włócznię tamtego, wskoczył na siodło i ruszył

za pozostałymi.

Ścieżka wiła się pod górę, skręcając to w lewo, to w prawo, tak, że jeźdźcy nie jechali już zwartą gromadą. Tuż przed następnym zakrętem Tenaka podjechał do następnego mężczyzny.

– Hola! – zawołał. – Zaczekaj! – Jadący ściągnął wodze, a jego towarzysze właśnie znikali za zakrętem.

– O co chodzi? – zapytał jeździec. Tenaka zrównał się z nim i wskazał na niebo. Kiedy tamten spojrział w górę, pięść Tenaki wbiła się w jego szyję i wojownik, nie wydawszy nawet jęku, spadł z siodła. Z góry dobiegły triumfalne okrzyki. Tenaka zaklął i zmusił konia do galopu.

Wyjeżdżając zza zakrętu, zobaczył Subodai i Renyę, stojących naprzeciw szeregu siedmiu jeźdźców z mieczami w dłoniach.

Runął na nich jak grom, pchnięciem włóczni wyrzucając pierwszego z siodła. Potem dobył miecza i drugi jeździec spadł z jękiem.

Subodai wydał donośny okrzyk i popędził konia naprzód; odparował potężny cios i opuścił

ostrze, rozszczepiając obojczyk przeciwnika. Ten jęknął, lecz nie poddał się i uderzył raz jeszcze.

Subodai uchylił się przed, świszczącym w powietrzu, mieczem koczownika, a potem wprawnie rozplątał mu brzuch.

Dwaj jeźdźcy zaatakowali Renę, licząc na łatwy łup. Jednak dziewczyna ze złowrogim pomrukiem skoczyła na pierwszego, obalając go wraz z koniem na ziemię. Jej sztylet przeciął mu krtań tak szybko, że nie poczuł bólu i nie pojmował powodu ogarniającej go słabości. Renya natychmiast podniosła się i wydała mrozący krew w żyłach wrzask, który tak przeraził niedawno drenajskich bandytów. Przerazone wierzchowce stanęły dęba, a znajdujący się najbliżej przeciwnik upuścił lancę i oburącz chwycił wodze. Kobieta podskoczyła i uderzyła go pięścią w skroń. Wyleciał z siodła jak z procy, spróbował wstać, a potem bez czucia osunął się na ziemię.

Pozostali dwaj koczownicy zawrócili konie i rzucili się do ucieczki, a Subodai przygalopował do Tenaki.

– Twoja kobieta... – szepnął, pukając się palcem w skroń. – Ona jest zupełnie szalona!

– Lubię, kiedy są szalone – powiedział Tenaka.

– Dobrze się ruszasz, Tańczące Ostrze! Myślę, że więcej w tobie Nadira niż Drenaja.

– Są tacy, którzy nie potraktowaliby tego jako komplement.

– Głupcy! Nie mam dla nich czasu. Ile z tych koni mogę zatrzymać? – zapytał Nadir, ogarniając wzrokiem sześć górskich koników.

– Wszystkie – powiedział Tenaka.

– Skąd ta hojność?

– Może dzięki niej nie będę musiał cię zabić – odpowiedział Tenaka. Te słowa przeszyły Subodai jak lodowate sztylety, lecz z wymuszonym uśmiechem oddał chłodne spojrzenie fioletowych oczu Tenaki. To, co w nich zobaczył, przeraziło go. Tenaka wiedział, że Subodai chciał

go obrabować i zabić – było to tak pewne jak to, że kozły mają rogi.

Mężczyzna wzruszył ramionami. – Poczekałbym, aż dopełni się czas mojej służby – powiedział.

– Wiem. Chodź, jedziemy.

Nadir zadrżał; to nie był zwykły śmiertelnik. Spojrzał na konie – mimo wszystko, człowiek czy nie, bogacił się przy nim.

Przez cztery następne dni posuwali się na pomoc, omijając wioski i osady, jednak piątego dnia

skończyła im się żywność i wjechali do obozowiska rozbitego na brzegu górskiej rzeki.

Spółeczność wioski liczyła nie więcej niż czterdziestu mężczyzn pierwotnie stanowili część plemienia Doublehair z dalekiego północnego wschodu, lecz doszło wśród nich do rozłamu i teraz byli Notas – „plemię niczyje”, łatwy łup dla wszystkich. Powitali podróżników ostrożnie, nie wiedząc, czy nie są oni częścią większej grupy. Tenaka odgadywał bieg ich myśli – zgodnie z nadiryskim prawem gościnności żadna krzywda nie mogła spotkać gościa w obozie. Jednak kiedy wyjechał w Step...

– Czy jesteście daleko od swoich? – zapytał przywódca Notas, krępy mężczyzna z bliznami na twarzy.

– Nigdy nie jestem daleko od swoich – odpowiedział Tenaka, przyjmując misę rodzynek i innych suszonych owoców.

– Twój człowiek należy do Spearsów – stwierdził wódz.

– Ścigali nas Tragarze – powiedział Tenaka. – Zabiliśmy ich i wzięliśmy ich konie. To smutne, kiedy Nadir zabija Nadira.

– Jednak taki już jest ten świat – skomentował tamten.

– Nie tak było za czasów Ulryka.

– On już od dawna nie żyje.

– Niektórzy mówią, że pewnego dnia znowu powstanie – zauważył mieszaniec.

– Ludzie zawsze będą tak mówić o wielkich królach. Ulryk to stara historia i zakurzone kości.

– Kto dowodzi Wilkami? – zapytał Tenaka.

– Pochodzisz więc z Wolfsheadów?

– Jestem, kim jestem. Kto dowodzi Wilkami?

– Ty jesteś Tańczące Ostrze.

– To prawda.

– Dlaczego wróciłeś na Step?

– A dlaczego łoś płył w górę strumienia?

– Żeby umrzeć – powiedział wódz, uśmiechając się po raz pierwszy.

– Wszystko umiera – zauważył Tenaka. – Kiedyś ta pustynia, na której siedzimy, była oceanem.

Nawet ocean umarł, kiedy upadł świat. Kto dowodzi Wilkami?

– Khanem jest Saddleskull. Przynajmniej tak twierdzi. Jednak Knifespeaks ma ośmiotysięczną armię. Plemię rozpadło się.

– Więc teraz nie tylko Nadir zabija Nadira, ale i Wilk napada na Wilka?

– Taki już jest ten świat – odparł ponownie wódz.

– Który z nich znajduje się najbliżej?

– Saddleskull. O dwa dni na północny wschód.

– Odpocznę u ciebie przez noc. Jutro pojedę do niego.

– On cię zabije, Tańczące Ostrze!

– Niełatwo mnie zabić. Powiedz to swoim młodym wojownikom.

– Dobrze. – Wódz wstał i skierował się do wyjścia, ale zatrzymał się jeszcze. – Czy przyjechałeś do domu, żeby rządzić?

– Przyjechałem do domu.

– Mam już dość bycia Notas – powiedział.

– Moja podróż jest niebezpieczna – odpowiedział Tenaka. – Tak jak mówisz, Saddleskull będzie pragnął mojej śmierci. Masz niewielu ludzi.

– W nadchodzącej wojnie zniszczy nas albo jedna, albo druga strona – powiedział wódz. –

Ale ty – ty masz w sobie coś z orła. Pójdę za tobą, jeśli tego zechcesz.

Ogromny spokój spłynął na Tenakę. Wydawało mu się, że promieniuje on z samej ziemi u jego stóp, płynie z odległych błękitnych gór, szemrze w długiej trawie Stepów. Zamknął oczy i zasłuchał się w muzykę ciszy. Każdy nerw jego ciała wydawał się reagować na wołanie tej ziemi.

Dom!

Po czterdziestu latach poznał znaczenie tego słowa.

Otworzył oczy. Wódz stał nieruchomo i obserwował go; wielokrotnie widywał człowieka w transie i zawsze budziło to w nim podziw, a zarazem żal, że sam nigdy tego nie doświadcza.

Tenaka uśmiechnął się. – Przyłącz się do mnie – powiedział – a ja dam ci świat.

– Czy mamy być Wilkami?

– Nie. Będziemy Nadirami Odrodzoneymi. Będziemy Smokiem.

O świcie cała czterdziestka wojowników z plemienia Notas, oprócz trzech zwiadowców na patrolu, zasiadła w dwóch rzędach przed namiotem Tenaki. Za nimi usadowiły się dzieci: osiemnastu chłopców i trzy dziewczynki. Dopiero w ostatnim rzędzie siedziały kobiety w liczbie pięćdziesięciu dwóch.

Subodai stał na uboczu, zdumiony obrotem spraw. Nie widział w tym żadnego sensu. Po co zakładać nowe plemię w przededniu wojny domowej? I cóż takiego mogła dać Tenace ta nędzna banda hodowców kóz? Przekraczało to zdolność pojmwania wojownika Spearsów. Wszedł do pustego namiotu i posilił się nieco kawałkiem czarnego, gruboziarnistego chleba z serem.

Jakie to miało znaczenie?

Kiedy słońce będzie już wysoko, poprosi Tenakę o zwolnienie ze służby, zabierze swoich sześć koni i pojedzie do domu. Za cztery z nich kupi sobie wspaniałą żonę i odpocznie trochę wśród wzgórz na zachodzie. Podrapał się po brodzie zastanawiając się, jaka przyszłość czeka Tenakę Khana.

Myśl o odjeździe budziła w nim dziwny niepokój. Surowe życie Stepów przynosiło naprawdę niewiele interesujących chwil. Walka, miłość, płodzenie dzieci, jedzenie. Istniała też granica podniecenia, jakie mogły one wzbudzić w człowieku. Subodai miał trzydzieści cztery lata, a opuścił swoje plemię z powodu, którego nikt z jego współplemieńców nie potrafił

zrozumieć:

Nudził się!

Wszedł z powrotem na słońce. Na granicy obozowiska, w pobliżu zagrody dla koni dreptały w kółko kozy, a wysoko nad nimi krążył i nurkował krogulec.

Tenaka Khan wszedł przed namiot i stanął w pełnym blasku słońca naprzeciw Notas – ramiona skrzyżował na piersi, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Przywódca Notas zbliżył się, padł na kolana, pochylił się nisko i ucałował stopy Tenaki.

Następnie jeden po drugim, wszyscy członkowie plemienia poszli w jego ślady.

Renya obserwowała tę scenę z wnętrza namiotu. Niepokoiła ją ta ceremonia, podobnie jak niepokoiła ją nieznaczna zmiana, którą wyczuwała w kochanku.

Poprzedniej nocy kochali się pod przykryciem z futer. To właśnie wtedy zapaliły się w jej podświadomości pierwsze maleńkie iskielki strachu. Namiętność pozostała ta sama, dreszcz emocji w odpowiedzi na dotyk i zapierające oddech podniecenie. Jednak Renya wyczuwała w Tenace jakąś nową cechę, której nie potrafiła zrozumieć. Gdzieś w nim otworzyła się jedna furtka, a zamknęła inna. Odciął się od miłości. Tylko co ją zastąpiło?

Teraz, w trakcie ceremonii przyglądała się ukochanemu. Nie widziała jego twarzy, ale widziała twarze jego nowych poddanych: promieniały.

Gdy ostatnia z kobiet odeszła, Tenaka Khan odwrócił się i bez słowa wszedł do namiotu.

Małe iskiere strachu w duszy Reny i rozgorzały ogniem, ponieważ z jego twarzy odczytała wszystko. Nie był już wojownikiem dwóch światów. Stepy wypłyły jego drenajską krew, a to, co zostało, było czystym Nadirem.

Odwróciła głowę.

Przed południem koczownicy kazali kobietom złożyć namioty i zapakować je na wozy.

Pędząc stado kóz, nowe plemię powędrowało na północny wschód. Subodai nie poprosił o zwolnienie ze służby i jechał teraz u boku Tenaki oraz przywódcy Notas, Gitasi.

Tego wieczoru rozłożyli obóz na południowych stokach pasma lesistych wzgórz. Około północy, kiedy Gitasi i Tenaka rozmawiali przy ognisku, usłyszeli tętent kopyt, na dźwięk któ-

rego koczownicy zrywali się z posłań, chwytając miecze i łuki.

Tylko Tenaka pozostał na miejscu, siedząc ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku. Szepnął

coś do Gitasi, który sam przerażony pobiegł uspokoić swoich ludzi. Tętent stawał się coraz głośniejszy i wkrótce do obozu wjechało około stu jeźdźców, kierując się w stronę ogniska.

Tenaka udał, że ich nie zauważa, i nie przerwał zucia paska suchego mięsa.

Jeźdźcy ściągnęli wodze. – Jesteście na ziemi Wolfsheadów -powiedział dowódca, zeskakując z siodła. Miał na głowie hełm z brązu obsyty futrem i emaliowany, czarny napierśnik inkrustowany złotem.

Tenaka Khan podniósł na niego oczy. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat, jego potężne ręce pokrywała gęsta siatka blizn. Pół-Drenaj wskazał miejsce przy ogniu.

– Witaj w moim obozie – powiedział spokojnie. – Usiądź i posil się.

– Nie jadam z Notas – odparł tamten. – Jesteście na ziemi Wolfsheadów.

– Siadaj i jedz – powtórzył Tenaka. – Albo zginiesz tam, gdzie stoisz.

– Oszalałeś? – spytał wojownik i mocniej ścisnął rękojeść miecza. Książę Nadirów zignorował go, więc rozwścieczony mężczyzna uniósł broń do ciosu. W tym momencie mieszaniec błyskawicznym kopnięciem podciął mu nogi. Upadł z łoskotem, a Tenaka przetoczył

się do jego prawego boku i w jego dłoni błysnął nóż. Ostrze dotknęło gardła wojownika.

Wśród jeźdźców rozległy się gniewne pomruki.

– Milczeć w obliczu lepszych od siebie! – ryknął Tenaka. – A teraz, Ingis, czy usiądziesz i zjesz coś?

Mężczyzna zamrugał oczami, kiedy nóż odsunął się od jego szyi. Usiadł i podniósł miecz.

– Tańczące Ostrze?

– Każ swoim ludziom zsiąść z koni i odpocząć – powiedział pół-Drenaj. – Dziś nie będzie rozlewu krwi.

– Po co tu przyjechałeś, człowieku? To szaleństwo.

– Gdzie indziej miałbym być?

Ingis potrząsnął głową i wydał rozkaz: „Z koni”. Potem odwrócił się znowu do Tenaki.

– Saddleskull będzie zakłopotany. Nie będzie pewien, czy cię zabić, czy też zrobić z ciebie generała.

– Saddleskull zawsze był niezdecydowany – powiedział Tenaka. – Dziwię się, że go popierasz.

Ingis wzruszył ramionami. – Przynajmniej jest wojownikiem. A więc nie przybyłeś tu, żeby go poprzeć?

– Nie.

– Będę musiał cię zabić, Tańczące Ostrze. Jesteś zbyt potężny, by mieć cię za przeciwnika.

– Nie zamierzam służyć Knifespeaksowi.

– Po co więc przybyłeś?

– Ty mi powiedz, Ingis.

Wojownik spojrzał w oczy Tenaki. – Teraz jestem pewien, że oszalałeś. Jak możesz myśleć o rządzeniu? Saddleskull ma osiem tysięcy wojowników. Knifespeaks jest słaby ze swymi sześcioma tysiącami. Iloma ty dysponujesz?

– Jak widać.

– Ile to jest? Pięćdziesięciu? Sześćdziesięciu?

– Czterdziestu.

– I zamierzasz podbić plemię?

– Czy wyglądam na szalonego? Znałeś mnie, Ingis, widziałeś, jak rosnę. Czy miałeś mnie wtedy za szaleńca?

– Nie. Mogłeś zostać... – Ingis zaklął i splunął w ogień. – Wyjechałeś jednak. Zostałeś panem wśród Drenajów.

– Czy szamani już się naradzali? – zapytał Tenaka.

– Nie. Asta Khan zwołał naradę na jutro o zmierzchu.

– Gdzie?

– Przy grobie Ulryka.

– Będę tam.

Ingis pochylił się bliżej. – Ty chyba nie rozumiesz – wyszeptał. – Moim obowiązkiem jest cię zabić.

– Dlaczego? – zapytał Tenaka spokojnie.

– Dlaczego? Ponieważ służę Saddleskullowi. Zdradą jest nawet to, że siedzę tutaj i rozmawiam z tobą.

– Jak sam zauważyłeś, Ingis, moje wojsko jest bardzo małe. Nikogo nie zdradasz. Pomyśl jeszcze o tym: przyrzekłeś posłuszeństwo Khanowi Wilków, lecz on zostanie wybrany dopiero jutro.

– Nie bawmy się słowami, Tenaka. Przyrzekłem poparcie Saddleskullowi przeciwko Knifespeksowi. Nie wycofam się.

– I nie powinieneś – powiedział Tenaka. – Nie byłbyś mężczyzną. Ja jednak jestem także przeciwko Knifespeksowi, co czyni z nas sprzymierzeńców.

– Nie, nie, nie! Ty występujesz przeciwko obydwu, a to czyni z nas wrogów.

– Ja mam wizję, Ingis – marzenie Ulryka. Ci ludzie, którzy są ze mną, należeli kiedyś do plemienia Doublehairów. Teraz należą do mnie. Ten krępy przy ostatnim namiocie pochodzi ze Spearsów. Teraz jest mój. Ta czterdziestka reprezentuje trzy pokolenia. Jeśli się zjednoczymy, świat należy do nas. Nie jestem niczym wrogiem. Jeszcze nie.

– Zawsze miałeś głowę na karku i byłeś mistrzem szermierki. Gdybym wiedział, że się zjawisz, wstrzymałbym się z deklaratorem mojego poparcia.

– Poczekaj do jutra, a dziś zjedz i odpocznij.

– Nie mogę z tobą siadać do posiłku – powiedział Ingis wstając. – Jednak nie zabiję cię. Nie dzisiaj. – Podszedł do swojego konia i wskoczył na siodło. Jego ludzie w pośpiechu dosiedli swoich wierzchowców, a Ingis podniósł rękę na pożegnanie i poprowadził ich w ciemność.

Subodai i Gitasi przybiegli do ogniska, gdzie Tenaka Khan w milczeniu kończył kolację.

– Dlaczego? – zapytał Subodai. – Dlaczego nas nie zabili? Tenaka uśmiechnął się, a potem ziewnął ostentacyjnie. -

Jestem zmęczony. Pójdę spać.

W dolinie poniżej to samo pytanie zadał Ingisowi jego syn, Sember.

– Nie potrafię ci tego wyjaśnić – powiedział Ingis. – Nie zrozumiesz.

– To mi wytłumacz! On jest mieszańcem, a za nim wlecze się ogon szumowin z Notas.

Nawet cię nie poprosił, żebyś do niego przyszedł.

– Moje gratulacje, Sember! Zazwyczaj nie potrafisz pojąć żadnych subtelności, ale tym razem przeszedłeś sam siebie.

– Co przez to rozumiesz?

– To proste. Właśnie trafiłeś w sedno; podałeś powód, dlaczego nie zabiłem Tenaki. Oto człowiek bez szans na sukces, którego przeciwnik ma pod sztandarem dwadzieścia tysięcy ludzi.

A jednak nie poprosił mnie o pomoc. Zgadnij dlaczego.

– Ponieważ jest głupcem.

– Są takie chwile, Sember, kiedy gotów jestem uwierzyć, że twoja matka miała kochankę.

Patrząc na ciebie, zastanawiam się, czy to nie był jeden z moich kozłów.

Rozdział 19

Tenaka czekał w ciemności i milczeniu, aż ucichły wszelkie odgłosy życia w niewielkim obozie. Następnie podniósł połę namiotu i spojrzął na wartowników. Ich oczy przepatrywały drzewa wokół obozu i nie interesowali się tym, co się działo w jego obrębie. Tenaka wysliznął

się z namiotu i przytulając się do cieni rzucanych przez powykrzywiane drzewa, bezszelestnie zagłębił się w ciemność lasu.

Przez kilka mil posuwał się ostrożnie naprzód, najpierw w dół, a później pod górę, w kierunku odległych wzgórz. Na jakieś trzy godziny przed świtem dotarł do krawędzi lasu i zaczął

się wspinać stromym już teraz zboczem. Daleko w dole, po prawej stronie znajdował się marmurowy grobowiec Ulryka – a także wojska Knifespeksa i Saddleskulla.

Wojna domowa wydawała się nieuchronna, a Tenaka miał nadzieję przekonać tego, kto zostanie Khanem, że pomoc udzielona Drenajom przyniesie korzyści. Złoto należało w Stepach do rzadkości. Teraz mogło się to zmienić.

Wspiął się, aż dotarł do skalnej ściany, poznaczonej jaskiniami jak skóra śladami po ospie.

Był już tutaj raz przed wieloma laty, gdy Jongir Khan uczestniczył w naradzie szamanów. Wtedy pozostał razem z dziećmi i wnukami Jongira na zewnątrz, podczas gdy Khan samotnie zagłębił

się w ciemność. Mówiono, że w tych prastarych miejscach odprawiano przerażające obrzędy i że żaden człowiek nie mógł tam wejść bez zaproszenia. Według szamanów jaskinie były wrotami samych Piekieł, a demony czaiły się w każdym kącie.

Tenaka dotarł do wejścia do największej jaskini. Przystanął, starając się skupić myśli.

Nie ma innego sposobu – powiedział sobie.

I wszedł.

Ogarnęła go całkowita ciemność. Potknął się. Poszedł jednak dalej, wyszukując sobie drogę wyciągniętymi rękami.

Jaskinie wiły się, skręcały, rozdzielały i łączyły na nowo. Tenaka stopniowo zdołał

opanować dręczący go strach. Miał wrażenie, że znalazł się w plastrze miodu. Mógł tak wędrować, zagubiony w tych nieprzeniknionych ciemnościach, aż do śmierci z głodu i pragnienia.

Posuwał się dalej, odnajdując drogę wzdłuż zimnej ściany skalnej, która nagle się skończyła, odchodząc pod kątem prostym w prawo. Poszedł dalej z rękami wyciągniętymi przed siebie.

Poczuł na twarzy dotyk chłodnego powietrza. Przystanął, nasłuchując. Miał wrażenie, że ze wszystkich stron otacza go wolna przestrzeń, a – co ważniejsze – czuł wokół siebie obecność ludzi.

– Szukam Asta Khana – powiedział, a jego głos rozszedł się echem w jaskini.

Cisza.

Z lewej i prawej strony usłyszał ciche szmery. Zatrzymał się i złożył ręce na piersiach.

Dotknęły go dłonie, dziesiątki dłoni. Poczuł, jak pozbawiły go najpierw miecza, a potem noża. Po chwili wycofały się.

– Powiedz swoje imię! – rozkazał głos, suchy i nieprzyjazny jak pustylny wiatr.

– Tenaka Khan.

– Opuściłeś nas wiele lat temu.

– Wróciłem.

– Najwidoczniej.

- Nie wyjechałem ze swojej własnej woli. Zostałem odesłany.
- Dla swojego własnego dobra. Inaczej zostałbyś zabity.
- Być może.
- Dlaczego wróciłeś?
- To nie jest proste pytanie.
- Zastanów się więc nad odpowiedzią.
- Przybyłem, żeby pomóc przyjacielowi. Przybyłem, żeby zebrać armię.
- Drenajskiemu przyjacielowi?
- Tak.
- A potem?
- A potem ziemia przemówiła do mnie.
- Jakimi słowy?
- Nie słyszałem słów. Przemówiła milczeniem, sercem do serca. Powitała mnie jak syna.
- Przybycie tutaj bez wezwania oznacza śmierć.
- Kto decyduje, co jest wezwaniem? – zapytał pół-Drenaj.
- Ja.
- Zatem ty mi odpowiedz, Asta Khanie – czy zostałem wezwany?

Ciemność opadła z oczu Tenaki i zobaczył, że znajduje się w ogromnej sali. Wszędzie dookoła lśniły pochodnie. Ściany były gładkie, wykładane kryształem o wszystkich barwach tęczy, a ze strzelistego sklepienia zwieszały się lśniące jak włócznie stalaktyty. Jaskinia była pełna ludzi, szamanów ze wszystkich plemion.

Tenaka zamrugał oczami. Pochodnie nie zapaliły się teraz; płonęły przez cały czas – to jego oczy oślepiły.

– Coś ci pokażę, Tenako – powiedział Asta Khan, wyprowadzając go z jaskini. – Oto ścieżka, którą przyszedłeś do mnie.

Przed nimi otwierała się przepastna otchłań, przez którą przerzucona była wąska kamienna kładka.

– Przeszedłeś przez ten most nie widząc. Tak więc, owszem, zostałeś wezwany. Chodź za mną!

Wiekowy szaman zabrał go z powrotem przez most do niewielkiego pomieszczenia przy głównym wejściu jaskini. Tam usiedli obaj na kozłach skórach.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał Asta Khan.

– Chcę, żebyś zarządził Próbę Szamanów.

– Saddleskull nie musi brać w tym udziału. Przewyższa liczebnie brata i ma szansę wygrać bój.

– Tysiące naszych braci zginie.

– To sposób Nadirów, Tenaka.

– Próba Szamanów będzie oznaczać śmierć tylko dwóch – powiedział mieszaniec.

– Mów jasno, młody człowieku! Bez Próby nie masz szansy wygrać. Podczas obrzędu twoje szansę rosną na jeden do trzech. Czy naprawdę troszczysz się o powstrzymanie wojny domowej?

– Naprawdę. Chciałbym, podobnie jak Ulryk, stworzyć jeden naród.

– A co z twoimi drenajskimi przyjaciółmi?

– Nadal nimi są.

– Nie jestem głupcem, Tenaka Khan. Przeżyłem wiele, wiele lat i umiem czytać w sercach ludzi. Podaj mi rękę i pozwól mi zajrzeć do twojej duszy. Wiedz jedno – jeśli odkryję w niej fałsz, zabiję cię.

Tenaka wyciągnął rękę, a starzec ujął ją w swoje dłonie. Pozostali w tej pozycji przez kilkanaście sekund, potem Asta Khan uwolnił go.

– Władza szamanów objawia się w rozmaity sposób. Na ogół bardzo rzadko ingeruje się bezpośrednio w sprawy plemion. Rozumiesz?

– Tak.

– Jednak w tym przypadku przychylię się do twojej prośby. Gdy jednak Saddleskull usłyszy o tym, przyśle swojego egzekutora. Ten rzuci wyzwanie – tylko tyle może zrobić.

– Rozumiem.

– Chcesz coś o nim wiedzieć?

– Nie, to bez znaczenia.

– Jesteś pewny siebie.

– Jestem Tenaka Khan.

Dolina Grobowca rozciągała się pomiędzy dwoma pasmami stalowoszarych gór; znano je pod nazwą Szeregów Olbrzymów i sam Ulryk wyznaczył ją na miejsce swojego pochówku.

Bawiła go myśl, że ci odwieczni wartownicy będą stali na straży jego doczesnych szczątków.

Sam grobowiec był zbudowany z piaskowca i pokryty marmurem. Czterdzieści tysięcy niewolników zginęło w czasie budowy monolitu uformowanego na kształt korony, której Ulryk nigdy nie nosił. Białą wieżę otaczało sześć spiczastych wieżyczek, a wszystkie powierzchnie zapisano wyrytymi, olbrzymimi runami, które opowiadały światu i wszystkim następnym pokoleniom o tym, że leżał tutaj Ulryk Zdobywca, największy wódz Nadirów.

A jednak charakterystyczne dla Ulryka poczucie humoru przebijało nawet przez trupioblade mury tego kolosa. Jedyna rzeźba, przedstawiająca Khana, ukazywała go jadącego konno i w koronie na głowie. Ustawiona na wysokości sześćdziesięciu stóp, w głębi poza łukowatą bramą, miała przedstawiać Ulryka czekającego pod bramami Dros Delnoch, jego jedynej porażki. Na głowie miał koronę, umieszczoną przez ventryjskich rzeźbiarzy, którzy nie umieli sobie wyobrazić, że człowiek nie będący królem potrafił dowodzić wielomilionową armią. To był

subtelny żart z rodzaju tych, jakie podobały się Ulrykowi.

Po wschodniej i zachodniej stronie grobowca rozłożyły się obozem wojska dwóch wrogich sobie krewniaków: Shirrata Knifespeksa i Tsuboy'a Saddleskulla. Ponad sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi czekało na wynik Próby Szamanów.

Mieszaniec poprowadził swoich ludzi w dół doliny. Siedział wyprostowany na drenajskim ogierze, a obok niego jechał Gitasi, którego przepełniała duma. Nie należał już do Notasów –

znowu był człowiekiem.

Tenaka Khan zbliżył się do południowego narożnika grobowca i zsiadł z konia. Wieść o jego przybyciu rozeszła się już w obydwu obozach i setki wojowników zaczęło ściągać do jego obozowiska.

Kobiety Gitasiego zajęły się stawianiem namiotów, podczas gdy mężczyźni, zatroszczywszy się o konie, zajęli miejsca wokół Tenaki. Khan Cieni usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i zapatrzył się w grobowiec. Wydawał się być myślami daleko i nie zauważał krążących wokół

gapiów.

Nagle padł na niego czyjś cień. Odczekał kilka sekund pozwalając, by zniewaga stała się wyraźna, a potem wstał. Ten moment musiał nadejść – ruch otwierający niezbyt subtelną grę.

– Czy to ty jesteś tym mieszańcem? – zapytał mężczyzna. Był wysoki jak na Nadira, młody, może dwudziestoparoletni. Tenaka Khan przyglądał mu się chłodno, dostrzegając wyważoną postawę, wąskie biodra i szerokie ramiona, mocne ręce i wypukłą pierś. Z pewnością był

szermierzem i biła od niego pewność siebie. To był oczekiwany egzekutor.

– A kimże ty jesteś, dzieciaku? – spytał Tenaka Khan.

– Jestem prawdziwym nadiryjskim wojownikiem i synem takiegoż. Drażni mnie, że jakiś kundel miałby stanąć przed grobem Ulryka.

– Zatem odejdz i gdzie indziej dokończ swoje szczekanie – odparł pół-Drenaj. Tamten uśmiechnął się.

– Dość tych bzdur – powiedział. – Przyszedłem, żeby cię zabić. To oczywiste. Zaczynamy.

– Jesteś zbyt młody, by pragnąć śmierci – rzekł Tenaka.

– A ja nie jestem jeszcze dość stary, żeby ci jej odmówić. Jak masz na imię?

– Purtsai. Dlaczego chcesz znać moje imię?

– Jeśli mam zabić brata, chcę znać jego imię. W ten sposób ktoś go będzie pamiętał. Dobądź miecza, chłopcze.

Tłum cofnął się, tworząc wokół walczących ogromny, pusty krąg. Purtsai wy dobył szablę i sztylet. Tenaka wyjął swój krótki miecz i zwinnie chwycił nóż, podrzucony mu przez Subodai.

I tak rozpoczął się pojedynek.

Purtsai był dobrym szermierzem, zręcznością przewyższał znakomitą większość współplemieńców. Wspaniale pracował nogami i ruszał się zwinnie, w sposób rzadko spotykany wśród krępych, przysadzistych wojowników nadiryjskich. Zmieniał pozycje oszalamiająco szybko i z niezwykłym opanowaniem.

Zginął przed upływem dwóch minut.

Subodai wyszedł z tłumu i wziął się pod boki, stając nad ciałem. Z rozmachem kopnął

zwłoki, a potem splunął na nie. Obrzucił spojrzeniem przyglądających się wojowników i splunął

jeszcze raz. Czubkiem stopy odwrócił trupa na plecy.

– To był najlepszy z was? – rzucił pytanie w tłum. Potrząsnął głową z udanym smutkiem. –

Co też się z wami stanie?

Tenaka Khan wrócił do namiotu i pochyliwszy się, wszedł do środka. Wewnątrz czekał Ingis, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na kawałku futra i popijając kielich nyisu, spirytusu destylowanego z koziego mleka. Tenaka usiadł naprzeciw niego.

– Nie zabrało ci to dużo czasu – stwierdził.

– Był młody, niedoświadczony. Ingis pokiwał głową.

– Odradzałem Saddleskullowi wysyłanie go.

– Nie miał wyboru.

– Nie. A więc... jesteś tutaj.

– Wątpiłeś w to?

Ingis potrząsnął przecząco głową. Zdjął hełm i podrapał się po głowie pod rzadziejącymi, siwymi włosami.

– Pytanie tylko, Tańczące Ostrze, co ja mam z tobą zrobić?

– Czy to cię martwi?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo jestem w potrzasku. Chciałbym się opowiedzieć po twojej stronie, bo wierzę, że ty jesteś przyszłością. Jednak nie mogę, bo przyrzekłem poprzeć Saddleskulla.

– Drażliwa sprawa – zgodził się Tenaka, posilając się kielichem Nyisu.

– Co ja mam zrobić? – zapytał Ingis. Pół-Drenaj spojrzał w jego mocną, szczerą twarz.

Wystarczyło tylko poprosić, a człowiek ten był jego. Złamałby dany Saddleskullowi ślub i oddałby mu swoich wojowników. Tenaka poczuł pokusę, którą jednak z łatwością powstrzymał.

Złamawszy obietnicę, Ingis już nigdy nie byłby tym samym człowiekiem, ponieważ ten czyn prześladowałby go do końca życia.

– Dziś wieczorem – powiedział Tenaka – rozpoczyna się Próba Szamanów. Ubiegający się o przywództwo zostaną poddani sprawdzianom, a Asta Khan wyznaczy Wodza. Temu człowiekowi winieneś posłuszeństwo. Aż do tego czasu jesteś związany z Saddleskullem.

– A jeśli rozkaże mi cię zabić?

– To będziesz musiał mnie zabić, Ingis.

– Wszyscy jesteśmy głupcami – powiedział z goryczą nadiryjski generał. – Honor? Co Saddleskull wie o honorze? Przeklinam dzień, w którym przysiągłem mu wierność!

– Idź teraz. Wyrzuć z głowy podobne myśli – rozkazał Tenaka. – Mężczyzna popełnia błędy, ale uczy się z nimi żyć. Czasami są one głupie. Jednak zazwyczaj jest to jedyny sposób życia.

Jesteśmy tacy, jacy mówimy, że jesteśmy, tylko dopóty, dopóki nasze słowa są mocne jak żelazo.

Ingis wstał i skłonił się. Po jego odejściu Tenaka napełnił ponownie swój kielich i opadł na wypchane poduszki rozrzucone wokół futra.

– Wyjdź, Renya! – zawołał. Wsunęła się z części sypialnej namiotu i przysiadłszy obok niego, wzięła go za rękę.

– Bałam się o ciebie, kiedy ten wojownik rzucił ci wyzwanie.

– Mój czas jeszcze nie nadszedł.

– On powiedziałby to samo – zauważyła.

– Tak, lecz on się mylił.

– A ty zmieniłeś się aż tak bardzo? Teraz jesteś już nieomylny?

– Jestem w domu, Renya. Czuję się tutaj kimś innym. Nie potrafię tego wytłumaczyć i nie próbowałem jeszcze znaleźć racjonalnego wyjaśnienia. Jest to jednak cudowne uczucie. Zanim tu przybyłem, czułem się niepełny. Samotny. Tutaj jestem pełnowartościowym człowiekiem.

– Rozumiem.

– Nie, nie sądzę, żebyś rozumiała. Myślisz, że cię krytykuję; słyszysz, jak mówię o samotności i dziwisz się. Nie zrozum mnie źle. Kocham cię i jesteś dla mnie źródłem nieustannej radości. Nie miałem jednak przed sobą wyznaczonego celu i dlatego wciąż nie przestałem być tym, czym nazwali mnie szamani, kiedy byłem dzieckiem: Księciem Cieni. Byłem cieniem w świecie kamiennej rzeczywistości. Teraz to się zmieniło. Mam cel w życiu.

– Chcesz być królem – powiedziała ze smutkiem.

– Tak.

– Chcesz podbić świat. Nie odpowiedział.

– Widziałeś na przykładzie Ceski, do czego prowadzi ambicja. Widziałeś okropności wojny.

A to, o czym myślisz, sprowadzi więcej nieszczęść, niż przyśniłoby się Cesce.

– Nie musi dojść do nieszczęścia.

– Nie oszukuj się, Tenako Khanie. Wystarczy, że wyjrzysz z tego namiotu. To dzikusy – żyją walką... zabijaniem. Nie wiem, po co ci to mówię. Moje słowa nie dotrą do ciebie. Jestem przecież tylko kobietą.

– Jesteś moją kobietą.

– Byłam. Już nie jestem. Masz teraz inną kobietę. Jej piersi to góry, a jej nasienie czeka, by się rozlać po całym świecie. Jakiż z ciebie bohater, wielki Khan! Twój przyjaciel czeka na ciebie.

Zaślepiiony lojalnością wierzy, że zobaczy, jak nadjeżdżasz na białym koniu na czele swoich Nadirów. Wtedy zło upadnie, a Drenajowie odzyskają wolność. Wyobraź sobie jego zdziwienie, kiedy zniewolisz jego naród!

– Powiedziałaś już dosyć, Renya. Nie zdradzę Ananaisa. Nie zamierzam podbijać Drenajów.

– Teraz, może nie. Jednak pewnego dnia nie będziesz miał wyboru. Zostaną tylko oni.

– Nie jestem jeszcze Khanem.

– Czy wierzysz w skuteczność modlitwy? – zapytała nagle ze łzami w oczach.

– Czasami.

– A więc pomyśl o tym: modlę się, żebyś dzisiaj przegrał, nawet jeśli to oznacza twoją śmierć.

– Będzie, jeśli przegram – powiedział Tenaka Khan. Ale jej już nie było.

Wiekowy szaman przykucnął w kurzu i wpatrywał się w napięciu w kociołek rozżarzonych węgla umieszczony na żelaznym stojaku. Dookoła niego zasiedli wodzowie plemion nadiryjskich, generałowie, władcy Hordy.

Z daleka od tłumu, pośrodku kamiennego kręgu, siedzieli trzej kuzyni: Tsuboy Saddleskull, Shirrat Knifespeaks i Tenaka Khan.

Wszyscy trzej przyglądali się sobie z zaciekawieniem. Saddleskull był krępym, mocno zbudowanym mężczyzną z zaplecionym na czubku głowy warkoczykiem i niedużą brodą. Jego nagie do pasa ciało lśniło od olejku.

Knifespeaks był znacznie szczuplejszy, a jego długie, przetykane siwymi nitkami włosy były spięte na karku. Podłużną twarz uwydatniały opadające w dół wąsy, nadając jej wyraz grobowej powagi. Oczy miał jednak przenikliwe i czujne.

Tenaka Khan siedział z nimi w milczeniu, przyglądając się grobowcowi, który srebrzył się w świetle

księżycu. Saddleskull hałaśliwie zaciskał palce dłoni, naprężał mięśnie pleców. Denerwował się. Od lat planował przejście kontroli nad Wilkami. A oto teraz – posiadając wojsko większe niż brat – został zmuszony do postawienia całej swej przyszłości na jedną kartę. Taka była moc szamanów. Próbował ignorować Asta Khana, ale nawet jego generałowie – tacy powszechnie szanowani wojownicy jak Ingis – nalegali, by poddał się jego mądrości. Nikt nie pragnął bratobójczej walki między Wilkami. Tenaka Mieszaniec nie mógł sobie wybrać bardziej odpowiedniego momentu na powrót do domu. Saddleskull zaklął w myślach.

Asta Khan wstał z trudem. Był stary, starszy od najstarszych pośród wszystkich plemion, a o jego mądrości opowiadano legendy. Podszedł powoli i zatrzymał się przed trójką w kręgu; znał ich bardzo dobrze – podobnie jak ich ojców i dziadów – i widział nawet istniejące między nimi podobieństwo.

Podniósł prawe ramię. – My Nadirowie! – krzyknął głosem zadającym kłam przeżyтым latom. Ten głos, dźwięczny i mocny, unosił się ponad zbitymi szeregami ludzi, którzy odpowiedzieli uroczystym okrzykiem.

– Z tego współzawodnictwa nie można się wycofać – powiedział szaman, zwracając się do trójki. – Jesteście związani węzłami krwi. W każdym z was płynie krew wielkiego Khana. Czy nie możecie się zgodzić między sobą co do tego, kto będzie przewodził?

Czekał przez kilkanaście sekund, lecz żaden z nich nie przerwał milczenia.

– Posłuchajcie więc mądrości Asta Khana. Oczekujecie, że będziecie walczyć między sobą –

widzę, że wasze ciała są gotowe, tak samo jak broń. Nie będzie jednak między wami krwawego starcia. Zamiast tego wyślę was do miejsca, które nie należy do tego świata. Ten, który powróci, zostanie Khanem, ponieważ odnajdzie hełm Ulryka. Śmierć zajrzy wam w oczy, wkroczycie bowiem do jej królestwa. Ujrzycie przerażające widoki, usłyszycie jęki umarłych. Czy nadal pragniecie poddać się tej próbie?

– Zaczynamy! – warknął Saddleskull. – Gotuj się na śmierć, kundlu – szepnął do Tenaki.

Szaman zrobił krok do przodu i położył dłoń na głowie Saddleskulla. Oczy wojownika zamknęły się, a głowa opadła. Następny był Knifespeaks... potem Tenaka.

Asta Khan przykucnął przed śpiącą trójką i zamknął oczy.

– Wstańcie! – rozkazał.

Trzej mężczyźni otworzyli oczy i wstali, mrugając ze zdumienia. Wciąż znajdowali się przed grobowcem Ulryka, tyle że teraz zostali sami. Zniknęli gdzieś wojownicy, namioty i ogniska.

– Co to znaczy? – zapytał Knifespeaks.

– Oto grobowiec Ulryka – odpowiedział Asta Khan. – Wszystko, co musicie zrobić, to przynieść

hełm śpiącego Khana.

Knifespeaks i Saddleskull skoczyli w stronę grobowca. Nie było w nim żadnych widocznych wejść – żadnych drzwi, tylko gładki, biały marmur. Tenaka usiadł na ziemi, a obok niego kucnął szaman.

– Dlaczego nie szukasz razem z kuzynami? – zapytał.

– Wiem, gdzie szukać.

Asta Khan pokiwał głową. – Wiedziałem, że wrócisz.

– Skąd?

– Tak było zapisane.

Tenaka patrzył, jak okrążali grobowiec, czekając na moment, kiedy obaj znikną z pola widzenia. Potem powoli wstał i pospieszył do wieży. Wspinaczka nie była trudna, ponieważ marmurowe płyty zostały przytwierdzone do piaskowca, a ich spojenia pozostawiały uchwyty dla rąk. Przebył już połowę drogi do posągu Ulryka, gdy dostrzegli go dwaj pozostali. Usłyszał, jak Saddleskull zaklął i wiedział, że ruszyli za nim.

Dotarł do łukowatej wnęki. Miała siedem stóp głębokości, a statuę Ulryka umieszczono w głębi, przy przeciwległej ścianie.

– Król Poza Bramą!

Tenaka Khan bardzo ostrożnie ruszył naprzód. Tuż za przejściem znalazł ukryte drzwi, które po pchnięciu otworzyły się, skrzypiąc.

Saddleskull i Knifespeaks pojawili się prawie jednocześnie. Przestraszeni, że Tenaka może ich wyprzedzić, zapomnieli o wzajemnej wrogości. Widząc otwarte drzwi rzucili się ku nim, lecz Saddleskull cofnął się w momencie, kiedy Knifespeaks przekroczył próg. Nagle rozległ się głośny trzask i trzy włócznie wbiły się w pierś Knifespeaksa, przebijając ją na wylot. Upadł na twarz. Saddleskull obszedł trupa i zobaczył, że włócznie przymocowano do deski, która była zawieszona na szeregu lin. Wstrzymał oddech, natężając słuch. Słyszał szmer piasku, spadającego na kamień. Przyklęknął – pod progiem błyszczało stłuczone szkło. Stamtąd płynęła strużka drobniotkich ziarenek.

Kiedy Knifespeaks stłukł szklane naczynie, naruszył równowagę konstrukcji i zwolnił

śmiertelną pułapkę. Tylko jak udało się jej uniknąć Tenace? Saddleskull zaklął i ostrożnie ruszył

naprzód. Dlaczego nie miałby przejść, jeśli udało się to mieszkańcowi? Gdy tylko zniknął, pół-

Drenaj wyszedł zza upiornego posągu Khana. Zatrzymał się, żeby zbadać pułapkę, która zabiła Knifespeaksa, a potem bezgłośnie wszedł do grobowca.

Znajdujący się dalej korytarz powinien być całkowicie ciemny, a jednak rozświetlał go niesamowity zielonkawy blask, dobywający się ze ścian. Mieszaniec na czworakach posuwał się naprzód, dokładnie badając ściany po obu stronach. Z pewnością czyhały tu nań kolejne pułapki.

Tylko gdzie?

Korytarz kończył się spiralnymi schodami, opadającymi do wnętrza grobowca. Tenaka opukał kilka pierwszych stopni – wydawały się solidne. Ściana wzdłuż nich wyłożona była cedrowymi płytami. Książę Nadirów usiadł na pierwszym. Po co wykładać płytami klatkę schodową?

Zerwał jedną ze ścian i ruszył w dół, badając każdy schodek. W połowie drogi poczuł

delikatne drgnienie pod prawą stopą i cofnął nogę. Położył cedrową taflę płasko na krawędziach stopni, kładąc się na niej plecami i podnosząc stopy. Zaczął zjeżdżać w dół. W momencie gdy dotknął schodka – pułapki, usłyszał świst stalowego ostrza tuż nad głową. Nabierając prędkości, płyta sunęła w dół, jeszcze trzykrotnie zwalniając śmiertelne pułapki. Jednak szybkość prowizorycznych sań była tak wielka, że Tenaka wyszedł z tych zasadzek bez szwanku. Zapierał

się o ściany stopami obutymi w ciężkie buty, próbując wytracić prędkość, ale ręce i nogi miał już poobijane i posiniaczone.

Tafla z hukiem zatrzymała się u podnóża schodów, wyrzucając pół-Drenaja w powietrze. W

tej samej chwili mieszaniec rozluźnił mięśnie i zwinął się w kulę. Uderzenie o przeciwległą ścianę wypchnęło całe powietrze z jego płuc. Jęknął, klękając. Ostrożnie obmacał zebra, przynajmniej jedno wydawało się być złamane. Rozejrzał się po izbie. Gdzie podział się Saddleskull? Odpowiedź nadeszła kilka sekund później: słysząc łoskot, dobiegający ze schodów, uśmiechnął się i odsunął na bok. Saddleskull minął go w pędzie -jego płyta rozsypała się w drzazgi, a ciało wyrzucone zostało w stronę przeciwległej ściany. Siła uderzenia spowodowała, że Tenaka skrzywił się.

Saddleskull jęknął i chwiejnie wstał. Dostrzegłszy przeciwnika, wyprostował się.

– Nie zabrało mi dużo czasu przejrzanie twojego planu, mieszańcu!

– Zdziwiasz mnie. Jak to się stało, że znalazłeś się za moimi plecami?

– Ukryłem się obok ciała.

– Cóż, jesteśmy na miejscu – powiedział Tenaka, wskazując na sarkofag, umieszczony na podwyższeniu na środku izby.

– Pozostało tylko sięgnąć po hełm.

– Tak – powiedział Saddleskull.

– Otwórz trumnę – powiedział Tenaka, uśmiechając się.

– Tyją otwórz.

– Daj spokój, kuzynie. Nie możemy spędzić tutaj reszty naszego życia. Zróbmy to razem.

Oczy Saddleskulla zwięziły się. Przy trumnie prawie na pewno zastawiono pułapkę, a on nie chciał umierać. Jeżeli jednak pozwoli otworzyć ją Tenace, tamten zyska nie tylko hełm, ale – co ważniejsze – także i miecz Ulryka.

Saddleskull uśmiechnął się. – Bardzo dobrze – powiedział.

– Razem!

Podeszli do trumny i podnieśli marmurowe wieko, które uniosło się skrzypiąc. Pchnęli jeszcze raz i wieko spadło na posadzkę, rozbijając się na trzy części. Saddleskull sięgnął po miecz, leżący na piersi znajdującego się wewnątrz szkieletu. Tenaka porwał hełm i odskoczył

pod przeciwległą ścianę. Saddleskull uśmiechnął się.

– Cóż, kuzynie. Co teraz zrobisz?

– Mam hełm – powiedział Tenaka.

Saddleskull skoczył, tnąc zaciekle, lecz Tenaka uchylił się i przebiegł na drugą stronę trumny.

– Możemy to ciągnąć bez końca – powiedział pół-Drenaj.

– Całą wieczność możemy krążyć wokół tej trumny.

Jego przeciwnik chrząknął i splunął. Mieszaniec mówił prawdę – miecz był bezużyteczny, dopóki nie można dosięgnąć nim wroga.

– Oddaj mi hełm – powiedział Saddleskull. – Wtedy obaj przeżyjemy. Jeśli zgodzisz się służyć mi, uczynię cię moim głównodowodzącym.

– Nie, nie będę ci służył – powiedział Tenaka. – Jednak możesz dostać hełm, jeśli przystaniesz na jeden warunek.

– Jaki!

– Pozwolisz mi poprowadzić trzydzieści tysięcy jazdy do kraju Drenajów.

– Co? Dlaczego?

– Możemy to omówić później. Przysięgasz?

– Przysięgam. Daj mi hełm.

Gdy Tenaka rzucił hełm poprzez trumnę, Saddleskull chwycił go zwinnie i wcisnął sobie na głowę

krzywiąc się, kiedy ostra metalowa krawędź ukłuła go w czaszkę.

– Jesteś naiwny, Tenaka. Czy Asta Khan nie powiedział ci, że tylko jeden powróci? Teraz ja mam wszystko.

– Nic nie masz, głupcze. Jesteś martwy! – powiedział Tenaka.

– Puste słowa – zaśmiał się szyderczo Saddleskull. Tenaka roześmiał się. – Ostatni żart Ulryka! Nikt nie może nosić jego hełmu. Czy poczułeś ukłucie, kuzynie, kiedy zatruta igła wbiła ci się w skórę?

Miecz wypadł z ręki Saddleskulla, a nogi ugięły się pod nim. Usiłował jeszcze wstać, lecz śmierć wciągnęła go w swą otchłań. Tenaka odzyskał to, po co przyszedł, a miecz włożył do trumny.

Powoli wspiął się po schodach, przeciskając się obok sterczących ze ściany ostrzy.

Znalazłszy się z powrotem na świeżym powietrzu, usiadł i przytulił do siebie zdobycz. Była zrobiona z brązu, obramowana białym futrem i ozdobiona srebrem.

Daleko w dole siedział Asta Khan, spoglądając na księżyc. Tenaka zszedł do niego. Starzec nie obejrzał się.

– Witaj Tenako Khanie, Władco Władców! – powiedział.

– Zabierz mnie do domu – rozkazał Tenaka.

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Jest ktoś, kogo musisz spotkać. – Z ziemi podniósł się tuman białej mgły, zawirował wokół nich, a z jego głębi wyłoniła się potężna postać.

– Dobrze się spisałeś – powiedział Ulryk.

– Dziękuję.

– Czy masz zamiar dotrzymać słowa danego przyjaciołom?

– Tak.

– A więc Nadirowie pojedą na pomoc Drenajom?

– Tak jest.

– Tak powinno być. Mężczyzna musi trwać u boku przyjaciela. Wiesz jednak, że Drenajowie muszą się ugiąć przed tobą? Tak długo, jak oni trwają, dla Nadirów nie ma przyszłości.

- Zdaję sobie z tego sprawę.
- I jesteś przygotowany pokonać ich... obalić ich imperium?
- Jestem.
- To dobrze. Chodź za mną.

Tenaka usłuchał, a Khan poprowadził go nad brzeg ciemnej rzeki. Siedział tam starzec, który odwrócił się do nadchodzących. Nadir rozpoznał w nim Aulina, dawnego kapłana Źródła, który zmarł w barakach Smoka.

- Czy dotrzymałeś słowa? – zapytał. – Czy zaopiekowałeś się Renyą?
- Tak.
- Więc usiądź przy mnie, a ja także dotrzymam danego ci słowa.

Tenaka usiadł, a starzec wyprostował się i spojrzał na ciemną toń.

- Odnalazłem wiele machin zbudowanych przez Starszych. Przejrzałem ich książki i notatki.

Eksperymentowałem. Poznałem większość ich tajemnic. Zdawali sobie sprawę, że Upadek jest nieuchronny i pozostawili wiele wskazówek dla przyszłych pokoleń. Świat jest kulą, wiedziałeś o tym?

- Nie – powiedział Tenaka.
- Tak właśnie jest. Na jej szczycie rozciąga się świat lodu. Drugi znajduje się u jej podstawy.

Wokół jej środka panuje piekielny upał. Kula ta wiruje wokół słońca.

- Aulin, nie mam na to czasu. Co chciałeś mi powiedzieć? – Proszę, wojowniku, wysłuchaj mnie. Tak pragnąłem podzielić się z kimś tą wiedzą – to dla mnie ważne.
- No dobrze, wysłucham ciebie.

– Świat wiruje, a lód na biegunach narasta z każdym dniem: miliony ton lodu, codziennie przez tysiące lat. Na koniec kula zaczyna się chwiać, a później wywraca się. Wtedy oceany podnoszą się i zalewają ląd. A potem lód zsuwa się i zakrywa wszystkie kontynenty. To właśnie jest Upadek. To przydarzyło się Starszym. Rozumiesz? W ten sposób ludzkie marzenia obracają się w proch.

- Rozumiem. Jakie to ma znaczenie dla mnie?

– Machiny Starszych – one nie działają tak, jak myśli Ceska. Niemożliwe jest fizyczne połączenie zwierzęcia i człowieka. Polega to raczej na sprzężeniu ich sił witalnych na zasadzie delikatnej równowagi. Starsi wiedzieli, że ważne – najważniejsze – jest, by powstały w ten sposób stwór

zachował ludzką duszę. Okropność Spojonych Ceski bierze się stąd, iż pozwolono, aby wzięła górę bestia.

– W jaki sposób może mi to pomóc? – zapytał Tenaka.

– Widziałem raz, jak jeden z tych potworów powrócił do poprzedniej postaci; stał się znowu człowiekiem i umarł.

– Jak to się stało?

– Zobaczył coś, co go poruszyło.

– Co zobaczył?

– Kobietę, która była kiedyś jego żoną.

– Tylko tyle?

– Tak. Czy to pomoże?

– Nie wiem – odparł Tenaka. – Możliwe.

– Teraz odejdę – powiedział Aulin. – Powrócę do krainy Szarości.

Nadir obserwował, jak powłócząc nogami, zagłębił się w mgłę. Potem wstał i odwrócił się twarzą do nadchodzącego Ulryka.

– Wojna już się rozpoczęła – rzekł Khan. – Nie zdążysz na czas, żeby uratować przyjaciół.

– A więc przybędę na czas, żeby ich pomścić – stwierdził Tenaka.

– Co próbował wytłumaczyć ci ten starzec o Upadku?

– Nie wiem. Mówił coś o wirującym lodzie. Nic ważnego – powiedział pół-Drenaj.

Stary szaman rozkazał Tenace usiąść i nowy Khan usłuchał rozkazu. Jego oczy zamknęły się.

Kiedy je otworzył, siedział przed grobowcem jak poprzednio, a przed sobą zobaczył wpatrzone w niego zbite szeregi nadiryjskich generałów. Po jego lewej ręce leżał Shirrat Knifespeaks – z rozoranej włócznią piersi spływała krew. Po prawej znajdował się Saddleskull z małą strużką krwi na skroni. Przed nim leżał hełm Ulryka. Asta Khan wstał i zwrócił się do generałów.

– To koniec i początek. Tenaka Khan włada Wilkami.

Starzec podniósł hełm, wrócił do kociołka z węglem, zabrał swój płaszcz ze skór i oddalił się z obozu. Nowy Khan pozostał na miejscu. Patrzył na zgromadzone przed nim twarze i wyczuwał

w nich wrogość. Ci ludzie byli gotowi do walki, ponieważ wspierali albo Knifespeaks albo

Saddleskulla. Żaden z nich nie brał pod uwagę kandydatury Tenaki. Teraz mieli nowego wodza i od tego momentu Książę Cieni będzie musiał postępować z wielką ostrożnością. Jego żywność będzie musiała być próbowana.. . jego namiot strzeżony. Wśród tych ludzi wielu pragnęło jego śmierci.

Rychłej śmierci!

Łatwo było zostać Khanem. Prawdziwa sztuka polegała na utrzymaniu się przy życiu później.

Uwagę jego zwróciło poruszenie w szeregach. To Ingis wstał i podszedł do niego. Wyjął z pochwy swój miecz i ujmując go za ostrze, podał Tenace.

– Przyjmij mnie na swoją służbę – powiedział przyklękając.

– Witaj wojowniku. Ilu braci przyprowadzasz?

– Dwadzieścia tysięcy.

– To dobrze – powiedział Khan.

W jego ślady poszli kolejno następni generałowie. Świtało już prawie, nim odszedł ostatni i Ingis zbliżył się raz jeszcze.

– Pojmano rodziny Saddleskulla i Knifespeaksa. Są obok twojego obozu.

Tenaka wstał i przeciągnął się. Był zmarznięty i strasznie zmęczony. Wraz z Ingisem opuścił grobowiec.

Ogromny tłum zgromadził się, żeby popatrzeć na śmierć więźniów. Nadir spojrział na milczące szeregi klęczących skazańców, których ręce związane były za plecami. Były wśród nich dwadzieścia dwie kobiety oraz sześciu mężczyzn i tuzin chłopców.

Zbliżył się Subodai. – Chcesz ich zabić sam?

– Nie. .

– A więc zajmiemy się tym z Gitasi – powiedział z zadowoleniem.

– Nie. – Tenaka poszedł dalej, pozostawiając za sobą oszołomionego ze zdumienia Subodai.

Nowy Khan zatrzymał się przed kobietami, żonami zmarłych wodzów.

– Nie zabiłem waszych mężów – powiedział do nich. – Nie było między nami krwawej waśni. Jednakże na mnie przechodzi wszystko, co posiadali. Niech tak będzie! Jesteście częścią tej własności i czynię was żonami Tenaki Khana. Uwolnić je! – rozkazał.

Mrucząc pod nosem, Subodai posuwał się wzdłuż szeregu. Jedna z uwolnionych, młoda kobieta

rzuciła się do stóp Khana.

– Jeśli naprawdę jestem twoją żoną, to co się stanie z moim synem?

– Uwolnić także i dzieci – rozkazał po raz drugi. Pozostali teraz tylko mężczyźni, bliscy krewni zmarłych.

– Mamy nowy dzień – powiedział Tenaka. – Daję wam następujący wybór. Przyrzekacie służyć mi i zostajecie przy życiu. Odmawiacie i giniecie!

– Pluję na ciebie, mieszańcu – krzyknął jeden z nich. Nowy Khan podszedł do niego, wyciągnął rękę po miecz Subodai i jednym ciosem ściął mu głowę.

Żaden z pozostałych pięciu więźniów nie odezwał się i Tenaka przeszedł wzdłuż szeregu, zabijając ich po kolei. Potem wezwał do siebie Ingisa i razem usiedli w cieniu namiotu.

Pozostali tam przez trzy godziny, podczas których Khan kreślił swoje plany. Potem poszedł się położyć.

A kiedy spał, jego namiot otoczyło dwudziestu mężczyzn z mieczami w dłoniach.

Rozdział 20

Parsal czołgał się dalej, zmuszając swe ciało do przesuwania się przez wysoką trawę. Ból zdruzgotanej nogi zamienił się z przeszywającego ciała cierpienia poprzedniego popołudnia we wzmagające się od czasu do czasu pulsowanie, które powodowało utratę przytomności. Noc była chłodna, a mimo to mężczyzna pocił się obficie. Nie wiedział już, dokąd zmierza. Wiedział tylko, że musi jak najdalej uciec od tamtego koszmaru.

Czołgał się teraz po terenie usianym kamykami, z których jeden wbił się ostrą krawędzią w jego zranioną nogę. Z jękiem odwrócił się na bok.

Ananais polecił im trzymać się tak długo, jak będą mogli, a następnie wycofać się w stronę Magadon. Sam wyruszył do innej kotliny wraz z Galandem. Wydarzenia tego popołudnia wciąż stawały Parsalowi w oczach i nie potrafił ich od siebie odsunąć... Razem z cztery stoma ludźmi czekał w wąziutkiej przełęczy. Pierwsza nadjechała kawaleria, z pochylonymi lancami, z tętentem końskich kopyt na wzniesieniu. Łucznicy Parsala roznieśli ich na strzepy. Trudniej było odeprzeć piechotę, dobrze uzbrojoną i wznoszącą wysoko tarcze z brązu. Parsal nigdy nie był tak dobrym szermierzem jak jego brat, ale na boga, dobrze się spisał!

Górale ze Skody walczyli jak tygrysy i odparli piechotę Ceski. W tym momencie powinien był nakazać odwrót.

Głupiec, skończony głupiec!

Jednak był tak podniesiony na duchu. Taki dumny! Nigdy przedtem nie dowodził wojskiem.

Nie przyjęto go do Smoka razem z bratem. A teraz odparł potężnego wroga.

Postanowił zaczekać na jeszcze jeden atak.

Spojoni zalali ich jak fala demonów z piekieł. Nawet gdyby dożył setki, nigdy nie zapomni tego ataku. Bestie podniosły wrzask, który uderzył w nich jak ściana. W tym wyciu brzmiała żądza krwi. Olbrzymie potwory pędziły z otwartymi, oślinionymi paszczami, czerwonymi jak krew oczami i ostrymi szponami, w których dzierżyły lśniące miecze.

Strzały z rzadka przebijały ich ciała, a one zmiatały z drogi żołnierzy tak, jak dorosły człowiek roztrąca nieposłuszne dzieci. Parsal nie dawał rozkazu ucieczki – nie było takiej potrzeby. Odwaga obrońców zniknęła jak woda na piasku i wojsko rozproszyło się.

Rozgniewany, sam rzucił się na Spojonego, wymierzając potężny cios w głowę bestii. Jednakże miecz odbił się od grubej czaszki i potwór zaatakował. Człowiek został odrzucony w tył, stwór zanurkował nad nim, a jego potężne szczęki zamknęły się na lewej nodze mężczyzny, odrywając ciało od kości. Jakiś dzielny żołnierz skoczył na plecy bestii i wbił sztylet w jej szyję; Spojony zostawił ранego i jednym szarpnięciem rozerwał atakującemu krtań. Parsal przeturlał się przez wierzchołek wzgórza i objając się o kamienie, stoczył aż na dno doliny. I tak zaczął długą wędrówkę.

Wiedział teraz, że lud Skody nie mógł zwyciężyć. Ich marzenia to bzdura. Nic nie mogło się oprzeć tym bestiom. Żałował, że nie został na farmie w Vagrii, daleko od tej szalonej wojny.

Coś chwyciło go za nogę. Usiadł i zamachnął się sztyletem. Szponiasta łapa wybiła mu sztylet z dłoni i wokół niego przykucnęły trzy potwory – z płonącymi ślepiami i śliną ciekącą z otwartych pysków.

Na szczęście stracił przytomność.

Rozpoczęła się uczta.

Pagan skradał się, aż podszedł na niecałe sto jardów od zachodniej dzielnicy miasta. Jego koń był ukryty w pobliskim zagajniku. Dym z płonących budynków kłębił się jak mgła i trudno było dostrzec cokolwiek. Grupy Spojonych wywlekały z miasta trupy na ucztę, która odbywała się na podmiejskich błoniach. Murzyn nigdy jeszcze nie widział tych potworów i przyglądał się im z ponurą fascynacją. Większość z nich mierzyła ponad siedem stóp wzrostu i była potężnie umięśniona.

Pagan nie wiedział, co robić. Miał przekazać Ananaisowi wiadomość od Scalera. Gdzie go jednak szukać? Czy wojownik w czarnej masce żył jeszcze? Czy wojna już się skończyła? Jeśli tak, to musi zmienić swoje plany. Przysiągł zabić Ceskę, a nie należał do ludzi lekko traktujących tego typu śluby. Gdzieś, pośród tego wojska znajdował się namiot wodza – wszystko, co należało zrobić, to odnaleźć go i zabić.

Tylko tyle!

Śmierć jego ludzi ciążyła mu wielce na sercu i Pagan był zdecydowany pomścić ich. Kiedy uśmierci Ceskę, jego duch podąży do Krainy Cieni, aby tam służyć duchom zabitych.

Sprawiedliwa kara.

Murzyn przez chwilę obserwował pożywiające się bestie, zapamiętywał ich ruchy i wszystko to, co mogło mu się przydać w dniu, gdy przyjdzie mu stawić im czoło. Nie miał co do tego złudzeń – taki dzień nadejdzie. Człowiek przeciwko bestii, łeb w łeb. Potwór może być silny, zwinny i śmiertelnie niebezpieczny. Lecz przecież Król Kataskicana zasłużył na swój tytuł

Wodza Wojny. On także był silny, zwinny i śmiertelnie niebezpieczny. A ponadto przebiegły.

Wycofał się do lasu. Znalazłszy się tam, znieruchomiał, łowiąc woń szerokimi nozdrzami.

Zmrużył oczy i zacisnął dłoń na stylisku topora.

Koń stał tam, gdzie go zostawił, ale dygotał ze strachu. Ślepią miał rozszerzone, a uszy położył płasko po sobie.

Pagan sięgnął za pazuchę skórzanej tuniki i wyciągnął krótki, ciężki nóż. Oblizując wargi, przebiegł wzrokiem poszycie. W pobliżu nie było wielu kryjówek; sam znajdował się w jednej z nich, co pozostawiało jeszcze trzy możliwości. Tak więc, myślał, miał przed sobą maksimum trzech przeciwników. Czy mieli łuki? Mało prawdopodobne, ponieważ musieliby wstać, napiąć je i wymierzyć do szybko poruszającego się celu. Czy byli ludźmi? Raczej nie, gdyż koń był

przerażony, a byle człowiek nie zatrwożyłby go aż tak.

Wniosek – prawdopodobnie trzy bestie czaiły się w chaszczach.

Powziąwszy decyzję, Pagan wstał i podszedł do wierzchowca.

Z krzaków po prawej wyskoczył Spojony, a drugi podniósł się po lewej. Poruszali się z niewiarygodną prędkością. Murzyn odwrócił się na pięcie, unosząc błyskawicznie w przód prawą rękę; nóż utkwiał w prawej gałce ocznej pierwszego z potworów. Drugi już go niemal dosięgał, gdy czarnoskóry padł na kolana i zanurkował pod jego nogi. Stwór potknął się i upadł, a Pagan przetoczył się na bok i wbił topór głęboko w jego udo. Potem szybko się podniósł i popędził do konia. Szarpnięciem zerwał wodze z gałęzi i skoczył na siodło dokładnie w momencie, gdy Spojony ruszył do ataku. Mężczyzna położył się płasko w siodle i ściągnął wodze, a koń stanął

dęba ze strachu i walnął kopytami prosto w pysk potwora. Bestia upadła, a Pagan ścisnął piętami wierzchowca i pomknął poprzez zagajnik, pochylając się nisko pod zwieszającymi się gałęziami.

Dotarłszy na skraj lasu, nie zwalniając pędu, skręcił na zachód.

Bogowie mieli go w swej opiece, bowiem poważnie pomylił się w rachubach. Gdyby w zagajniku były trzy bestie, nie uszedłby z życiem. Mierzył w szyję przeciwnika, lecz ten atakował

tak szybko, że niewiele brakowało, a nóż chybiłby celu.

Gdy płonące miasto zniknęło za horyzontem, Pagan pozwolił rumakowi zwolnić.

Z pewnością patrole Ceski przeszukiwały całą równinę. Nie miał ochoty wjechać galopem w opał większe od tych, z jakich się wykaraskał. Poklepał szyję konia.

Zostawił Scalera z Cheiamem. Nowy Książę z Brązu nabrał pewności siebie, a jego plany przejęcia fortecy były już dobrze zaawansowane. Inną sprawą było, czy uda mu się je zrealizować, lecz przynajmniej Scaler traktował je poważnie. Murzyn uśmiechnął się. Młody Drenaj był bardziej niż przekonujący w swojej nowej roli i Pagan sam nieomal uwierzył, że to naprawdę legendarny książę.

Nieomal. Mężczyzna znowu się uśmiechnął.

Przed zmierzchem wjechał w kępę drzew nad strumieniem. Nie zauważył żadnych oznak obecności nieprzyjaciela i dokładnie badał teren. Jednak niespodzianka czekała nań niedaleko, w niewielkiej kotlinie.

Około dwadzieścioro dzieci siedziało dokoła leżącego trupa mężczyzny.

Pagan zsiadł i spętał konia. Wysoki chłopiec wysunął się naprzód ze sztyletem w dłoni.

– Tylko tknij go, a zginiesz! – powiedział.

– Nie dotknę go – powiedział Pagan. – Odłóż nóż.

– Jesteś Spojonym?

– Nie, jestem tylko człowiekiem.

– Nie wyglądasz jak człowiek – jesteś czarny.

Pagan pokiwał smutno głową. – To prawda, jestem. Ty za to jesteś biały i bardzo mały. Nie wątpię w twoją odwagę, ale nie sądzisz chyba, że naprawdę możesz dać mi radę?

Chłopiec obliznął wargi, lecz nie ruszył się z miejsca.

– Gdybym miał wrogie zamiary, chłopcze, już byś nie żył. Odsuń się. – Nie zwracając uwagi na młodzieńca, minął go i ukląkł nad ciałem. Zmarły był krępy, łysiejącym mężczyzną, a jego ręce zaciskały się na kaftanie.

– Co się stało? – zapytał Pagan malutką dziewczynkę, stojącą najbliżej trupa. Odwróciła głowę, odpowiedział mu chłopiec ze sztyletem.

– Przeprowadził nas tutaj wczoraj. Powiedział, że możemy się ukryć tutaj, zanim bestie nie odejdą. A dzisiaj rano, kiedy bawił się z Melisą, chwycił się za piersi i upadł.

– To nie moja wina – powiedziała dziewczynka. – Ja nic nie zrobiłam!

Pagan zwichrzył płowe włoski dziecka. – Oczywiście, że nic nie zrobiłaś. Czy macie żywność?

– Tak – odpowiedział chłopiec. – Jest tam, w jaskini.

– Nazywam się Pagan i jestem przyjacielem Czarnej Maski.

– Czy zaopiekujesz się nami? – zapytała Melisa. Murzyn uśmiechnął się do niej, a potem wstał i wyprostował się. Spojeni hulali już teraz swobodnie i z dwudziestką dzieci, pieszo, nie miał żadnej szansy im uciec. Wjechał na szczyt pobliskiego wzgórza i osłoniwszy dłonią oczy, spojrzał na góry. Dotarcie do nich zajmie im przynajmniej dwa dni – dwa dni na otwartym terenie. Odwrócił się i zobaczył chłopca ze sztyletem, siedzącego na skale obok. Był wysoki i miał około jedenastu lat.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie Melisy – powiedział.

– Jak się nazywasz, chłopcze?

– Ceorl. Pomożesz nam?

– Nie wiem, czy potrafię – odparł Pagan.

– Sam nie poradzę sobie ze wszystkim – rzekł chłopiec. Jego szare oczy spojrzały na twarz mężczyzny.

Murzyn usiadł na trawie. – Spróbuj zrozumieć, Ceorl. Najszczęśliwszą prawdą jest, że nie mamy żadnych szans dotrzeć do gór. Spojeni zachowują się tak jak dzikie bestie; tropią po zapachu, posuwają się szybko i daleko. Ja mam wiadomość dla Czarnej Maski; biorę udział w wojnie.

Mam swoją własną misję, którą przyrzekłem wypełnić.

– Wykręty! – powiedział Ceorl. – Zawsze wykręty. Cóż, ja je tam doprowadzę. Możesz mi wierzyć.

– Zostanę z wami przez jakiś czas – powiedział Pagan. – Jednak strzeż się: nie za bardzo lubię słuchać dziecięcej paplaniny. To mnie irytuje.

– Melisy nie można powstrzymać. Jest bardzo mała i bardzo przerażona.

– A ty się nie boisz?

– Ja jestem mężczyzną – powiedział Ceorl. – Już dawno przestałem płakać.

Murzyn skinął potakująco głową i płynnym ruchem wstał.

– Zabierzmy żywność i ruszajmy w drogę.

We dwójkę zebrali wszystkie dzieci. Każde z nich niosło niewielki plecak z jedzeniem i bukłak wody. Pagan posadził Melisę i dwójkę innych maluchów na grzbiet swojego konia i wyprowadził grupę na równinę. Wiatr wiał im w plecy, co było korzystne... chyba że Spojeni znajdowali się także przed nimi. Ceorl miał rację co do Melisy; paplała bezustannie, opowiadając Paganowi bajki, za którymi nie zawsze nadążał. Pod wieczór zaczęła słać się w siodle tak, że musiał ją zdjąć z konia i

nieść w ramionach. Przebyli może ze trzy mile, gdy podbiegł do niego Ceorl i pociągnął go za rękaw.

– O co chodzi?

– Dzieci są bardzo zmęczone. Właśnie zauważyłem, że Ariane przysiadła na ścieżce, tam w tyle. Myślę, że zasnęła.

– Dobrze. Wróc po nią. Tutaj rozłożymy obóz.

Dzieci stłoczyły się wokół Pagana, który położył Melisę na trawie. Noc była chłodna, ale nie zimna.

– Czy opowiesz nam bajkę? – zapytała jedna z dziewczynek.

Zniżając głos, opowiedział im o Bogini Księżycy, która po srebrnych stopniach zstąpiła kiedyś na ziemię, chcąc żyć jak śmiertelnicy. Spotkała tam przystojnego wojownika o imieniu Anidigo. Pokochał ją tak, jak nikt dotąd nie kochał kobiety, lecz ona była bojaźliwa i uciekła od niego. Uniosła się w niebiosa w srebrnym, idealnie okrągłym powozie. Nie mógł jej doścignąć i udał się po radę do mędrca. Czarodziej sporządził mu powóz z czystego złota. Anidigo poprzysiągł, iż nie powróci na ziemię, dopóki nie zdobędzie serca Bogini Księżycy. Jego złoty powóz, także doskonale okrągły, poszybował w niebo jak kula ognia. Bezskutecznie krążył i krążył dookoła ziemi, lecz ona wciąż go wyprzedzała. Tak było do dziś.

– Spójrzcie w górę! – powiedział Pagan. – Tam oto jedzie, a wkrótce ucieknie z obawy przed Anidigo.

Ostatnie z dzieci zapadło w głęboki sen. Murzyn ostrożnie wyszedł spomiędzy nich i udał się na poszukiwanie Ceorla. Znalazłszy go, odszedł z nim na bok.

– Dobrze opowiadasz.

– Mam wiele dzieci – odpowiedział Pagan.

– Dlaczego masz ich tyle, skoro cię irytują? – zapytał chłopiec.

– Niełatwo to wytłumaczyć – powiedział, uśmiechając się.

– Och, rozumiem – mruknął Ceorl. – Nie jestem już taki mały.

Murzyn spróbował mu to wyjaśnić.

– Mężczyzna może kochać swoje potomstwo, mimo iż go drażni. Byłem szczęśliwy, kiedy rodziły się wszystkie moje dzieci. Jeden z moich synów zastępuje mnie teraz w domu i włada moim ludem. Należę jednak do tych, którzy potrzebują samotności. Dzieci tego nie rozumieją.

– Dlaczego jesteś czarny?

– A więc koniec z filozoficzną dyskusją. Jestem taki, ponieważ mój kraj ma bardzo gorący klimat.

Czarna skóra zabezpiecza przed promieniami słońca. Czy twoja skóra nie ciemnieje w lecie?

– A twoje włosy – dlaczego są tak mocno skręcone?

– Nie wiem, młody człowieku. Nie wiem też, dlaczego mój nos jest szerszy od twego, a moje wargi grubsze od twoich.

– Czy tam, skąd pochodzisz, wszyscy wyglądają tak samo?

– Moim zdaniem nie.

– Czy umiesz walczyć?

– Masz mnóstwo pytań, Ceorl!

– Lubię wszystko wiedzieć. Czy potrafisz walczyć? – powoli pytanie.

– Jak tygrys.

– To taki kot, prawda?

– Tak. Bardzo duży kot i zdecydowanie nieprzyjazny.

– Ja potrafię walczyć – powiedział Ceorl. – Dobry ze mnie wojownik.

– Jestem tego pewien. Miejmy jednak nadzieję, że nie będziemy musieli tego udowadniać.

Teraz idź spać.

– Nie jestem zmęczony. Mogę stać na warcie.

– Zrób, jak każe, Ceorl. Jutro możesz stać na warcie. Chłopiec skinął głową i wrócił do dzieci. W ciągu kilku minut spał już mocno. Pagan siedział przez chwilę, rozmyślając o swojej ojczyźnie. Potem podszedł tam, gdzie leżały dzieci. Melisa nadal spała głębokim snem, przytulając do siebie szmacianą lalkę. Musiała to być bardzo stara zabawka, nie miała oczu, a z włosów zostały jedynie dwa strzępy żółtych nici.

Scaler wyjaśnił mu zasady swej szczególnej wiary. Bogowie, mówił, zestarzelili się tak bardzo, że aż zdziecinnieli. Swą ogromną moc wykorzystywali teraz do płatania bezsensownych dowcipów ludzkiemu gatunkowi, wprowadzając w ich życie zamieszanie i pozostawiając ich samych sobie w najprzedejwniejszych sytuacjach.

Pagan coraz bardziej przychylił się do tej teorii.

W ciszy nocnej rozeszło się echem dalekie wycie. Potem dołączyło się drugie i trzecie.

Murzyn zaklął cicho i dobył miecza. Wyjąwszy z tobołka małą osełkę, splunął nań i przejechał

nią po ostrzu. Następnie odwiązał przypięty do siodła topór i także go naostrzył.

Wiatr zmienił kierunek, niosąc ich zapach na wschód. Ciemnoskóry czekał, odliczając powoli. Kiedy doszedł do ośmiuset siedmiu, wycie natężyło się. Biorąc pod uwagę zmiany prędkości wiatru, należało przypuszczać, że bestie znajdowały się od ośmiu do dwunastu mil za nimi – nie dość daleko.

Najbardziej miłosiernym uczynkiem byłoby teraz podpełznąć do dzieci i podciąć im gardła we śnie, oszczędzając w ten sposób czekających ich cierpienie. Jednak Pagan wiedział, że na jego koniu zmieści się trójka najmłodszych.

Wyjął sztylet i wszedł między dzieci.

Tylko którą trójkę miał wybrać?

Klnąc cicho, wepchnął sztylet za pas i obudził Ceorla.

– Spojeni są już blisko – powiedział. – Obudź dzieci. Idziemy stąd.

– Jak blisko? – zapytał Ceorl, z oczami rozszerzonymi przerażeniem.

– O godzinę za nami -jeśli mamy szczęście. Chłopiec wstał i zakrzętnął się wśród maluchów.

Murzyn podniósł Melisę i wsadził ją sobie na plecy. Zgubiła lalkę, ale on znalazł ją i wcisnął pod tunikę. Dzieci otoczyły go ciasnym kręgiem.

– Widzisz tamten szczyt? – powiedział do Ceorla. – Tam idźcie! Ja wrócę.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. – Pagan wsiadł na konia. – Wsadź dwoje najmniejszych za mnie. – Ceorl usłuchał. – Trzymajcie się teraz mocno, maluchy, jedziemy na przejażdżkę.

Wbił pięty w boki ogiera i koń skoczył w noc, pochłaniając odległość, dzielącą go od gór.

Melisa obudziła się i zaczęła płakać, więc Pagan sięgnął za pazuchę i wcisnął jej lalkę w ramiona. Po kilku chwilach ostrego galopu, w oddali po prawej zobaczył nawis skalny. Ściągając wodze, skierował tam wierzchowca. Droga między kamieniami była wąska, nie przekraczała pięciu stóp, dopiero u szczytu rozszerzała się w płytką nieckę. Wydostać się z niej można było jedynie ścieżką.

Pagan pomógł zsiąść dzieciom. – Poczekajcie tu na mnie – powiedział i zjechał z powrotem w dolinę. Pięć razy pokonywał tę trasę, tak że Ceorl i pozostali czterej najstarsi chłopcy doszli już prawie pod same skały, kiedy po nich zjechał.

– Wprowadźcie konia do niecki i poczekajcie tam na mnie.

– Co masz zamiar zrobić?

– Rób, co mówię, dziecko!

Ceorl odstąpił krok w tył. – Chciałem tylko pomóc.

– Przepraszam, chłopcze! Trzymaj sztylet w pogotowiu – mam zamiar po wstrzymać je tutaj, lecz jeśli mi się nie uda, użyj swojej broni na najmłodsze dzieci. Rozumiesz?

– Chyba nie potrafię – zająknął się Ceorl.

– Postąpisz więc tak, jak ci podyktuje serce. Powodzenia, Ceorl!

– Ja... ja nie chcę umierać.

– Wiem. Idź do nich teraz i uspokój je. – Pagan odwiązał od siodła topór oraz łuk i kołczan strzał. Łuk był z vagriańskiego rogu i tylko bardzo silny mężczyzna był w stanie go napiąć. Z

oczami utkwionymi na wschód, ruszył ścieżką w dół.

Mówiono, że Królowie Opałowego Tronu zawsze wiedzieli, kiedy nadchodził ich kres.

Pagan wiedział.

Napiął łuk i rzucił tunikę pozwalając, by nocne powietrze ochłodziło mu ciało.

Głębokim głosem zaintonował Pieśń Umarłych.

W umówionym wcześniej miejscu Ananais spotkał się ze swymi kapitanami, aby omówić podjęte w ciągu dnia działania. Wyparte z pierwszego pierścienia gór wojsko Skody podzieliło się na siedem oddziałów i wycofało wyżej, urządzając zasadzki na, wlewające się jak mrowie, siły najeźdźcy. Nagłe ataki i szybkie odwroty dziesiątkowały oddziały Ceski, spowalniając ich pochód. Ofiary po stronie Skody były natomiast zdumiewająco małe – z wyjątkiem oddziału Parsala, z którego nie powrócił ani jeden człowiek.

– Posuwają się szybciej, niż zakładaliśmy – powiedział Katan. – A ich liczebność wzrosła ogromnie dzięki załodze Delnoch.

– Moim zdaniem jest ich około pięćdziesięciu tysięcy – dodał Thorn. – Możemy zapomnieć o utrzymaniu się gdziekolwiek poza Magadonem i Tarskiem.

– Nie przestaniemy ich nękać – utrzymywał Ananais. – Jak długo możesz jeszcze powstrzymać tych piekielnych Templariuszy, Katanie?

– Myślę, że już przebijają się przez naszą osłonę.

– Jeśli im się to uda, nasze ataki będą samobójcze.

– Wiem o tym, Czarna Masko. Nie mamy tu jednak do czynienia z nauką w sensie dosłownym. Bitwa

w Otchłani wciąż trwa, lecz odpierają nas.

– Róbcie, co możecie, chłopcze – powiedział Ananais. – W porządku, powstrzymamy ich jeszcze przez jeden dzień, a potem wycofamy wszystkich za mury.

– Czy nie masz wrażenia, że plujemy w oko huraganu? – zapytał Thorn.

Ananais uśmiechnął się. – Być może, ale jeszcze nie przegraliśmy! Katanie, czy możemy bezpiecznie jechać?

Mnich zamknął oczy, a pozostali czekali przez kilka chwil. Nagle Katan wzdrygnął się i mrugając, otworzył oczy.

– Na pomoc – powiedział. – Szybko!

Zerwał się na nogi, potknął, podniósł znowu i popędził do swego konia. Ananais pobiegł za nim.

– Thorn! – krzyknął. – Zabierz swoich ludzi i dołącz do oddziału. Reszta za mną!

Katan poprowadził ich szaleńczym galopem na północ. Za nim jechał Ananais i dwudziestu wojowników. Świtało już prawie, a wierzchołki gór po ich prawej stronie kapały się w czerwieni.

Mnich zaciął konia biczem, a znajdujący się tuż za nim Ananais krzyknął: – Zamęczysz to zwierzę, głupcze! – Katan zignorował go i pochylił się nisko nad grzbietem konia. Przed nimi wyrósł skalny nawis; zakonnik ściągnął wodze i zeskoczywszy z siodła, zagłębił się w wąskiej rozpadlinie. Ananais dobył miecza i podążył za nim.

Wewnątrz leżały ciała dwóch Spojonych, z ich karków sterczały strzały o czarnych piórach.

Ananais pobiegł dalej. Kolejny trup bestii, trafiony w samo serce. Skręcił za załom ścieżki i usłyszał zwierzęcy pomruk oraz szcęk stali o stal. Przystępując przez trzy nowe trupy, skręcił

jeszcze raz i podniósł miecz. Przed sobą zobaczył dwa martwe potwory, a trzeci, żywy jeszcze, atakował Katana. Dwa inne prowadziły zacieklą walkę z człowiekiem, którego Ananais nie widział.

– Do mnie, Smoku! – ryknął Ananais. Jeden z dwóch Spojonych odwrócił się do niego.

Mężczyzna zablokował mordercze cięcie i wbił miecz w brzuch bestii. Potwór wyciągnął w jego stronę zakończoną szponami łapę, Ananais cofnął się i w tej chwili nadbiegli jego ludzie, uderzając z impetem na Spojonego. Pod nawałnicą ciosów monstrum padło. Katan z niesamowitą łatwością powalił swojego przeciwnika i skoczył na pomoc walczącemu wojownikowi, lecz ta okazała się już zbyt późna. Pagan wbił topór w kark bestii i sam osunął się na ziemię.

Ananais podbiegł do niego i zobaczył, że ciało Murzyna było jedną wielką raną: klatkę piersiową miał poszarpaną, a ciało zwisało z rany krwawymi strzępami.

Bezwładnie obwisła lewa ręka była prawie oderwana, a twarz zmasakrowana.

Czarnoskóry oddychał z trudem, ale patrzył przytomnie, a kiedy Ananais podniósł jego głowę i oparł ją na swoich kolanach, próbował się uśmiechnąć.

– Na górze są dzieci – szepnął.

– Zabierzemy je. Leż spokojnie!

– Po co, przyjacielu?

– Po prostu leż.

– Ilu dostałem?

– Dziewięciu.

– Nieźle. Cieszę się, że przyjechałeś. Ci dwaj mogli być dość... kłopotliwi.

Katan ukląkł obok Pagana i położył mu rękę na głowie. Ból opuścił umierającego.

– Nie wypełniłem mojej misji – powiedział Pagan. – Powinienem być dopaść Ceskę tam, w mieście.

– Ja go dla ciebie dostanę – obiecał Ananais.

– Czy z dziećmi wszystko w porządku?

– Tak – zapewnił go Katan. – Właśnie je wyprowadzamy.

– Nie pozwól, aby mnie zobaczyły. Przestraszą się.

– Nie obawiaj się – powiedział Katan.

– Upewnij się, czy Melisa ma szmacianą lalkę... bez niej będzie zagubiona.

– Dopilnujemy tego.

– Kiedy byłem młody, kazałem iść ludziom w ogień! Nie powinienem był tego robić. Nigdy nie przestałem tego żałować. Cóż, Czarna Masko, człowiek nigdy niczego nie wie na pewno, prawda?

– Ja już wiem – powiedział Ananais. – Nie byłbym w stanie powalić dziewięciu Spojonych.

Nawet nie przypuszczałem, że to możliwe.

– Wszystko jest możliwe – powiedział Pagan głosem, który ścichł do szeptu. – Prócz ukojenia żalu. – Przerwał. – Scaler ma plan.

– Czy ma szansę powodzenia?

Murzyn uśmiechnął się i powtórzył: – Wszystko jest możliwe. Przekazał mi wiadomość dla ciebie,

ale ona już nie ma znaczenia. Chciał, żebyś wiedział, że dziesięć tysięcy żołnierzy wyruszyło z Delnoch. Zjawili się tu jednak przede mną.

Ceorl przepchał się do Pagana, ukląkł przy nim z oczami pełnymi łez.

– Dlaczego? – powiedział. – Dlaczego zrobiłeś to dla nas?

Jednak Pagan już nie żył.

Ananais ujął chłopca za ramię. – Zrobił to, ponieważ był mężczyzną – wspaniałym człowiekiem.

– On nawet nie lubił dzieci.

– Myślę, że tu się mylisz, synu.

– Sam tak powiedział. Powiedział mi, że go irytujemy. Dlaczego więc pozwolił się dla nas zabić?

Ananais nie umiał mu odpowiedzieć, lecz Katan zrobił krok w jego stronę i powiedział:

– Ponieważ był bohaterem. A tak postępują bohaterowie. Rozumiesz?

Ceorl skinął głową. – Nie wiedziałem, że jest bohaterem. nie powiedział mi.

– Może on też o tym nie wiedział – rzekł Katan.

Galand ciężko przeżył śmierć brata. Zamknął się w sobie, ukrywał swe uczucia, a czarne oczy nie zdradzały dręczącej go rozpacz. Kilkakrotnie poprowadził swych ludzi do ataku przeciwko drenajskiej kawalerii, uderzając szybko i równie szybko wycofując się. Mimo przemożnej żądzy zemsty pozostał zdyscyplinowanym żołnierzem. Nie dla niego brawurowe ataki, wolał

skalkulowane ryzyko. Dlatego straty w jego trzystuosobowym oddziale były niewielkie i przybył

pod mury Magadonu, pozostawiając jedynie trzydziestu siedmiu towarzyszy pogrzebanych na wzgórzach.

Magadon nie miał bramy, więc żołnierze puścili konie luzem i wspięli się na górę po drabinach, spuszczonej przez obrońców. Galand, który jako ostatni wdrapał się na blanki, przystanął na szczycie i spojrzał na wschód. Gdzieś tam gniło w trawie ciało Parsala. Bez grobu, bez nagrobka.

Wojna zabrała mu już córkę, teraz zażądała brata.

Wkrótce upomni się o niego, dumał.

Dziwne, ta myśl wcale nie budziła w nim przerażenia.

Czterdziestu spośród jego ludzi odniosło rany. Wraz z nimi poszedł do drewnianego szpitalika, gdzie Valtaya i tuzin innych kobiet zajęło się ich opatrzaniem. Galand podniósł rękę na powitanie, a

jasnowłosa kobieta odwzajemniła się uśmiechem, powracając zaraz do zszywania płytkiego cięcia na udzie jednego z żołnierzy.

Wyszedł z powrotem na słońce. Żołnierz przyniósł mu bochen chleba i dzban wina. Galand podziękował i usiadł, opierając się plecami o drzewo. Chleb był świeży, a wino młode.

Przyłączył się do niego jeden z jego dowódców pododdziałów o imieniu Oranda. Na przedramieniu miał gruby zwój bandaża.

– Powiedzieli, że rana jest czysta – tylko sześć szwów. Będę mógł utrzymać tarczę.

– Dobrze – odpowiedział Galand z roztargnieniem. -Napij się wina.

Oranda upił łyk. – Trochę za młode – powiedział.

– Może powinniśmy mu pozwolić poleżakować jeszcze z miesiąc lub dwa!

– W porządku, zrozumiałem – powiedział Oranda i jeszcze raz przechylił dzban.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a Galand z rosnącym napięciem oczekiwał nieuchronnej uwagi.

– Przykro mi z powodu twojego brata – powiedział w końcu Oranda.

– Każdy musi umrzeć – odpowiedział Galand.

– To prawda. Straciłem wielu przyjaciół w tamtym oddziale. Mury wyglądają na mocne, nieprawdaż? Dziwnie jest widzieć je w tej kotlinie. Jako dziecko przychodziłem tutaj bawić się i podglądać dzikie konie.

Galand nie odpowiedział. Oranda oddał mu dzban żałując, że nie może po prostu wstać i odejść, nie chciał jednak być niegrzeczny. Kiedy podeszła do nich Valtaya, dowódca powitał ją z pełnym wdzięczności uśmiechem i wymknął się ochoczo.

Galand spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Wyglądasz wspaniale, pani. Jak zjawisko. – Zdjęła już poplamiony krwią fartuch i miała teraz na sobie błękitną suknię z bawełny, która pięknie uwydatniała jej figurę.

– Musisz mieć bardzo zmęczone oczy, czarnobrody. Mam tłuste włosy i czerwone obwódki wokół oczu. Wyglądam nędznie.

– Nie w oczach wielbiciela – powiedział. Usiadła obok niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Niezmiernie mi przykro z powodu Parsala.

– Każdy musi umrzeć – powiedział, zmęczony powtarzaniem w kółko tej kwestii.

- Cieszę się jednak, że ty żyjesz.
 - Naprawdę? – zapytał, mierząc ją chłodnym wzrokiem. – Dlaczego?
 - Co za dziwne pytanie między przyjaciółmi!
 - Nie jestem twoim przyjacielem, Val. Kocham cię. A to jest różnica.
 - Przykro mi, Galandzie. Nic nie mogę ci odpowiedzieć. Wiesz, że jestem z Ananaisem.
 - Jesteś szczęśliwa?
 - Oczywiście, że jestem – tak szczęśliwa, jak można być szczęśliwą w czasie wojny.
 - Dlaczego? Czemu go kochasz?
 - Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Żadna kobieta nie potrafiłaby. Dlaczego ty kochasz mnie?
- Przechylił dzban, nie chcąc przyjąć do wiadomości logiki jej słów.
- Rani mnie to, że żadne z nas nie ma przyszłości – powiedział. – Ananais nigdy się nie ustakuje. Nie jest ani rolnikiem, ani kupcem... Pozostawi cię w jakimś samotnym mieście po drodze. A ja powrócę na moją farmę. Nikt z nas nie będzie szczęśliwy.
 - Nie pij już więcej, Galandzie. Wpadasz w melancholię.
 - Moja córka była pełną radości istotą i prawdziwym urwisem. Wiele klapsów spadło na jej plecy i wiele łez nad nią wylałem. Gdybym wiedział, jak krótkie będzie jej życie... a teraz Parsal... mam nadzieję, że miał szybką śmierć. Odczuwam to bardzo samolubnie – powiedział nagle. – Moja krew nie płynie w żadnej ludzkiej istocie, oprócz mnie. Kiedy odejdę, będzie tak, jak gdybym nigdy nie istniał.
 - Twoi przyjaciele będą o tobie pamiętać – powiedziała. Uwolnił się spod jej pocieszającego dotknięcia i spojrzał na nią gniewnie.
 - Ja nie mam żadnych przyjaciół! Nigdy nie miałem.

Rozdział 21

Imperator siedział w swoim jedwabnym namiocie, otoczony przez kapitanów. Towarzyszył mu naczelny dowódca – Darik. Namiot był ogromny, podzielony na cztery części: największa, w której siedzieli teraz wojownicy, mogła pomieścić pięćdziesiąt osób, choć teraz było ich tylko dwadzieścia.

Z biegiem lat Ceska roztył się, a jego skóra przybrała ziemistą barwę i pokryła się plamami.

W ciemnych oczach błyszczała złośliwa inteligencja. Mówiono, że posiadał wiedzę Templariuszy Ciemności i potrafił czytać w ludzkich myślach. Kapitanowie żyli w ciągłym, mrozącym krew w żyłach strachu, bowiem często zdarzało się, że nagle wskazywał palcem na kogoś z nich i krzyczał „Zdrajca!” Delikwent ginął wtedy w strasznych męczarniach.

Darik był najbardziej zaufanym z jego żołnierzy, generałem o niezwyklej przebiegłości, ustępującym jedynie legendarnemu Barisowi z Legionu Smoka. Liczący sobie ponad pięćdziesiąt lat, lecz wysoki, smukły i żyłasty, a przede wszystkim gładko wygolony, nie wyglądał na swój wiek.

Odebrawszy raporty oraz wysłuchawszy list poległych, Darik zabrał głos: – Napady wyglądają na nie zaplanowane i przypadkowe, lecz czuję, że są zorganizowane. Co ty o tym sądzisz, Maymonie?

Czarny Templariusz skinął głową. – Nie sforsowaliśmy jeszcze do końca ich osłon, ale nawet teraz widzimy niejedno. Przegrodzili murami dwa przejścia znane pod nazwą Magadon i Tarsk.

Oczekują też pomocy z północy, chociaż bez wielkiej nadziei. Dowódcą jest Ananais, jak oczekiwaliśmy, ale osobą, która wiąże ich wszystkich razem jest kobieta o imieniu Rayvan.

– Gdzie ona jest? – zapytał imperator.

– Na tyłach, w górach.

– Czy możecie ją dosięgnąć?

– Nie z Otchłani. Jest chroniona.

– Nie mogą przecież ochraniać wszystkich jej przyjaciół? – podsunął Ceska.

– Nie, panie – zgodził Maymon.

– Porwijcie więc duszę kogoś z jej otoczenia. Chcę, żeby zginęła.

– Tak, panie. Jednak przedtem musimy się przebić przez mur, wzniesiony w Otchłani przez Trzydziestu.

– Co wiecie o Tenace Khanie? – mruknął Ceska.

– Uciekł na północ. Jego dziadek, Jongir, zmarł dwa miesiące temu i toczy się tam wojna domowa.

– Wyślijcie wiadomość do komendanta Delnoch, rozkazując mu podjąć środki ostrożności przeciwko nadiryjskiej armii.

– Tak, panie.

– Zostawcie mnie teraz – powiedział imperator. – Wszyscy oprócz Darika.

Kapitanowie usłuchali z wdzięcznością i zniknęli w ciemności. Wokół namiotu stało na warcie

pięćdziesięciu Spojonych, największych i najbardziej okrutnych bestii w całej armii Ceski. Przechodząc obok nich, kapitanowie nie podnosili wzroku.

W namiocie imperator siedział przez kilka minut milcząc.

– Oni wszyscy mnie nienawidzą – powiedział. – Mali ludzie o małych mózdkach. Czym byliby beze mnie?

– Niczym, panie – powiedział Darik.

– Właśnie. A ty, generale?

– O panie, potrafisz czytać w ludziach jak w otwartej księdze. Umiesz zajrzeć do ich serc.

Jestem lojalny, lecz w dniu, kiedy zwątpisz we mnie, odbiorę sobie życie na twój pierwszy znak.

– Jesteś jedynym lojalnym człowiekiem w tym imperium. Chcę, żeby oni wszyscy zginęli.

Chcę, żeby Skoda stała się jedną wielką kostnicą, o której pamięć przetrwa wieczność.

– Stanie się wedle twojej woli, panie. Nie mogą się utrzymać.

– Duch Chaosu wie o moich wojskach, Darik. Jednak on potrzebuje krwi. Dużo krwi. Oceanów krwi! Nigdy nie ma dość.

Ceska zamilkł, a jego oczy zapłonęły szaleństwem. Darik siedział nieruchomo. Wcale nie martwił go fakt, iż jego władca jest obłąkany, lecz jego postępująca degeneracja to zupełnie inny problem. Generał był dziwnym człowiekiem. Wszystkie swe dążenia skupił na jednym celu, nie interesowało go nic prócz wojny i strategii, i to, co powiedział imperatorowi, było szczerą prawdą. Kiedy nadejdzie dzień – a wiedział, że musi nadejść – gdy szaleństwo Ceski zwróci się przeciwko niemu, zabije się. Cóż więcej bowiem życie mogło mu zaoferować? Darik nigdy nie kochał żadnej istoty ludzkiej, ani też nigdy nie oczarowały go swym pięknem żadne przedmioty.

Nie dbał o poezję, malarstwo, literaturę, nie dostrzegał piękna gór czy wzburzonego morza.

Myślał jedynie o wojnie i śmierci. Jednak nawet tego nie kochał – zaledwie się interesował.

Nagle Ceska zaczął się śmiać. – Byłem jednym z ostatnich, którzy widzieli jego twarz – powiedział.

– Czyją, milordzie?

– Ananaisa, Złotego Rycerza. Został zapaśnikiem na arenach i wkrótce stał się ulubieńcem tłumów. Pewnego dnia, gdy tak stał, przyjmując hołdy, wysłałem na niego jednego z moich Spojonych. Był ogromny, stworzony z trzech istot: wilka, niedźwiedzia i człowieka. Ananais zabił go. Pomyśl, tyle pracy, a on go zabił. – Ceska uśmiechnął się. – Jednak twarz – tłum zobaczył, jak stracił twarz.

- W jaki sposób, sir? Czyżby bardziej podobała się im bestia?
- Och, nie. Dosłownie, stracił twarz. To żart! Darik posłusznie roześmiał się.
- Nienawidzę go. On był tym, który pierwszy zasiał ziarno zwątpienia. Chciał poprowadzić Smoka przeciwko mnie, ale Baris i Tenaka Khan powstrzymali go. Szlachetny Baris! Był lepszy od ciebie, wiesz?
- Tak, panie. Wspominałeś już o tym.
- Jednak nie tak lojalny. Pozostaniesz mi wiemy, co Darik?
- Tak, sir.
- Nie chciałbyś się stać taki jak Baris, prawda?
- Nie, sir.
- To dziwne, że pewne cechy pozostają – medytował Ceska.
- O czym myślisz, panie?
- Chodzi o to, że on jest nadal dowódcą, nieprawdaż? Pozostali nadal go szanują. Zastanawia mnie dlaczego?
- Nie wiem, sir. Nie zmarłeś – może przyniosę ci wina?
- Nie otrulbyś mnie, prawda?
- Nie, panie, masz jednak rację – powinienem sam go najpierw spróbować.
- Tak, spróbuj.

Darik nalał wina do złotego pucharu i upił nieco. Jego oczy rozszerzyły się.

- O co chodzi, generale? – spytał Ceska, pochylając się do przodu.
- Coś w nim jest, panie. Ma słony smak.
- Oceany krwi! – powiedział Ceska śmiejąc się.

Tenaka Khan obudził się na godzinę przed świtem i sięgnął po Renyę, lecz łoże było puste.

Wtedy przypomniał sobie wszystko i usiadł, przecierając oczy z resztek snu. Wydawało mu się, że przypomina sobie, jak ktoś wymawiał jego imię, nie był jednak pewien, czy to było na jawie, czy we śnie.

Głos zawołał znowu. Tenaka zeskoczył z posłania i rozejrzał się po namiocie.

– Zamknij oczy, przyjacielu, i odpręż się – powiedział głos.

Tenaka położył się na powrót. Pod powiekami dostrzegł smukłą twarz Decado.

– Kiedy do nas dotrzesz?

– Za pięć dni. Jeżeli Scaler otworzy bramy.

– Do tego czasu zginiemy.

– Nie mogę poruszać się szybciej.

– Ilu ludzi przyprowadzisz?

– Czterdzieści tysięcy.

– Wydajesz się odmieniony, Tani.

– Jestem wciąż ten sam. Jak sobie radzi Ananais?

– Ufa ci.

– A inni?

– Pagan i Parsal zginęli. Zepchnięto nas do ostatnich dolin. Utrzymamy się najwyżej jeszcze trzy dni – nie więcej. Spojeni są dokładnie tacy, jak się obawialiśmy.

Nadir opowiedział mu o spotkaniu z duchem Aulina i przekazał jego słowa. Decado słuchał w milczeniu.

– Jesteś więc Khanem – powiedział w końcu.

– Tak.

– Żegnaj, Tenaka.

Wróciwszy do Tarsku, Decado otworzył oczy. Acuas i Trzydziestu siedziało kręgiem wokół niego, wspierając go swą mocą.

Każdy z nich słyszał słowa Tenaki Khana, a co ważniejsze, każdy z nich miał wgląd w jego myśli.

Decado wziął głęboki oddech. – I cóż? – zapytał Acuasa.

– Zostaliśmy zdradzeni – odpowiedział mnich-wojownik.

– Jeszcze nie – powiedział Decado. – On przybędzie.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem, o co ci chodziło. Pozwólmy jednak, by dzień jutrzejszy sam zatroszczył się o siebie.

Naszym celem tutaj jest pomóc ludziom Skody. Żaden z nas nie przeżyje, żeby zobaczyć to, co się wydarzy potem.

– W takim razie jaki to ma sens? – zapytał Balan. – Nasza śmierć ma przynieść komuś dobro.

Czy mamy im tylko pomóc zmienić tyrana?

– A jeśli tak, to co? – rzekł cicho Decado. – Źródło wie najlepiej. Jeżeli nie będziemy w to wierzyć, to wszystko na nic.

– Czyżbyś nagle uwierzył? – powiedział sceptycznie Balan.

– Tak, Balanie, uwierzyłem. Myślę, że zawsze wierzyłem. Ponieważ nawet wtedy, gdy byłem w rozpacz, przybyłem do Źródła. Sam ten fakt był wyznaniem wiary, chociaż nie zdawa-

łem sobie z tego sprawy. Dzisiejszy dzień jednak utwierdził mnie w niej.

– Przekonała cię zdrada przyjaciela? – zapytał zdumiony Acuas.

– Nie, nie zdrada. Nadzieja. Promyczek światła. Znak miłości. Jednak porozmawiamy o tym jutro. Dzisiaj trzeba się pożegnać.

– Pożegnać? – zdziwił się Acuas.

– Jesteśmy Trzydziestoma – powiedział Decado. – Nasza misja jest prawie na ukończeniu.

Jako Głos Trzydziestu jestem Opatem Mieczy. Ja jednak mam tutaj umrzeć. A Trzydziestu musi nadal trwać. Jak zobaczyliśmy dzisiaj, rośnie nowe zagrożenie i w przyszłości Drenajowie będą nas znowu potrzebować. Jak bywało w przeszłości, niech i teraz się stanie. Jeden z nas musi wyjechać, włożyć na siebie płaszcz Opata i założyć nową grupę wojowników Źródła. Tym człowiekiem będzie Katan, Dusza Trzydziestu.

– To nie mogę być ja – odparł zakonnik. – Nie wierzę w śmierć i zabijanie.

– Właśnie dlatego – powiedział. – Ty jesteś wybrany. Wydaje mi się, że Źródło zawsze daje nam do wykonania zadania przeciwne naszej naturze. Dlaczego, nie wiem... lecz Ono wie. Jestem zbyt mało wartościowym człowiekiem, żeby zostać wodzem. A jednak Źródło pozwoliło mi oglądać swoją Moc.

Cieszę się. Pozostali z nas wypełnią jego wolę. Teraz, Katanie, po raz ostatni poprowadź modlitwę.

Łzy wypełniały oczy mnicha, gdy rozpoczął modlitwę i ogarnął go wielki smutek. Później po kolei uściskał ich wszystkich i odszedł w noc. Czy sobie poradzi? Gdzie znajdzie nowych Trzydziestu? Wsiadł na konia i odjechał w stronę wyżyn Vagrii.

Na występie skalnym ponad obozem uciekinierów zobaczył chłopca, Ceorla siedzącego przy ścieżce. Ściągnął wodze i zsiadł.

– Dlaczego tutaj przyszedłeś, Ceorl?

– Przyszedł do mnie mężczyzna i kazał mi tu przyjść – czekać na ciebie.

– Jaki mężczyzna?

– Mężczyzna ze snu.

Katan usadowił się obok chłopca. – Czy to pierwszy raz ten mężczyzna przyszedł do ciebie?

– Myślisz o tym właśnie?

– Tak.

– Tak, pierwszy raz. Często jednak widuję innych – mówią do mnie.

– Czy umiesz czarować, Ceorl?

– Tak.

– Jak, na przykład?

– Czasami, kiedy dotykam przedmiotów, wiem, skąd pochodzą. Widzę obrazy. A czasami, kiedy ktoś jest na mnie zły, słyszę jego myśli.

– Opowiedz mi o tym mężczyźnie, który przyszedł do ciebie.

– Nazywa się Abaddon. Powiedział, że jest Opatem Mieczy.

Mnich pochylił głowę i zakrył twarz dłońmi.

– Czemu jesteś smutny? – zapytał chłopiec.

Katan wziął głęboki oddech i uśmiechnął się. – Nie jestem smutny... już nie. Jesteś Pierwszy, Ceorl. Jednak będą inni. Pojedziesz ze mną, a ja nauczę cię wielu rzeczy.

– Czy mamy zostać bohaterami, jak czarnoskóry?

– Tak, mamy zostać bohaterami.

Wojska Ceski nadeszły o świcie, maszerując w szeregach, po dziesięciu ludzi w każdym, a na czele

oddziałów jechali Legioniści. Długa kolumna wiała się poprzez dolinę, rozdzielając się na dwie, gdy dotarła do przełęczu Magadon. Ananais zjawił się zaledwie na godzinę przed nimi wraz z Thornem, Lake'em i tuzinem innych. Teraz oparty na blankach obserwował, jak tamci rozsypują się po dolinie i rozstawiają namioty. Druga połowa wojska udała się pod Tarsk.

Pozostało dwadzieścia tysięcy zahartowanych w walce weteranów. Jak dotąd nie było jednak wśród nich ani imperatora, ani jego Spojonych.

Ananais zmrużył oczy przed wschodzącym słońcem. – Myślę, że to Darik – tam, pośrodku.

To dopiero komplement!

– Nie sądzę, aby zależało mi na jego komplementach – mruknął Thorn. – To rzeźnik.

– Dużo więcej, przyjacielu – powiedział Ananais. – On jest mistrzem wojny. A to czyni go mistrzem-rzeźnikiem.

Przez chwilę obrońcy z ponurą fascynacją obserwowali przygotowania. Za wojskiem nadciągnęły wozy, załadowane po brzegi prowizorycznymi drabinami, żelaznymi hakami oblężniczymi, linami z włókien winorośli oraz zapasami żywności.

Po godzinie, kiedy Ananais przysnął na trawie, przybyły bestie Ceski. Młody żołnierz obudził śpiącego generała, który usiadł i przetarł oczy.

– Nadeszły potwory – szepnął żołnierz. Widząc jego przerażenie, Ananais poklepał go po ramieniu.

– Nie martw się, chłopcze! Trzymaj za pasem patyk.

– Patyk, sir?

– Tak. Jeśli zbliżą się za bardzo do muru, rzuć patyk i zawołaj „Aport!”

Żart nie pomógł żołnierzowi, rozweselił jednak Ananaisa, który śmiał się jeszcze, wstępując na stopnie blanków.

Decado wspierał się o drewniane ramię potężnego łuku. Wódz Trzydziestu był wychudły i wynędzniały, a jego oczy miały nieobecne spojrzenie.

– Jak się czujesz, Dec? Wyglądasz na zmęczonego.

– To tylko starość, Czarna Masko.

– Daj sobie spokój z tym nonsensownym przezwiskiem. Lubię swoje imię.

– To nowe lepiej do ciebie pasuje – powiedział Decado z uśmiechem.

Spojeni usadowili się poniżej namiotów, otaczając kręgiem ten, który był z czarnego jedwabiu.

– Ten będzie należał do Ceski – powiedział Ananais. – Nie chce ryzykować.

– Wygląda na to, że nam przypadną wszystkie bestie – stwierdził Decado. – Nie zauważyłem, żeby się rozdzielali.

– Mamy szczęście! – rzekł Ananais. – Chociaż z ich punktu widzenia to ma sens. Nie ma znaczenia, który mur zdobędą – wystarczy, że dostaną jeden, a jesteśmy skończeni.

– Tenaka będzie tutaj za pięć dni – przypomniał mu przyjaciel.

– My już tego nie zobaczymy.

– Być może, Ananaisie...?

– Tak?

– To nie ma znaczenia. Jak myślisz, kiedy zaatakują?

– Nienawidzę ludzi, którzy tak robią. Co chciałeś powiedzieć?

– Nic takiego. Zapomnij!

– Co się z tobą dzieje, do diabła? Jesteś smutniejszy niż chora krowa!

Decado zmusił się do śmiechu. – Tak. Starzeję się i poważnieję. W zasadzie nie ma się czym martwić – to tylko dwadzieścia tysięcy wojowników i jedno stado piekielnych bestii.

– Zgadzam się z tobą – powiedział Ananais. – Myślę, że Tenaka zmiecie ich jak burza.

– Chciałbym móc to zobaczyć – stwierdził mnich.

– Gdyby nasze życzenia były oceanem, bylibyśmy wszyscy rybami – odrzekł Ananais.

Olbrzymi wojownik odszedł z powrotem na trawę z zamiarem dokończenia drzemki. Decado obserwował go, siedząc na blankach.

Czy roztropnie było nie mówić Ananaisowi, że Tenaka jest teraz Khanem największych wrogów Drenajów? Tylko co zyskałby, mówiąc mu o tym? On wierzył Tenace, a jeśli człowiek pokroju Ananaisa pokładał w kimś wiarę, to była ona silniejsza niż żelazo. Nie zdołałby pojąć, że Nadir może go zdradzić.

Czy to litościwe pozwolić mu umrzeć z tą niezachwianą wiarą?

A może nie?

Człowiek ma prawo znać prawdę.

– Decado! – zawołał go w myślach czyjś głos. To Acuas. Decado zamknął oczy, skupiając się na jego

słowach.

– Tak?

– Wróg dotarł do Tarsku. Nie ma z nimi Spojonych.

– Wszyscy są tutaj!

– A więc wrócimy do ciebie. Dobrze?

– Dobrze – odparł Decado. Ośmiu mnichów zatrzymał przy sobie na Magadonie, a pozostałych dziewięciu wysłał do Tarsku.

– Tak jak proponowałeś, wkroczyliśmy do umysłu jednej z bestii, nie sądzę jednak, by spodobało ci się to, co znaleźliśmy.

– Mów.

– Oni są ze Smoka! Ceska zaczął przetwarzać ich piętnaście lat temu. Część tych najnowszych pochodzi spośród ludzi pojmanych ze Smoka Odrodzonego.

– Rozumiem.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie – powiedział Decado. – To tylko zwiększa smutek.

– Przykro mi. Czy postępujemy nadal zgodnie z planem?

– Tak. Czy jesteś pewien, że musimy podejść blisko?

– Jestem – powiedział Acuas. – Im bliżej, tym lepiej.

– Z powodu Templariuszy?

– Przełamali osłonę w Otchłani. Prawie straciliśmy Balana.

– Jak się czuje?

– Powraca do zdrowia. Powiedziałaś Ananaisowi o Tenace Khanie?

– Nie.

– Ty wiesz najlepiej.

– Mam taką nadzieję. Wracajcie jak tylko można najszybciej.

Na trawie poniżej Ananais spał głębokim snem. Zobaczyła go Valtaya i przygotowała mu posiłek z

pieczonej wołowiny i gorącego chleba. Po godzinie przyniosła mu go i razem odeszli w cień między drzewami, gdzie mógł podnieść swą maskę i zjeść.

Nie mogła patrzeć, jak je, i oddaliła się, zbierając kwiaty. Kiedy skończył, wróciła.

– Nałóż maskę – powiedziała. – Ktoś mógłby tędy przechodzić.

Spojrzał swymi jasnoblękitnymi oczami głęboko w jej oczy, a potem odwrócił wzrok i nałożył maskę.

– Ktoś właśnie przeszedł – powiedział ze smutkiem.

Rozdział 22

Późnym rankiem trąbki zagrały zbiórkę w obozie wroga i dziesięć tysięcy wojowników zaczęło się krzątać wokół wozów – wyciągając drabiny, przywiązując liny do haków oblężniczych i zamocowując tarcze.

Ananais pobiegł na mury, gdzie Lake, pochylony nad gigantyczną arbaletą, sprawdzał liny i wiązania.

W dole wojsko rozwinęło się w poprzek doliny, a promienie słońca odbijały się od kling mieczy i ostrzy włóczy. Bębny uderzyły w takt i wojsko ruszyło do przodu.

Na murach obrońcy oblizali wargi wyschlými nagle językami i otarli o tuniki spocone dłonie.

Powolne bicie bębna rozeszło się echem po górach.

Przerażenie ogarnęło obrońców jak fala powodzi. Mężczyźni krzyczeli i zeskakiwali z murów, spadając na trawę poniżej.

– To Templariusze! – wrzasnął Decado. – To tylko złudzenie!

Jednak panika rosła i strach pochłaniał kolejne szeregi ludzi Skody. Ananais próbował ich podnieść na duchu, lecz i jego głos drżał ze strachu. W miarę narastania odgłosów bębnow, następni ludzie rzucali się do ucieczki.

Ludzie spływali z murów strumieniem, liczącym setki wojowników, gdy nagle zatrzymali się raptownie na widok odzianej w zardzewiałą kolczugę kobiety, która wyszła im naprzeciw.

– My nie uciekamy! – krzyknęła Rayvan. – My jesteśmy ze Skody! My, synowie Drussa Legendy, nie uciekamy!

Dobycy miecza, poszła przez tłum w kierunku murów. Tylko garstka ludzi pozostała pod blankami, a i ci mieli upiornie blade twarze i drżeli na całym ciele. Rayvan wstąpiła na stopnie, a z każdym krokiem ogarniał ją większy strach.

Ananais zataczając się, podszedł do niej i wyciągnął rękę, którą z wdzięcznością przyjęła.

– Nie mogą nas pokonać! – powiedziała, szcękając zębami, z oczami rozszerzonymi przerażeniem.

Górale Skody odwracając się, widzieli jej postać, stojącą hardo na murze. Podnosili miecze i wracali, walcząc z odpychającą ich ścianą strachu.

Decado i Trzydziestu również z nią walczyli, starając się przede wszystkim osłaniać Rayvan.

Nagle strach ustąpił!

Wojownicy Skody wrócili falą na mury, rozgniewani. Zawstydzeni odwagą swego wodza-kobiety zajęli pozycje, a na ich twarzach widać było determinację.

Bicie bębnow ucichło. Zagrała trąbka.

Z dzikim okrzykiem na ustach dziesięć tysięcy wojowników runęło do ataku.

Lake i jego pomocnicy zwolnili zabezpieczające sznury swoich dwóch maszyn i napełnili ich miski ołowianymi kulkami. Kiedy nieprzyjaciel zbliżył się na pięćdziesiąt kroków, Lake podniósł

rękę. Przy czterdziestu opuścił ją i zwolnił spust. Ramię łuku śmignęło jak bicz. Druga maszyna strzeliła kilka sekund później.

Pierwsze szeregi wroga zostały zmiecione jak kosą. Obrońcy widząc to, zaczęli wiwatować.

Podnieśli swoje łuki i wysyłali falą za falą strzały w nacierających wojowników. Tamci mieli jednak na sobie ciężkie zbroje, a przed sobą trzymali tarcze.

Ich drabiny spadły z hukiem na mury, nad blankami pofrunęły haki oblężnicze.

– Teraz się zaczyna! – powiedział Ananais.

Pierwszy wojownik, który pojawił się na murze, zgiął od jego miecza, otrzymawszy cios w krtań. Spadając, pociągnął za sobą następnego.

A potem byli już w środku i rozpoczęła się walka wręcz.

Decado i Trzydziestu walczyli razem po prawej stronie Ananaisa. Tam żaden wojownik nie przedarł się na blanki.

Jednak po lewej intruzi utorowali sobie przejście. Rzucił się tam Ananais, tnąc i siekąc, młócąc i zabijając. Jak lew między wilkami przebijał się przez ich szeregi, a za nim parli ludzie Skody z rykiem wyzwania. Powoli zepchnęli żołnierzy z muru. Pośrodku Rayvan wbiła klingę w pierś przeciwnika. Ten jednak, padając, zdołał ciąć ją w policzek. Zatoczyła się, a Lake zobaczywszy to i widząc, że atakuje ją kolejny żołnierz, rzucił sztyletem, trafiając napastnika rękojeścią za ucho. Tamten prawie upadł i wypuścił miecz z rąk. Wtedy Rayvan wykończyła go oburęcznym ciosem w szyję.

– Odejdź stąd, mammo! – zawołał Lake.

Decado słysząc krzyk, opuścił Trzydziestu i podbiegł do Rayvan, pomagając jej wstać.

– Lake ma rację – powiedział. – Jesteś dla nas zbyt ważna, by ryzykować tutaj!

– Uważaj, za tobą! – krzyknęła, gdy na murze pojawił się wojownik ze wzniesionym toporem. Decado obrócił się na pięcie i pchnął. Jego miecz wbił się jak szpikulec w pierś przeciwnika – i pękł. Pojawili się dwaj następni żołnierze. Decado uklęknął, biorąc szybko leżący topór i zerwał się z powrotem na nogi. Zablokował cios z nad głowy i uderzeniem na odlew zwałił

z muru jednego z nich. Drugi ciął mnicha w ramię, lecz Lake podbiegł z tyłu i rozłupał mu mieczem czaszkę.

Napastnicy wycofali się.

– Zbierzcie z murów rannych! – krzyknął Ananais. – Tamci lada chwila powrócą.

Generał przeszedł wzdłuż murów, pospiesznie sprawdzając rannych i zabitych. Przynajmniej stu ludzi nie będzie już nigdy walczyć. Jeszcze dziesięć podobnych ataków i będzie po wszystkim.

Z lewego końca muru nadchodził Galand. Spotkał Ananaisa w połowie drogi.

– Mogłoby nam się udać, gdybyśmy mieli o tysiąc ludzi więcej i wyższy mur – powiedział z goryczą.

– Dobrze sobie radzili. Później straty będą mniejsze. Podczas tego ataku zginęli najslabsi z naszych.

– Czy tylko tym są dla ciebie? – warknął Galand. -Liczba mieczy? Ci dobrzy, ci źli?

– Nie ma na to czasu, Galand.

– Niedobrze mi się robi, gdy cię słucham!

– Wiem, że śmierć Parsala...

– Zostaw mnie! – powiedział Galand, przechodząc obok niego.

– O co poszło? – zapytał Thorn, wspinając się na blanki. Na głowie miał zwój bandaża.

– Nie wiem.

– Przyniosłem coś do zjedzenia – powiedział Thorn i podał Ananaisowi bochenek chleba, napełniony topionym serem. Zdążył odgryźć zaledwie jeden kęs, gdy na dole znowu zagrały bębny.

Przed zmierzchem Drenajowie Ceski atakowali jeszcze pięć razy i pięciokrotnie zostali odparci, a w kolejnym nocnym ataku ponieśli ciężkie straty.

Ananais pozostał na murach niemal do świtu i dopiero gdy Decado zapewnił go, iż przeciwnik nie

planuje już następnych szturmów, slaniając się na nogach, opuścił pozycję.

Valtaya miała pokój w szpitalu, jednak oparł się chęci pójścia do niej. Zamiast tego znalazł między drzewami trawiasty kopczyk i tam położył się spać.

Czterystu ludzi wycofano z walki; ranni zapełnili szpital, tak że układano ich na trawie wokół budynku. Ananais posłał po posiłki, dwustu pięćdziesięciu ludzi z sił rezerwowych.

Na Tarsku, jak dowiedział się od Acuasa, straty były mniejsze, tam jednak przypuszczono tylko trzy ataki. Turs, młody wojownik, który tam dowodził, spisał się nadzwyczaj dobrze.

Teraz nie ulegało wątpliwości, iż celem głównego uderzenia będzie Magadon. Ananais miał nadzieję, że nazajutrz przeciwnik jeszcze nie wprowadzi do walki Spojonych, lecz instynktownie przeczuwał, że stanie się inaczej.

Naprzeciw szpitala młody żołnierz rzucał się we śnie, który stawał się coraz bardziej przerażający. Nagle zeszywniał i zduszony krzyk zamarł mu w krtani. Po chwili otworzył oczy i usiadł, sięgając po nóż. Odwróciwszy go ostrzem do siebie wbił go sobie między żebra i pchał, aż ostrze przeszło serce. Wtedy odrzucił sztylet i wstał. Z rany nie popłynęła krew...

Powoli podszedł do szpitala i zajrzał przez otwarte okno. Wewnątrz Valtaya pracowała do późna, starając się opatrzyć najciężej rannych.

Odsunął się od okna i poszedł w stronę rozciągającego się za szpitalem lasu, gdzie około dwustu uciekinierów rozłożyło swe prowizoryczne namioty. Przy ognisku siedziała Rayvan, trzymając w ramionach niemowlę i rozmawiając z trzema kobietami.

Chodzący trup ruszył ku nim.

Rayvan podniosła oczy i zobaczyła nadchodzącego – dobrze go znała.

– Nie możesz spać, Oranda?

Nie odpowiedział.

Wtedy Rayvann dostrzegła nóż i zmrużyła oczy. Kiedy mężczyzna klęknął przy niej, zobaczyła jego oczy. Puste i martwe, patrzyły na nią nie widząc.

Ostrze błysnęło, Rayvan jednak zdążyła się wykręcić i upadła na bok, osłaniając śpiące dziecko. Nóż rozciął jej biodro. Puszczając niemowlę, zablokowała następny cios przedramieniem i prawą ręką uderzyła z całej siły w brodę mężczyzny. Upadł, lecz podniósł się znowu. Rayvan zerwała się na nogi. Pozostałe kobiety zaczęły krzyczeć, a obudzone dziecko zakwiliło. Kiedy trup podszedł bliżej, Rayvan cofnęła się. Czowała, jak krew spływa jej po nodze.

Doskoczył do nich jakiś człowiek z kowalskim młotem w dłoni, którym ze straszliwą siłą zdzielił trupa w głowę. Czaszka pękła z trzaskiem, lecz on nie zmienił wyrazu twarzy.

W pierś wbiła mu się strzała; spojrział tylko w dół i powoli wyjął bełt. Już dopadał Rayvan, kiedy przybiegł Galand. Ręka z nożem uniosła się w górę, Galand ciął i ramię odpadło. Trup zatoczył się... i padł.

– Bardzo pragną twej śmierci – powiedział Galand.

– Pragną śmierci nas wszystkich – odrzekła Rayvan.

– Jutro to życzenie się spełni – zauważył.

Valtaya skończyła zszywać długie na dziewięć cali rozcięcie na udzie Rayvan i posmarowała ranę maścią.

– Zapobiegnie pozostaniu brzydkiej blizny – powiedziała Valtaya, przykrywając ranę gazą.

– To dla mnie obojętne – powiedziała Rayvan. – Kiedy będziesz w moim wieku, nikt nie zauważy blizny na twoim udzie – wiesz, o co mi chodzi?

– Nonsens, jesteś ładną kobietą.

– Dokładnie. Mało który mężczyzna zauważa taką. Ty jesteś kochanką Czarnej Maski, prawda?

– Tak.

– Znasz go od dawna?

– Nie, od niedawna. Ocalił mi życie.

– Rozumiem.

– Co rozumiesz?

– Jesteś miłą dziewczyną, lecz może zbyt serio bierzesz długi wdzięczności.

Valtaya usiadła przy łóżku i przetarła oczy. Była zmęczona, zbyt zmęczona, aby zasnąć.

– Czy zawsze wydajesz pochopne sądy o ludziach, których spotykasz?

– Nie – powiedziała Rayvan, siadając i czując przy tym naprężenie szwów. – Lecz miłość mieszka w oczach i kobieta wie, kiedy druga kobieta jest zakochana. Kiedy zapytałam cię o Czarную Maskę, posmutniałaś. A potem powiedziałaś, że ocalił ci życie. Nietrudno było dojść do oczywistych wniosków.

– Czy to źle, gdy się chce komuś wynagrodzić?

– Nie, to nie jest źle – szczególnie w obecnych czasach. Poza tym, jest wspaniałym mężczyzną.

– Zraniłam go – powiedziała Valtaya. – Nie chciałam, ale byłam zmęczona. Najczęściej staram się nie zwracać uwagi na jego twarz, tym razem jednak kazałam mu nałożyć maskę.

– Lake dostrzegł raz jego twarz bez maski. Mówił mi, że jest ohydnie pokaleczona.

– On nie ma twarzy – powiedziała Valtaya. – Zdarto mu nos i górną wargę, a policzki są jedną masą blizn. Jedna z ran nie goi się i ropieje. To coś strasznego! Wygląda jak trup.

Próbowałam. .. nie mogę... – Z oczu popłynęły łzy i słowa zamarły.

– Nie rób sobie wyrzutów, dziecko – powiedziała cicho Rayvan, pochylając się do niej i głaszcząc ją po plecach. – Próbowałaś. Większości kobiet nie byłoby stać nawet na to.

– Wstydzę się siebie. Kiedyś powiedziałam mu, że twarz nie stanowi o człowieku. Staralam się kochać człowieka, lecz jego twarz wciąż mnie prześladowuje.

– Nie myliłaś się. Odpowiedź tkwi w twoich własnych słowach. Staralaś się go kochać.

Wzięłaś na siebie zbyt wiele.

– Ale on jest taki szlachetny i tragiczny. Był Złotym Wojownikiem. .. miał wszystko.

– Wiem. Był też próżny.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– To nietrudne. Rozważ jego historię: młody, bogaty patrycjusz zostaje generałem Smoka.

Co się dzieje potem? Angażuje się w walki na arenie, zabijając ludzi ku uciesze gawiedzi. Wielu spośród tych, z którymi walczył, było więźniami zmuszonymi do walki na śmierć i życie. Oni nie mieli wyboru, on miał. Nie potrafił jednak żyć bez aplauzu. Nie ma w tym nic szlachetnego.

Mężczyźni! Cóż oni wiedzą? Nigdy nie dorastają.

– Jesteś dla niego bardzo surowa, a on chce umrzeć za ciebie!

– Nie za mnie. Dla siebie. Pragnie zemsty.

– To niesprawiedliwe!

– Życie jest niesprawiedliwe – powiedziała Rayvan. – Nie zrozum mnie ile, lubię go. Bardzo go lubię. Jest wspaniałym człowiekiem. Jednak ludzie nie dzielą się po prostu na dwie kategorie: jedni ze złota, a drudzy z ołowiu. Są mieszanką obydwu.

– A kobiety? – zapytała Valtaya.

– Czyste złoto, dziewczyno – stwierdziła ze śmiechem Rayvan.

Valtaya uśmiechnęła się.

– Tak lepiej! – powiedziała kobieta.

– Jak ty to robisz? Jak udaje ci się zachować tę siłę?

– Udaję.

– To nie może być prawda. Dzisiaj opanowałaś panikę – byłaś wspaniała.

– To było łatwe. Tamci zabili mi męża i synów; już nic nie zostało, by mi sprawić ból. Mój ojciec zwykł był mawiać, że nie można powstrzymać człowieka, który wie, że ma rację. Z

początku myślałam, że to bzdura. Strzała w gardło powstrzyma każdego. Teraz wiem, co miał na myśli. Ceska jest tak nienaturalny jak śnieżyca w lipcu. Nie może zwyciężyć, dopóki przeciwstawi mu się wystarczająco dużo ludzi. Wieść o Skodzie rozejdzie się po całym imperium i ludzie w innych krainach powstaną przeciw niemu. Wojsko zbuntuje się, a ucziwi sięgną po miecze. On nie może wygrać.

– Może wygrać tutaj.

– To będzie krótkotrwałe zwycięstwo.

– Ananais wierzy, że Tenaka Khan przybędzie z wojskiem Nadirów.

– Wiem – powiedziała Rayvan. – Nie bardzo mi się podoba ten pomysł.

W sąsiednim pokoju leżał Decado, nie mogąc zasnąć z powodu bólu pulsującego w ramieniu.

Uśmiechnął się, słysząc słowa Rayvan. Tej kobiety nie da się oszukać, pomyślał.

Wpatrywał się w drewniany sufit, ignorując bolącą rękę. Był spokojny. Przyszedł do niego Katan i opowiedział mu o chłopcu o imieniu Ceorl, a Decado miał łzy w oczach słuchając.

Wszystko wracało na właściwe miejsce. Śmierć nie budziła już przerażenia.

Usiadł na posłaniu. Obok niego po prawej stronie leżała jego zbroja. Zbroja Serbitara z Trzydziestu z Delnoch.

Mówiono, że dręczyły go wątpliwości i Decado miał nadzieję, iż pod koniec życia wyzbył

się ich. Tak dobrze było wiedzieć. Zastanawiał się, jak mógł być tak ślepy na prawdę, gdy fakty lśniły przed jego oczami z taką krystaliczną prostotą.

Ananais i Tenaka, natykający się na siebie w pobliżu baraków Smoka. Scaler i Pagan.

Decado i Trzydziestu. Rayvan.

Każde z nich stanowiło ogniwo w łańcuchu magii i tajemnicy. A kto wie, ile jeszcze istniało innych, równie ważnych ogniw?

Valtaya, Renya, Galand, Lake, Parsal, Thom, Turs?

Pagan został sprowadzony z odległego kraju, aby ocalić jedno wyjątkowe dziecko. A kogo ono uratuje?

Pajęczyna w pajęczynie, a ta w kolejnej pajęczynie...

Być może same wydarzenia są niczym więcej jak ogniwami. Legendarna bitwa pod Dros Delnoch przyczyniła się do stworzenia, po dwóch pokoleniach, Tenaki Khana. I Scalera. I Smoka.

Decado nie był w stanie objąć tego wszystkiego.

Ból w ręce odezwał się znowu i pod jego wpływem Decado zgrzytnął zębami.

Jutro już nie będzie go czuł.

Kolejne trzy ataki nastąpiły o brzasku. Przy ostatnim linia obrońców pękłaby, gdyby nie Ananais, który z mieczami w obu dłoniach rzucił się jak szalony na nieprzyjaciół, torując sobie drogę. Kiedy ich odrzucono, w obozie wroga zagrała pojedyncza trąbka, która była sygnałem dla Spojonych, zebranych tam w liczbie pięciu tysięcy.

Potwory skoczyły do przodu, a Legioniści wycofali się poprzez ich szeregi, zostawiając im wolne pole ataku.

Ananais przełknął ślinę i spojrzał na lewo i prawo wzdłuż szeregu. To była okropna chwila.

Nie dostrzegł jednak ani śladu chęci poddania się w tych góralach ze Skody i poczuł dumę.

– Dziś wieczorem dla każdego będzie ciepły futrzak! – krzyknął.

Ponury śmiech powitał ten żart.

Spojeni czekali, aż zebrali się wokół nich Czarni Templariusze – aby obudzić w nich bestie, emitując wizje krwi i rzezi.

Rozległo się wycie.

Na murze Decado przywołał do siebie Balana. Czarnooki mnich podszedł i skłonił się jak nakazywał obyczaj.

– Nadchodzi czas – powiedział Decado.

– Tak.

– Ty zostaniesz.

– Co? – zdumiał się Balan. – Dlaczego?

– Ponieważ będą cię potrzebować. Aby utrzymać kontakt z Tarskiem.

– Nie chcę zostawać sam, Decado!

– Nie będziesz sam. Wszyscy będziemy z tobą.

– Nie. Chcesz mnie w ten sposób ukarać!

– To nie tak. Pozostań blisko Ananaisa i osłaniaj go, jak potrafisz najlepiej. Również tę kobietę, Rayvan.

– Niech zostanie ktoś inny. Jestem z was najgorszy – najsłabszy. Potrzebuję was wszystkich.

Nie możecie zostawić mnie samego.

– Zachowaj wiarę, Balan. I bądź mi posłuszny.

Mnich słaniając się na nogach, opuścił blanki i pobiegł na oślep w cień znajdujących się za nimi drzew.

W dolinie pod nimi wycie podniosło się do straszliwego crescendo.

– Teraz! – krzyknął Decado.

Siedemnastu mnichów-wojowników ześliznęło się na drugą stronę blanków i zeskoczyło na ziemię po drugiej stronie, a potem poszło w stronę bestii oddalonych o jakieś sto kroków.

– Co, u wszystkich diabłów? – powiedział Ananais. – Decado! -ryknął.

Trzydziestu maszerowało rozwiniętą szeroko tyralierą, ich białe płaszcze powiewały na wietrze, a w rękach lśniły miecze.

Potwory ruszyły. Za nimi biegli Templariusze, podsycając ich zapal wlewanym w nich poczuciem ogromnej mocy.

Trzydziestu padło na kolana.

Prowadzący Spojony, prawie ośmiostopowy olbrzym, zatoczył się pod wpływem wizji, która uderzyła w jego umysł. Kamień. Zimny kamień. Rzeźbiony.

Krew, świeża krew, ociekająca z solonego mięsa.

Bestia biegła dalej.

Kamień. Zimny kamień. Skrzydła.

Krew.

Kamień.

Skrzydła. Rzeźbione skrzydła.

Trzydzieści kroków dzieliło potwory od Trzydziestu. Ananais nie mógł już na to patrzeć i odwrócił się plecami do tej sceny.

Spojony przywódca nachylił się nad odzianym w srebro wojownikiem, klęczącym przed nim.

Kamień. Rzeźbiony kamień. Skrzydła. Maszerujący ludzie. Kamień...

Potwór zawył.

Smok. Kamienny Smok. Mój smok!

Cała linia Spojonych zwolniła. Wycie ucichło. Obraz nasilał się w ich wyobraźni. Dawno utracone wspomnienia przebijały się na powierzchnię. Ból, straszliwy ból zapłonął w obrzydliwych ciałach.

Templariusze napierali, bombardowali ich umysły kontrwizjami. Jeden z potworów odwrócił się, wyciągnął przed siebie zakończoną szponami rękę i zerwał głowę Templariusza z ramion.

Potężna bestia, prowadząca pozostałych, zatrzymała się przed Decado. Jego wielka głowa zwiśla w dół, język poruszał się w otwartej paszczy. Mnich podniósł oczy. Starając się utrzymać obraz w umyśle potwora, dostrzegł smutek w jego oczach. Stwór wiedział. Jego szponiasta łapa podniosła się i dotknęła piersi. Długi język obrócił się wokół jednego tylko słowa, które Decado zaledwie zdołał zrozumieć:

– Baris. Ja Baris!

Bestia zawróciła i pobiegła z rykiem w kierunku Templariuszy. Inni Spojeni podążyli za nią, podczas gdy Templariusze stali jak skamieniali, nie pojmując, co się dzieje. Wtedy potwory dopadły ich. Nie wszystkie jednak pochodziły z dawnego Smoka i dziesiątki kręciły się zdezorientowane, aż jeden z nich dostrzegł wojowników w srebrnych zbrojach.

Podbiegł do nich, a inni poszli w jego ślady.

Mnisi byli zupełnie bezbronni. Tylko Decado mógł się jeszcze poruszyć... I nie zrobił tego.

Spojoni spadli na nich warcząc i zadając ciosy.

Decado zamknął oczy i ból skończył się.

Templariusze ginęli setkami od ciosów, miotających się po obozie Spojonych. Olbrzymi potwór, który kiedyś był Barisem, Dowódcą Smoka, dopadł uciekającego Mamona. Jednym kła-pnięciem szczęki odciął mu rękę od ramienia. Maymon wrzasnął, lecz w tym momencie smagnięcie szponiastej łapy pozbawiło go twarzy i zatopiło okrzyk we krwi.

Baris wyprostował się i podążył do namiotu Ceski.

Darik cisnął włócznią, która zagłębiła się w piersi potwora. Nie był to jednak głęboki cios, bo Spojony wyciągnął ją i zaatakował.

– Do mnie, Legionie! – ryknął mężczyzna. Łucznicy zasypali bestię strzałami. Mimo to posuwała się dalej.

Na całym polu Spojeni padali na ziemię, wijąc się i krzycząc w paroksymach śmierci.

Baris wciąż atakował. Generał patrzył ze zdumieniem, jak gigantyczna postać zdaje się kurczyć w oczach. Strzała przebiła mu pierś i potwór zachwiał się. Darik doskoczył do niego i wbił mu miecz w plecy. Stwór jeszcze spróbował odwrócić się... i umarł. Głównodowodzący nogą odwrócił go na plecy. Bestia zadrżała, jeszcze raz więc pchnął ją mieczem. Wtem zauważył, że drżenie nie miało nic wspólnego z życiem – potwór ponownie przybierał ludzką postać.

Mężczyzna odwrócił głowę.

Na całej równinie Spojeni umierali – wszyscy prócz niewielkiej grupy rozrywającej na strzępy srebrnych wojowników, którzy spowodowali ich zgubę.

Ceska siedział w swoim namiocie. Generał wszedł i złożył ukłon.

– Potwory zginęły, panie.

– Mogę zrobić następne – powiedział Ceska. – Zdobądźcie mur!

Scaler spoglądał na martwego Templariusza. Dwóch wojowników Sathuli pobiegło schwytać jego konia, a Magir wyciągnął strzałę z szyi trupa i wcisnął w ranę kawałek szmaty, tamując krew.

Pospiesznie odpiął napierśnik i zdjął go z zabitego. Scaler otarł z pasków krople krwi. Gdy dwaj inni wojownicy kontynuowali rozbieranie Templariusza, on otworzył skórzaną sakiewkę ukrytą pod napierśnikiem. Wewnątrz znajdował się zwój z pieczęcią Wilka. Wcisnął go z powrotem do sakwy.

– Ukryjcie ciało – powiedział i cofnął się w cień drzew.

Od trzech dni czekali na posłańca na tej opuszczonej drodze przez Skultik. Magir powalił go jedną strzałą – mistrzowski wyczyn.

Wróciwszy do obozu, Scaler zbadał pieczęć. Wosk miał zielony kolor i był marmurkowany –

nie do podrobienia w tych warunkach. Przez chwilę bawił się myślą o otworzeniu zwoju, potem włożył go z powrotem do sakwy.

Zwiadowcy Sathuli przynieśli wieści o Tenace Khanie. Znajdował się niecały dzień drogi od fortecy i Scaler był zmuszony natychmiast wprowadzić w życie swój plan.

Podchodząc do zbroi młodzieniec przymierzył napierśnik. Był nieco za duży. Zdjął go i przedziurawił pasek końcem sztyletu. Dociągnął sprzączkę. Lepiej.

Hełm leżał dobrze, lecz i tak Scaler czułby się szczęśliwszy, gdyby ten człowiek nie był

Templariuszem. Mówiono o nich, że potrafią się porozumiewać językiem myśli. Miał nadzieję, że nie ma ich w twierdzy.

– Kiedy masz zamiar tam wejść? – zapytał Magir.

– Dziś. Po północy.

– Dlaczego tak późno?

– Jeśli będę miał szczęście, komendant będzie już spał. Będzie rozespany i mniej chętny do zadawania zbyt szczegółowych pytań.

– To wielkie ryzyko, Książę.

– Nie przypominaj mi o tym.

– Chciałbym móc uderzyć na twierdzę z dziesięcioma tysiącami szabel.

– Wiem – przyznał niechętnie Scaler. – To byłoby miłe. No, trudno!

– Jesteś dziwnym człowiekiem, panie. Zawsze żartujesz.

– Życie jest wystarczająco smutne, Magirze. Śmiechem trzeba się cieszyć jak skarbem.

– Jak przyjaźnią – powiedział Sathuli.

– To prawda.

– Czy trudno było być umarłym?

– Nie tak trudno jak być żywym, lecz pozbawionym nadziei.

Magir pokiwał głową ze smutkiem. – Mam nadzieję, że ten wysiłek nie pójdzie na marne.

– Dlaczego miałby pójść?

– Nie ufam Nadirom.

– Jesteś podejrziwym człowiekiem, Magirze. Ja ufam Tenace Khanowi. Kiedy byłem dzieckiem, ocalił mi życie.

– Więc on także zmartwychwstał?

– Nie.

– Nie rozumiem.

– Nie wstałem z grobu całkowicie dorosły, Magir. Rosłem podobnie jak inne dzieci.

– Wielu rzeczy nie rozumiem. Zostawimy to jednak na inną okazję. Teraz czas już się przygotować.

Scaler przytaknął zdumiony własną głupotą. Jak łatwo mógł się zdradzić.

Magir obserwował, jak Scaler wkładał czarną zbroję i zastanawiał się. Nie był głupcem i wyczuwał w Księciu zakłopotanie, zdając sobie w tym momencie sprawę, że nie wszystko, w co wierzył, zgadzało się z prawdą. A jednak zaufał mu duch Joachima.

To wystarczało.

Scaler dociągnął popręg czarnego ogiera i wskoczył na siodło. Hełm zawiesił na łąku.

– Żegnaj, przyjacielu – powiedział.

– Niech ci szczęście sprzyja – odparł Magir.

Scaler spiał ostrogami konia, kierując go spomiędzy drzew na drogę. Jechał ponad godzinę, zanim wreszcie ujrzał przed sobą południową bramę Delnoch, wielki mur rozpięty na przełęczy.

Tyle czasu upłynęło od chwili, gdy był w domu.

Dwóch wartowników zasalutowało mu przy portykowej bramie. Skręcił w lewo do wejścia do kasztelu. Kiedy zsiadł z konia, młody żołnierz odebrał od niego wodze.

Do Scalera podszedł kolejny wartownik.

– Zaprowadź mnie do Gana – rozkazał Scaler.

– Gan Paldin śpi już, sir.

– Więc go obudź! – warknął Scaler głosem celowo chłodnym i pozbawionym wyrazu.

– Tak, sir. Proszę iść za mną.

Poprowadził go drugim, oświetlonym pochodniami korytarzem poprzez Salę Bohaterów, którą okalały ze wszystkich stron posągi, a potem po marmurowych schodach w górę, do kwatery Paldina. Kiedyś należała ona do dziadka Scalera. Wartownik kilkanaście razy zapukał, nim odpowiedział mu

zaspany głos; drzwi otworzyły się. Gan Paldin zdążył nałożyć wełnianą podomkę. Był niskim mężczyzną w średnim wieku, o dużych, wyłupiastych, ciemnych oczach.

Scaler od pierwszej chwili poczuł do niego niechęć.

– Czy to nie mogło poczekać? – zapytał Paldin gniewnie. Scaler podał mu rulon, który ten rozerwał i szybko przeczytał.

– Cóż, czy to wszystko? Czy jest też jakaś ustna wiadomość?

– Mam jeszcze jedną wiadomość, panie. Od samego imperatora. Oczekuje pomocy z północy i każe ci przepuścić nadiryskiego generała. Rozumiesz?

– Dziwne – zamruczał Gan. – Jak mówisz, przepuścić?

– Tak jest.

Paldin odwrócił się i sięgnął po leżący na nocnym stoliku sztylet. Klinga świsnęła w powietrzu i wylądowała na szyi Scalera.

– Może więc wytłumaczysz mi znaczenie tej wiadomości? – powiedział, podnosząc zwój do oczu Scalera.

Uważaj na wojska Nadirów. Trzymaj się za wszelką cenę. Ceska.

– Nie zamierzam stać tak ani chwili dłużej, z tym sztyletem przyłożonym do szyi –

powiedział Scaler z kamiennym wyrazem twarzy. – Nie zamierzam też zabijać generała. Proszę to natychmiast usunąć – lub też poznasz, co to gniew Templariusza.

Paldin zbladł i odłożył nóż. Wartownik dobył miecza i stanął za plecami Scalera.

– Tak dobrze – powiedział Scaler. – Teraz przeczytaj ponownie wiadomość. Zauważysz, że mówi ona: „Uważaj na wojska Nadirów”. To dotyczy wiadomości, którą ci przekazałem.

„Trzymaj się za wszelką cenę” – odnosi się do buntowników i piekielnych Sathuli. Imperator żąda, abyś był mu posłuszny. Potrzebuje Nadirów – rozumiesz?

– To niejasne.

– Dla mnie wystarczająco – warknął Scaler. – Imperator zamierza zawrzeć układ z Nadirami.

Przysyłają pomoc dla stłumienia powstania, tam i gdzie indziej.

– Muszę mieć potwierdzenie – sprzeciwił się Paldin.

– Naprawdę? Odmawiasz więc wykonania rozkazów imperatora?

- Nie, wcale nie. Jestem lojalny i zawsze byłem. To tylko dlatego, że rozkaz jest dość nieoczekiwany.
 - Rozumiem. Krytykujesz imperatora za to, że nie wtajemniczył cię w swoje plany?
 - Nie wkładaj mi do ust swoich słów. Nie to powiedziałem.
 - Czy wyglądam na głupca, Paldinie?
 - Nie, to zna...
 - Czy nie sądzisz, że byłbym głupcem, przychodząc tutaj z listem dowodzącym, że jestem kłamcą?
 - Tak, rozumiem to...
 - Więc, są tylko dwie możliwości. Jestem głupcem lub...?
 - Rozumiem – wybełkotał Paldin.
 - Jednakże – powiedział Scaler, a jego głos przybrał nieco bardziej przyjazne tony – twoja ostrożność nie jest pozbawiona podstaw. Mógłbym być przecież zdrajcą.
 - Właśnie.
 - Dlatego pozwolę ci wysłać wiadomość z prośbą o potwierdzenie.
 - Dziękuję.
 - Nie ma za co. Masz tutaj świetną kwaterę.
 - Tak.
 - Sprawdzaliście ją dokładnie?
 - Pod jakim względem?
 - Czy nie ma w niej ukrytych miejsc, gdzie szpiedzy mogliby się zaczać i podsłuchiwać.
 - Nie ma tu takich miejsc.
- Scaler uśmiechnął się i zamknął oczy. – Zrobię to dla ciebie – powiedział.
- Gan Paldin i wartownik stali w milczeniu, a Scaler odwrócił się na pięcie. Wskazał palcem. – Tam! – powiedział, a Paldin podskoczył.
- Gdzie?

Scaler otworzył oczy. – Tam, za boazerią. Ukryte przejście! – Podeszedł do rzeźbionej dębowej płyty i dotknął przycisku. Płyta rozsunęła się, ukazując wąskie przejście i prowadzące w górę schody.

– Naprawdę powinieneś być ostrożniejszy – powiedział Scaler. – Chyba się teraz prześpię nieco, a rano pojedę z powrotem z twoją wiadomością. A może wolałbyś wysłać posłańca jeszcze dzisiaj?

– Hm... nie! – powiedział Paldin, zaglądając do okrytej pajęczynami izdebki. – Jak to zrobiłeś?

– Nie waż się kwestionować mocy Ducha! – powiedział Scaler.

Rozdział 23

Ananais zszedł z blanków i dołączył do siedzących na trawie Thorna, Lake'a i Galanda.

Rozłożono przed nimi talerze mięsa oraz dzbany z winem i pożywiali się wszyscy w pełnym znużenia milczeniu. Ananais nie widział, jak jego przyjaciel został rozszarpany, odwrócił się jednak na czas, by zobaczyć, jak pod wściekłym atakiem umierających bestii załamała się moc Templariuszy.

Późniejsze natarcie Legionu pozbawione już było serca i odparto je z łatwością. Darik ogłosił

przerwę dla uprzątnięcia ciał poległych. W ciągu tych strasznych minut zginęło pięć tysięcy Spojonych, trzystu Templariuszy i tysiąc żołnierzy.

Ananais dostrzegł Balana siedzącego samotnie pod drzewami; wziąwszy ze sobą dzban wina, przyłączył się do niego. Mnich przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Siedział ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Ananais usiadł obok.

– Opowiedz mi! – rozkazał.

– Cóż tu jest do opowiadania? – odparł zakonnik. – Oddali za was swoje życie.

– Co dokładnie zrobili?

– Nie potrafię ci tego opisać, Czarna Masko. Najprościej mówiąc, wysłali do umysłów bestii obraz, który obudził w nich to, co w nich jeszcze było ludzkie – to je zniszczyło.

– Czy nie mogli tego zrobić spoza ochrony muru?

– Być może mogli. Jednak im bliżej obiektu się znajdziesz, tym większa jest twoja nad nim władza. Musieli stanąć jak najbliżej, żeby mieć pewność.

– A teraz tylko ty zostałeś?

– Tak. Tylko Balan!

– Co się dzieje na Tarsk?

- Zaraz się dowiem – powiedział Balan, zamykając oczy. W kilka chwil później otworzył je znowu.
- Wszystko w porządku. Trzymają się.
- Ilu ludzi stracili?
- Trzystu nie wróci już do walki. Tylko stu czterdziestu zginęło.
- Tylko – mruknął Ananais. – Dzięki.
- Nie dziękuj mi – powiedział Balan – Nienawidzę wszystkiego, co łączy się z tym szalonym przedsięwzięciem.

Ananais zostawił go i odszedł między drzewa, gdzie zdjął maskę pozwalając, by chłodne, nocne powietrze ukoilo żar palący mu skórę. Zatrzymując się przy strumieniu, zanurzył w nim głowę, a potem napił się chciwie. Dostrzegła go tam Rayvan i zawołała, dając mu czas na nałożenie maski.

- Jak sprawy? – zapytała.
 - Lepiej niż oczekiwaliśmy. Jednak na obu murach zginęło ponad czterystu ludzi.
- Przynajmniej czterystu kolejnych już nie stanie do walki.

- Ilu nam zostaje?
- Około trzystu tutaj. Pięciuset na Tarsku.
- Czy utrzymamy się?
- Kto to wie, u diabła? Może dzień. Może dwa.
- Wciąż o jeden dzień za krótko – powiedziała Rayvan.
- Tak. Złośliwość losu, czyż nie?
- Jesteś zmęczony. Idź, odpocznij.
- Pójdę, pani. Jak twoje rany?
- Blizna na twarzy z pewnością poprawi moją urodę. Biodro boli.
- Dobrze się spisałaś.
- Powiedz to umarłym.
- Nie muszę – powiedział Ananais. – Umarli dla ciebie.
- Co będziesz robił, jak zwyciężymy, Czarna Masko?

- Co za dziwne pytanie w tych okolicznościach.
- Wcale nie. Co będziesz robił?
- Chyba zostanę żołnierzem. Ponownie sformuję Smoka.
- A małżeństwo?
- Nikt mnie nie zechce. Nie jestem szczególnie piękny pod tą maską.
- Pokaż mi – powiedziała.
- Czemu nie? – rzekł i ściągnął przykrycie.
- Tak – powiedziała – wygląda upiornie. Dziwię się, że przeżyłeś. Ślady kłów masz aż na szyi.
- Czy będziesz miała coś przeciw temu, jeśli ją włożę? Czuję się niezręcznie.
- Ależ oczywiście, że nie. Powiadają, że byłeś kiedyś najprzystojniejszym mężczyzną w całym imperium.
- To prawda, pani. W tamtych czasach moja uroda zwałiłaby cię z nóg.
- To nie znaczy wiele. Zawsze miałam kłopoty z powiedzeniem „nie”... A szczególnie mężczyznom mniej urodziwym. Raz nawet spałam z Thornem, chociaż on z pewnością tego nie pamięta. To było trzydzieści lat temu – zanim wyszłam za mąż, zaznaczam.
- Musiałaś być bardzo młoda.
- Cóż za galanteria! Jednak to prawda. Byłam młoda. Znajdujemy się w górach, Czarna Masko, a tutaj jest niewiele rozrywek. Powiedz mi jednak, kochasz Valtayę?
- To nie twój interes – warknął.
- Rzeczywiście, nie mój. Pomimo to odpowiedz.
- Tak, kocham.
- To może cię zranić, Ananais...
- Zastanawiałem się, do czego zmierzasz.
- Cóż, chodzi o to: jeśli ją kochasz, zostaw ją w spokoju.
- Czy prosiła cię, żebyś z tym do mnie przyszła?
- Nie. Jest jednak zagubiona i niepewna. Nie sądzę, żeby cię kochała. Myślę, że jest po prostu wdzięczna i próbuje tego dowieść.

– W tych dniach dostaję za swoje – powiedział z goryczą.

– To nieprawda.

– Zostaw mnie samego, Rayvan, proszę.

Kiedy odeszła, Ananais przez kilka godzin siedział samotnie, nie mogąc zasnąć. W myślach przeżywał znowu swe triumfy, lecz – o dziwo – nie odczuwał już żadnej satysfakcji. Wiwatujące tłumy, uległe kobiety, zazdrośni mężczyźni – zastanawiał się, czy kiedykolwiek sprawiało mu to prawdziwą przyjemność.

Gdzie są synowie, których powinien był spłodzić?

Gdzie kobieta jego serca?

Valtaya?

Bądź ze sobą szczery, człowieku. Czy kiedykolwiek była to Valtaya? Gdybyś był nadal Złotym Wojownikiem, czy spojrzalbyś na nią po raz drugi? Świt zabarwił wierzchołki gór na wschodzie, a Ananais uśmiechnął się, a potem roześmiał w głos.

Cóż, do diabła? Żył tak intensywnie, jak tylko prawdziwy mężczyzna potrafi.

Nie ma sensu niczego żałować. Przeszłość i tak była już tylko zdechłą bestią, a przyszłość to krwawy miecz w dolinie Skody.

Zbliżasz się już do pięćdziesiątki, powiedział sobie, a wciąż jesteś silny. Ludzie idą za tobą.

Drenajowie polegają na tobie. Może nie masz twarzy, ale wiesz, kim jesteś.

Ananaisem, Złotym Wojownikiem.

Czarną Maską, Pogromcą Ceski.

Zabrzmiała trąbka. Ananais wstał i poszedł z powrotem na mury.

Renya leżała już trzecią noc z oczami szeroko otwartymi, gniewna i niepewna. Dusila się w malutkim namiocie, w nieznośnym skwarze. Od dwóch dni Nadirowie przygotowywali się do wojny; zbierali zapasy, wybierali troskliwie konie. Tenaka wyznaczył dwóch wodzów, którzy mieli mu towarzyszyć, Ingisa i Murapiego. Renya dowiedziała się tego od Subodai, ponieważ z Tenaką nie zamienili słowa od nocy poprzedzającej Próbę Szamanów.

Usiadła i cisnęła na podłogę okrycie z owczej skóry. Była zmęczona, lecz spięta jak cięciwa łuku. Wiedziała dlaczego, chociaż ta wiedza była bezużyteczna. Znalazła się w pułapce, uwięziona między miłością do mężczyzny a nienawiścią do jego powołania. Była zgubiona, ponieważ jej myśli bezustannie krążyły wokół niego.

W dzieciństwie była zawsze odrzucana, ponieważ jako zdeformowana nie mogła uczestniczyć w zabawach innych dzieci. Wyśmiewały się z jej chromej nogi i wykrzywionych pleców, a ona uciekała w samotność własnego pokoju... i własnych myśli. Aulin ulitował się nad nią i za pomocą machin terroru obdarzył pięknym ciałem. Jednak chociaż zewnętrznie zmieniła się, duchowa Renya pozostała ta sama – obawiająca się uczucia, które mogło się obrócić przeciw niej, obawiająca się miłości, ponieważ oznaczała ona otwarcie serca i zdjęcie osłon. Jednakże miłość trafiła w jej serce jak sztylet skrytobójcy i znalazła się w pułapce. Tenaka był bohaterem, człowiekiem, któremu mogła zaufać. Powitała więc z radością ten sztylet. Teraz zrozumiała, że była to broń z zatrutym ostrzem.

Nie potrafiła żyć z nim.

Nie umiała żyć bez niego.

Szarobury namiot przytłaczał ją, wyszła więc w ciemność nocy. Obozowisko tworzyło krąg o promieniu prawie pół mili, a namiot Tenaki stał w jego środku. Subodai jęknął i przewrócił się na drugi bok, kiedy go mijiała. – Śpij, kobieto! – wymamrotał.

– Nie mogę.

Zaklął i usiadł, drapiąc się po głowie. – Co z tobą?

– Nie twój interes.

– Martwią cię jego żony – stwierdził Subodai. – To normalne dla drenajskiej kobiety.

Pazerność.

– To nie ma nic wspólnego z jego żonami – odburknęła Renya.

– Tylko tak mówisz! Jak to się stało, że cię wyrzucił ze swego namiotu, ha?

– Sama się wyniosłam.

– Hm. Jesteś piękną kobietą.

– Czy to dlatego śpisz pod moim namiotem? Czekasz na zaproszenie do środka?

– Szsz, nawet nie wymawiaj takich słów! – powiedział Subodai, podnosząc głos. – Ktoś mógłby stracić głowę – albo gorzej jeszcze. Nie chcę cię, kobieto. Jesteś dziwna, nawet szalona.

Słyszałem, jak wylaś niczym zwierzę, widziałem, jak rzuciłaś się na tych głupich Tragarzy. Nie chciałbym cię mieć w swoim łóżku – nigdy nie zasnąłbym ze strachu!

– To dlaczego tu jesteś?

– Z rozkazu Khana.

– Teraz więc zostałeś jego psem. Siad, waruj, śpij pod namiotem!

– Tak, jestem jego psem. Jestem z tego dumny. Lepiej być psem króla niż królem wśród szakali.

– Dlaczego? – zapytała Renya.

– Co to znaczy dlaczego? Czy to nie jest oczywiste? Czymże jest życie, jak nie pasmem zdrad? Kiedy w nie wchodzimy, jesteśmy młodzi i pełni nadziei. Słońce jest dobre, świat czeka na nas. Każdy kolejny rok pokazuje jednak, jak mali jesteśmy, jak nic nie znaczymy w porównaniu z mocą zmieniających się pór roku. Potem starzejesz się. Siły zawodzą cię, a świat wyśmiewa się z ciebie żartami młodych. I umierasz. Samotny. Nie spełniony. Czasami jednak...

czasami zdarzy się człowiek, który nie jest bez znaczenia. On może zmienić świat, przewyższyć mocą zmieniające się pory roku. Jest słońcem.

– I myślisz, że Tenaka jest właśnie takim człowiekiem?

– Myślę? – powiedział Subodai. – Co ja mogę wiedzieć o myśleniu. Kilka dni temu był

Tańczącym Ostrzem. Był sam. Potem wziął mnie. Jednego ze Spearsów. Potem Gitasi. Ingisa. W

końcu cały naród. Rozumiesz? Nie ma takiej rzeczy, której nie potrafi dokonać. Nie ma!

– Nie może ocalić swych przyjaciół.

– Głupia kobieto. Nadal nie rozumiesz.

Renya nie odpowiedziała i odeszła w stronę środka obozu. Subodai podążył za nią, trzymając się dyskretnie około dziesięciu kroków w tyle. Nie było to ciężkie zadanie, ponieważ pozwalało mu patrzeć na nią z nie ukrywaną przyjemnością. Jego czarne oczy nie mogły się oderwać od jej długich nóg i delikatnego kołysania bioder. Boże, co za kobieta! Taka młoda i silna. Pełna zwierzęcego wdzięku.

Zaczął pogwizdywać, lecz melodia zamarła na jego ustach, gdy tylko spojrział na namiot Khana. Nie było przy nim strażników. Podbiegł do Renyi i szarpnął za ramię zatrzymując.

– Nie dotykaj mnie – syknęła.

– Coś jest nie tak – powiedział.

Uniosła głowę, łowiąc nozdrzami zapach nocy. Jednak woń Nadirów była tak silna, że nie była w stanie rozróżnić żadnych innych zapachów.

Ciemniejsze od nocy cienie posuwały się w stronę namiotu.

– Mordercy! – krzyknął Subodai, dobył miecza i puścił się biegiem; ciemne sylwetki zabiegły mu drogę. Tenaka Khan uchylił poły namiotu z mieczem w dłoni i zobaczył Subodai, który siekać i kłując

przebiegał się w jego stronę. Widział, jak tamten potknął się i upadł pod nogi napastników.

Nadir wyszedł na spotkanie swych zabójców.

Nagle niesamowite wycie rozeszło się echem po obozie i napastnicy zwolnili kroku.

Wtedy skoczył na nich demon. Potężny cios wyrzucił pierwszego dziesięć metrów w górę.

Drugi padł z szyją rozszarpaną pazurami. Atakowała z niewiarygodną prędkością. Tenaka podbiegł, odparował pchnięcie zadane przez przysadzistego wojownika i wbił mu miecz między żebra.

Ingis nadbiegł z czterdziestoma żołnierzami i napastnicy opuścili broń, ponuro spoglądając na Tenakę.

Khan oczyścił miecz i wepchnął go do pochwy.

– Dowiedz się, kto ich przysłał – rozkazał Ingisowi i poszedł tam, gdzie leżał Subodai. Z

lewej ręki wojownika płynęła krew, a w boku powyżej biodra widniała głęboka rana.

Tenaka zgiął mu rękę w łokciu. – Będziesz żył! – powiedział. – Dziwię się jednak, że nie uporałeś się z kilkoma nocnymi opryszkami.

– Pośliznąłem się na błocie – mruknął Subodai na swą obronę.

Dwóch ludzi podeszło i zabrało rannego do namiotu Nadira. Khan wstał i rozejrzał się za Renyą, lecz nie było jej nigdzie w pobliżu. Zapytał o nią stojących obok wojowników, a dwaj odpowiedzieli, że widzieli ją biegnącą na zachód. Tenaka kazał przyprowadzić konia.

Podszedł do niego Ingis. – Nie jest bezpiecznie, byś jechał za nią sam.

– To prawda. Muszę to jednak zrobić.

Dosiadł konia i pogalopował przez obozowisko. Było zbyt ciemno, żeby jechać po śladzie.

Mimo to jechał dalej, aż na Step. Nigdzie jej nie było.

Kilkakrotnie zwalniał i wołał ją, ale nie otrzymał odpowiedzi. Wreszcie wstrzymał konia i czekał, rozglądając się dokoła. Przed nim, po lewej rósł niewielki zagajnik o gęstym poszyciu.

Zawrócił konia i pojechał w tym kierunku. Nagle koń stanął i zarżał ze strachu. Tenaka uspokoił

zwierzę, głaszcząc je po karku i szepcząc mu cicho do ucha, nie mógł go jednak zmusić do dalszej jazdy. Zsiadł więc i dobył miecza.

Rozsądek podpowiadał mu, że cokolwiek znajdowało się w tych krzakach, nie mogła to być Renya, ponieważ koń ją znał. Jednak zwyciężył instynkt.

– Renya! – zawołał. Dźwięk, który usłyszał w odpowiedzi, nie przypominał niczego, co kiedykolwiek słyszał; był to ostry, przenikliwy syk. Tenaka schował miecz do pochwy i powoli poszedł w kierunku tego głosu.

– Renya! To ja, Tenaka.

Krzewy eksplodowały przed nim, a jej ciało uderzyło w niego ze straszliwą siłą, zwalając go z nóg. Wylądował na plecach. Jedną jej ręką zacisnęła się na jego krtani, druga z zakrzywionymi w szpony palcami unosiła się nad jego oczami. Leżał nieruchomo, wpatrując się w jej brązowe oczy. Ich źrenice zwęziły się w długie, owalne szparki. Powoli podniósł rękę i ujął

jej dłoń. Błysk szaleństwa zniknął z jej oczu, a uścisk na gardle osłabł. Wtem zamknęła powieki i padła nieprzytomna w jego ramiona. Delikatnie obrócił ją na plecy.

Na stepie rozległ się tętent końskich kopyt, na dźwięk którego wstał z ziemi. W polu widzenia pojawił się Ingis ze swymi czterdziestoma wojownikami. Zeskoczył z siodła. – Umarła?

– Nie, śpi tylko. Jakie wieści?

– Te psy nie chciały nic powiedzieć. Zabiłem wszystkich prócz jednego, który jest teraz przesłuchiwany.

– Dobrze! A Subodai?

– Miał szczęście. Szybko wydobrzeje.

– A więc wszystko w porządku – powiedział Tenaka. – Pomóżcie mi teraz zabrać moją kobietę do domu.

– Wszystko w porządku? – powtórzył jak echo Ingis. – Zdrajca jest na wolności i musimy go znaleźć.

– Nie udało mu się, Ingis. Do świtu zginie.

– Jak możesz być tego taki pewien?

– Poczekaj, to zobaczysz.

Tenaka dopilnował, aby bezpiecznie umieszczono Renyę w jego namiocie i dopiero potem poszedł z Ingisem tam, gdzie przesłuchiwano napastnika. Mężczyznę przywiązano do drzewa i połamano mu wszystkie palce; jeden po drugim. Teraz rozpalano ognisko pod jego stopami.

Khan podszedł bliżej i rozkazał przerwać tortury.

– Twój pan nie żyje – powiedział do więźnia. – Nie musimy już tego robić. Jaka śmierć wybierasz?

– Wszystko mi jedno.

– Czy masz rodzinę?

– Oni nic o tym nie wiedzą – powiedział mężczyzna ze strachem w oczach.

– Spójrz mi w oczy, człowieku, i uwierz. Nie skrzywdzę ich. Twój pan nie żyje, a ty nie wykonałeś jego rozkazu. To wystarczająca kara. Chcę tylko wiedzieć dlaczego?

– Przysięgałem posłuszeństwo – powiedział więzień.

– Przysięgałeś mnie.

– Nie. Tylko mój wódz – on był związany z tobą, ja jednak nie zламаłem żadnego ślubu. Jak umarł?

Tenaka wzruszył ramionami. – Chciałbyś zobaczyć ciało?

– Chciałbym umrzeć przy nim – padła odpowiedź. – Pójdę za nim nawet po śmierci, ponieważ był dla mnie dobry.

– Zgoda. – Tenaka rozciął mu więzy. – Chcesz, żeby cię niesiono?

– Mogę iść sam, do diabła! – splunął tamten. Tenaka, Ingis i jego czterdziestu wojowników poszli za nim przez obozowisko do namiotu Murapiego, przed wejściem do którego stało dwóch wartowników.

– Przyszedłem zobaczyć ciało – powiedział mężczyzna. Wartownicy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a on oniemiał, pojmując nagle prawdę.

Odwrócił się na pięcie, stając twarzą w twarz z Tenaka. – Co mi uczyniłeś? – krzyknął.

Poła namiotu uchyliła się i Murapi wyszedł na zewnątrz. Był krępyim mężczyzną, który dawno już przekroczył wiek średni. Uśmiechnął się blado.

– Nie sądziłem, że ze wszystkich ludzi – powiedział spokojnie – uda ci się złamać tego właśnie. Życie jest pełne niespodzianek!

Więzień upadł na kolana. – Oszukano mnie, panie! – załkał.

– To nie ma znaczenia, Nagati, porozmawiamy o tym w drodze.

Tenaka zrobił krok do przodu. – Złamałeś przysięgę, Murapi. Dlaczego?

– To była gra, Tenaka – odpowiedział spokojnie Murapi. – Jeśli mówiłeś prawdę, bramy Dros Delnoch będą dla nas otwarte, a wraz z nimi całe imperium Drenajów. A ty chcesz jedynie uratować swych drenajskich przyjaciół. To była tylko gra.

– Znasz cenę porażki?

– Oczywiście, że znam. Czy pozwolisz mi odebrać sobie życie samemu?

– Tak.

– A więc nie skrzywdzisz mojej rodziny?

– Nie.

– Jesteś hojny.

– Gdybyś został ze mną, poznałbyś jak bardzo.

– Czy już na to za późno?

– Istotnie. Masz jedną godzinę.

Gdy Tenaka odwrócił się, by odejść do swego namiotu, Ingis zrównał się z nim. – Jesteś subtelnym człowiekiem, Tenako Khanie.

– Czy sądziłeś inaczej, Ingis?

– Ależ nigdy, panie. Czy mogę oddać memu synowi komendę nad wilkami Murapiego?

– Nie, sam będę nimi dowodził.

– Tak jest, sir.

– Od jutra będą strzegli mojego namiotu.

– Lubisz żyć ryzykownie?

– Dobranoc, Ingis.

Tenaka wszedł do namiotu i skierował się do łóżka Subodai. Wojownik spał mocno, a jego skóra miała zdrowy kolor. Następnie poszedł do odleglejszej części namiotu, gdzie leżała Renya.

Dotknął jej skroni, a ona przebudziła się. Jej oczy powróciły już do normalnego wyglądu.

– Znalazłeś mnie? – wyszeptała.

– Tak, ja cię znalazłem.

– Zatem już wiesz?

– Wiem.

– Zazwyczaj panuję nad tym, ale dzisiaj było ich tak wielu i myślałam, że zginiesz. Straciłam kontrolę.

– Ocaliłaś mnie.

– Jak się ma Subodai? Czy przeżył?

– Tak.

– On cię uwielbia.

– Wiem.

– Jestem taka... zmęczona – powiedziała. Zamknęła oczy, a on pochylił się nad nią i pocałował ją w usta.

Otworzyła oczy. – Próbujesz ocalić Ananaisa, prawda? – Powieki znowu jej opadły. Otulił ją kocem i powrócił do środkowej części namiotu. Nalał sobie kielich Nyis i usiadł, powoli sącząc napój.

Czy próbował uratować Ananaisa?

Naprawdę?

A może raczej cieszył się, że decyzja nie należała już do niego?

Jeżeli Ananais miał umrzeć, co go powstrzyma przed poprowadzeniem wojny w głąb kraju Drenajów?

To prawda, że nie spieszył się, lecz jaki byłby tego sens? Decado powiedział mu, że nie mogą się utrzymać. Cóż osiągnąłby, zamęczając swych ludzi nieustannym marszem, po którym dotarliby na pole bitwy zupełnie wyczerpani?

Cóż osiągnąłby?

Wyobraził sobie Ananaisa, stojącego wyzywająco naprzeciw hordy Ceski, z mieczem w dłoni i błyskiem w oczach.

Zaklął cicho.

I posłał po Ingisa.

Rozdział 24

Legion ruszył do ataku, a łuki Lake'a wypuściły ostatnią porcję ołowianych kul. Tuziny ludzi padło na ziemię, głównie z obrażeniami nóg, piechota bowiem była już teraz ostrożniejsza i trzymała wysoko tarcze. Łucznicy wysłali w ich zbliżające się szeregi chmurę czarnych strzał, a potem drabiny zastukały o mur.

Ludzie Skody przekroczyli już granicę zmęczenia i poruszali się jak maszyny. Miecze mieli stępione, a ramiona obolałe, lecz trwali nadal.

Lake machnął toporem i rozszczepił hełm, który wychylił się nad blankami. Topór utkwił w czaszce i wyrwał mu się z rąk, gdy człowiek spadł. Kolejny żołnierz podniósł się nad murem, lecz Ananais doskoczył i pchnął go, zrzucając z muru. Podał Lake'owi jeden ze swych mieczy i pobiegł na prawo, gdzie linia obrony ugięła się pod naporem.

Dołączył do niego Balan. I Galand. Obrońcy zatrzymali się i odzyskali siły. Na lewo trzej Legioniści przebili się, zeskoczyli na trawę pod blankami i puścili się pędem w stronę budynku szpitala. Pierwszy padł z plecami przebitymi strzałą. Drugi zatoczył się ogluszony, gdy kolejna strzała odbiła się od jego hełmu. Wtedy z budynku wyszła Rayvan z mieczem w dłoni.

Mężczyźni podbiegli do niej, szczerząc zęby w uśmiechu.

Z zadziwiającą szybkością zablokowała pierwszy cios i uderzyła w nich całym ciałem, powalając ich na ziemię. Jej miecz błysnął i podciął krtań pierwszego napastnika. Drugi wy dostał się i stanął na nogi.

– Ty tłusta macioro! – krzyknął.

Rayvan zerwała się dokładnie w chwili, gdy tamten zaatakował. Wtedy Thorn wypuścił strzałę, która wbiła się w udo żołnierza; krzyknął z bólu i odwrócił się. Miecz Rayvan przeszył mu plecy. Popatrzyła przez kilka chwil na toczącą się na murach walkę... Nie utrzymają się już długo. Galand walczył teraz u boku Ananaisa, wciskając się tam, gdzie walka była najzgorzalsza.

Legioniści, wietrząc bliskie zwycięstwo, nie wycofali się, lecz mrowili pod murami, przystawiając kolejne drabiny. Coraz więcej wojowników wroga przedostawało się na blanki.

Ananais czuł, że zaczynają przegrywać i kipiał z wściekłości. Pomimo niewielkich szans, mimo iż wiedział, że nie mogą wygrać, irytowało go to niezmiernie. Niewiele dokonał w swym życiu prócz tego, że nigdy nie przegrał w walce. Teraz nawet ta mała pociecha została mu przed śmiercią odebrana.

Odparował cios, okręcił miecz i wbił go pod czarny hełm. Człowiek padł w tył, wypuszczając z rąk oręż, który Ananais podniósł i rzucił się z nim w tłum. Dwa jego miecze wirowały teraz, siejąc śmierć. Krwawił z wielu zadraśnień, lecz jego siła pozostawała wciąż nie naruszona.

Z tyłu za jego plecami rozległ się nagle donośny ryk. Nie mógł się odwrócić, dostrzegł

jednak konsternację w oczach napastników. Nagle u swego boku ujrzał Rayvan, z tarczą na ramieniu i mieczem w dłoni. Legion został odparty.

Nadeszły kobiety Skody!

Brak umiejętności szermierczych nadrabiały zaciekłością, spychając przeciwnika samym tylko

impetem i przewagą liczebną.

Ostatni z Legionistów został wyrzucony za blanki, a ludzie Skody podnieśli swe łuki, wysyłając za wrogiem strzały, aż skrył się poza ich zasięgiem.

– Uprzątnijcie trupy z murów – zawołał Ananais. Przez kilka chwil nikt się nie poruszył, mężczyźni bowiem tulili w ramionach żony i córki, siostry i matki. Inni klęczeli przy nieruchomych ciałach braci i łkali, nie skrywając łez.

– Nie ma na to czasu – powiedział Ananais, ale Rayvan chwyciła go za rękę.

– Zawsze jest na to czas, Czarna Masko – tylko to czyni nas ludźmi. Zostaw ich.

Ananais skinął głową i osunął się na blanki, opierając o mur swoje obolałe plecy.

– Zdziwiasz mnie, kobieto!

– W takim razie łatwo cię zdziwić – odpowiedziała, przysiadając obok.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. – Założę się, że w młodości byłaś piękną.

– Słyszałam, że ty także!

Zamknął oczy i uśmiechnął się.

– Może byśmy się pobrali? – zaproponował.

– Jutro o tej porze już nas nie będzie.

– Możemy więc zrezygnować z długiego narzeczeństwa.

– Jesteś dla mnie za stary, Czarna Masko.

– Ile masz lat?

– Czterdzieści sześć – powiedziała Rayvan.

– Idealnie!

– Musisz być w rozpaczliwej potrzebie, a poza tym krwawisz – idź stąd i każ sobie opatrzyć rany.

– Pierwsze oświadczyły i już zaczynasz marudzić.

– Kobiety takie są. No, ruszaj!

Patrzyła za nim, kiedy szedł do szpitala, a potem wstała ciężko i spojrzała na Legion. Znowu formowali szyk.

Rayvan odwróciła się do obrońców. – Oczyszczyć mury z trupów, dumie! – krzyknęła. –

Ruszajcie się. Prędkiej. Kobiety, chwycicie za jakieś miecze. I znajdźcie hełmy – dodała po namyśle. Tuż obok niej leżał martwy Legionista. Zanim zwała jego ciało z muru, zerwała mu z głowy hełm. Był brązowy, ozdobiony czarnym końskim włosiem. Pasuje idealnie, pomyślała, zawiązując pasek pod brodą.

– Wyglądasz diabelnie ponętnie, Rayvan – powiedział Thorn, przysuwając się bliżej.

– Podobają ci się kobiety w hełmach, co, stary samcze?

– Ty mi się zawsze podobałaś, kobieto! Zawsze, od tamtego dnia na północnej łące.

– Więc jednak pamiętasz? To komplement.

Thorn zaśmiał się. – Nie sądzę, by jakikolwiek mężczyzna mógł cię zapomnieć.

– Tylko ty możesz rozprawiać o seksie pośrodku bitwy. Jesteś kozłem, stary! Ananais był przynajmniej na tyle rycerski, aby mi się oświadczyć.

– Zrobił to? Nie zgadzaj się – on ma zeza.

– Niedługo już będzie zezował – powiedziała.

Legion ruszył do kolejnego natarcia.

Przez godzinę walczyli o zdobycie przyczółka na blankach, lecz obrońcy znaleźli w sobie nowe siły i odwagę. Lake zgromadził worki drobnych kamyków, które wsypywał do swoich gigantycznych łuków. Jeszcze trzy razy zaświstały i uderzyły w Legion fale pocisków, nim jedna z arbalet złamała się w wyniku przeciążenia.

Napastnicy odступili.

Kiedy słońce zachodziło za góry trzeciego dnia, mur wciąż się trzymał.

Ananais wezwał do siebie Balana. – Jakie wieści z Tarsku?

– To dziwne – powiedział Balan. – Mieli tylko jedno natarcie z rana i od tego czasu cisza.

Wojsko siedzi obozem.

– Bogowie, chciałbym, by ci tutaj zrobili to samo – powiedział generał.

– Powiedz mi, Ananaisie, czy jesteś wierzący?

– W co?

- Wspomniałeś o bogach.
- Za mało wiem, żeby wierzyć – odparł Ananais.
- Decado obiecał mi, że nie zostanę sam. Teraz wszyscy odeszli. Albo nie żyją, a ja jestem głupcem, albo Źródło przyjęło ich do siebie, a mnie odrzuciło.
- Dlaczego miałyby odrzucić ciebie?

Balan wzruszył ramionami. – To, co ja czułem, było częścią wiary zbiorowej, ja sam nigdy jej nie posiadałem. Rozumiesz? Miałem tylko talent, nic więcej. Teraz, kiedy odeszli... Niczego już nie jestem pewien.

- Nie potrafię ci pomóc, Balanie.
- Wiem. Nikt nie może mi pomóc.
- Być może, tak myślę, lepiej jest wierzyć, niż nie wierzyć. Nie umiem ci jednak powiedzieć dlaczego – powiedział Ananais.
- To daje ludziom nadzieję przeciw złu tego świata – stwierdził Balan.
- Coś w tym rodzaju. Powiedz, czy mężowie i żony zostają w niebie razem?
- Nie wiem. Od wieków jest to przedmiotem sporu teoretyków – odparł mnich.
- Ale jest na to jakaś szansa?
- Myślę, że tak.
- A więc chodź ze mną – rzekł Ananais, pociągając Balana za sobą. Przeszli przez łąkę do miejsca, gdzie stały namioty uciekinierów i gdzie siedziała Rayvan w otoczeniu przyjaciół.

Dostrzegła ich z daleka. Ananais stanął przed nią i uklonił się.

- Kobieto, przyprowadziłem ze sobą duchownego. Czy chcesz ponownie wyjść za mąż?
- Jesteś głupi! – powiedziała śmiejąc się.
- Wcale nie. Zawsze chciałem znaleźć kobietę, z którą mógłbym spędzić resztę życia. Nie udało mi się. Teraz wygląda na to, że ten czas spędzę w twoim towarzystwie. Pomyślałem więc, że zrobię z ciebie uczciwą niewiastę.
- Wszystko to bardzo pięknie, Czarna Masko – powiedziała, podnosząc się z miejsca – z tym jednym wyjątkiem, że ja ciebie nie kocham.
- Ani ja ciebie. Kiedy jednak przekonasz się o moim nieodpartym uroku, jestem pewien, że to prędko

się zmieni.

– Bardzo dobrze – odpowiedziała Rayvan z uśmiechem. – Pod warunkiem, że związek pozostanie nie skonsumowany aż do trzeciej nocy. Taki jest obyczaj gór!

– Zgoda – powiedział Ananais. – I tak boli mnie głowa.

– To bzdura – mruknął Balan. – Nie wezmę w tym udziału. Robicie sobie żarty z uświęconego związku.

Ananais położył rękę na ramieniu Balana. – Nieprawda, mnichu – powiedział cicho. – To chwila radości pośród horroru. Spójrz na te uśmiechnięte twarze wokół siebie.

Balan westchnął. – Dobrze. Podejdźcie oboje.

Uchodźcy wyszli z namiotów, gdy tylko rozeszła się wieść, a kobiety nazbierały kwiatów i uplotły wieńce. Przyniesiono wino. Plotka dotarła nawet do szpitala, gdzie Valtaya właśnie skończyła pracę; wyszła na nocne powietrze pełna mieszanych uczuć.

Ananais i Rayvan poszli ręką w rękę na blanki, a ludzie gromko wiwatowali na ich cześć.

Gdy dotarli do schodów, on podniósł ją z ziemi i zarzucił sobie na ramię. Tak wniósł ją na mury.

– Postaw mnie natychmiast, ty matole! – krzyknęła.

– Przecież przenoszę cię jedynie przez próg – wyjaśnił. Wokół nich zaroilo się od ludzi, a ich śmiech dotarł aż do namiotów Legionu.

Ceska wezwał do siebie Darika.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nie wiem, panie.

– Wyśmiewają się ze mnie! Dlaczego twoi ludzie nie zdobyli jeszcze tego muru?

– Zdobędą, panie. O świcie, obiecuję!

– Jeśli nie, ty za to odpowiesz. Mam już dosyć tego zapowietrzonego miejsca. Chcę do domu.

Trzy krwawe godziny trwała bitwa rankiem czwartego dnia, a mimo to Legionowi nie udało się zdobyć muru. Ananais nie posiadał się z radości, ponieważ pomimo zmęczenia wyczuwał, że szala zwycięstwa przechyla się na ich stronę. Bez Spojonych Legion walczył mechanicznie, niechętnie ryzykując życie, podczas gdy mieszkańcy Skody bili się z rozbudzoną na nowo nadzieją i świeżym duchem. Oszalamiające poczucie wygranej pulsowało w żyłach Ananaisa, śmiał się i żartował z towarzyszami, miotając przekleństwa za uciekającym wrogiem.

Jednak tuż przed południem zauważono maszerującą od wschodu kolumnę i śmiech zmarł.

Do obozu Ceski wjechało konno dwudziestu oficerów, którzy przyprowadzili ze sobą pięciuset Spojonych z aren Drenanu. Specjalnie hodowane bestie miały po osiem stóp wzrostu –

łączono je z dusz człowieka, północnego niedźwiedzia, małą ze wschodu, tygrysa i szarego wilka z lasów na zachodzie.

Ananais znieruchomiał na murze, spoglądając niebieskimi oczyma na linię horyzontu.

– Przyjeżdżaj, Tani – szepnął. – Na wszystko co święte, nie pozwól, by to się tak skończyło.

Dołączyli do niego Rayvan, Balan, Lake i Galand.

– Nie ma sprawiedliwości na tym świecie – warknęła Rayvan. Cisza powitała jej komentarz, cisza, która ogarnęła całą długość muru.

Ogromne bestie nie zatrzymywały się nawet w obozie, lecz ruszyły szeroką tyralierą, a za nimi ich oficerowie.

Thorn pociągnął za rękaw Ananaisa. – Jaki mamy plan, generale? – zapytał. Ten spojrzał w dół na starszego człowieka i powstrzymał się od uszczypliwej uwagi, zobaczywszy strach w jego oczach. Twarz miał szarą jak popiół, usta zaciśnięte mocno.

– Żadnych planów, przyjacielu.

Potwory nie rzuciły się biegiem do szturmu, lecz nadchodziły powolnym krokiem, niosąc w rękach ogromne maczugi, miecze o ząbkowanych ostrzach, pałki i topory. Ich ślepie były czerwone jak krew, a z otwartych paszcz zwisały zaślinione jęzory. Podchodziły w milczeniu, które mroziło krew w żyłach i nadwątlało odwagę obrońców. Ludzie na murach zaczęli wiercić się niespokojnie.

– Musisz jakoś dodać im otuchy, generale – przynaglała Rayvan.

Ananais potrząsnął głową, w oczach miał smutek i pustkę. Jeszcze raz stał tam, na arenie, smakując gorycz nie znanego dotąd strachu... patrząc, jak hakowata brama powoli podnosi się...

słyszając nagłe milczenie tłumu. Wczoraj mógłby sprostać tym przerażającym bestiom. Jednak stanąć u progu zwycięstwa – czuć prawie na skroni jego słodki oddech...

Jeden z żołnierzy zeskoczył z muru i Rayvan odwróciła się do umykającego.

– Olar! Nie czas teraz na ucieczkę! Mężczyzna zatrzymał się i zwiesił głowę.

– Wróć i stań razem z nami, chłopcze. Zginiemy wszyscy razem – to właśnie czyni nas tym, czym jesteśmy. Jesteśmy Skodą. Rodziną. Kochamy cię.

Mężczyzna podniósł na nią oczy, z których płynęły łzy, i dobył miecza.

– Ja nie uciekam, Rayvan. Chciałem tylko umrzeć razem z żoną i synem.

– Wiem, Olar. Musimy jednak przynajmniej spróbować się utrzymać.

Lake trącił w bok Ananaisa. – Dobądź miecza, człowieku!

– Jednak olbrzym nawet nie drgnął. Był teraz w innym czasie, na kamiennej arenie jeszcze raz przeżywał swoją walkę.

Rayvan wspięła się na blanki.

– Zachowajcie spokój, chłopcy! Pomyślcie o tym, że pomoc już w drodze. Jeśli odeprzecie te potwory, mamy szansę!

Jej słowa utonęły jednak w przerażającym, krwiożerczym ryku Spojonych, którzy w końcu puścili się biegiem. Za nimi kroczył Legion.

Rayvan cofnęła się, kiedy bestie dotarły do muru. Nie potrzebowały drabin ani lin – skakały z pełnego rozbiegu i gramoliły się na piętnastostopową ścianę.

Lśniący stal zagroziła drogę kłom i pazurom, jednak pierwsza linia obrońców została zmieciona. Rayvan wbiła miecz w otwartą paszczę i potwór zwałił się w tył, zwierając szczęki na ostrzu miecza. Ananais zamrugał oczami i wrócił do rzeczywistości. W blasku słońca zamigotały jego dwa miecze. Nad nim zamajaczył ciemny kształt, ze wzniesionym do ciosu toporem.

Generał zrobił krok pod uniesioną łapę, wepchnął trzymany w prawej ręce miecz w brzuch bestii i przekreślił go, gdy dosięgnął celu. Upiorny ryk wydobył się z gardzieli Spojonego, który runął

do przodu, oblewając krwią wojownika. Ananais odepchnął go i usiłował wyszarpnąć miecz, gdy zaatakował go następny stwór, uzbrojony w maczugę. Mężczyzna rzucił miecz z prawej ręki, oburącz chwycił drugi i ciął znad głowy w rękę przeciwnika. Szponiasta łapa frunęła w powietrze, nadal zaciśnięta na maczudze, a bestia, wyjąc z bólu, rzuciła się na Czarną Maskę.

Wojownik przykucnął i od dołu wbił oburącz miecz w brzuch przelatującego nad nim potwora; impet wyszarpnął mu broń z rąk.

Balan zeskoczył z blanków i odbiegł na jakieś dwadzieścia kroków. Odwrócił się i ukląkszy na trawie, zamknął oczy. Gdzieś, pośród całego tego bólu i przerażenia musi być przecież jakiś cel i jakieś zwycięstwo. Wczoraj połączone siły Trzydziestu przemieniły Spojonych z powrotem w ludzi. Teraz został tylko Balan.

Oczyścił swój umysł ze wszystkich myśli, sięgnął aż do spokoju Otchłani, aby znaleźć drogę do duszy bestii. Spróbował...

Odskoczył ze wstrętem, wyczuwając żądzę krwi i wściekłość. Uspokoił się i spróbował jeszcze raz.

Nienawiść! Straszna, żrąca, pochłaniająca wszystko nienawiść. Czuł ją, przepalała go, sam nienawidził potworów, ich panów, Ananaisa, Rayvan i całego świata.

Nie. Nie nienawiść. Nie nienawiść. Przerazenie ogarnęło go i przepłynęło obok. Pozostał nietknięty, bez skazy. Nie znienawidzi stworzonych przez człowieka potworów, ani nawet człowieka, który je stworzył.

Zewsząd otaczała go ściana nienawiści, lecz odpychał ją.

Nie potrafił znaleźć takiego wspomnienia, które powstrzymałoby bestie, ponieważ nie należały one do dawnego Legionu Smoka, ale użył uczucia, które musiały znać, będąc ludźmi.

Miłość.

Miłość matki w zimną, przerażającą noc; miłość żony wtedy, gdy wszystko dokoła okazuje się fałszem; miłość córki ofiarowana tak szczerze w przelotnym uścisku, w pierwszym uśmiechu niemowlęcia; miłość przyjaciela.

Rosnąc w siłę, wysyłał uczucia jak fale na piasek plaży.

Na murach trwała straszliwa rzeź.

Ananais, krwawiąc z tuzina rozcięć i skaleczeń, nagle zobaczył, jak Spojony porwał Rayvan i skoczył z nią z blanków. Generał pobiegł za nimi. Kobieta przekreśliła się w powietrzu, przez co stwór stracił równowagę i zwałił na plecy, a ona wylądowała na nim. Jej ciężar pozbawił go tchu.

Dostrzegając swoją szansę, wbiła mu w szyję sztylet i przetoczyła na bok, unikając ciosu szponów. Potwór wstał chwiejąc się i w tym momencie Ananais dobił go ciosem w plecy.

Nad nimi linia obrony załamała się i bestie zaroily się na blankach. Pozostali przy życiu obrońcy rzucili się do ucieczki, lecz Spojeni doganiali ich i ścinali jednego po drugim.

Nagle potwór będący najbliżej Balana zachwiał się i podniósł łeb. Pełne rozpaczycy wycie przeszło powietrze. Wszystkie stwory znajdujące się wokół nagle znieruchomiały, a obrońcy patrzyli zdumieni.

– Zabić je! – krzyknął Galand, pobiegł i zatopił miecz w futrzastym karku. Czar prysł i wojownicy Skody zaatakowali oszołomione bestie, powalając je całymi tuzinami.

– Nie – szepnął Balan. – Głupcy!

Dwa potwory rzuciły się na klęczącego mnicha. Maczuga spadła jak piorun na jego głowę, zwalając go z nóg, a potem szpony rozdarły mu pierś i wyszarpaneły z ciała krzyczącą z bólu duszę.

Monstra wznowiły wściekły atak, a ich mordercze ryki zagłuszyły szcęk stali. Galand, Rayvan i Lake popędzili wraz z kilkunastoma wojownikami do drewnianego budynku szpitala.

Ananaisa, który mieczem wycinał sobie drogę do nich, sięgnął pazur potwora, rozdzierając skórzany kaftan na plecach i skórę na żebrach. Odwrócił się i pchnął. Bestia cofnęła się.

Pomocne ręce wciągnęły go do środka i zatrzasnęły drewniane drzwi.

Owłosiona pięść rozbiła okiennicę. Galand podbiegł do okna i pchnął mieczem w szyję potwora. Szponiasta łapa chwyciła go za kaftan i przyciągnęła do ramy. Krzyknął tylko raz, zanim gigantyczne szczęki zamknęły się na jego twarzy, a potem na czaszce, która pękła jak melon. Jego ciało zostało wyciągnięte przez okno.

Górną część drzwi rozszczępił topór, mijając o włos głowę Ananaisa. Z pomieszczeń na tyłach wyszła Valtaya z twarzą pobladłą przerażeniem. W ręce miała igłę z nicią i zakrwawiony tampon, który wypadł jej z rąk, na widok gramolących się przez okna potworów.

– Ananais! – krzyknęła, a on odskoczył, gdy drzwi otworzyły się z rozmachem i ogromna bestia z toporem w dłoni wpadła do środka. Generał ciął straszliwie i rozplatał brzuch potwora, aż z rany wypłynęły na podłogę wnętrzności. Spojony potknął się o nie i padł, wypuszczając z rąk topór, który podniósł Ananais.

Rayvan zobaczyła, że dwa stwory biegną w stronę Valtayi i mężnie zagroziła im drogę, wymachując mieczem. Zadany z rozmachem cios wyrzucił ją w powietrze. Zamaskowany mąż-

czynna odrąbał głowę bestii o twarzy lwa i odwrócił się w stronę Valtayi.

Wbił topór w plecy pierwszego Spojonego, wyszarpnął broń tak szybko, jak zdołał, lecz drugi z nich już podnosił się nad Valtayą.

– Tutaj, ty piekielna bestio! – ryknął Ananais, a potwór obrócił swą wielką głowę, skupiając wzrok na drobnej postaci w czarnej masce. Odbił cios topora, nie zważając na głęboką ranę, którą ostrze pozostawiło w jego przedramieniu. Potem machnął szponiastą łapą, zdzierając maskę z twarzy Ananaisa i rzucając go na podłogę. Wojownik runął jak długi, wypuszczając z rąk topór.

Potwór skoczył do niego, on jednak przetoczył się, stając na nogi, podskoczył i obiema nogami, obutymi w ciężkie buty kopnął w paszczę Spojonego. Kły złamały się z trzaskiem, a potwór został odrzucony na ścianę. Generał porwał topór i zatoczył nim morderczy łuk, który zakończył

się w boku bestii.

– Za tobą! – krzyknęła Rayvan, lecz było już za późno. Włócznia wbiła się w plecy Ananaisa, przeszła go na wylot i wyszła w dolnej części klatki piersiowej.

Jęknął, odwrócił swe potężne ciało i wyrwał drzewce ze szponów Spojonego. Potwór ruszył

na niego, mężczyzna cofnął się, lecz stercząca mu z pleców włócznia oparła się o ścianę. Pochylił głowę i chwytając rękami monstrum, przyciągnął je do siebie niedźwiedzim uściskiem.

Kły szarpały mu twarz i szyję. Mimo to jego mocarne ramiona nie przestawały przyciągać zwierzęcia do ostrza włóczni, które wystawało z jego własnej piersi. Bestia zawyla z bólu i wściekłości.

Rayvan obserwowała tę scenę, a czas zdawał się stać w miejscu.

Człowiek przeciwko potworowi.

Umierający mężczyzna przeciwko wytworowi ciemności. Jej serce krwawiło, gdy zobaczyła, jak mięśnie na jego rękach napinają się i kurczą w zmaganiach z bestią. Zerwała się na nogi i wbiła sztylet w plecy Spojonego. Tylko tak mogła mu pomóc... jednak to wystarczyło. Jednym konwulsyjnym szarpnięciem Ananais zdołał przyciągnąć do siebie zwierzę i ostrze włóczni sięgnęło celu.

Na zewnątrz tętent kopyt rozszedł się echem po górach. Legioniści odwracali się na wschód i mrużyli oczy, usiłując rozpoznać jeźdźców w chmurze kurzu.

Z namiotu Ceski wybiegł Darik, osłaniając ręką oczy. Co, u diabła, się dzieje? Czy to kawaleria z Delnoch? Stał zaskoczony, gdy pierwszy szereg jeźdźców wyłonił się z kurzawy.

Nadirowie!

Krzycząc na ludzi, by formowali pierścień obronny wokół imperatora, dobył miecza z pochwy. Jakim sposobem zdołali tak szybko zdobyć Delnoch?

Legioniści biegiem zajmowali pozycje, tworząc mur z tarcz. Było ich jednak zbyt mało, a żaden nie posiadał włóczni. Pierwsi jeźdźcy nadiryjscy bez trudu przeskoczyli ten mur, zawrócili konie i zaatakowali od tyłu.

A wtedy szyk załamał się i ludzie rozbiegli się we wszystkich kierunkach, ścigani przez Nadirów. Darik padł z piersią przeszytą lancą przy wejściu do namiotu imperatora.

Tenaka Khan zeskoczył z siodła i z mieczem w dłoni wkroczył do środka.

Ceska siedział na zasłanym jedwabiem łożu.

– Zawsze cię lubiłem, Tenaka – powiedział. Khan zbliżył się, jego fioletowe oczy rozbłyły.

– To ty miałeś zostać Księciem z Brązu, wiesz? Mogłem cię odnaleźć w Ventrii i kazać zabić, lecz nie zrobiłem tego.

Ceska wykręcił swe tłuste ciało na łożku i ukląkł przed Tenaka, czepiając się jego rąk. – Nie zabijaj mnie! Pozwól mi odejść – nigdy nie sprawię ci kłopotu.

Miecz świsnął w powietrzu i wbił się między żebra Ceski.

Imperator upadł w tył.

– Widzisz? – powiedział. – Nie możesz mnie zabić. Mam w sobie moc Ducha Chaosu i nie umrę. – Roześmiał się wysokim, skrzekliwym głosem. – Nie mogę umrzeć. Jestem nieśmiertelny.

Jestem bogiem. – Chwiejnie stanął na nogi. – Widzisz? – Zamrugął oczami i opadł na kolana.

– Nie! – krzyknął i runął na twarz. Tenaka jednym ciosem odrąbał mu głowę. Podniósł ją za włosy, wyszedł z namiotu i wsiadł na konia. Spiał konia ostrogami i pogalopował do muru, gdzie czekał Legion. Wszyscy legionieści na równinie zostali zabici, a Nadirowie tłoczyli się za plecami Khana, czekając na rozkaz do ataku.

Tenaka podniósł w górę okrwawioną głowę.

– Oto wasz imperator! Złóżcie broń, a nikomu nie stanie się krzywda.

Krępy oficer wychylił się przez mur. – Dlaczego mielibyśmy zaufać słowu Nadira?

– Ponieważ to słowo Tenaki Khana. Jeśli za murem znajdują się jeszcze Spojeni, zabijcie ich.

Wykonać, jeśli chcecie przeżyć.

W szpitalu Rayvan, Lake i Valtaya bezskutecznie próbowali uwolnić Ananaisa od włóczni, która przyspilała go do martwego potwora. Do pomieszczenia wpadł Thorn z krwawiącą raną w boku.

– Odejdźcie – powiedział i podniósł topór. Jednym ciosem roztrzaskał drzewce. – Teraz ściągnijcie go. – Z największą ostrożnością zsunęto go z włóczni i przeniesiono na łóżko, a Valtaya zabandażowała rany w jego plecach i piersi.

– Żyj, Ananaisie – powiedziała Rayvan. – Proszę, żyj! Thorn i Lake wymienili spojrzenia.

Valtaya usiadła przy boku umierającego i ujęła jego dłoń. Otworzył oczy i wyszeptał coś, czego nikt nie mógł zrozumieć. Łzy napłynęły mu do oczu i wydawało się, że patrzy gdzieś poza nich. Chciał się podnieść, lecz zabrakło mu sił. Rayvan odwróciła się.

W drzwiach stanął Tenaka Khan. Podszedł do łóżka i pochylił się nad przyjacielem, ostrożnie przykrywając mu twarz maską. Rayvan odsunęła się, robiąc mu miejsce, gdy Ananais próbował przemówić.

– Wiedziałem... że... przyjdiesz...

– Tak, bracie. Przyszedłem.

– Wszystko... już... skończone.

– Ceska nie żyje. Kraj jest wolny. Zwyciężyłeś, Ani! Wytrwałeś. Wiedziałem, że się utrzymasz. Na wiosnę zabiorę cię na Step. Pokażę ci ciekawe miejsca: grób Ulryka, Dolinę Aniołów. Wszystko, co zechcesz.

– Nie. Żadnych... kłamstw.

– Nie – powiedział nieporadnie Tenaka. – Żadnych kłamstw. Dlaczego, Ani? Dlaczego musisz mnie opuścić?

– Lepiej... umrzeć. Koniec goryczy. Koniec gniewu. Żaden ze... mnie teraz bohater.

Tenaka poczuł ucisk w krtani i z oczu popłynęły mu strumieniem łzy, rozpryskując się na zniszczonej masce. Ananais zamknął oczy.

– Ani!

Valtaya podniosła dłoń Ananaisa i poszukała pulsu. Pokręciła przecząco głową. Tenaka wstał, a jego twarz zapłonęła gniewem.

– Wy! – ryknął, wyciągając rękę w stronę Rayvan i zataczając krąg obejmujący pozostałych.

– Mizerne śmieci ludzkie! On wart był tysiąca takich jak wy.

– Być może był, generale – zgodziła się Rayvan. – A kim ty jesteś?

– Panem sytuacji – powiedział i szybkim krokiem opuścił szpital.

Na zewnątrz Gitasi, Subodai i Ingis czekali w otoczeniu ponad tysiąca wojowników nadiryjskich. Legion został rozbrojony.

Nagle zabrzmiała trąbka i głowy wszystkich zwróciły się na zachód. Do doliny wmaszerowało około pięciuset wojowników Skody pod dowództwem młodego Tursa, a za nimi dziesięć tysięcy Legionistów, w pełnym uzbrojeniu, maszerujących w szyku bojowym. Rayvan wyminęła Khana i podbiegła do Tursa.

– Co się stało? – zapytała.

Dowódca uśmiechnął się. – Legion przeszedł na naszą stronę. Przybyliśmy najszybciej jak się dało. – Młody wojownik obrzucił wzrokiem ciała zaścielające gęsto blanki i trawę za nimi.

– Widzę, że Tenaka dotrzymał słowa.

– Mam nadzieję – powiedziała Rayvan. Prostując plecy, podeszła z powrotem do Tenaki.

– Dzięki za twą pomoc, generale – powiedziała oficjalnym tonem. – Chcę, żebyś wiedział, że cały naród drenajski powtórzy te słowa jak echo. Chciałabym ci zaoferować gościnność Dros Delnoch na jakiś czas. Ja udam się do Drenanu po mały wyraz naszej wdzięczności. Ilu ludzi przyprowadziłeś ze sobą?

– Czterdzieści tysięcy, Rayvan – odpowiedział, uśmiechając się blado.

– Czy dziesięć złotych Raq na głowę będzie wystarczającym dowodem wdzięczności?

– W rzeczy samej!

– Przejdźmy się nieco – powiedziała i poprowadziła go do zagajnika za murem.

– Czy nadal mogę ci ufać, Tenaka? – zapytała. Rozejrzył się dokoła siebie. – Cóż może mnie powstrzymać przed zagarnięciem tej ziemi?

– Ananais – odpowiedziała po prostu.

Pokiwał głową ze smutkiem. – Masz rację – w tych okolicznościach to byłaby zdrada.

Przyślij złoto do Delnoch, a ja odejdę na północ. Jednak wrócę, Rayvan. Nadirowie również mają swoje przeznaczenie.

Odwrócił się, aby odejść.

– Tenaka?

– Tak?

– Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś. Naprawdę. Uśmiechnął się i w tym uśmiechu zabłysnął na chwilę dawny Tenaka. – Wracaj na swoją farmę, Rayvan. Ciesz się życiem – zasłużyłaś na to.

– Sądzisz, że polityka mi nie przystoi?

– Przystoi ci aż za dobrze – po prostu nie chciałbym mieć cię za wroga.

– Czas pokaże – odpowiedziała. Patrzyła, jak odchodzi do swoich ludzi. Gdy została sama, pochyliła głowę. I zapłakała nad umarłym.

Epilog

Rządy Rayvan należały do sprawiedliwych i Drenajowie szybko zapomnieli o czasach terroru Ceski. Machiny z Graven zostały zniszczone. Lake ponownie sformował Legion Smoka, okazując się zdolnym i charyzmatycznym generałem. Scaler ożenił się z Ravenną, córką Rayvan, po czym objął należną mu funkcję Księcia z Brązu, Strażnika Północy.

Tenaka Khan stoczył wiele wojen domowych, wchłaniając każde pokonane plemię. Renya powiła mu trzech synów.

W dziesięć lat i jeden miesiąc po pokonaniu Ceski Renya zmarła przy porodzie. Tenaka Khan zebrał swe wojska i powiódł je na południe, pod Dros Delnoch.

Scaler, Rayvan i Lake czekali na niego.

A bramy były zamknięte.

Table of Contents

